Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.

port wydawniczy
literatura.net.pl
KLIKNIJ TUTAJ

HISTORIE DZIWNE, STRASZLIWE I PRZERAŻAJĄCE

Swoim piórem opisał, ale też i z różnych Autorów zebrał i opracował

Andrzej J. Sarwa

I. Historie dziwne

LUDZIE O NADLUDZKICH MOCACH

Dwie rzeczywistości

Wszyscy z nas rodzą się, żyją i umierają na świecie, który sam w sobie jest czymś cudownie niezwykłym, lecz tej jego niezwykłości na ogół nie dostrzegają, a jeśli już, to bardzo rzadko.

Rzeczywistość, której doświadcza jakże wielu z nas, ogranicza się prawie wyłącznie do zdobywania środków służących biologicznemu przetrwaniu samych siebie oraz potomstwa i do niczego więcej. Niekiedy tylko wzruszamy się pięknem kwiatu, barwą motylich skrzydeł, błękitem jeziornej toni marszczonej podmuchami ciepłego wietrzyku... Lecz przecież natychmiast te duchowe doznania dusimy w sobie, aby czym prędzej powrócić do szarej codzienności i w pocie czoła zdobywać chleb powszedni.

Czy to dobre, czy złe? Cóż, niechże każdy sam sobie na to pytanie odpowie. Ja wspomnę tylko, że jest to naturalne, bo zgodne z podstawowymi prawami biologii: prawem do zachowania życia własnego danego osobnika i prawem do zachowania życia gatunku.

Egzystujemy zatem w jakże ciasnych ramach szarej i rzadko wesołej powszedniości, na ogół nie próbując się nawet zastanawiać nad tym, czy może być poza nią coś innego jeszcze.

Niektórym z nas przecież (a może i większości nawet?) zdarza się o t r z e ć w ciągu jednostajnego biegu żywota o coś co burzy wewnętrzny – zda się trwały, nie podlegający nigdy żadnym zmianom – obraz rzeczywistości jakiej doświadczali od momentu gdy ich uszy wyłowiły pierwszy dźwięk, a ich oczy spostrzegły pierwszy obraz.

I wtedy się buntujemy! Nie chcemy przyjąć do wiadomości, iż oprócz tej naszej – swojskiej, prząśnej – może istnieć równocześnie rzeczywistość inna. Co prawda niekiedy rejestrowana zmysłami, lecz różna od tego co znamy i niemożliwa do wytłumaczenia przy pomocy rozumu, któremu znane są tylko doświadczenia rzeczywistości „zwyczajnej".

Jest to reakcja tak typowa i tak powszechna, że nie sposób wyobrazić sobie nawet, aby była inna. Oto zetknąłem się z czymś, czego nie jestem w stanie wyjaśnić przy pomocy z n a n y c h mi praw natury. Co więc czuję? Ano najpierw szukam jakiegokolwiek – byle racjonalnego, czy choćby pseudoracjonalnego – wyjaśnienia zjawiska, a kiedy go nie znajduję (bo znaleźć nie mogę!) zaczynam odczuwać niepokój, przeradzający się w strach, a przeciw temu już się buntuję, nie akceptując i odrzucając niewytłumaczalne.

Ludzie, którym zdarzyło się doświadczyć czegoś niepojmowalnego i ponadzwykłego, na ogół nie rozpowiadają o tym na prawo i lewo. Ba! Bywa, że nie informują nawet najbliższych krewnych, z tej prostej i jakże prozaicznej przyczyny: lęku przed ośmieszeniem.

To też typowe i też normalne: boimy się – prawie wszyscy – tego, iżby nam, co nie daj Boże, nie przypięto etykietki niezrównoważonych psychicznie. W *normalnym* świecie jest bowiem miejsce tylko dla *normalnych*. Każdy, który czymkolwiek lub jakkolwiek wyróżnia się w jednolitej masie człowieczej nie tylko intryguje swoją innością, ale pozostałych pobudza do agresji (często zresztą nie do końca i nie w pełni uświadomionej).

Niestety, nie ma tak dobrze w naszym świecie, którego się nie lękamy dlatego, iż jest nam przyjazny, lecz dlatego, że jest nam po prostu znany, a przez to swojski; że wszystko i zawsze toczy się tą samą koleiną, w takim samym rytmie.

Zdarza się bowiem, że oto już nie jednostka (która mogłaby owo dokładnie i skutecznie utaić) lecz cała s p o ł e c z n o ś ć napotyka z j a w i s k o niepojmowalne dla ograniczonego prawami doczesności rozumu. Zdarza się, że w danej społeczności pojawia się o s o b a tak różna od przeciętnej i normalnej (w pozytywnym znaczeniu słowa), iż poczyna na siebie zwracać powszechną uwagę.

I wówczas – po prostu – nie pozostaje nic innego, jak – przyjąwszy do wiadomości – uznać owo za realne, chociaż niepojmowalne i niewytłumaczalne. Jednocześnie przybierając jakąś pozę, czy może przywdziewając maskę obojętności. Udając, że to nas nic, a nic nie obchodzi. Po prostu – wmówić sobie, że n i e z w y k ł e tak naprawdę jest z w y c z a j n e.

Dopiero wtedy nasz świat wraca do zachwianej uprzednio równowagi, chociaż jednak nie mając innego wyjścia, przez życie samo jesteśmy zmuszeni do uznania faktu, iż tak naprawdę istnieje nie tylko ta jedna, powszednia, rzeczywistość, ale niejako dwie rzeczywistości (chociaż tak naprawdę jest ona tylko jedna, choć ma różne wymiary).

Sądzę, że Czytelnika bez wątpienia zainteresuje zaznajomienie się choćby tylko z niektórymi przejawami niezwykłości, jakie zdarza się – niekiedy – napotkać na zwykłej, wyboistej, zapylonej drodze żywota, wiodącej nas nieodmiennie i nieuchronnie od chwili narodzin, ku chwili zgonu.

Cuda szamanów

Amerykański psycholog Max Freedom Long obejmując w 1917 roku posadę nauczyciela w Honolulu na Hawajach, po raz pierwszy usłyszał o kahunach – tajemniczych kapłanach starożytnego kultu Polinezyjczyków. Ponieważ tubylcy niezbyt chętnie udzielali mu skąpych informacji na ich temat, nie tylko nie zaspokoili ciekawości Amerykanina, ale jeszcze bardziej ją rozpalili.

Już w tamtych czasach kasta kahunów zanikła na skutek zaciekłego zwalczania jej przez misjonarzy chrześcijańskich z jednej strony, a przez krzewicieli „najwspanialszej" kultury białych ludzi z drugiej.

Ponieważ nie ma nic gorszego od rozbudzenia ciekawości człowieka i niezaspokojenia jej, zrozumiałe się staje, że Long nie zadowolił się informacjami podawanymi mu półgębkiem i rozpoczął badanie huny – owej tajemnej religii i równocześnie wiedzy krajowców z wielkim zapałem i ogromnym zaangażowaniem.

Wkrótce trafił na żywą kopalnię wiadomości o hunie i kahunach w osobie dra Brighama – kustosza Muzeum im. P. Bishop w Honolulu.

Człowiek ten – wówczas ponad osiemdziesięcioletni starzec – przyjaźnił się swego czasu z kapłanami hawajskimi i bywał świadkiem ich nieprawdopodobnych wyczynów. Jednym z najbardziej widowiskowych było chodzenie bosymi stopami po rozżarzonej, ledwie skrzepłej lawie wulkanicznej. Co ciekawsze, dr Brigham sam brał udział w takim spacerze pod opieką kahunów.

Oto fragment jego opowiadania zanotowany przez Longa:

Kiedy kamienie rzucone przez nas na powierzchnię lawy nie zapadły się, z czego wywnioskowaliśmy, że lawa była już dostatecznie twarda, aby mogła (...) unieść nasz ciężar, kahuni wstali i zeszli z usypiska. Gdy zeszli na dół, upał stał się wprost nie do zniesienia. Było tam bez porównania goręcej niż w piecu piekarskim. Lawa ciemniała na powierzchni mieniąc się różnymi barwami, jak stygnące żelazo, nim je kowal zanurzy w kadzi dla zahartowania. Teraz żałowałem mej ciekawości. Sama myśl przerażała mnie, gdy uprzytomniłem sobie, że będę musiał przebiec na drugą stronę po tym płaskim piekle. (...)

Kahunowie zdjęli sandały i przywiązali sobie liście ti (draceny – przyp. A.S.) dokoła stóp, biorąc po trzy liście na stopę. Usiadłem i zacząłem przywiązywać liście po zewnętrznej stronie mych podkutych butów.

To się kahunom nie podobało. Miałem zdjąć buty oraz dwie pary skarpet. Bogini Pele (bogini ognia i wulkanów – przyp. A.S.) nie zgodziła się uchronić moich butów przed spaleniem i pozostawienie ich na nogach mogło ją obrazić. (...) opierałem się stanowczo odmawiając zdjęcia obuwia.

Wyobrażałem sobie, że jeśli Hawajczycy mogli chodzić po gorącej lawie bosymi stopami mającymi twardą skórę, to i ja mogłem przejść w moich ciężkich skórzanych butach o grubych podeszwach, które by mnie chroniły przed gorącem.

Proszę wziąć pod uwagę, że opisywana tu przygoda zdarzyła się wtedy, gdy jeszcze przypuszczałem, iż istnieje jakieś fizyczne wytłumaczenie owego zjawiska.

W końcu kahuni zaczęli uważać moje obuwie na nogach jako doskonały dowcip. Jeżeli jestem gotów poświęcić je bogom, to może nawet jest i dobra myśl. Uśmiechali się do siebie porozumiewawczo i pozwolili mi przywiązać liście ti do podeszew, gdy rozpoczęli nucenie jakiejś pieśni. Słów nie mogłem niestety zrozumieć, bo tekst był w jakimś archaicznym, nieznanym mi hawajskim narzeczu. Była to (...) „mowa bogów" przekazywana z pokolenia na pokolenie od niepamiętnych czasów. Zrozumiałem tylko, że treścią pieśni były proste wzmianki o legendarnej historii, przeplatane pochwałami dla boga lub bogów.

Nim kahuni skończyli śpiewać, już byłem omal że żywcem upieczony, choć śpiew nie trwał dłużej niż kilka minut. Wtedy nadszedł czas wejścia na lawę. Jeden z kahunów uderzył w

migocącą powierzchnię lawy wiązką liści ti, i uprzejmym gestem dał mi pierwszeństwo wejścia na lawę. Lecz u mnie natychmiast odezwało się dobre wychowanie i dałem pierwszeństwo starszemu niż ja kahunowi. (...)

Stary człowiek bez wahania wstąpił na tę przerażająco gorącą powierzchnię. Patrzyłem na niego z otwartymi ustami. Był już prawie na drugiej stronie, a odległość od drugiego brzegu wynosiła około pięćdziesięciu metrów. Nagle mnie ktoś pchnął tak, że miałem do wyboru albo paść na twarz, albo uchwycić rytm biegu.

Nie wiem jakie szaleństwo mnie opętało, lecz biegłem. Gorąco było straszliwe. Wstrzymywałem oddech, a umysł mój przestawał pracować (...) po pierwszych kilku krokach zaczęły mi się palić podeszwy (...) Szwy puściły i jedna podeszwa urwała się, a druga kłapała trzymając się jeszcze obcasa. (...)

Wreszcie skoczyłem na miejsce bezpieczne.

Spojrzawszy na stopy spostrzegłem, że (...) palą się skarpetki. Kahuni pokazywali sobie leżącą opodal na lawie dymiącą podeszwę mego buta (...) i tarzali się ze śmiechu.

Ja też się śmiałem. Nigdy w życiu nie byłem tak szczęśliwy, że już jestem poza zasięgiem niebezpieczeństwa, i że na mych stopach nie ma śladów skutków ognia, nawet w miejscach gdzie paliły się skarpetki. (...) Również żaden z kahunów nie odniósł oparzenia, choć liście ti przywiązane do nóg dawno się były spaliły. (Max Freedom Long, *Cuda w świetle wiedzy tajemnej*, Kraków 1983, cz. I. s. 14 – 15)

Czytając ów opis, mimo woli nie dowierzamy realności tego, czego doświadczył dr Brigham, starając się znaleźć jakieś racjonalne wyjaśnienie fenomenu. A ponieważ nie jesteśmy w stanie ani zagadki rozwikłać, ani wyjaśnić przy pomocy dostępnej nam wiedzy, najchętniej skłaniamy się ku poglądowi, że było to albo oszustwo, albo zbiorowa halucynacja. Czyli że nic z tego, o czym pisze Long, nie miało miejsca w rzeczywistości. Ba! Gdybyż to był przypadek odosobniony i szło wyłącznie o relację Brighama. Niestety tak dobrze nie ma. Ponieważ sztuka chodzenia po ogniu znana była nie tylko dawnym Polinezyjczykom, ale także praktykowana w innych rejonach globu ziemskiego, na przykład w Indiach, a najbliżej nas w Bułgarii.

Istnieje wiele relacji europejskich świadków, liczne filmy i fotografie. Może da się oszukać zawodne zmysły człowieka, ale przecież nie obiektyw kamery. Tak więc w końcu uznano za bezsporne i nie podlegające dyskusji chodzenie po rozżarzonych węglach, kamieniach, lawie... Nie wiedziano natomiast jak wyjaśnić fakt, iż taki spacer nie powoduje poparzenia nóg, aż ktoś w zacisznym gabinecie wykoncypował, że jest to możliwe, ponieważ idąc nie przyciska się całej powierzchni stopy do podłoża, i idąc szybko, można uniknąć poparzenia. Wielka szkoda, że ten który to wydumał, nie sprawdził hipotezy w praktyce. Jestem całkowicie przekonany, że prędziutko by ją odwołał, kurując się z bąbli na podeszwach. Ponieważ jednak tego nie uczynił, plącze się ona w wielu pracach jako „racjonalne wyjaśnienie zjawiska" (że też większość „racjonalnych, naukowych wyjaśnień", zjawisk niewytłumaczalnych, to podobne do tego idiotyzmy).

Cóż zatem powoduje, że niektórzy ludzie mogą bezkarnie chodzić po ogniu? Czyżby liście draceny, którymi polinezyjscy czarodzieje obwiązują sobie stopy miały jakieś szczególne właściwości? Ponieważ wiem, iż tę roślinę można spotkać na niejednym parapecie, z góry ostrzegam przed podejmowaniem prób chodzenia po żarze w domowym zaciszu. Dracena nie pomoże – można mi wierzyć.

Jeśli nie dracena to co? Wiadomo, iż czarodzieje przed spacerem po ogniu wprowadzają się w pewnego rodzaju trans przy pomocy śpiewu i tańca. To właśnie ma największe znaczenie, doprowadzając uczestników obrzędu do stanu będącego pograniczem jawy i snu, a żywo przypominającego zachowanie się ludzi znajdujących się pod wpływem sugestii hipnotycznej. Chociaż nadal nie wiadomo czym właściwie jest hipnoza, to od pewnego czasu z powodzeniem stosuje się ją między innymi w medycynie. Człowiek znajdujący się w

transie, na rozkaz hipnotyzera przestaje odczuwać ból, co samo w sobie jest nie mniej tajemnicze od spacerów po ogniu, i nie odczuwa oparzeń – nawet miejsc szczególnie bogato unerwionych – czego sam niejednokrotnie byłem świadkiem. Nie reaguje na dotyk rozżarzonego papierosa, ani płomienia zapałki i to na dowolnie długi czas. Niestety, mimo nieodczuwania bólu dochodzi do poparzeń, lub w najlepszym wypadku do mocnego zaczerwienienia skóry poddanej działaniu bodźca termicznego. Ponieważ podobnych efektów nie obserwuje się u szamanów chodzących po ogniu. Zatem wyjaśnienie za pomocą hipnozy czy autosugestii można z całym spokojem odrzucić. Chyba, że... nie wszystko jeszcze wiemy o ich działaniu. Ale przecież wyjaśnianie zagadek innymi zagadkami nie jest właściwie żadnym wyjaśnieniem.

Tak więc koło się zamknęło. Chodzenie po ogniu jest faktem, zaś na rozwikłanie tajemnicy tego fenomenu trzeba będzie jeszcze poczekać, o ile oczywiście ono w ogóle nastąpi.

***

Czarodziejami–szamanami czyniącymi podobne cuda byli nie tylko hawajscy kahuni. Ludzi posiadających niewyjaśnione, sprzeczne z naukowym obrazem świata i zjawisk na nim zachodzących, właściwości można było napotkać – a nawet spotyka się ich dziś jeszcze – w różnych częściach świata.

Pewien młody europejski lekarz był świadkiem wydarzenia nie mniej tajemniczego niż chodzenie po ogniu.

Otóż, wśród afrykańskiego plemienia Gola dokonano zabójstwa, którego sprawcę konwencjonalnymi metodami śledczymi nie dało się wykryć. Wówczas wódz plemienia postanowił poprosić o pomoc szamankę.

Na rozkaz wodza wszyscy mieszkańcy wsi zgromadzili się na wielkiej polanie, gdzie zaproszona przystąpiła do szukania winnego pośród zebranych.

Wyglądało to tak: stanęła przed tłumem trzymając w dłoni długi drewniany pręt, opuszczony pochyło ku ziemi. Po obydwu jej stronach przykucnęły dwie stare kobiety, z których jedna na znak dany przez wodza poczęła, zrazu wolno, a później coraz szybciej, rytmicznie uderzać krótką pałeczką w pręt dzierżony przez czarownicę. Ta ostatnia jakby zesztywniała, oczy jej zaszły mgłą, a całym ciałem zaczęły wstrząsać dreszcze. Po chwili jęła prętem uderzać o ziemię, a kurcze targające jej ciałem nasiliły się do tego stopnia, że straciła równowagę i upadła na bok. Widać było, iż znajduje się w transie, na co wskazywał zarówno jej wygląd, jak i zachowanie. Nadal tocząc się rytmicznie po ziemi, niczym automat, uderzała prętem o jej powierzchnię. Otaczający ją ludzie z przerażeniem cofnęli się. Wówczas szamanka porwawszy się na nogi dopadła jednej z kobiet – krewnych zamordowanego i z dziką furią poczęła ją bić trzymanym prętem. Winowajczyni w ten sposób wskazana, bez najmniejszego sprzeciwu, bez oporu, przyznała się do zbrodni.

Chociaż cały obrzęd wydał się obserwującemu go Europejczykowi prymitywny i dziki, to jednak przyniósł oczekiwany rezultat. Być może nie ma w tym nic nadprzyrodzonego, a sukces w wykryciu morderczyni należy przypisać wyłącznie doskonałej znajomości zachowań ludzkich i spostrzegawczości szamanki, która obserwując zebranych ludzi potrafiła bezbłędnie wskazać winną, opierając się na jakimś specyficznym jej zachowaniu, nacechowanym lękiem przed zdemaskowaniem, czy też niepewnością. Chociaż maska pozornego spokoju, jaką przybrała zabójczyni, mogła ją osłonić przed wszystkimi innymi mieszkańcami wioski, to nie spełniła tego zadania w spotkaniu z czarownicą. (wg.: Emmanuił Swietłow, *Magizm i jedinobożije*, Bruxelles 1971, s. 51 – 52)

A oto przykład niezwykłych psychicznych sił szamanów zawarty w relacji rosyjskiego etnografa W. Bogoraza:

Prowadząc badania na jednej z wysp u wybrzeży Alaski spotkał się tam z szamanem. Ponieważ w tamtych rejonach szamanizm znajdował się już w zaniku, uczony ucieszył się mając możność zobaczenia na własne oczy pokazu legendarnych umiejętności czarowników. Zgodził się je zademonstrować ostatni potomek szamańskiego rodu, starzec Assunnarak.

On to stanąwszy przed badaczem ze skrzyżowanymi na piersi rękoma rozkazał mu narzucić na jego gołe plecy końce wielkiego czerwonego amerykańskiego pledu, na który najwyraźniej miał ochotę. Mimo iż staruszek trzymał ręce na piersiach i z całą pewnością ich nie użył, pled przylgnął do jego pleców niczym żelazo do magnesu.

Badacz ciągnąc z całej siły za drugi koniec nie był w stanie go oderwać. Później szaman począł wlec etnografa, który w końcu zaparł się nogami o poprzeczkę łączącą boki namiotu, ale Assunnarak nie dawał za wygraną. Pled nadal był jak przyklejony.

Kiedy w czasie tego siłowania się Bogoraz ani myślał ustąpić, szaman sprawił, że namiot dosłownie „stanął dęba". Sterta naczyń znajdujących się w kącie z brzękiem poleciała na ziemię, a garnek, a garnek z topniejącym śniegiem się przewrócił, zalewając całe wnętrze.

Wówczas badacz dał spokój, puszczając końce pledu, a szaman, który najwyraźniej czekał na taki obrót rzeczy, natychmiast wypełznął z namiotu, triumfalnie krzycząc: „Pled jest mój!" (wg.: W. Bogoraz, *Einstein i religia. Primienienije principa otnositielnosti k issledowaniu religjoznych jawlenij*, Moskwa 1923, s. 6)

Trudno chyba podejrzewać poważnego badacza o zmyślenie całej historii. Trudno również wszystko wyjaśnić działaniem hipnozy, chociaż kto wie, czy stary Assunnarak nie skorzystał z niej w opisanym przypadku. Z drugiej jednak strony relacja badacza jest zbyt rzeczowa, aby przypuszczać, iż w czasie „pokazu" nie posiadał pełnej świadomości.

Myślę, że była to demonstracja wspaniałych zdolności telekinetycznych (przemieszczanie przedmiotów w przestrzeni bez użycia siły fizycznej) szamana. Skoro zaobserwowano i takie historie, jak np. zginanie stalowych sztućców „siłą woli", to czarownikowi mogło się udać „przylepienie" pledu do własnych nagich pleców i wstrząśnięcie namiotem.

Jeszcze lepszy przykład wskazujący na używanie telekinezy przez szamanów podaje badacz amerykański F. Mowet, który długie lata spędził między Eskimosami.

Któregoś jesiennego popołudnia, gdy Mowet wraz z przyjacielem siedział w chacie delektując się herbatą, odczuł silny wstrząs. Domek zachwiał się w posadach. Mężczyźni przekonani, iż nastąpiło trzęsienie ziemi, przestraszeni wybiegli na dwór. Tam jednak panował zupełny spokój, a stadko jeleni odpoczywało, bynajmniej nie spłoszone. Wrócili zatem do chaty i na nowo zabrali się do herbaty. Ledwo jednak usiedli, wstrząs się powtórzył. Blaszane kubki spadły ze stołu, zatknięte za krokwie prawidła do naciągania skór z trzaskiem potoczyły się po podłodze. Tym razem przestraszeni już nie na żarty znów wybiegli na zewnątrz i znów nie dostrzegli niczego niezwykłego. Jelenie pasły się dalej. Ogłupiali podróżnicy pobiegli ku szałasowi Eskimosów sądząc, iż oni mogą im wyjaśnić owe wstrząsy. Ale ci o niczym nie wiedzieli i skierowali białych do szamana Kakuni. Gdy stanęli przed jego obliczem, ten – nim zdążyli otworzyć usta – śmiejąc się powiedział, iż oczekiwał ich przybycia i wiedział po co przyjdą.

To Apopa (duch) trząsł ich chatą – wyjaśnił szaman.

(wg.: E. Swietłow, dz. cyt., s. 55)

A oto kolejny opis, zdający się dowodzić realności niewytłumaczalnych psychicznych zdolności czarowników:

Francuski dziennikarz, pisarz i podróżnik Pierre–Dominique Gaisseau przebywający wśród afrykańskiego plemienia Toma był świadkiem niesamowitego wydarzenia.

Pewnego razu Gaisseau wraz z dwoma towarzyszami i czarownikiem Waune odpoczywali w chacie. Naraz wszyscy trzej biali usłyszeli dziwne dźwięki. Drzwi skrzypiąc przeraźliwie otworzyły się na całą szerokość i w progu stanął... szaman Waune. Francuzi wystraszyli się nie na żarty, bo szaman równocześnie nadal spoczywał na swoim posłaniu umieszczonym za

posłaniem Gaisseau. Podróżnik nie ośmielając się poruszyć i wstrzymują oddech, w świetle lampy, która stała na podłodze, przypatrywał się niesamowitemu zjawisku. Przybysz przez chwilę kołysał się w miejscu, po czym pochylony przelazł pod hamakami Francuzów i wszedł – wniknął w pogrążone we śnie ciało czarownika. Biali dyskutując zawzięcie na temat tego, czego byli świadkami, doszli do wniosku, że zjawiska nie da się w żaden rozumowy sposób wyjaśnić.

Wreszcie na koniec zostawiłem sprawę chyba najciekawszą i budzącą największe niedowierzanie u sceptyków, a największy podziw u ludzi przeświadczonych o realności zjawiska.

Mowa tu o lewitacji, czyli zdolności do unoszenia się człowieka w powietrzu, co przeczy powszechnemu prawu ciążenia. Temu prawu, bez którego niemożliwe byłoby życie na Ziemi i bez którego rozpadłby się Wszechświat.

Bajki! Mogą zaprotestować Czytelnicy.

Bynajmniej. Przypadki lewitacji zdarzały się (i zdarzają nadal) stosunkowo często, a co więcej, dysponuje się zeznaniami świadków, a ostatnimi czasy także fotografiami (autentycznymi, a nie trikowymi), które w sposób bezsprzeczny dowodzą tego, iż zjawisko lewitacji wystąpiło rzeczywiście.

Lewitacja była znana i praktykowana przez kapłanów polinezyjskich, a ich popisy obserwować mogli przybyli na wyspy biali, dzięki którym właśnie wiemy o tym dzisiaj. Jeden z opisów mówi, jak pewien kapłan, odpychając się lekko od stromej ściany skalnej dwoma cienkimi patykami, „wypłynął" w ten sposób na sam szczyt.

Unosić się w powietrzu, drwiąc sobie z praw fizyki potrafili także święci mężowie, jogini w Indiach. Pod koniec ubiegłego wieku, świadkiem niezwykłego zdarzenia był holenderski lekarz, doktor van Leuven, które mógł dokładnie zaobserwować, goszcząc któregoś dnia w celi pewnego hinduskiego mnicha. A oto co pisze na ten temat:

„Siedziałem nieporuszony, wzrok miałem wlepiony w mnicha, by skontrolować, co robi; byłem bowiem zdecydowany każdą próbę omamienia mnie z całą stanowczością zdemaskować. Ale nic nie zaszło. Cierpliwość moja była narażona na długą próbę. Mnich w ogóle nie poruszał się; stał jakby posąg. Nie wiem, jak długo to trwało.

Nagle – nie umiem podać, jak to się stało – miałem wrażenie, że mnich nie znajduje się więcej tam, gdzie był dotychczas, a o pół metra nad ziemią. Nie mogę inaczej tego wyrazić: bujał w powietrzu! Pod nim była pusta przestrzeń... Omyłka, lub złudzenie optyczne było wykluczone. Wpatrywałem się bystro; fenomen trwał! Ba, po chwili postać mnicha wzniosła się wyżej jeszcze, mniej więcej o 30 centymetrów. Mnich przez cały czas nie zmienił postawy ciała, nie poruszał się.

Skupiłem głownie uwagę na swój własny stan. Stwierdziłem, że moje zmysły działają normalnie, że moja władza myślenia jest normalna. Nie znajdowałem się w transie; widziałem wszystko dokładnie. Zauważyć muszę, że było jasno; mogłem zauważyć nawet cień bujającej w powietrzu postaci."

(cyt. za: MEB, Tajemnice Jogów. Cudowny świat między rzeczywistością a sferą urojeń, Warszawa brak roku wydania, s. 54 – 55)

Ale i u nas w Europie zjawisko lewitacji nie należy wcale do rzadkości. Po dziś dzień zachowały się świadectwa, mówiące o tej zdolności świętej Teresy z Avila, Doktora Kościoła (1515 – 1582), która uniosła się niejednokrotnie w powietrzu nie tylko w zaciszu swej celi klasztornej, ale i podczas uczestnictwa we mszy, w kościele, na oczach tłumu. Co ciekawe, tej swojej nadnaturalnej umiejętności wstydziła się mocno, prosząc Boga, aby ją od niej uwolnił.

Nasz rodak, błogosławiony Ładysław z Gielniowa, pewnego razu w Wielki Piątek 1505 roku, podczas wygłaszanego przez siebie kazania, w obecności zebranych w świątyni wiernych, popadł w ekstazę, uniósł się ponad ambonę, budząc tym oczywiście całkiem

zrozumiałą sensację. (por.: Joanna Ottea, *Święci i błogosławieni polscy*, Sandomierz 1987, s. 139)

Żyjący wcześniej niż oboje z wymienionych wcześniej świętych, święty Franciszek z Asyżu (ok. 1182 – 1226) także lewitował, czego świadkiem był jego uczeń i współbrat zakonny, Leon.

„(...) brat Leon z czystością wielką i z dobrym zamiarem [zaczął] badać i rozważać życie świętego Franciszka i dzięki czystości swej zasłużył sobie, że widział coraz częściej świętego Franciszka zachwyconego w Bogu i wzniesionego nad ziemią, niekiedy na trzy łokcie wysoko, niekiedy na cztery, kiedy indziej aż na wysokość buka, a kilkakrotnie widział go tak wzniesionego wysoko nad ziemią i takim otoczonego blaskiem, że ledwo mógł go dojrzeć. A cóż czynił ten brat pełen prostoty, kiedy święty Franciszek tak mało był wzniesiony nad ziemią, że ów mógł go dosięgnąć? Podchodził cicho, ujmował nogi jego, całował je i mówił ze łzami: 'Boże mój, miej litość nade mną grzesznikiem i przez zasługi tego człowieka świętego pozwól mi znaleźć Twą łaskę'."

(*Kwiatki świętego Franciszka z Asyżu*, przełożył Leopold Staff, Warszawa 1959, s. 218)

Jak wspomniałem wcześniej, zjawisko lewitacji jest również obserwowane współcześnie i utrwalone nawet na taśmie filmowej. To ostatnie najbardziej chyba winno przekonać sceptyków. Oszukać może da się zawodne zmysły ludzkie, ale fotokomórkę?

***

Czarownicy, szamani, znachorzy–cudotwórcy, czy jak ich tam jeszcze nazwać, nieodwołalnie opatrzeni przez Europejczyków etykietką oszustów żerujących na naiwności ludzkiej i ciągnący z tego spore zyski, po zapoznaniu się z wcześniej przytoczonymi przykładami wydają się już chyba mniej odrażający.

Nie można oczywiście twierdzić, że w s z y s c y czarownicy byli (i są) ludźmi uczciwymi. Na pewno trafiało się między nimi także sporo oszustów, ale w którymż to zawodzie ich nie ma? Jednak większość obiektywnych relacji badaczy i podróżników spotykających się z szamanami wydaje o nich jak najlepsze świadectwo. Etykietę darmozjadów przypięli im ci, którzy sądzili, iż sprawowanie przez szamanów obrzędów jest tak samo zrutynizowane, jak w przypadku wielkich religii.

Otóż nic bardziej błędnego od takiego poglądu. Przede wszystkim szamanem może zostać wyłącznie osoba w y b r a n a przez d u c h y. Sama chęć człowieka nie ma tu żadnego znaczenia.

Pewien czarownik, imieniem Igiugariuk opowiadał znanemu badaczowi Knudowi Rasmussenowi, że w młodości nawiedzały go często widzenia senne, podczas których rozmawiały z nim n i e z n a n e istoty. Kiedy się budził, miał je nadal przed oczyma.

Współplemieńcy wyjaśnili mu, iż posiada właściwości potrzebne do kontaktowania się z duchami i postanowili, że musi zostać szamanem. Igiugariuk bezskutecznie usiłował przeciwstawić się swojemu powołaniu, ale w końcu musiał ulec.

Gdy osoba wybrana sprzeciwia się woli duchów, może spodziewać się zaburzeń psychicznych, omamów i halucynacji. W przypadku dalszego uporu może dojść do ciężkiej choroby, a nawet zgonu.

Przygotowując się do pełnienia funkcji szamana musi przejść jeszcze wielką próbę. Oddala się od rodzinnej osady i w samotności poddaje się ciężkim ćwiczeniom ascetycznym, myśląc równocześnie o sprawach duchowych. Post może nieraz trwać kilkadziesiąt dni, na skutek czego adept zapada często w stan podobny do śmierci. Z chwilą zupełnej psychicznej metamorfozy człowieka, kończącej się objawieniem ducha opiekuńczego staje się on szamanem.

Czym więc jest szamanizm? Chociaż słowo to zaczerpnięto z języka Ewenków mieszkających na Syberii, nie znaczy że tylko tam należy go szukać. Szamanizm bowiem jest może nie tyle religią (chociaż bazuje na animizmie), ile s p o s o b e m na kontaktowanie się ze światem duchów. Rolę pośrednika między tą, a tamtą stroną spełnia właśnie szaman, którego psychika jest do tego specjalnie predysponowana. Tak rozumiany szamanizm występował na całej prawie kuli ziemskiej: na Syberii, w Ameryce Północnej, Tasmanii, Ziemi Ognistej, Australii, Afryce, Polinezji oraz w Europie, gdzie najdłużej utrzymał się wśród Lapończyków.

Kontaktom czarowników ze światłem pozazmysłowym służą specjalne obrzędy, których nieodłącznym atrybutem jest bęben odgrywający rolę narzędzia do przywoływania duchów. Przy jego użyciu szaman w czasie kamłania (jest to również słowo syberyjskiego pochodzenia oznaczające wzywanie duchów) wprowadza się w trans, podczas którego wydaje mu się, że odbywa podróż w Zaświaty.

Walenie w bęben, śpiew i wrzaski czarownika, wbrew utartym opiniom, wcale nie mają służyć wywarciu odpowiedniego wrażenia na widzach, lecz są potrzebne do wprowadzenia się w stan katalepsji, który szaman uważa za mistyczny.

Po „przyjściu do siebie" szaman zna już odpowiedź na zadane w wcześnie pytania, potrafi rozwiązać problemy swych współplemieńców, przepowiadać przyszłość.

Czy są to tylko i wyłącznie kłamstwa? „Dzicy" stawiają szamanowi konkretne pytania, na które musi dawać konkretne odpowiedzi. Biada mu jeżeli się okaże, że jego rady są z a w s z e złe, a przepowiednie zawsze fałszywe Taki czarownik musi opuścić swoją społeczność. To fakt, iż sporo spośród nich zostaje wypędzonych – szczególnie ci, którzy trudnią się leczeniem – ale jeszcze więcej działa, ciesząc się doskonałą opinią. Czy zupełnie bezpodstawnie?

W literaturze bardzo często spotyka się pogląd, że szamani wyzyskiwali współplemieńców w krańcowy sposób. Nic błędniejszego. Dawna przysięga szamańska zawiera takie zdanie:

„Jeśli wezwą cię jednocześnie do bogatego i biednego, to idź najpierw do biednego i nie żądaj wiele za swój trud."

(cyt. za: W.M. Michajłowskij, *Szamanstwo. Srawnitielno–etnograficzeskoje oczerki*, Moskwa 1892, s. 75), a Bronisław Piłsudski (brat Józefa) badacz życia Ajnów i sam zresztą ożeniony z Ajnuską, tak pisał:

„Za swoją praktykę szaman powinien, według pojęć Ajnów, brać zapłatę, nawet od najbliższych krewnych. W przeciwnym bowiem razie duchy pomocnicze odmówią mu swej pomocy (...) Nie było przykładu, by szaman wzbogacił się znoszonymi mu datkami. (...)"

(cyt. za: A.F. Majewicz, *Ajnu. Lud, jego język i tradycja ustna*, Poznań 1984, s. 67)

***

Obiegowe sądy i opinie o czarownikach, szamanach nie zawsze muszą być prawdziwe i słuszne, a ich niezwykłe umiejętności i wiedza, choć zagadkowe i niewytłumaczalne, mogą się okazać jednak realną rzeczywistością.

Dawno minęły czasy, kiedy rzeczywiście niewyjaśnione siły ludzkiej natury wolno było wyłącznie wykpiwać. Coraz więcej poważnych badaczy – nie bojąc się kpiny i etykietki heretyka – zajmuje się badaniem owych zjawisk z pogranicza świata realnego i świata baśni.

Pomyśleć, że jeszcze tak niedawno temu hipnoza, która znajduje szerokie zastosowanie we współczesnej medycynie, uważana była za cyrkową sztuczkę i jawne oszustwo! Dziś jest inaczej. Nie tylko hipnoza, ale i lewitacja, jasnowidzenie, prekognicja, telepatia, telekineza czy telegnoza wywalczyły sobie uznanie ich realnego istnienia.

Znaczna liczba badaczy nie obawia się śmieszności, rozumiejąc, iż wiedza jaką dziś dysponują, nie wyjaśnia bynajmniej wszystkiego. Nieżyjący już prof. dr Stefan Manczarski, zasłużony polski badacz zjawisk paranormalnych tak pisał przed laty:

„Powtórzmy raz jeszcze za Boltzmanem, iż w naturze nie ma nic niemożliwego, mogą być tylko wydarzenia w najwyższym stopniu mało prawdopodobne. (...) Musimy więc liczyć się z tym, że i my możemy w życiu codziennym napotkać fakt, który tak dalece odbiega od norm naszego zwykłego doświadczenia, iż należy nazwać go „wydarzeniem nieprawdopodobnym". Uprzytomnienie sobie realnej możliwości takiego faktu stanowi niewątpliwie poważny wstrząs. Mimo woli nasuwa się pytanie: czy niektóre spośród tzw. cudów i objawów nadprzyrodzonych lub – inaczej mówiąc – paranormalnych nie należą do zjawisk tej kategorii?"

(K. Boruń, S. Manczarski, *Tajemnice parapsychologii. Eksperymenty – hipotezy – zagadki*, Warszawa 1977, s. 7)

Otóż właśnie, chyba można zaryzykować twierdzenie, iż „sztuczki" szamanów należałoby uznać za przejaw ich paranormalnych predyspozycji i poddać gruntownemu badaniu przez psychotroników. Jednocześnie zaś obawiam się, iż może się to już okazać niemożliwe, ponieważ ekspansja europejskiej cywilizacji sprawia, iż nieliczni z jeszcze ocalałych prawdziwych czarowników w niezbyt długim czasie na zawsze odejdą w niebyt, jak to się stało z wieloma przejawami kultury ludów pierwotnych. Informacje, jakie o nich przetrwają na kartach książek, uważane będą za równie bajeczne jak opowieści o królu Arturze, Rycerzach Okrągłego Stołu i poszukiwaniach św. Graala.

Szymon Czarnoksiężnik

„A Filip dotarł do miasta Samarii i głosił im Chrystusa. Ludzie zaś przyjmowali uważnie i zgodnie to, co Filip mówił, gdy go słyszeli i widzieli cuda, które czynił. Albowiem duchy nieczyste wychodziły z wielkim krzykiem z wielu, którzy je mieli, wielu też sparaliżowanych i ułomnych zostało uzdrowionych. I było wiele radości w owym mieście.

A był w mieście od jakiegoś czasu pewien mąż, imieniem Szymon, który zajmował się czarnoksięstwem i wprawiał lud Samarii w zachwyt, podają się za kogoś wielkiego. A wszyscy, mali i wielcy, liczyli się z nim, mówiąc: Ten człowiek to moc Boża, która się nazywa Wielka. Liczyli się zaś z nim dlatego, że od dłuższego czasu wprawiał ich w zachwyt magicznymi sztuczkami. Kiedy jednak uwierzyli Filipowi, który zwiastował im dobrą nowinę o Królestwie Bożym i o imieniu Jezusa Chrystusa, dawali się ochrzcić, zarówno mężczyźni, jak i niewiasty. Nawet i sam Szymon uwierzył, gdy zaś został ochrzczony, trzymał się Filipa, a widząc znaki i cuda wielkie, jakie się działy, był pełen zachwytu.

Gdy apostołowie w Jerozolimie usłyszeli, że Samaria przyjęła Słowo Boże, wysłali do nich Piotra i Jana, którzy przybywszy tam, modlili się za nimi, aby otrzymali Ducha Świętego. Na nikogo bowiem z nich nie był jeszcze zstąpił, bo byli tylko ochrzczeni w imię Pana Jezusa. Wtedy nakładali na nich ręce, a oni otrzymywali Ducha Świętego.

A gdy Szymon spostrzegł, że Duch bywa udzielany przez wkładanie rąk apostołów, przyniósł im pieniądze. I powiedział: Dajcie i mnie tę moc, aby ten, na kogo ręce włożę, otrzymał Ducha Świętego.

A Piotr rzekł do niego: Niech zginą wraz z tobą pieniądze twoje, żeś mniemał, iż za pieniądze można nabyć dar Boży. Co się zaś tyczy tej sprawy, to nie masz w niej cząstki ani udziału, gdyż serce twoje nie jest szczere wobec Boga. Przeto odwróć się od tej nieprawości swojej i proś Pana, czy nie mógłby ci być odpuszczony zamysł serca twego; widzę bowiem, żeś pogrążony w gorzkiej żółci i więzach nieprawości.

Szymon zaś odpowiedział i rzekł: Módlcie się wy za mną do Pana, aby nic z tego na mnie nie przyszło, co powiedzieliście."

(Dzieje Apostolskie 8, 5–24 – cyt. za: Biblia to jest Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, tzw. Nowy Przekład, Warszawa 1979)

Taką oto relację dotyczącą Szymona Czarnoksiężnika (zwanego także Szymonem Magiem) znajdujemy zapisaną w Księdze Dziejów Apostolskich Pisma Świętego Nowego Testamentu. Jest ona dość krótka, zwięzła i nie zajmuje się szerzej osobą Samarytanina, ograniczając się wyłącznie do stwierdzenia faktu, że Szymon nie nawrócił się szczerze i chciał kupić m o c (czy może raczej ł a s k ę) udzielania ludziom darów Ducha Świętego po to, aby jeszcze bardziej rozszerzyć i udoskonalić swe czarnoksięskie umiejętności.

Mocy, czy łaski Bożej oczywiście kupić nie można, zresztą sam taki pomysł jest z gruntu nie tylko głupi, ale i bluźnierczy, stąd oburzenie chrześcijan i surowa nagana, jaka spotkała Szymona ze strony św. Piotra Apostoła.

Ale czy oprócz zapisków w Nowym Testamencie, do naszych czasów dochowały się jakieś inne informacje zawierające więcej danych dotyczących tego niezwykłego człowieka? Owszem, lecz niezbyt wiele. Są one jednak na tyle intrygujące, by pokusić się o – choćby krótkie, z konieczności – zaprezentowanie postaci Szymona.

Kiedy się urodził i kim byli jego rodzice, niestety nie wiadomo. Jedno jest pewne, że przyszedł na świat na terytorium Palestyny, a dokładniej w Samarii, w miejscowość Gitton, gdzie żył i działał (zanim nie przeniósł się gdzie indziej) na przełomie starej i nowej ery.

Podobno – co wcale nie jest w stu procentach pewne – jako młodzieniec przystał do uczniów pewnego męża noszącego imię Dositheus, który sam siebie nazywał Mesjaszem – Pomazańcem Najwyższego, a który – zgodnie z tym co przez wieki i tysiąclecia przepowiadali patriarchowie i prorocy – przyszedł wybawić Izraela i świat cały razem z

narodem wybranym. (wg.: Stanisław A. Wotowski, *Tajemnice świata magii*, Sosnowiec 1992, s. 5)

Tak naprawdę jednak ów Dositheus nie był kimś aż tak niezwykłym, skoro Szymon poduczywszy się odeń co nieco, bez skrupułów porzucił mistrza, widząc iż pozostawanie w jego otoczeniu nie pozwoli mu ani zdobyć rzetelnej wiedzy magicznej, ani – co chyba zrozumiałe – wypłynąć na szersze wody.

A Szymonowi marzyły się i moc, i sława, i rozkosze, i bogactwa.

Jak się wydaje, dość wcześnie musiało u tego ostatniego dojść do rozwinięcia się zdolności paranormalnych skoro zdecydował się na prowadzenie „działalności czarodziejskiej" na własną rękę.

I chyba owe predyspozycje musiały być niemałe, skoro o Szymonie Magu pamięta się po dziś dzień, natomiast imię Dositheusa dochowało się wyłącznie dlatego, bo przez jakiś czas był on mistrzem tego, który w późniejszym okresie zabłysnął nawet w samym Rzymie: stolicy i sercu imperium. Ale nie uprzedzajmy faktów.

Gdy Filip, a później także apostołowie Piotr i Jan przybyli do Samarii, sława Szymona jako cudotwórcy i przepowiadacza przyszłości była już ugruntowana. Niemniej jednak, widząc rzeczywistą i wielką moc, jaką dysponowali uczniowie Jezusa Chrystusa, nie omieszkał on skorzystać z okazji, by spróbować posiąść te – jak mu się zdawało – sekrety, które zdecydowały o umiejętności uzdrawiania, wyrzucania demonów, mówienia w obcych językach, których wcześniej się nie uczono, prorokowania...

Szymon jednak omylił się srodze mniemając, iż moc Bożą – tak samo jak sekrety magów – można ot tak sobie, zwyczajnie kupić za pieniądze.

Skarcony i odrzucony przez Apostołów – co boleśnie ugodziło w jego dumę – zapałał tak ogromną nienawiścią do Chrystusa i chrześcijan, że od tej pory wszędzie gdzie mógł i jak mógł, starał się zohydzić ich naukę, nauce Jezusa przeciwstawiając swoją własną.

Po rozstaniu się z chrześcijanami Czarnoksiężnik poznał pewną piękną dziewczynę trudniącą się prostytucją, noszącą imię Helena. I od tej pory spotykało się ich zawsze razem.

Szymon całkowicie zanurzył się w rozpuście, w niej upatrując sposobu na zdobycie jeszcze większej „mocy" niż ta, którą dysponował wcześniej.

Później w przyszłości, znalazł w tym wiernych naśladowców, ale to już inna historia.

Mniemam, że zainteresuje Czytelnika czego też uczył Szymon. Ano głosił on – ni mniej ni więcej – iż jest najwyższą mocą Bożą, która nie tylko ogarnia świat, lecz równocześnie przenika ludzkie dusze.

Powiadał jeszcze, że drugim z nadprzyrodzonych, niezbędnych światu i ludzkości istot, jest jego kochanka, którą nazwał greckim mianem ENNOIA, co oznacza pierwszą myśl bóstwa, a która w dziejach była Heleną trojańską.

Według nauki Szymona Czarnoksiężnika od Heleny wzięli początek aniołowie, eony i siły kosmiczne. Lecz aniołowie będąc wrogo usposobieni do niej stali się przyczyną opuszczenia przez nią świata duchowego i zejścia do świata materii (wg.: „Encyklopedia kościelna podług teologicznej encyklopedii Wetzera i Weltego, z licznemi jej dopełnieniami, przy współpracownictwie kilkunastu duchownych i świeckich osób", wydana przez X. Michała Nowodworskiego, Warszawa 1905, tom XXVIII, s. 130) i przymusili ją do przyobleczenia się w ludzkie zniszczalne ciało i zamieszkania poniżej sfery gwiazd – właśnie na naszej Ziemi, gdzie dała początek rodzajowi ludzkiemu, który jako niedoskonały z samej swej natury podlega bezwzględnemu prawu śmierci.

Widząc co się stało z kochanką, Szymon jako najwyższa moc Boża, zstąpił rychło za nią na nasz glob, przyjąwszy u Żydów postać Syna, u Samarytan Ojca, a u pogan Ducha Świętego, aby uwolniwszy partnerkę z więzów materialnego ciała i konieczności umierania, na powrót zabrać ze sobą ponad niebieską powałę do swego królestwa. W tej powrotnej drodze mają im towarzyszyć niektórzy wybrani przez nich ludzie.

Wybrańcami zaś „boskich" Szymona i Heleny mogli być jedynie ci, którzy ze wszystkich sił starali się zburzyć ustalony od zarania dziejów ład i porządek. (por.: S.A. Wotowski, dz. cyt., s. 6)

A jak mieli to robić? Ano, jak się sądzi, przez dążenie do zrównania stanów, do absolutnej równości i sprawiedliwości społecznej. Dalej, winni oni całym swym życiem występować także przeciw tradycyjnemu porządkowi moralnemu. Największą z zasług zaś było hołdowanie lubieżności i niczym nieokiełznanej rozpuście. Czyli, używając współczesnego słownictwa, winni oni uprawiać „wolną miłość".

Natomiast ci z ludzi, którzy trzymali by się dawnych nakazanych *DEKALOGIEM* praw moralnych, mieli – wespół ze strąconymi na Ziemię Aniołami – pozostawać w niezmienionym stanie istot podległych cierpieniom i konieczności umierania.

Teraz przejdźmy wreszcie do opowiedzenia o ponadnaturalnych zdolnościach i umiejętnościach Samarytanina.

Otóż Szymon Mag lubił popisywać się owymi paranormalnymi umiejętnościami. O tychże zdolnościach zaś opowiadano niezwykłe historie.

Oczywiście potrafił przepowiadać przyszłość, jak również posiadał dar jasnowidzenia.

Inną ze zdolności, jakie Szymon rzekomo posiadał, a która miała dowodzić jego ponadnaturalnych mocy, była umiejętność lewitacji, czyli unoszenia się w powietrzu, wbrew – czy może na przekór – prawu przyciągania.

Wreszcie jego ciało okazywało się odporne na działanie ognia, a oprócz tego potrafił – jak twierdził on sam i jego zwolennicy – uzdrawiać ludzi ze śmiertelnych chorób.

Jeśli w tym miejscu budzą się w Czytelniku jakże uzasadnione wątpliwości, co do prawdopodobieństwa tego, o czym napisałem wyżej, to – z całą odpowiedzialnością za słowo – mogę zapewnić, że przynajmniej dwie z wymienionych umiejętności Samarytanina mógł on rzeczywiście posiąść. Nie tylko znane są inne przypadki lewitacji, jak również chodzenia po ogniu, ale i zarejestrowane przez fotokomórkę. Nie ma zatem powodu niedowierzać, że umiał robić to również i Szymon.

Bez wątpienia jego życie było nadzwyczaj barwne i ciekawe, niestety, zachowały się o nim wiadomości tak nikłe, że na ich podstawie nadzwyczaj trudno można by powiedzieć coś więcej na temat osoby maga. Nie będę się więc bawił w spekulacje.

Teraz natomiast wspomnę, jak wyglądał jego własny koniec, opowiedziany przez chrześcijańskiego dziejopisa.

Rzecz działa się Rzymie, na dworze cesarza Nerona, gdzie po raz ostatni spotkali się ze sobą św. Piotr Apostoł i Szymon Czarnoksiężnik.

Przed obliczem władcy i licznych dworzan Piotr – jak głosi chrześcijańska legenda – miał bronić prawdziwości swojej wiary, zaś Szymon dowodzić swych nadnaturalnych umiejętności, na poparcie głoszonych przez siebie nauk religijnych

Jako koronnego argumentu przemawiającego na jego korzyść miał Szymon przedstawić swą zdolność do lewitacji.

I rzeczywiście tak uczynił. Oto stojąc przed cesarzem i wieloma innymi świadkami – olbrzymim tłumem żądnym sensacji – Samarytanin wzniósł się w powietrze.

Na ten widok św. Piotr nakłoniony prośbami św. Pawła jął zaklinać demony aby opuściły ciało Czarnoksiężnika, a gdy tak się rzeczywiście stało, Szymon z wysokości runął na kamienie i pogruchotał nogi, a wkrótce potem zmarł na rękach lekarzy. (wg.: *Słownik apologetyczny wiary chrześcijańskiej*, w opr. X.W. Szcześniaka, Warszawa 1896, t. III, s. 194)

Tak oto odszedł z tego padołu mąż, który uzurpował sobie MOC BOSKĄ, i który w czasie kiedy żył, dla wielu uchodził za BOGA.

Umarł Szymon Czarnoksiężnik, umarł „ojciec wszelkiej herezji", lecz pozostawił licznych uczniów i naśladowców...

Apolloniusz z Tyany

Inną z niezwykłych, intrygujących postaci antycznego świata jest postać pewnego Greka – Apolloniusza z Tyany w Kappadocji. Podobnie jak poprzedni nasz bohater, żył on na ziemiach cesarstwa rzymskiego, na przełomie starej i nowej ery, był więc współczesny Jezusowi. Data jego narodzin nie jest znana, podobnie zresztą jak data jego śmierci. Jedni utrzymują, że żył on osiemdziesiąt, inni że aż sto siedemnaście lat. Trudno także powiedzieć, w którym z miast starożytnego świata zakończył swoją ziemską wędrówkę. Sądzi się wszakże – dość powszechnie – że miało to miejsce w Efezie w Azji Mniejszej, bądź też w Puteoli, gdzie niegdyś nagle i niespodziewanie objawił się dwom swoim uczniom Damisowi i Demetrianowi, mimo iż w rzeczywistości miał on się znajdować wówczas gdzie indziej (a zatem byłby to przykład bilokacji).

Apolloniusz był autorem prawie nie znanej nam doktryny religijnej, którą przez jej wykładanie wszystkim ludziom – bogatym i nędzarzom – chciał wprowadzić w życie tak, aby doprowadzić do zmiany zastanych przezeń struktur porządku społecznego. „Przekształcenie" ludzi miało – zgodnie z intencjami tego reformatora religijnego i filozofa (ale także wybitnego maga) – pójść w takim kierunku, by każdy mógł zaznać szczęścia o tyle, o ile możliwe to jest w naszej materialnej rzeczywistości.

A możliwości i umiejętności posiadał sporo. I to nie byle jakich!

Były one tak niezwykłe i tak niesamowite, że już żyjący współcześnie temu człowiekowi uznali, iż jest on istotą ponadnormalną i u b ó s t w i l i Apolloniusza.

Najczęściej – i chyba najchętniej – prezentował on niesamowitą zdolność bilokacji (inaczej: duolokacji), czyli używając prostego, zrozumiałego dla wszystkich języka, potrafił on w sposób widzialny (co nie koniecznie oznaczać musi, że również i w materialny) przebywać w dwóch – nieraz znacznie od siebie oddalonych – miejscach jednocześnie (o czym wspomniałem już wcześniej).

Jak wielu tamtoczesnych mędrców, również i Apolloniusz uprawiał sztukę lekarską. Tyle, iż posiadał rozwiniętą do perfekcji, a ponadto również – co chyba będzie normalne i naturalne w przypadku cudotwórcy – uzdrawiał wszelkie rodzaje chorób i dolegliwości przy użyciu swych niezwykłych mocy.

Bezkrytyczni apologeci mędrca twierdzili nawet, że potrafił także przywracać życie umarłym i na temat jego zdolności opowiadano wiele, posługując się mniej czy bardziej prawdopodobnymi przykładami.

Tak czy inaczej jednak, już sama zdolność bilokacji, uzdrawiania przez dotyk, jasnowidzenia, czy czytania w sercach i sumieniach ludzkich przysporzyły mu tak wielkiej sławy, że pamięć o owym filozofie przetrwała przez dwa tysiące lat, aż do dnia dzisiejszego.

Ponieważ w literaturze, przy opisach postaci owego niezwykłego człowieka zawsze jako szczególny przykład nadnaturalnych mocy, przytacza się relację o jego jasnowidzeniu śmierci cesarza Domicjana, i to dokładnie w tej samej chwili, gdy imperator był mordowany, muszę o tym przypadku wspomnieć. Dla ciekawych: Apolloniusz przeżywał śmierć Domicjana, i opowiadał o niej przerwawszy – niezwykle przy tym poruszony – wykład, jaki prowadził podówczas w Efezie, podczas gdy cesarza zabijano w... Rzymie.

Mało tego, Apolloniusz opowiadał o owym krwawym wydarzeniu, jakby stojąc pośród Efezjan, jednocześnie stał i patrzył na to, co odbywało się tysiące kilometrów na zachodzie.

I to w zasadzie byłoby wszystko, co mógłbym ciekawego powiedzieć na temat owego niezwykłego człowieka.

„– Niewiele!" – zawoła Czytelnik. Cóż, chyba będzie miał rację. W końcu jasnowidzenie, czytanie w myślach, leczenie dotykiem tak nam już spowszedniało – przez wielość literatury traktującej o tych zjawiskach – że nie robią na nas większego wrażenia. Zastanówmy się

jednak nad prawdziwym sensem, nad prawdziwym znaczeniem tych słów i po namyśle zapytajmy siebie samych: Czy to aby na pewno nic wielkiego?

Nie za darmo stawiano przecież Apolloniuszowi już za jego życia posągi w pogańskich świątyniach. I chyba tamtocześni chrześcijanie nie bez powodu uznali owego człowieka za sługę i za narzędzie szatana...

Apolloniusz z Tyany był bez wątpienia człowiekiem nietuzinkowym, w sposób jaskrawy odróżniającym się od tła otoczenia – od ludzi na ogół zepsutych, rozpustników, żarłoków i opojów. I pamiętajmy, że wówczas tłumy żądały i oczekiwały jednego: „Igrzysk i chleba" (jak zawsze zresztą, ale to już mój cyniczny komentarz, za który – jeśli kogoś z czytających te słowa uraziłem – proszę o wybaczenie.)

Tymczasem filozof, który w rozlicznych i długich podróżach, jakie odbywał po ziemiach cesarstwa w poszukiwaniu mądrości, po poznaniu wszystkich ważniejszych szkół filozoficznych, gdy w końcu przystał do neopitagorejczyków, stał się wiodącym surowe życie ascetą, a przez to samo tak bardzo odróżniał się od reszty społeczeństwa. (wg.: „Encyklopedia kościelna podług teologicznej encyklopedii Wetzera i Weltego", wydana przez X.M. Nowodworskiego, Warszawa 1873, t. I, s. 338)

I to zresztą zapewniało mu szacunek oraz podziw i to sprawiało, że dzięki temu znalazł licznych uczniów i naśladowców.

Można domniemywać, iż jego ponadnaturalne zdolności były w y u c z o n e podczas długich podróży do jakichś odległych krain. Czy wolno przypuszczać, że był to Daleki Wschód? Być może, ale pewności nie ma i być nie może.

Po powrocie z odległych krain odwiedza Azję Mniejszą, potem Kretę, gdzie zjednuje sobie stróżów publicznego kultu. W końcu wyrusza do Rzymu. Jednak w mieście cesarskim naraża się imperatorowi Neronowi i musi ratować się ucieczką, później jednak udaje mu się oczyścić z zarzutów i znów jest bezpieczny.

W jego wędrówkach sława niezwykłości rośnie do tego stopnia, że nie tylko lud prosty, ale również możni tego świata poczynają uznawać go za boga.

W końcu za boga uznali go też i władcy Rzymu. Cesarz Karakalla wybudował Apolloniuszowi z Tyany świątynię, a cesarz Aleksander Sewer stawiał mu posągi.

Tak naprawdę na temat nauki Apolloniusza z Tyany do naszych czasów – poza tym o czym wspomniałem wcześniej – nic więcej nie dotrwało.

I – rzecz szczególna – mimo, iż przez współczesnych został ubóstwiony, to owi współcześni nie zadbali, by prócz opisów niezwykłych mocy tego dziwnego człowieka, zostawić nam rzetelnie i krytycznie spisany jego życiorys.

Ale tak już bywa.

Michał Nostradamus

Michał Nostradamus... Sam dźwięk tego nazwiska budzi w nas dreszcz emocji. Dlaczego? Cóż, powodów można wymienić co najmniej dwa: wielką sławę jaką się cieszył już za życia (i cieszy się nią nadal aż po dzień dzisiejszy) ów tajemniczy, nie do końca poznany człowiek, oraz – co również nie pozostaje bez znaczenia – dużą liczbę publikacji dotyczących zarówno samej postaci lekarza i astrologa, jak również i jego przepowiedni. Ale może zacznijmy od początku.

Michał Nostradamus urodził się w Prowansji, w miasteczku St. Remy, dnia 14 grudnia 1503 roku i tego samego dnia został ochrzczony w miejscowym kościele parafialnym.

W rodzinie Nostre–Dame było to wydarzenie nader ważkie. Raz dlatego, że narodził się nowy człowiek, kontynuator rodu, a dwa, że chrzest dla Żydów (a Nostre–Dame byli Żydami) nie jest czymś zwyczajnym. Co prawda wcześniej, aby uchronić się przed prześladowaniami, wszyscy dorośli członkowie familii przeszli z judaizmu na chrześcijaństwo, niemniej obrzędy nowej wiary wciąż robiły na nich wielkie wrażenie.

W szczerość nawrócenia dorosłych członów rodu możnaby (choć niekoniecznie) powątpiewać, lecz jedno przyznać im należy – małego Michała wychowano na katolika.

Rodzina Michała – tak ze strony ojca, jak i ze strony matki – zaliczała się do znaczących i zamożnych. Dziadek po mieczu, Piotr, był lekarzem na dworze władcy Prowansji, zaś jego syn, a ojciec Michała, piastował urząd notariusza w St. Remy. Natomiast dziadek po kądzieli, Jan de Saint–Remy, również Żyd, był nie tylko lekarzem, lecz i astrologiem. Matka naszego bohatera, Rainiera, jak wszystkie kobiety owych czasów zajmowała się po prostu domem.

Fakt, że obydwaj dziadkowie Michała parali się medycyną, nie pozostał bez znaczenia w jego późniejszym życiu. Malec początkowo wychowywany był w domu dziadka Piotra, który uczył go głównie medycyny i farmacji, zaś po jego śmierci zajął się Michałem dziadek Jan, który nie tylko kontynuował to, co rozpoczął poprzednik, ale wykłady i zajęcia poszerzył o astronomię i astrologię.

Skoro Michał osiągnął stosowny wiek po temu, opuściwszy dom rodzinny, opuściwszy dziadka, rozpoczął naukę na wszechnicy w papieskim mieście Awinionie, gdzie – pewnie za namową ojca, który chyba pragnął, by syn poszedł w jego ślady – poznawał tajniki prawa.

Lecz, pomny nauk udzielanych mu przez obydwu dziadków, przez cały czas chciał studiować medycynę i nauki przyrodnicze. Dlatego też porzucił Awinion i przeniósł się na uniwersytet w Montpellier.

Po trzech latach wytężonej nauki, Nostradamus zdaje – z wynikiem celującym – przed czcigodnym gronem profesorskim egzamin i uzyskuje stopień bakałarza.

Nie dane jednak mu było łatwe i proste dokończenie tak chlubnie rozpoczętych studiów. Oto bowiem w południowych prowincjach Królestwa Francji rozszalała się zaraza, która zbierała straszliwe żniwo, kosząc setki, tysiące ludzkich żywotów.

Nostradamus – jak na przyszłego doktora i dobrego chrześcijanina przystało – nie bacząc na własne bezpieczeństwo, wespół z dyplomowanymi już doktorami medycyny, jak mógł, tak pomagał chorym.

Jego zmaganie z morowym powietrzem trwało aż cztery lata i dopiero po upływie tego, jakże długiego okresu, zaraza wygasła.

Podczas epidemii Nostradamus nie tylko, że sam nie zachorował, ale dzięki tajemniczemu leczniczemu proszkowi własnego wynalazku uratował wiele ludzkich istnień. Oczywiście pomogło mu to zdobyć sławę i uznanie znakomitego medyka.

Po wygaśnięciu zarazy powraca do Montpellier i na tamtejszym uniwersytecie bez trudu obroniwszy pracę dyplomową, uzyskuje tytuł doktorski. Mało tego, starzy profesorowie zachwyceni wiedzą młodego doktora, z miejsca proponują mu objęcie stanowiska wykładowcy na macierzystym uniwersytecie.

A on początkowo na to przystaje, jednak rychło – zrażony przestarzałymi metodami dydaktycznymi, do przestrzegania których był zobowiązany – porzuca pracę wykładowcy i rozpoczyna praktykę wędrownego lekarza.

Trwa to aż do roku 1533, kiedy postanawia się ustatkować i osiadłszy w Agen poślubia zamożną szlachciankę. W ciągu trzech lat ich nad wyraz szczęśliwego pożycia przychodzi na świat dwóch synów. Dzięki posagowi żony i swojej bogatej i nieźle płatnej praktyce, urządza wygodny i dostatni dom.

Cóż, niestety, nie ma nic stałego pod słońcem. Oto szczęście Nostradamusa pryska niczym bańka mydlana. Nagła, zupełnie niespodziewana śmierć żony i synków zostawia go samego na świecie. Wygląda na to, jakby Kostucha brała odwet na lekarzu za to, że wyrwał z jej szponów tyle istnień ludzkich.

Nostradamus załamany, ogłuszony niespodziewanym ciosem, a dodatkowo atakowany przez rodzinę żony, która za wszelką cenę pragnęła wyzuć go z majątku, po bezskutecznych próbach ułożenia sobie życia od nowa w domu, który ustawicznie przypominał mu o zmarłych bliskich, ostatecznie decyduje się porzucić Agen i znów rusza w świat. By leczyć i by jeszcze bardziej wydoskonalać swą wiedzę.

Tym razem nie ogranicza się do wędrówek po Francji, ale także przemierza wzdłuż i wszerz Italię. Podróże trwają przez kilka lat. W tym okresie Nostradamus bez wątpienia bardzo wiele się nauczył, a co więcej, właśnie wtedy począł wygłaszać swe pierwsze przepowiednie i proroctwa, które ze względu na fakt, iż bezbłędnie się sprawdzały, jęły zwracać nań uwagę tak możnych tego świata, jak też i prostaczków.

Rok 1544 przynosi ze sobą nową plagę morowego powietrza. Nostradamus porzuca zatem samotnicze życie i czym prędzej śpieszy do Marsylii, aby wyrywać chorych z chłodnych objęć śmierci. Jego działalność uzdrowicielska, a przede wszystkim chyba jego tajemniczy cudowny proszek, ratuje wiele osób.

Sukcesy Nostradamusa drażnią innych medyków, zazdrosnych o sławę i powodzenie. Oskarżają go uprawianie magii, co sprawia, że nasz doktor porzuca Marsylię i przenosi się najpierw do Aix, a potem do Salon.

W tej ostatniej miejscowości, doczekawszy kresu zarazy i pewnie otrząsnąwszy się ze smutku i bólu, jaki go ogarnął po stracie żony i dwójki synów, ponownie wstępuje – w 1548 roku – w związek małżeński, który zaowocował aż siódemką potomstwa.

Właśnie w Salon Nostradamus stopniowo zarzuca praktykę lekarską i całkowicie poświęca się astrologii i praktykom okultystycznym, które – co bardzo dziwne – jakoś bezkonfliktowo godzi z żarliwością chrześcijańską.

Tak jak swego czasu był sławny jako lekarz, tak teraz jest sławny jako astrolog i wróż. Cieszy się poważaniem możnych tego świata, w tym i koronowanych głów. Osobiście interesuje się nim sama Katarzyna Medycejska.

Swoje słynne przepowiednie układane w formie rymowanych czterowierszy, których sto składało się na jedną centurię, zebrał w dziesięć ksiąg, z których siedem wydał drukiem w roku 1555, zaś ostatnie trzy w roku 1558.

Mimo trudnego, hermetycznego języka, języka nie łatwego do przeniknięcia i zrozumienia, po dziś dzień odcyfrowano liczne przepowiednie doktora z Salon. Najciekawsze jest to, że bezbłędnie przepowiedział także i własną śmierć. A oto jak brzmi rzeczona zapowiedź:

„W dom wróciwszy, dar królewski złożę –
Skończone dzieło – do ciebie idę Boże,
Zejdą się druhy, bracia domu mego:
Na ławie przy mym łożu znajdą mnie martwego.”

(cyt. za: Kazimierz Chodkiewicz, *Michał Nostradamus. Jego życie, dzieła i przepowiednie.* Lwów–Wisła 1939, s. 5)

Ów dar królewski, o którym mowa to 300 złotych talarów, jakie astrolog otrzymał od Katarzyny Medici i jej syna, jako nagrodę za usługę. Również i pozostała część przepowiedni spełniła się co do joty! Śmierć, z którą tak zawzięcie walczył przez całe swe dorosłe życie, dosięgła go 2 lipca 1566 roku.

***

Na czym polega niezwykłość postaci Nostradamusa? Właśnie na jego przedziwnym, niesamowitym wprost darze wieszczym, który polegał nie tylko na umiejętności dokonywania obliczeń astrologicznych, chociaż bez wątpienia obserwowanie nocnego nieba nie pozostawało bez wpływu na kształt przepowiedni, ale przede wszystkim na poddawaniu się, czy może raczej wprowadzaniu w trans autohipnotyczny – przez wpatrywanie się w ogień płonący na trójnogu – podczas którego wieszcz „oglądał" obrazy zdarzeń mających nadejść w bliższej, dalszej, czy nawet nader odległej przeszłości.

Przepowiednie Nostradamusa obejmują olbrzymi okres 2245 lat, od roku 1552 do roku 3797. Chociaż uczciwie przyznać należy, że nie wszyscy interpretatorzy centurii doktora z Salon są co do tego zgodni. Niektórzy uważają, że przepowiednie – centurie nie sięgają dalej, jak tylko do roku 2050.

Chociaż – jak widzimy istnieją tak poważne trudności interpretacyjne, nader liczne proroctwa rzekomo udało się odczytać bezbłędnie.

Dlaczego – może zapytać Czytelnik – tak trudno dotrzeć do ich jądra? Chyba dlatego, iż Nostradamus celowo je szyfrował, posługując się i anagramami i przedziwną mieszaniną słów starofrancuskich, łacińskich, greckich i hebrajskich.

Chociaż nie zawsze i nie w każdym przypadku. Niekiedy bowiem nazywał rzeczy, ludzi czy zdarzenia wprost, bez zawoalowanej formy.

Talent wieszczy genialnego lekarza ujawnił się stosunkowo późno i to w dość dziwnych i nieoczekiwanych okolicznościach.

Oto bowiem, kiedy po śmierci pierwszej żony wędrował po Francji i Italii, któregoś dnia, na polnej, pokrytej kurzem drodze, gdy jadąc konno mijał grupkę dziarsko maszerujących mnichów, nieoczekiwanie, ściągnąwszy cugle, zeskoczył na ziemię i uklęknąwszy przed jednym z nich – Feliksem Peretti – ze czcią ucałował kraj jego habitu. Zapytany o powód tak nieoczekiwanego zachowania odparł z prostotą, że wewnętrzna siła zmusiła go do okazania szacunku papieżowi. I rzeczywiście, po latach mnich ów został głową Kościoła katolickiego przybrawszy imię Sykstusa V.

Niezwykłość przepowiedni Nostradamusa świadcząca, iż człowiek ów przepełniony był jakowymiś nadludzkimi mocami, polega na tym, że ze zdumiewającą jasnością i wyjątkową trafnością potrafił w nich informować o zdarzeniach nie tylko tych najbliższych, lecz również i mających nadejść w wiele stuleci po zgonie wieszcza.

Sądzę, iż teraz należy podać kilka przykładów przepowiedni, które rzekomo już się sprawdziły.

I tak. Przewidział zabicie króla Henryka II przez hrabiego Montgomery podczas walki turniejowej. Ba! W czterowierszu podane jest nawet jaka to będzie śmierć i jaką bronią zadana!

Dalej, dokładnie opisał przebieg i wydarzenia Rewolucji Francuskiej, z takimi nawet detalami jak ten, że uciekającego z Paryża króla Ludwika XVI zatrzyma człowiek o nazwisku Saulce!!!

O Katarzynie II, carycy rosyjskiej, Nostradamus pisze tak:

„Długi czas będzie rządziła kobieta – zwierz.
Gorsza nie mogła objąć władzy."

(cyt. za: Leszek Szuman, *Przepowiednie i proroctwa*, Poznań 1991, s. 46)

A tak o Napoleonie Bonaparte:

„W pobliżu Italii urodzi się cesarz.
Będzie on kraj drogo kosztował (...)
Z pospolitego żołnierza dojdzie do władzy cesarza.
Od kusego munduru do długiej szaty.
Pod bronią jest dzielny.
Wyciśnie kapłanów jak gąbkę.
Ogień w Kościele."

(cyt. za: Leszek Szuman, *Przepowiednie i proroctwa*, Poznań 1991, s. 46)

Oczywiście w centuriach jest również mowa o klęsce Napoleona pod Moskwą.

Nostradamus przepowiedział nie tylko wielkie wydarzenia polityczne, lecz informował też o mających pojawić się odkryciach i wynalazkach.

Zapowiedział wynalezienie balonu i określił, kto tego dokona: „dwóch z góry Golfier" (po francusku góra Golfier, to Montgolfier, a wynalazców było rzeczywiście dwóch – braci).

Przewidział wynalezienie samolotu, łodzi podwodnej, dalekosiężnych dział, broni a t o m o w e j („atomique") i broni, których jeszcze – przy aktualnym stanie wiedzy – nie możemy rozpoznać. Opisał dokładnie przebieg I i II wojny światowej.

To wszystko już się wypełniło. A co nas jeszcze, według Nostradamusa, czeka?

Otóż, według współczesnych interpretatorów, mniej więcej na czasy, w których żyjemy, Nostradamus przepowiada wybuch kolejnej wojny światowej, niosącej ze sobą zagładę tak wielką, jak jeszcze żadna z dotychczasowych wojen i rewolucji.

Nostradamus zapowiada też pojawienie się nowej – wcześniej nie znanej – straszliwej choroby.

Współcześni badacze przepowiedni doktora z Salon są przekonani, że pewnych zwiastunów nieszczęść należało już oczekiwać w 1993 roku, chociaż wszystkie owe apokaliptyczne sceny w rzeczywistości mają się rozegrać później, w latach przyszłych. W tym miejscu chciałbym zauważyć, że rok 1993 minął spokojnie, niczym szczególnym się nie wyróżniając, więc – jak można sądzić – owa groźna przepowiednia (przynajmniej na razie) nie szansy by się sprawdzić.

Potworności – według Nostradamusa przepowiadanie były także na lipiec 1999 roku. Lipiec minął spokojnie, jak cały rok 1999 zresztą. Z czego można wyciągnąć wniosek, że albo Nostradamus takim genialnym wróżem nie był, albo interpretatorzy okazują się kiepscy.

I to byłoby wszystko, co miałem do powiedzenia o Nostradamusie. Jego przepowiednie – mimo ich częstego, nawet i podwójnego zaszyfrowania – po odczytaniu budzą odruch niedowierzania ze względu na swą wyjątkową trafność.

Zdolnościami prekognicyjnymi jak dotąd nikt nie dorównał Nostradamusowi, chociaż tych, którzy w wizjach oglądali przyszłość ludzkości i naszej planety, było nader wielu.

Emmanuel Swedenborg

W poprzednim rozdziale opowiedziałem o człowieku, który w swych tajemniczych wizjach oglądał – zda się bezbłędnie i nadzwyczaj dokładnie – przyszłość świata i przyszłość człowieka. Teraz chcę opowiedzieć o kimś równie niezwykłym, o kimś, kto posiadał niesamowite wręcz zdolności do jasnowidzenia. Ale o nich będzie niżej, teraz zaś krótkie wprowadzenie.

Emmanuel Swedenborg urodził się w Sztokholmie dnia 29 stycznia 1688 roku w rodzinie Jaspera Swedberga (zmiana nazwiska rodowego na Swedenborg nastąpiła dopiero w wiele lat później, w wyniku nadania rodzinie godności szlacheckiej). Jasper Swedenborg był duchownym luterańskim, który dostąpił najwyższej godności w Kościele – mianowicie został biskupem.

Do roku 1693 Swedenborgowie mieszkali w stolicy, później rodzina przenosi się do Uppsali. W tym mieście właśnie młody Emmanuel nie tylko zdobył wiedzę książkową, ale i bolesne doświadczenia życiowe, tam bowiem zmarli jego matka i brat.

Po ukończeniu studiów (w Szwecji i Anglii) zajął się pracą naukową. Szczególnie interesowały go (i miał poważne osiągnięcia w owych dziedzinach), matematyka, fizyka, astronomia i mechanika. Dokonania na polu naukowym zaś miał tak znaczące, iż w uznaniu zasług został przyjęty w poczet członków Akademii Nauk w Uppsali.

Po latach jednak Swedenborg przestał się interesować tym, czym interesował się dotychczas, a całkowicie poświęcił się studiowaniu (i przeżywaniu!) zagadnień religijnych.

Jeżeli Czytelnik mniema, że stało się to z tej przyczyny, że zainteresowania religijne wyniósł z rodzinnego domu, to jest w błędzie.

Emmanuel Swedenborg bowiem – zgodnie z jego własnymi twierdzeniami – został wybrany przez Boga do głoszenia światu prawd wiary chrześcijańskiej, które w czasie stuleci jakie minęły od śmierci i zmartwychwstania Pana Jezusa, rzekomo zostały zapomniane.

Rzekome powołanie go przez Stwórcę do tej tak ważnej misji nastąpiło w roku 1743, w wyniku objawienia, kiedy to Najwyższy przemówił wprost do niego. I od owego 1743 roku jeszcze wiele, wiele razy doświadczał on objawień, zwiedzał niebo i piekło, prowadził rozmowy z aniołami, demonami, duszami ludzi zmarłych.

W wyniku tych przeżyć opublikował kilka znaczących dzieł religijno – mistycznych., równocześnie zawierających skonstruowaną przez Swedenborga nową doktrynę religijną. Do dzieł najbardziej liczących się należy zaliczyć *De coelo et eius mirabilibus et de Inferno &...* (1758) i *Arcana coelestia* (1749 – 1756).

Nie miejsce tutaj na zajmowanie się doktryną Swedenborga. Kto jej ciekaw, może sięgnąć do jakże bogatej literatury z zakresu historii Kościoła, czy nawet tekstów źródłowych (kilka lat temu ukazało się polskie tłumaczenie dzieła *O niebie i piekle*). Nas będą interesować nadludzkie moce owego człowieka, objawiające się poprzez wręcz niesamowite zdolności do jasnowidzenia i (chyba?) telepatii.

I nie jest to żaden wymysł, ani żadna bajka, ponieważ posiadanie przezeń tej rzadkiej zdolności potwierdzają liczni wiarygodni świadkowie – od głów koronowanych poczynając, a na filozofach kończąc.

Myślę, że najlepiej będzie, jeśli – zamiast o tym opowiadać – po prostu zacytuję wyjątki z literatury dotyczącej postaci szwedzkiego uczonego i mistyka:

„Pewnego dania Swedenborg był na przyjęciu dworskim. Królewna (winno być królowa – chodzi o Luizę Ulrykę Szwedzką – przyp. A.S.) zapytała go o różne szczegóły dotyczące życia przyszłego, zaś w końcu rzuciła pytanie, czy Swedenborg widział lub rozmawiał z jej zmarłym bratem, następcą tronu pruskiego. Swedenborg odpowiedział, że nie. Wobec tego królowa prosiła, aby Swedenborg zapytał o niego i aby mu wyraził jej pozdrowienia. Swedenborg przyrzekł to uczynić. Można wątpić, czy królowa brała tę sprawę na serio. Na

następnym przyjęciu dworkiem Swedenborg był znowu obecny; kiedy królowa była w tak zwanym „białym pokoju" w otoczeniu dam dworskich, Swedenborg udał się tam bez wahania, zbliżył się do królowej, która nie pamiętała o danym mu poleceniu, i nie tylko wyraził jej pozdrowienie od brata, lecz przedłożył jego prośbę o przebaczenie, iż nie odpowiedział na jej ostatni list; czyni to obecnie przez Swedenborga. Królowa była ogromnie przejęta i rzekła: „Nikt prócz Boga nie zna tej tajemnicy". Powodem tego, dla którego nigdy przedtem nie wspomniała ona o tym, był fakt, że nie chciała, aby ktokolwiek w Szwecji wiedział, iż podczas wojny z Prusami prowadziła ona korespondencję z krajem nieprzyjacielskim."

Powyższa relacja pochodzi od hrabiego Hoepkena, ale jeszcze ciekawszą znaleźć można w liście Immanuela Kanta do Karoliny von Knobloch, datowanym w Królewcu dnia 10 sierpnia 1768 roku. A oto, co pisze Kant:

„Następujące wydarzenie zdaje mi się być najbardziej ważnym dowodem i utwierdzeniem nadzwyczajnego daru Swedenborga. W roku 1759, pod koniec września (Kant się myli, wydarzenie owo miało miejsce dokładnie 19 lipca – przyp. A.S.), w sobotę o godzinie czwartej po południu Swedenborg przybył z Anglii do Gothenburga, gdzie został zaproszony wraz z innymi piętnastoma osobami do domu niejakiego Wiliama Castela. Około godziny szóstej Swedenborg wyszedł, lecz po chwili wrócił do towarzystwa blady i widocznie zaniepokojony. Oświadczył on, że niebezpieczny pożar wybuchł właśnie w Sztokholmie (oddalonym od Gothenburga około trzysta mil angielskich), w dzielnicy Soedermalam i że rozszerza się bardzo gwałtownie. Okazywał on wielkie zaniepokojenie i po chwili znów wyszedł. Wróciwszy oznajmił, że dom jednego z jego przyjaciół, którego nazwisko wymienił, został obrócony w perzynę i że jego własny dom jest w niebezpieczeństwie. O godzinie ósmej, powróciwszy do towarzystwa po ponownym oddaleniu się na chwilę, zawołał z radością: „Dzięki Bogu! Ogień zlokalizowano na trzy domy od mojego". Wiadomość ta wywołała wielkie poruszenie w całem mieście, zwłaszcza zaś wśród towarzystwa u Castela. Doniesiono o nim tego samego wieczora burmistrzowi, który wezwał do siebie Swedenborga i wypytywał go o szczegóły katastrofy. Swedenborg dał zupełnie dokładny opis pożaru, nazwał miejsce jego wybuchu, jego przebieg i czas trwania. Następnego dnia wieść rozeszła się po całym mieście, wywołując silne poruszenie, gdyż wielu niepokoiło się o los przyjaciół lub posiadłości. W poniedziałek wieczór przybył goniec do Gothenburga, wysłany przez Izbę Handlową w czasie pożaru. W listach, które przywiózł ze sobą, znaleziono opis pożaru zupełnie zgodny z opisem danym przez Swedenborga. We wtorek rano kurjer królewski przybył do burmistrza ze smutną wiadomością o pożarze, o wywołanych przezeń stratach, z wymienionymi domami spalonymi i zniszczonymi; przywiezione szczegóły nie różniły się niczym od podanych przez Swedenborga, nawet co do godziny ugaszenia pożaru."

Czyż nie jest to uderzające podobieństwo do niezwykłych mocy Apolloniusza z Tyany? Ale przejdźmy do trzeciej informacji, również zawartej w liście Kanta do Karoliny von Knobloch:

„Pani de Marteville, wdowa po ambasadorze holenderskim w Sztokholmie, wkrótce po śmierci męża spotkała się z żądaniem ze strony złotnika Croona zapłaty za srebrny serwis, który jej był zbyt akuratny w tych sprawach, aby mógł był przeoczyć tak znaczny rachunek, lecz nie mogła znaleźć dowodu. W tym strapieniu i z uwagi na poważną sumę zaprosiła Swedenborga do swojego domu. Przeprosiwszy go za trud oświadczyła, że jeśli to prawda, co ludzie mówią, iż posiada on niezwykły dar porozumiewania się z duszami zmarłych, może zechce łaskawie zapytać ducha jej męża, jak się ma rzecz z tym srebrnym serwisem. Swedenborg nie oburzył się zupełnie tym żądaniem. W trzy dni później pani de Merteville miała u siebie towarzystwo na kawie. Przybył także Swedenborg, który zupełnie spokojnie i rzeczowo oznajmił, że rozmawiał z jej mężem. Dług był wyrównany siedem miesięcy przed śmiercią, a potwierdzenie odbioru znajduje się w biurku w pokoju na piętrze. Pani domu

odpowiedziała, że biurko to zupełnie opróżniono i rzeczonego dokumentu wśród papierów nie odnaleziono. Swedenborg odparł na to, że zgodnie z otrzymanym od ducha jej męża opisem, należy wyjąć lewą szufladę, za którą ukaże się deszczułka, która po usunięciu wyjawi tajną skrytkę, zawierającą prywatną korespondencję holenderską i odnośny dokument. Usłyszawszy to pani domu udała się do górnego pokoju z całym towarzystwem; uczyniono, jak Swedenborg polecił; odnaleziono skrytkę, o której istnieniu nikt nie wiedział, a w niej, ku wielkiemu zdziwieniu wszystkich obecnych, dotyczące papiery i rzeczony dokument, zgodnie z danym przez Swedenborga opisem."

I wreszcie ostatni już przykład paranormalnych zdolności Swedenborga:

„Swedenborg znajdował się w pewnym towarzystwie w Sztokholmie, które po wysłuchaniu z wielką uwagą jego informacji o świecie duchowym, postanowiło wystawić na próbę wierzytelność jego zapewnień. Próba polegała na tym: Swedenborg winien oświadczyć, kto pierwszy w towarzystwie umrze.

Swedenborg nie odmówił odpowiedzi na tę kwestię i po pewnym czasie, w którym zdał się być pogrążony w głębokiej, milczącej zadumie, odparł zupełnie stanowczo: „Olaf Olofsohn umrze jutro rano o trzy kwadranse na piątą". Ta zapowiedź, wygłoszona z wielką pewnością zaniepokoiła zebranych tak, że jeden z przyjaciół Olofsohna postanowił udać się następnego poranka w oznaczonym czasie do domu Olofsohna. W drodze spotkał on znanego sługę Olofsohna, który oznajmił, że pan jego właśnie umarł, rażony apopleksją. Inny szczegół, który zwrócił następnie powszechną uwagę, przekonując niedowierzających o prawdzie zapewnień Swedenborga, polegał na tem, że zegar w mieszkaniu Olofsohna stanął w momencie jego śmierci, wskazując dokładnie czas przepowiedziany." (Wszystkie cytaty za: George Trobrige, *Emanuel Swedenborg . Jego życie, nauka i wpływ*, Londyn 1929, s. 127 – 132; por. także: Andrzej J. Sarwa, *Herezjarchowie i schizmatycy*, Poznań 1991, s. 160 – 170)

Mimo, iż Emanuel Swedenborg był człowiekiem niezwykłym i już za życia cieszył się sławą i uznaniem, jednak jego nauka nie znalazła szerszego oddźwięku w tamtoczesnych społeczeństwach.

Ostatnie lata swojego życia spędził w Anglii, gdzie częściej (i bez wątpienia chętniej) rozmawiał z duszami i aniołami, aniżeli z ludźmi.

Oczywiście znalazła się grupa zwolenników objawień szwedzkiego uczonego, która z radością podjęła się czegoś, czego jakoś sam ich duchowy mistrz nie potrafił, mianowicie zorganizowania nowego Kościoła, Kościoła zupełnie i absolutnie różnego od tych wyznań i sekt, jakie istniały w XVIII–wiecznym świecie.

Nowość nauki Swedenborga polegała przede wszystkim na tym, iż za podstawę, za kamień węgielny wiary uznał on nie tylko prawdy zawarte w Biblii, ale również, a właściwie przede wszystkim, przekazywane przez bóstwo każdemu z wierzących, w drodze specjalnych objawień. Nauka Swedenborga była chyba jednak zbyt hermetyczna i mało atrakcyjna, bowiem jego Kościół nigdy nie zaliczał się do znaczących, a dziś ledwie wegetuje.

Hrabia de Saint–Germain

Do dziś nie wiadomo kim był naprawdę i skąd w XVIII wieku przybył na zachód Europy ów nader tajemniczy człowiek, którego nazywano hrabią de Saint–Germain. Zagadki hrabiego nie rozwikłano ani przed dwoma stuleciami, ani teraz, chociaż spora liczba osób podejmowała się tego, a niektórzy przypuszczali nawet w swej pysze, że osiągnęli sukces. Niestety, tylko tak im się zdawało i owa, owiana mgiełką tajemnicy osoba, zapalająca nie jedną wyobraźnię, intrygowała ciągle i ciągle.

Oczywiście, jak to z każdą zagadką bywa, tak samo i ta ma zarówno swoich zwolenników, jak i przeciwników. A pośród ostatnich wielu twierdzących, że tak naprawdę, to hrabia... nigdy nie istniał!

Lecz nie ma tak dobrze! Hrabia istniał, czego dowodzą nader liczne świadectwa pochodzące sprzed dwustu lat, od osób poważnych i wiarygodnych.

O hrabim poczęło być głośno w latach sześćdziesiątych XVIII stulecia, kiedy to zjawił się w Paryżu. Gdzie mieszkał wcześniej – trudno dociec. Dzięki oświadczeniom wiarygodnych świadków wiadomo było tylko, iż przed półwieczem, a dokładniej w roku 1710 spotykano owego człowieka w Wenecji. Pewnie nie byłoby w tym nic szczególnego, gdyby nie oświadczano jednocześnie, że Saint–Germain (noszący wówczas inne nazwisko) od tamtej pory nie postarzał się ani odrobinę.

Nic dziwnego zatem, iż wieść o kimś tak niezwykłym rozeszła się śród wysoko urodzonych Francuzów lotem błyskawicy. Dotarła ona – co oczywiste – na dwór wersalski, gdzie wkrótce cudzoziemskiego hrabiego zaprosił sam Ludwik XV.

Początkowo – jak nietrudno się domyślić – Saint–Germaina nie traktowano nazbyt poważnie, uważając iż jest to jeden z wielu awanturników, w których obfitowała tamta epoka.

Jednak rychło się przekonano, że ów owiany mgiełką tajemnicy przybysz, bynajmniej nie zalicza się do tego gatunku ludzi i absolutnie nie ma zamiaru „upuszczać krwi" pękatym sakiewkom arystokratów. A nie musi tego czynić, ponieważ sam jest bogaty niczym Krezus.

A zatem posiadał pieniądze. Prócz nich zaś jeszcze urodę, doskonałe maniery, wyborny smak i – co na ogół nie chadza z poprzednimi w parze – również niezwykłą i głęboką wiedzę.

De Saint–Germain rozpowiadał w towarzystwie, iż posiadł tajemnicę wiecznego życia i wiecznej młodości, zdobywszy tylekroć opisywany w baśniach, czy przez marzycielskich poetów, cudowny eliksir nieśmiertelności.

Dowodził tego nie tylko fakt, iż hrabia się nie starzał, ale potwierdzały osoby, którym jakoby miał go użyczyć, a które podobno miały na sobie doświadczyć wspaniałych właściwości tajemniczego leku.

Hrabia wszystkim tym rewelacjom bynajmniej nie zaprzeczał – wręcz przeciwnie nawet, dużo i chętnie mówił na ich temat. Oto – ni mniej, ni więcej – tylko publicznie oświadczył, że żyje od czasów Noego. Mało tego, szczegółowo i z wielką swadą opowiadał jak wyglądało życie na sławnych dworach monarszych, od dworów starożytnych władców poczynając, a na dworze króla Ludwika XIV kończąc.

Oczywiście – co przecież zrozumiałe – przeważająca liczba jego opowieści była absolutnie niemożliwa do zweryfikowania, śród nich jednak trafiały się i takie (dotyczące czasów niezbyt odległych, które pamiętali starzy ludzie), jakie bez trudu można było sprawdzić, i które – o dziwo – z a w s z e znajdowały potwierdzenie.

Nie mniejsze zdumienie budziła prawdziwie głęboka mądrość i niesłychana erudycja de Saint–Germaina. Co godne podziwu – władał on ni mniej, ni więcej, tylko czternastoma językami, co jest liczbą imponującą, tym bardziej, iż posługiwał się każdym z nich nadzwyczaj biegle i swobodnie, jakby każdy ze znanych mu języków był językiem ojczystym.

Prócz tego hrabia był niezłym kompozytorem, malarzem, poetą i filozofem, znajdując uznanie i poklask tamtoczesnej śmietanki towarzyskiej.

Dalej. Hrabia doskonale znał – chyba bez wyjątku wszystkie! – zakątki świata i z jednakową swadą rozprawiał tak o Italii, czy Niemczech, jak i o Indiach, bądź Persji. Wynikało to z faktu, że odbywał liczne i częste podróże.

Do pełnego obrazu owej, jakże niezwykłej, ba! wręcz niesamowitej, postaci brakuje jeszcze opisu posiadanych przezeń zdolności i umiejętności paranormalnych. Ponieważ nie sposób wyliczyć tu wszystko, ograniczę się do tych najciekawszych i najefektowniejszych.

W absolutne zdumienie obserwujących to świadków wprawiała niesłychana umiejętność pisania przez hrabiego obydwoma rękami naraz.

Świadkowie również potwierdzali, iż hrabia posiadał niezwykły dar bilokacji (czyli innymi słowy: widzialnie mógł przebywać w dwóch miejscach na raz) oraz... całkowitej dematerializacji. Przejawiał też zdolności telepatyczne i bez trudu umiał je wykorzystywać w praktyce.

Nie można nie wspomnieć o fakcie posiadania przezeń zdolności jasnowidczych i prekognicyjnych, czyli widzenia na odległość i widzenia zdarzeń mających dopiero zaistnieć w przyszłości.

Chociaż może się to wydawać zupełnie niemożliwe, to jednak niepodważalnym faktem, iż w najdrobniejszych nawet szczegółach przepowiedział nadejście i przebieg Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Łącznie z opisami okresu terroru, walki z religią, i mordu na królu Ludwiku XVI oraz jego małżonce Marii Antoninie.

Wreszcie na koniec zachowałem najsmakowitszy kąsek. Otóż, jak to potwierdzili bez wątpienia godni zaufania świadkowie, a śród nich między innymi sam król Ludwik XV, markiz de Valbelle i słynny Casanova, hrabia de Saint–Germain był także wspaniałym alchemikiem, tym różniącym się od innych osób zajmujących się tą sztuką, że posiadł był tajemniczy kamień filozoficzny, przy pomocy którego mógł dokonywać transmutacji kruszców. Skąd owo stwierdzenie? Ponieważ umiał on, na oczach świadków, przemieniać podawane mu srebrne przedmioty w szczere złoto!

Jakby tego było mało, umiał coś jeszcze bardziej niesłychanego, mianowicie był w stanie usuwać skazy z kamieni szlachetnych.

Pojawienie się hrabiego de Saint–Germain na widowni europejskiej było dziwne i tajemnicze. Kiedy i skąd przybył – nikt nie wiedział. Po raz pierwszy ujrzano go w roku 1710 w Italii, w pięćdziesiąt lat później we Francji.

Tak jak z pojawieniem się, identycznie było też z jego zniknięciem. Oficjalnie podano, że zmarł w dniu 27 lutego 1784 roku w niemieckiej miejscowości Eckernfoerde. W rzeczywistości jednak sprawa jego śmierci nie jest oczywista.

Rozeszły się pogłoski, iż pogrzeb de Saint–Germaina tak naprawdę został zainscenizowany, a on sam żyje, tylko posługuje się innym nazwiskiem.

Pogłoska owa zyskała potwierdzenie, i to w dwojaki sposób. Oto bowiem księżna d'Adhemar oświadczyła, że przed „śmiercią" zapowiedział, iż będzie widywany w Europie jeszcze wiele razy. Drugim potwierdzeniem było to, iż wielokrotnie rzeczywiście go widywano. Miało to miejsce w roku: 1786, 1788, 1789, 1793, 1798, 1804, 1814, 1820 i 1821. A co najważniejsze: przez cały ten czas, od momentu jego pierwszego przybycia do stolicy Francji, wciąż wyglądał dokładnie tak samo, na około 40 lat. (por.: Piotr Listkiewicz, *Człowiek, który nie umierał*, [w:] „Nieznany Świat", nr 11/1992, s. 14–15 i nr 12/1992, s. 8–9)

Potem hrabia rzekomo był widywany w różnych miejscach Europy i Azji w latach: 1835, 1846, 1905, 1926, 1945 i 1951. (por.: Waldemar Łysiak, *Francuska ścieżka*, Kraków 1984, s. 62)

Z tego, co opowiedziano wcześniej, można – co chyba logiczne – wysunąć jeden tylko wniosek: hrabia na pewno nie kłamał, twierdząc, iż posiadł był eliksir długowieczności graniczącej z nieśmiertelnością (a może nawet nieśmiertelności?).

Cóż, jest to akurat sprzeczne z prawami biologicznymi, skazującymi bez odwołania każdy żywy organizm na unicestwienie.

Odrzucając wszakże nieśmiertelność de Saint–Germaina i tak pozostanie coś zdumiewającego, a nie mieszczącego się zupełnie w granicach zwykłych ludzkich możliwości. Mianowicie: niepodważalnie udokumentowana ciągła młodość i nienaturalna długowieczność hrabiego.

W latach czterdziestych XVIII wieku na dworze króla Ludwika XV uznano, że de Saint–Germain m u s i liczyć sobie (dokładnie w roku, kiedy to po raz pierwszy zjawił się w Wersalu) minimum sto lat. Ale nawet biorąc rok 1710 jako pierwszy rok jego życia (chociaż pokazał się wówczas w Wenecji jako dojrzały mężczyzna), to i tak do roku 1821 (gdy oglądano go – według świadectw ludzi pamiętających go z pobytu w Paryżu i Wersalu – po raz ostatni) minęło tych lat sto jedenaście. Lat podczas których hrabia z a w s z e i przez cały czas wyglądał jednakowo, na około czterdzieści lat. Tego, niestety, nie da się podważyć! Na to, niestety, byli wiarygodni świadkowie...

A zatem? Nie pozostaje mi nic innego, tylko pozostawienie Czytelnika sam na sam z problemem hrabiego de Saint–Germain.

To czy istotnie rozwinął on zagadkę wyjątkowej długowieczności i ciągłej młodości, zostawiam do oceny tych, którzy mają tę książkę w ręku.

Czemu? Cóż, chyba z tej przyczyny, iż ja sam nie mogę się zdecydować na zajęcie jasnego i określonego stanowiska.

Z jednej strony świadectwa poważnych i uczciwych świadków, a z drugiej... rozum się buntuje przed uznaniem czegoś, co stoi w sprzeczności z odwiecznymi i – zda się – nienaruszalnymi prawami natury, z tym, do zaakceptowania czego nasze umysły są przygotowane od chwili, kiedy tylko byliśmy w stanie pojąć czym jest starość i jej konsekwencja – śmierć.

No tak, może się ze mną nie zgodzić czytający te słowa, ale skoro – co bezsprzecznie zostało po wielokroć już udowodnione – niektóre inne prawa natury niekiedy – podkreślam: n i e k i e d y – nie obowiązują w sposób bezwzględny, to czy podobnie będzie również i z powszechnym prawem starzenia się ograniczającym długość życia do kilkudziesięciu lat zaledwie? Sądzę, że biologia i z tym problemem sobie poradzi, a mam tu na myśli zdumiewające odkrycia i dokonania w zakresie inżynierii genetycznej. Tylko... tylko czy rozwikłanie jednego problemu nie wywoła lawiny innych, nowych? I znów wszystko zacznie się od początku?

Jeszcze do niedawna marzenia alchemików o znalezieniu kamienia filozoficznego, przy pomocy którego mogliby oni dokonywać transmutacji nieszlachetnych kruszców w złoto uważano za bajkę i wymysł niezrównoważonych mózgów, dziś uczeni dowiedli, iż jest to możliwe, tyle że... nieopłacalne. A zatem? Zatem i długowieczność de Saint–Germaina może kiedyś znaleźć naturalne wytłumaczenie...

Ale tylko długowieczność i długa młodość, bo nieśmiertelnym nie był on na pewno.

Józef Balsamo – hrabia di Cagliostro

Drugim z najbardziej znanych awanturników XVIII–wiecznych był owiany mgiełką tajemnicy Józef Balsamo, przypisujący sobie arystokratyczny tytuł hrabiego di Cagliostro.

Czyż to nie dziwne (a może śmieszne i żałosne zarazem), że w czasach kiedy wmawiano narodom, iż jedynie słuszną dewizą jest: „Wolność, Równość, Braterstwo lub... Śmierć", ci którzy pragnęli rozbłysnąć na firmamencie ówczesnej „oświeconej" Europy, starali się dowodzić, iż należą do grona ludzi „szlachetnie urodzonych", do lepszej, do świetniejszej rasy. Balsamo nie chciał być nawet zwykłym szlachcicem, on m u s i a ł być hrabią!

Cóż, historia kocha się w paradoksach.

Przejdźmy jednak do rzeczy.

Co do pochodzenia Józefa Balsamo istnieje co najmniej kilka wersji.

Otóż on sam twierdził, że ani rodzice, ani miejsce, ani data urodzenia nie są mu znane.

Niektórzy dowodzą, że wywodził się z włoskiej, hiszpańskiej, bądź portugalskiej rodziny żydowskiej. Według natomiast ustaleń św. Inkwizycji (której nasz bohater z czasem stał się więźniem i ofiarą) wynikać miało co następuje:

8 czerwca 1743 roku w Palermo, w zacnej chrześcijańskiej rodzinie, z rodziców Piotra Balsamo i Felicji Braconieri narodził się chłopczyk, któremu na chrzcie nadano imię Józef.

Ponieważ od najwcześniejszych lat swego dzieciństwa cechował się on niebywałą inteligencją, doskonałą pamięcią, jak też absolutnie niezwykłym zamiłowaniem do nauki, zacni rodzice nieprzeciętnego malca postanowili, iż żal byłoby poświęcać go karierze kupieckiej, marnując w ten sposób niezliczone dary boskie, jakich Pan Bóg nie poskąpił Józefowi. Podjęli więc – najtrafniejszą, jak się im podówczas zdawało – decyzję. Oto, ni mniej, ni więcej, tylko swą latorośl oddali do miejscowego seminarium duchownego, aby tam zaczerpnął jak najwięcej jak najpożyteczniejszych nauk z obfitego źródła wiedzy i mądrości „Matki naszej Kościoła Katolickiego".

Rychło się jednak okazało, iż nie był to pomysł fortunny, a wybór trafny. Oto bowiem młody Balsamo i nie chciał i nie umiał podporządkować się rygorom panującym i obowiązującym w tej szacownej instytucji naukowej.

Ponieważ jednak mający nad nim pieczę duchowni uznali, że zalicza się on do osób ponadprzeciętnych i gdyby udało się go – okiełznawszy wpierw – przyoblec w duchowną sukienkę, Kościół Rzymski Katolicki mógłby zeń mieć nie lada pożytek.

Dlatego też nie usunięto go po prostu – na co za krnąbrność i niezliczone występki jak najbardziej zasługiwał – z Seminarium św. Rocha w Palermo, lecz odesłano go do znanego z surowych reguł klasztory w Cartagirone.

Miał on wówczas 13 lat i zdawało się postanowione, że zostanie księdzem.

Mimo nader młodego wieku odznaczał się niebywałą wprost wiedzą w zakresie teologii, historii, geografii, a przede wszystkim nauk medycznych (w tym zielarstwa) i chemii.

Niestety, młody Józef wytrzymał w klasztornych murach zaledwie cztery lata i gdy po kolejnym popełnionym łajdactwie usiłowano go przykładnie i srodze ukarać, po prostu dał drapaka i od tamtej pory nigdy już nie wrócił do zgłębiania Świętej Teologii.

Za to rychło dał się poznać jako... Trudno mi znaleźć odpowiednie słowo... Trudno mi zdecydowanie i jednoznacznie określić owego człowieka

Tak, był szarlatanem. Ba! Oszustem i złodziejem nawet, to pewne, ale posiadał również zdolności i umiejętności, które wyniosły go wysoko, bardzo wysoko, ponad szary tłum przeciętnych zjadaczy chleba. Lecz może o tym napiszę troszkę później.

***

Po ucieczce z klasztoru, aby żyć, nie zamierza się imać żadnej (uczciwej!) pracy, lecz – udając wielkiego pana i znawcę nauk tajemnych – wyłudza pieniądze od naiwnych, którzy mają pękate, dobrze wypchane sakiewki.

W owym okresie nosi on najprzeróżniejsze nazwiska. Jest znany jako hrabia Harat, kawaler Fenice, hrabia Phoenix, markiz del Anna, markiz Pellegrini, kawaler Belmonte, Melissa, Zichis...

Na samym końcu dopiero przybiera nazwisko di Cagliostro, nadając sobie równocześnie tytuł hrabiowski. I pod tymże nazwiskiem znany już będzie do końca swoich dni, a nawet dłużej, bo aż do teraz.

***

Po zuchwałej i wyjątkowo łajdackiej kradzieży dokonanej w swym rodzinnym mieście zmuszony był ratować się ucieczką. Los chciał, że trafił do Messyny. Czy było to zdarzenie opatrznościowe? A może tylko zwykły przypadek? Któż to dziś wiedzieć może i któż będzie próbował zgadywać.

Faktem jednak – i to absolutnie bezspornym – pozostaje, iż właśnie pobyt w Messynie i zawarta tam, nader szczególna, znajomość, zaważyły na całym późniejszym życiu i ostatecznym losie, jaki spotkał Józefa Balsamo.

Otóż, któregoś dnia, zgoła niespodziewanie, natknął się hrabia Cagliostro na starego i bardzo różniącego się od reszty pozostałych bliźnich, człowieka. A człowiekiem tym był – prawdopodobnie Grek lub Albańczyk z pochodzenia – noszący egzotycznie brzmiące imię: Altotas.

Kim (a może CZYM?) był ów Altotas, także do dziś pozostaje zagadką. Wiadomo o nim tyle tylko, iż do perfekcji opanował dostępną umysłowi ludzkiemu wiedzę tak jawną, jak tajemną, że parał się fizyką, chemią, botaniką, zoologią, no i oczywiście czarną magią oraz astrologią. Ponoć posiadł był – podobnie zresztą jak hrabia de Saint–Germain – sztukę niezwykłej długowieczności i przemieniania nieszlachetnych kruszców w złoto. Podobno...

Altotasa widywano w rozmaitych częściach tamtoczesnej Europy, a opinią cieszył się nienajlepszą. Nic nie wskazuje na to, aby w jakiś szczególny sposób się maskował i ukrywał, a jednak... a jednak nie tylko policje poszczególnych krajów, w których przebywał, ale nawet sama św. Inkwizycja n i e p o t r a f i ł a dobrać mu się do skóry. Mało tego, nie była nawet w stanie dokonać rzeczy tak prostej, jak zebranie o Altotasie dostatecznej liczby wiarygodnych informacji.

Tak na dobrą sprawę, to nie można my było niezbicie udowodnić niczego zdrożnego, czegoś takiego, co pozwoliłoby go postawić przed trybunałem sędziowskim, choć podejrzewano (prawdopodobnie nie bezpodstawnie), że uprawiając magię dopuszcza się satanistycznych mordów na dzieciach.

Jak wspomniałem, Cagliostra i Altotasa zetknął ze sobą albo sam diabeł, albo czysty przypadek (o ile oczywiście cokolwiek na tym najlepszym ze światów dzieje się przez przypadek) i od tamtej pory – rozpoznawszy się wzajemnie jako bratnie dusze – już się nie rozstawali.

Józef Balsamo został gorliwym uczniem i wielbicielem starego maga, który nie szczędził mu nauk, przekazując całą posiadaną tajemną i nietajemną wiedzę. Tę zaś Cagliostro chłonął całym sobą, z czasem stając się ze zwykłego wydrwigrosza uznanym powszechnie i nader cenionym znawcą nauk hermetycznych.

Tyle, iż gwoli uczciwości dodać należy, że prawie do śmierci nie wyzbył się łajdackich nawyków i mimo, że jako „wielki wtajemniczony” mógł tak sobie zorganizować życie, aby je prowadzić na odpowiednio wielkopańskiej stopie, o ile tylko miał po temu okazję, nigdy nie

oparł się pokusie oszukania, czy ograbienia kogoś w mniej, czy też bardziej wyrafinowany sposób.

Po zawarciu znajomości z Altotasem i rozpoczęciu u niego edukacji, obydwaj magowie udali się w długą podróż na Wschód uchodzący za kolebkę TAJEMNICY. Jest to pewne i niezbicie dowiedzione, że dokładnie zwiedzili Egipt, podówczas na poły legendarną krainę, z której rzekomo pochodzić ma cała wiedza hermetyczna wszechludów i wszechczasów.

Zapewne niesamowite wrażenie wywarły na Cagliostrze zabytki przeszłości krainy faraonów, a w szczególności chyba sfinks i piramidy.

Czy Cagliostro bawiąc na Wschodzie jeszcze bardziej pogłębił swą tajemną wiedzę? Wydaje się pewne, że tak, że takowy właśnie, a nie inny cel miała owa wyprawa. Ponad wszelką wątpliwość wiadomo wszakże jedno, iż po powrocie stamtąd do Europy (zbaczając po drodze na Maltę, gdzie serdecznie został przyjęty przez Wielkiego Mistrza tamtejszego Zakonu), ogłosił się Wielkim Koptem i jął organizować towarzystwo (instytucję, zakon?), którego struktura przypominała strukturę lóż wolnomularskich. W rzeczywistości jednak, chociaż Cagliostro za wszelką cenę usiłował udowodnić, że z „bogobójczą masonerią" nie ma nic wspólnego, głosił też same, co i ona hasła. Aby jednak nie było żadnych niedomówień: Balsamo był również i „zwyczajnym" masonem. Ale o tym niżej.

Jak któregoś dnia los postanowił zetknąć ze sobą Cagliostra i Altotasa, tak też innego rozdzielił ich ostatecznie i nieodwołalnie.

A jak do tego doszło – nie wiadomo. Oto bowiem, ni mniej, ni więcej, tylko pewnego razu Altotas prowadzący podówczas jakieś nader poważne badania alchemiczne... po prostu zniknął!

Na próżno próbowano rozwikłać zagadkę owego zniknięcia. Wierzący w nadprzyrodzone moce, im właśnie przypisywali porwanie starego czarownika. Sceptycy na odmianę rozgłaszali, ze wytłumaczenie owego faktu jest zgoła prozaiczne, ze to bez wątpienia któryś z możnych tego świata, zostawszy nazbyt jawnie i bezczelnie oszukany i oskubany z pieniędzy, kazał cichaczem, a po kryjomu, skręcić Altotasowi kark.

Cóż, mnie to ostatnie wyjaśnienie jakoś nie trafia do przekonania, ponieważ staremu Grekowi nikt i nigdy nie zarzucał oszustwa. Jeśli już ktoś miałby na owo skręcenie karku za oszustwo zasłużyć, to raczej Cagliostro. Tymczasem jemy nie spadł wówczas włos z głowy, a nawet wręcz przeciwnie – cieszył się ogólnym szacunkiem i wielką estymą.

Zniknięcie Altotasa bez wątpienia było nie na rękę hrabiemu, który z owego starca miał nieoceniony wprost pożytek, ale ostatecznie dał sobie radę i bez niego.

W tym samym czasie zaprzyjaźnił się bowiem z wielkim mistrzem Zakonu Maltańskiego, Pinto, który podobnie jak i nasz bohater żywo zajmował się magią i hermetyzmem. Cagliostro, Altotas i Pinto nawet przez jakiś czas pracowali razem. Niestety nie znamy rezultatów ich prac.

Po przybyciu z Malty do Italii, zamieszkuje w Rzymie, gdzie prowadzi w miarę ustabilizowane – jak na niego – życie. Nie narzeka na niedostatek, ba za świadczone usługi wróżbiarskie, magiczne, za sprzedaż ziół i eliksirów zbiera sporo grosiwa.

Wówczas właśnie poznał prześliczną młodziutką dziewczynę Lorenzę Feliciani. Fałszywy, acz wówczas dość zamożny szlachcic, wywarł nadzwyczaj korzystne wrażenie na rodzicach wybranki, a ona sama zakochała się w nim nieprzytomnie.

Jak nietrudno się domyślić, ślub młodej pary nastąpił bardzo szybko. Po ślubie jednak teściowie Balsama z przerażeniem odkrywają prawdziwe, diaboliczne oblicze swego zięcia i przepędzają go z domu, jednocześnie usiłując nakłonić córkę – dla jej własnego dobra – do porzucenia męża.

Lorenza kocha go jednak do szaleństwa i nie zamierza wysłuchiwać owych rad. Przeniósłszy się z nim do wynajętego domu wiedzie początkowo wygodne i dostatnie życie. A środków na nie brakuje, ponieważ Cagliostro znalazł jeszcze lepszy od magii sposób

zarabiania pieniędzy. I to dużych pieniędzy. Zajął się mianowicie – na ogromną wręcz skalę – podrabianiem podpisów i najrozmaitszych dokumentów, co czynił z wyjątkowym kunsztem i maestrią.

Mógł był tak przeżyć długie lata, gdyby chciwość nie podszepnęła mu pomysłu oszukania wspólników przestępstw. Ci zaś, rozwścieczeni na hrabiego, zadenuncjowali go rzymskiej policji.

I na tym kariera Józefa Balsamo mogłaby się ostatecznie zakończyć, gdyby nie jego szczęśliwa gwiazda. Otóż, w porę ostrzeżony, wraz z wierną i oddaną żoną zdołał ratować się ucieczką, co ocaliło – bez wątpienia – jego gardło.

***

Żywot Cagliostra jest nadzwyczaj barwny i bogaty zarazem. Wiele podróżował po ówczesnej Europie, nigdzie dłużej nie zagrzewając miejsca. Miedzy innymi odwiedził Anglię, Francję, Hiszpanię, Kurlandię, Niemcy, Polskę, Rosję...

Wszędzie, dokądkolwiek przybywał, rychło zaczynał zwracać na siebie uwagę wysoko urodzonych.

Chcąc dokładnie opowiedzieć żywot hrabiego, należałoby napisać o nim osobną książkę. Dlatego też, poświęcając mu w tym skromnym opracowaniu jeden rozdział zaledwie, nie mogę zanadto rozwodzić się nad jego przygodami i podróżami, awanturami, sukcesami, porażkami i ucieczkami. Kto ich ciekaw może sięgnąć do dość bogatej literatury zajmującej się hrabią – obcojęzycznej i polskiej. W tym miejscu zainteresowanych odsyłam do doskonałej pracy pióra Roberto Gervaso pt.: *Cagliostro*, w przekładzie Anny Wasilewskiej, wydanej przez PWN w Warszawie w roku 1992.

Do tej pory prezentowałem Balsama jako oszusta i szalbierza o niebywałej wprost wiedzy i inteligencji, ale było to pokazanie tylko jednej z jego twarzy. A miał on jeszcze i twarz drugą, przysłoniętą tą pierwszą niczym maską, twarz t a j e m n i c z ą .

Tak, Cagliostro bez najmniejszych wątpliwości posiadał również dziwne, niewytłumaczalne, wynoszące go ponad szary tłum, nadludzkie moce...

Lecz nim powiem coś na ich temat, muszę zaznaczyć, że jego łajdactwo osiągnęło szczyt, gdy – skoro po temu nadarzała się sposobność – zmuszał swą małżonkę do... prostytucji.

Wszystko to: kradzieże, oszustwa, stręczycielstwo, wyłudzanie zostało przez Balsama zarzucone, a on sam całkowicie (no, prawie całkowicie) odmienił swoje życie, gdy w dniu 12 kwietnia 1777 roku został przyjęty do londyńskiej loży masońskiej *Nadzieja*, przynależnej do obediencji Ścisłej Obserwy.

Co prawda, to prawda, żyłka awanturnika i oszusta nie opuściła Józefa aż do samej śmierci, niemniej jeśli już zdarzało mu się – jako wielkiemu wtajemniczonemu w obrządki wolnomularskie – oskubać kogoś z gotówki, to nie robił tego tak bezczelnie i jawnie jak przed rokiem 1777.

Zostawszy masonem wytyczył sobie nader szczytny i ambitny cel: postanowił zreformować wolnomularstwo i zjednoczyć wszystkie loże, wszystkich obrządków i obediencji, narzucając im swój obrządek egipski i siebie jako wolnomularskiego „papieża".

W tym celu odwiedza Berlin, Lipsk i Królewiec, gdzie spotyka się z Weishauptem i jego uczniami – Iluminatami. Od nich to przyswaja dla swego obrządku idee demokracji, socjalizmu (oczywiście wówczas jeszcze nie używano tego określenia), feminizmu (tego określenia także jeszcze wtedy nie używano) i zjednoczenia Europy w jedno, wielkie, laickie i demokratyczne państwo (co realizuje się na naszych dopiero oczach).

Niestety jego marzenia o połączeniu wszystkich lóż nie ziszczają się, a on sam nie tylko nie staje na czele całego ruchu, ale w końcu dochodzi do ostrego konfliktu między masonerią egipską, a pozostałymi lożami. Konflikt ów z czasem narasta do takich rozmiarów, że w

chwili gdy chodziło o ratowanie wolności Wielkiego Kopty, żaden z naprawdę wpływowych masonów nawet nie kiwnął palcem by mu pomoc.

Zainteresowania naszego bohatera (który od chwili przyjęcia go do londyńskiej loży *Nadzieja* jął konsekwentnie używać jednego tylko imienia i nazwiska – Alessandro hrabia di Cagliostro, odżegnując się od wcześniejszych wcieleń, a przede wszystkim od Józefa Balsamo) idą nie tylko w kierunku spowodowania zmiany ustroju społeczno–politycznego w ówczesnej Europie. Jak zawsze interesują go także i czary.

Po śmierci Altotasa czuł się bardzo osamotniony. Toteż gorąco dziękował niebu, czy też może piekłu raczej, gdy przypadek zetknął z wybitnym wolnomularzem, ex–benedyktynem, przepędzonym z klasztoru za czynne uprawianie czarnej magii i uporczywe trwanie w tej herezji.

Alessandro hr. di Cagliostro nie zastanawia się nawet przez chwilę i gdy don Pernety proponuje mu wstąpienie do loży, czyni to natychmiast, a po wtajemniczeniu, korzystając z nauk sławnego preceptora, pogłębia swoją – i tak już nie małą – wiedzę magiczną.

***

Zdolności paranormalne Cagliostro ujawnił dość późno, bo dopiero na rok przed przyjęciem go do londyńskiej loży *Nadzieja*. Otóż w latach 1776 – 1777, mieszkając w Londynie, każdemu komu się udało wkraść w łaskę maga i poprosił go o to, podawał numery, które wygrają na loterii. I o dziwo, zawsze podawane liczby były szczęśliwe. Niezwykłe w tym wszystkim jest jedno – Cagliostro sam nigdy nie grał. Dlaczego? (por.: Roberto Gervaso, *Cagliostro. Życie Giuseppe Balsama, maga i awanturnika*, przeł. Anna Wasilewska, Warszawa 1992, s. 36)

Najczęściej go nachodzili i byli najbardziej nachalni niejacy Scottowie – para kochanków żyjąca pod przybranym nazwiskiem, a udająca małżeństwo. Oni też dzięki uprzejmości hrabiego wygrali najwięcej (por.: dz. cyt., s. 36)

Ich zachłanność i nienasycenie były jednak tak wielkie, że nie zadowalając się „wyciąganiem" od mistrza szczęśliwych cyfr, postanowili, przez uknutą intrygę, zawładnąć jego tajemniczymi proszkami, amuletami i księgami.

Oskarżyli zatem Cagliostra – ni mniej, ni więcej – tylko o wyłudzenie od nich niezwykle cennych kosztowności, co oczywiście nie było prawdą. Władze przecież dały się nabrać i na krótko aresztowały sławnego maga. Po wyjściu z więzienia nie podał on już nigdy i nikomu żadnej szczęśliwej liczby loteryjnej. Ale to, że przed aresztowaniem podawał je z a w s z e p r a w d z i w e, jest niepodważalne i nie ulega najmniejszej wątpliwości, czemu nie zaprzeczą najzajadlejsi nawet wrogowie Cagliostra!

Po opuszczeniu więzienia, wygłosił hrabia klątwę–przepowiednię że każdy bez wyjątku człowiek, który będzie go prześladował, zostanie za to przez nadludzkie moce srodze ukarany. I rzeczywiście tak się działo przez długi czas, aż do chwili aresztowania Wielkiego Kopty przez św. Inkwizycję w Rzymie. Pierwszymi zaś, którzy na własnej skórze doświadczyli prawdziwości owej przepowiedni, byli właśnie Scyttowie, dzięki którym znalazł się w ciemnicy. (por.: dz. cyt., s. 38–39)

Po wyjeździe z Anglii i po powrocie na kontynent zajął się Cagliostro z nowym wielkim zapałem głoszeniem idei masońskich i zakładaniem coraz to nowych lóż – tak dla mężczyzn, jak i dla kobiet (lożami tych ostatnich kierowała bezpośrednio hrabina – małżonka).

Podczas zebrań, na których agitował do masonerii egipskiej, przede wszystkim popisywał się swoimi nadludzkimi mocami. Niepodważalne i niezbite świadectwa pochodzą z miast niderlandzkich, w których m.in. wywoływał duchy zmarłych, dokonywał transmutacji srebra w złoto, powiększał szlachetne kamienie (a wszystko to na oczach licznie zgromadzonych ludzi). Ponadto wygłaszał przepowiednie, które zawsze się sprawdzały.

Cagliostro wprost rozkoszował się otaczaniem się nimbem tajemniczości. Głosił między innymi, iż posiał był sekret nieskończonej młodości i długowieczności graniczącej z nieśmiertelnością. Zainteresowanym nie skąpił nawet przepisu na to, co robić, aby odzyskawszy zupełną niewinność duszy, przywrócić młodość ciału.

Ponieważ przepis ów jest tak niedorzeczny, chociaż dość niezwykły w swej pomysłowości i nader ciekawy, uznałem, że nie warto go tutaj przytaczać.

***

Po roku 1777 wsławił się Cagliostro jako jasnowidz i lekarz. Swą opinię człowieka znającego przyszłość ugruntował w Mitawie, gdzie wygłosił kilka ważkich i potwierdzonych przez wydarzenia przepowiedni.

Jako ciekawostkę można podać fakt, iż Wielki Kopta przewidział, iż balony – montgolfiery, jak je wówczas nazywano – nie zawojują nieba, że ich miejsce zajmą latające maszyny. Czyż nie miał racji?

Ostatnią z przepowiedni hrabiego, przepowiedni która najprawdopodobniej stała się bezpośrednią przyczyną aresztowania go przez św. Inkwizycję była ta odnosząca się do wypadków mających zajść we Francji, dokładnie, z najmniejszymi szczegółami, zapowiadająca wybuch rewolucji, zburzenie Bastylii i zgilotynowanie króla Ludwika XVI i królowej Marii Antoniny.

Wcześniej wspomniałem, że Cagliostro zajmował się również leczeniem chorych. Jego sława uzdrowiciela, któremu nie oprą się najpoważniejsze, śmiertelne nawet choroby, była tak wielka, że gdziekolwiek się pojawiał, natychmiast jego mieszkanie oblegał tłum cierpiących naprawdę, albo z urojenia.

Tutaj zaznaczyć muszę, że – a jest to co najmniej dziwne, jeśli przypomnimy sobie, że przez wiele lat Cagliostro zajmował się wyłudzeniami, oszustwami, kradzieżą, podrabianiem dokumentów, czy wreszcie stręczycielstwem – kupcząc ciałem własnej żony – pieniądze za świadczone usługi medyczne brał tylko od bogatych. W tym miejscu dodam, że zarówno bogatych i biednych leczył tymi samymi lekami: nieznanym tajemniczym proszkiem i równie tajemniczym eliksirem, stosowanymi przy wszystkich chorobach.

Literatura dotycząca życia i działalności hrabiego zawiera liczne, nadzwyczaj interesujące opisy dokonywanych przez niego, nieraz bardzo widowiskowych uzdrowień.

W miarę jak jego sława cudotwórcy rosła i rozchodziła się po Europie, przybywało też takich uzdrowień, które ową sławę ugruntowywały. Można nawet zaryzykować stwierdzenie, iż nie było choroby, której by Cagliostro nie uleczył. Poddawały mu się wszystkie.

Dlatego też nie należy się dziwić niechęci i pomówieniom, czy nawet wręcz nienawiści „oficjalnych" medyków do „przybłędy i szarlatana", który zabierał im najlepszych pacjentów. Ale z tego Cagliostro nigdy nic sobie nie robił.

Owe wyczyny medyczne niebywałe wprost w swej niezwykłości, przyniosły mu taki rozgłos, że udawały się doń po ratunek całe pielgrzymki chorych na najrozmaitsze dolegliwości.

Na koniec wypadało by wspomnieć i o innych jeszcze ponadnaturalnych mocach naszego bohatera.

I tak: książę kardynał Luis de Rohan twierdził, że Wielki Kopta na jego oczach „z niczego" wytworzył, wyprodukował, czy jak to inaczej nazwać, znaczną ilość złotego kruszcu oraz wspaniały pierścień ozdobiony wielkim brylantem.

Wydaje się, iż należy jeszcze napisać o fakcie posiadania przez Cagliostra dość rzadkiego daru bilokacji (duolokacji), to znaczy jednoczesnego przebywania w fizycznej postaci w dwóch miejscach jednocześnie. Że tak było istotnie, i że nie jest to bajka ani wytwór nazbyt

bujnej wyobraźni, zapewniali bardzo poważni i ogólnie szanowani ludzie, którzy – jak sami głosili – rzeczywiście stwierdzili obecność maga w dwóch miejscach na raz.

Prócz tego wszystkiego, był Cagliostro także cenionym nekromantą i spirytystą.

I to już koniec opowieści o niezwykłych mocach Cagliostra. Wydaje się, że należy jeszcze wspomnieć o tym, jak wyglądały ostatnie lata życia Wielkiego Kopty. A nie należały one do szczęśliwych, o nie, bo jego gwiazda zgasła.

A oto, co się działo z nim u kresu jego ziemskiej wędrówki.

Po wygłoszeniu w Rzymie słynnej przepowiedni, w której oznajmił, że we Francji zaczną się rozruchy, zbuntowany lud pójdzie na Wersal, wybuchnie krwawa rewolucja, która zmiecie z tronu Ludwika XVI, że ów straci życie razem z małżonką Marią Antoniną, św. Inkwizycja poważnie się zaniepokoiła, odczytując – i chyba nie bezpodstawnie – że nie było owo żadnym przewidywaniem mających dopiero nadejść zdarzeń, lecz zapowiedzią walki przygotowywanej przez tajną organizację i prewencyjnie aresztowała Cagliostra.

To ostatnie posunięcie było podyktowane faktem, że w pałacu papieskim i Kurii Rzymskiej dość poważnie traktowano przechwałki Wielkiego Kopty, jakby był on rzeczywiście głową masonerii całego świata. Uznano zatem, że skoro zniknie z życia publicznego, wolnomularze pozbawieni przywódcy poniechają myśli o wywołaniu rozruchów i krwawej wojny domowej we Francji. Rozumowanie było jak najbardziej prawidłowe, tyle tylko, że hrabia nie był żadnym przywódcą światowej masonerii, chociaż przez lata marzył, by nim zostać.

Aresztowanie hrabiego odbiło się głośnym echem w tamtoczesnej Europie. Władze policyjne państwa papieskiego obawiały się, że wolnomularze zorganizują atak na więzienie, w którym mag był przetrzymywany i uwolnią go, dlatego podjęto jak najdalej idące środki ostrożności.

Aby jednak móc całkowicie zgodnie z obowiązującym wówczas prawem zaaresztować Cagliostra św. Inkwizycja potrzebowała donosu, który formalnie by go oskarżał o jakieś ciężkie przestępstwo. Jak nietrudno się domyślić, donos taki dotarł do urzędników Inkwizycji, a złożyła go sama... Lorenza Feliciani, żona Wielkiego Kopta, nosząca – od chwili utworzenia masonerii egipskiej przez maga – tajemnicze imię Serafiny.

Serafina, która w tamtym czasie żyła z mężem „na wojennej stopie", ba! Nawet usiłowała go otruć, została zamknięta we własnym mieszkaniu, a dozór nad nią hrabia powierzył zaufanemu mnichowi. Serafina jednak umiała go przekonać (nie skąpiąc mu swych wdzięków), a wówczas zakonnik przymknął oczy na jej kontakty z innym duchownym, któremu zadenuncjowała męża jako niebezpiecznego heretyka, masona, wroga tronu i ołtarza. Stało się to 26 września 1789 roku.

Na marginesie: czyż nie mówi prawdy hiszpańskie porzekadło? „Nie powierzaj żony mnichowi, a pieniędzy jezuicie?!"

Aż do 11 listopada gromadzono inne jeszcze oskarżenia i donosy, aby wreszcie zamknąć postępowanie wstępne.

W dniu 27 grudnia tego samego roku papież Pius VI podpisał rozkaz uwięzienia hrabiego, a 2 stycznia 1790 roku rozpoczęło się postępowanie dowodowe przed trybunałem św. Inkwizycji, które w okresie od 5 stycznia 1790 roku do 7 kwietnia 1791 roku przeistoczyło się w proces zakończony ogłoszeniem wyroku.

Maga oskarżono przede wszystkim o bluźnienie Panu Bogu, herezję i rozpustę. Jak widać występki Cagliostra nie były oryginalne. Podobne – czy wręcz identyczne nawet – popełniało wówczas większość arystokratów i bogatego mieszczaństwa, pretendujących do miana ludzi prawdziwie „postępowych" i „oświeconych".

W czasie procesu oskarżano maga również i przestępstwa pospolite – stręczycielstwo, kradzieże, fałszerstwa, wyłudzenia itd.

Chociaż Cagliostro postawiony przed trybunałem wił się niczym piskorz, usiłując odeprzeć stawiane mu zarzuty, mimo iż obrona widząc bardzo zły obrót spraw zrezygnowała w końcu z próby udowodnienia, że jej klient nie jest bynajmniej heretykiem, lecz osobą chorą psychicznie, trybunał nie dał się przekonać.

7 kwietnia 1791 roku ogłoszono wyrok Inkwizycji, podpisany przez papieża Piusa VI, skazujący hrabiego na k a r ę ś m i e r c i, z zamianą na dożywotnie więzienie, b e z p r a w a ł a s k i. Oznaczało to, że Wielki Kopta nigdy już nie odzyska wolności.

Po ogłoszeniu owego wyroku, w całej „postępowej" i „oświeconej" Europie podniósł się straszny krzyk i z zajadłością zaatakowano papiestwo. Ale na wrzaskach i krytyce poprzestano.

Jakoś żaden z wysokich rangą wolnomularzy nie pokwapił się by przynajmniej podjąć uwolnienia Cagliostra, chociaż władze policyjno–więziennicze państwa kościelnego całkiem realnie liczyły się z taką ewentualnością, podejmując najdalej idące środki ostrożności.

Początkowo, do 16 kwietnia 1791 roku przetrzymywano maga w najcięższym więzieniu papieskim, w Zamku Świętego Anioła w Rzymie, potem zaś przeniesiono go do twierdzy San Leon leżącej nad rzeczką Maracechia.

W więzieniu Cagliostro zachowywał się nienajprzystojniej, ale można chyba to położyć na karb coraz bardziej zżerającego jego mózg syfilisu, którym zaraził się przed wieloma laty. Na przemian modlił się całymi dniami, pościł, umartwiał ciało na różne sposoby, by potem obżerać się dostarczonymi mu wybornymi wiktuałami, zapijać winem, bluźnić i złorzeczyć.

I tak upływały miesiące i lata człowiekowi zamkniętemu w celi. Aż wreszcie, w dniu 23 sierpnia 1795 roku powaliła go choroba – ostry atak apopleksji.

Cagliostro konał przez trzy dni, w pełni władz umysłowych, zdecydowanie i z pogardą odrzucając prośby ponawiane przez duchownych usiłujących nakłonić go do spowiedzi, komunii i przyjęcia ostatniego namaszczenia.

Jak żył, tak i umarł – zbuntowany przeciw Bogu i religii, a pełen jadu i nienawiści do Jego ziemskich przedstawicieli.

Do wieczności przeniósł się 26 sierpnia 1795 roku, o godzinie dwudziestej drugiej czterdzieści pięć.

Pochowano go w niepoświęconej ziemi.

Zwolennicy i czciciele Cagliostra nie chcieli jednak przyjąć do wiadomości tak prozaicznego żywota ich mistrza. Jęli tedy rozgłaszać, że hrabia – przy użyciu swych nadludzkich mocy – uciekł z więzienia i żyje gdzieś w ukryciu, by po latach, a może nawet po stuleciach, znów objawić swe wspaniałe, nieśmiertelne oblicze, wciąż szukającemu odwiecznej prawdy światu i znękanej codziennymi troskami ludzkości.

Dokumenty z procesu Cagliostra do dziś pozostają tajne...

Grigorij Jefimowicz Rasputin

Matka Rosja... Niezmierzone przestrzenie, niezmierzona dal, ludne miasta, ciche sioła, pustacie ciągnące się od horyzontu po horyzont... Matka Rosja... Ziemia świętych i łajdaków, ludzi uczciwych i szarlatanów... Ziemia mnichów, świętych starców, jurodiwych... Ziemia Rasputina...

Tak naprawdę to nikt nie wie, kiedy przyszedł na świat, w zapadłej syberyjskiej wsi Pokrowskoje koło Tobolska, Grigorij Nowik zwany z racji swego późniejszego rozwiązłego życia Rasputinem. Jedni uważają, że w 1863 roku, inni iż dopiero w roku 1870. Ale akurat nie to chyba będzie dla nas najistotniejsze.

W wieku około dziewiętnastu lat ożenił się z hożą dziewuchą z rodzinnego sioła, gdzie bynajmniej nie cieszył się dobrą sławą. A nawet wręcz przeciwnie – liczne kradzieże, jakich się dopuszczał, burdy które wyprawiał po pijanemu i charakterystyczne dla niego próżniactwo, nie przysparzały mu przyjaciół.

I oto naraz – rzecz niebywała, około trzydziestego roku życia, po odbyciu kilkumiesięcznej pielgrzymki do miejsc świętych, cudownych ikon, sławnych monastyrów, u Griszy dokonuje się jakowaś przedziwna przemiana duchowa i staje się nadzwyczaj pobożny.

Odtąd widać go nieomal nieustannie w cerkwi, gdzie zachowuje się niczym obłąkany: wywraca oczyma, mruczy coś niezrozumiale, z nagła a niespodziewanie zaczyna śpiewać. (por.: Marek Ruszczyc, *Awanturnicy i szarlatani*, Warszawa 1978, s. 186) Ludzie z początku myślą, że Nowik ze szczętem zwariował, ale nie, on rzeczywiście zmienił na lepsze dotychczasowy tryb życia. Przestał się upijać, przeklinać, latać za babami i dziewuchami (nie na długo, ale o tym później).

Wszakże tego wszystkiego było Griszy mało. Za mało. Bo on pożądał czegoś wielkiego, widząc siebie oczyma wyobraźni jako przewodnika duchowego niezliczonych rzesz wiernych, jako wzór do naśladowania dla pobożnego ludu prawosławnego.

Samo zadziwienie sąsiadów, krewnych i znajomych, sam podziw, że tak gruntownie, w tak krótkim czasie się odmienił, zupełnie mu nie wystarczało.

Dlatego też w roku 1893 nasz bohater rozgłosił wszem i wobec, iż udaje się z pielgrzymką na świętą górę Athos do Grecji i wyruszył w drogę.

Co przeżył w tym słynnym i znaczącym bardzo wiele dla całego prawosławia miejscu, nie wiadomo. Nie wiadomo też, czy przed pielgrzymką na Athos, czy dopiero po powrocie do Rosji Rasputin przystąpił do sekty chłystów, zwanych również „biczownikami", bądź „ludźmi bożymi".

Ich nauka jest słabo poznana. Być może praktykują wielożeństwo, ale to nic pewnego. Oskarża się ich natomiast o uprawianie najwyuzdańszych orgii seksualnych oraz biczowanie się i polewanie wodą w celach rytualnych (por.: Andrzej J. Sarwa, *Herezjarchowie i schizmatycy*, Poznań 1991, s. 158).

Po wstąpieniu do sekty chłystów, żonaci mężczyźni dowiadują się, iż ich związek małżeński jest nieważny, a z połowicami winni żyć „niczym bracia z siostrami". W miejsce żon ślubnych biorą sobie żony „duchowe" (zwykle kilka lub kilkanaście), z którymi nie tylko mogą, ale wręcz powinni utrzymywać jak najczęstsze stosunki płciowe, co bynajmniej nie jest grzechem, ale zasługą, a nosi wśród chłystów miano „miłości Chrystusowej".

Zebrania „ludzi Bożych" nazywają się r a d i e n i a m i, czyli ćwiczeniami pokutnymi, a odbywają się one w nocy. Mężczyźni ubierają się w białe koszule z szerokimi rękawami, które luźno opadają im aż do pięt, kobiety natomiast w białe suknie, a na głowach wiążą białe chustki.

Radienie podobno wygląda tak: zgromadzeni ustawiają się kołem i biegając po pomieszczeniu okładają się na wzajem po plecach, jednocześnie skandując:

„– Chłyszczu, chłyszczu, Christa iszczu!" (Chłoszczę, chłoszczę, Chrystusa szukam!).

Później zaś tak kobiety, jak i mężczyźni rozbierają się do naga i oddają najwyuzdańszym orgiom seksualnym, co – według ich wierzeń – ma im wybitnie pomoc w osiągnięciu zbawienia i rajskiej szczęśliwości. (por.: Michaił Władimirowicz Rodzianko, *Za kulisami carskoj własti*, Moskwa 1991, s. 11)

Ważniejszymi, bardziej liczącymi się ośrodkami, gdzie członkowie sekty chłystów żyli w znacznych skupiskach były: Saratow, Kazań, Ufa, Orenburg, a oprócz tego byli oni też rozsiani po całym terytorium tamtoczesnego imperium rosyjskiego, tyle że żyli w niewielkich grupkach.

Wróćmy jednak do Rasputina. Otóż, chociaż podczas pobytu na świętej górze Athos bynajmniej nie ugruntował swego wcześniejszego nawrócenia i zamiast uczciwym i świątobliwym wyznawcą prawosławia został chłystem, to jednak pobyt w słynnym sanktuarium przyniósł mu tę korzyść, że dokładniej zaznajomił się z tekstami biblijnymi i liturgicznymi, modlitwami i sztuką przemawiania do ludzi. Na Athosie też chyba podjął nieodwołalną decyzję, iż od tej pory poświęci się wyłącznie działalności religijnej na terytorium ojczystego kraju. (por.: Marek Ruszczyc, *Awanturnicy i szarlatani*, Warszawa 1979, s. 187)

Po powrocie do Rosji zaczął tedy Grisza rozpowiadać swą dziwaczną ewangelię, prorokować, uzdrawiać licznych chorych, egzorcyzmować opętanych przez demony, czy wręcz odprawiać czary.

Nie omieszkał też – oczywiście! – zawitać do swej rodzinnej wsi Pokrowskoje w tobolskiej guberni. I rzecz co najmniej dziwna, a jednocześnie jakże charakterystyczna dla „świętego starca", nawet tutaj, gdzie wszyscy doskonale znali go jako pijaka, awanturnika, rozpustnika, złodzieja i oszusta, udało mu się zdobyć wcale nie małą rzeszę zwolenników, a właściwie zwolenniczek.

Jak wieść niesie, Rasputin oprócz przewodzenia modlitwom i „praktykom pokutniczym", jako ćwiczenie posiadające szczególnie dużo zbawczej mocy w sobie, propagował wspólne kąpiele jego i wiernych mu „oblubienic duchowych", czyli bab i dziewuch z Pokrowskoje, w miejscowej łaźni. Oprócz igraszek w ciepłej wodzie i „ubłogosławienia" (wiadomo w jaki sposób) grzesznych ciał kobiecych przez „ojca" Grzegorza, do praktyk religijnych zaliczało się również wypijanie przez te jego oblubienice wody, w której wykąpał się „święty człowiek". (por.: Marek Ruszczyc, dz. cyt., s. 187)

Wstrętne? Niesmaczne? Cóż, fakty są takie, że niewiasty z trzódki Rasputina nie raz walczyły między sobą o ów przywilej. W końcu... Zależy co kto lubi...

Grisza nie zagrzał długo miejsca w rodzinnej wiosce i rychło wyruszył w podróż misyjną po kraju. Szedł lub jechał od miejscowości do miejscowości i nawoływał ludzi by się nawracali. Dalej, głosił on, iż żadna kobieta nie może dostąpić łaski boskiej jeżeli poprzednio nie zgrzeszy ciałem (najlepiej oczywiście z Griszą), jako że grzech ten może być najłatwiej odpuszczony. (por.: William Le Queux, *Rasputin – zbrodniczy mnich*, Warszawa – Kraków, brak roku wydania, s. 16)

Wszystko zaczęło się zmieniać w życiu „świętego starca", gdy przybył do Kazania, gdzie przypadek zetknął go z rektorem Seminarium Duchownego, ojcem Michaiłem, ów zaś uznał Rasputina za męża Bożego, za osobę opatrznościową, którą Stwórca zesłał, aby zbawić Rosję.

W latach 1903 – 1905 sława Grigorija rośnie. Niezmordowany odbywa pielgrzymki po kraju, prowadząc swoją „apostolską" działalność.

Wzdłuż ulic miasteczek i siół, na wieść o jego przybyciu, ustawiają się tłumy, ludzie padają na kolana, obsypują pocałunkami ręce Griszy, całują jego buty, kraj kapoty i wołają:

„– Chrystusie nasz, ocalicielu nasz, módl się za nami grzesznymi! Bóg wysłucha twoich modłów!"

On zaś im odpowiada:

„– Wo imia Otca, i Syna, i Swiatogo Ducha! Błogosławlu was bratia i siestry! Wyznawajcie swoje grzechy! Chrystus–Spas rychło się objawi! Cierpcie, pamiętając o Jego męce i śmierci! Umartwiajcie wasze ciała dla miłości Pana!”

Rośnie liczba „duchowych żon” Rasputina, które dzięki stosunkom płciowym odbywanym ze „świętym starcem” są przekonane, iż kroczą prostą drogą ku niebiańskiej ojczyźnie. A oprócz tego, jeśli chorowały, odzyskują zdrowie.

Tak, to niepodważalny i niezaprzeczalny fakt, którego po prostu nie da się zanegować: Rasputin posiadał jakąś nadludzką moc, dzięki której potrafił leczyć najrozmaitsze schorzenia i dolegliwości, od „zwyczajnych”, „niewinnych” nerwic poczynając, a na hemofilii kończąc!!!

Grisza specjalizował się również w wypędzaniu złych duchów z ciał opętanych niewiast. Znany jest przypadek, że gdy pewnego razu diabeł okazał się dziwnie oporny i nie słuchał ani próśb, ani gróźb „świętego”, uporczywie tkwiąc w ciele młodej mniszki, mąż „Boży zirytował” się srodze i w wyjątkowo brutalny sposób zgwałcił opętaną. I o dziwo – jej niemiłe dolegliwości ustąpiły natychmiast!

Griszy wszakże nie wystarczały te sukcesy, które kogoś innego na jego miejscu bez ochyby przyprawiłyby o zawrót głowy. Grisza bowiem chciał osiągnąć więcej i znaczyć jeszcze więcej. On pożądał publicznego i głośnego oświadczenia ze strony osoby o niepospolitym autorytecie, że jest ni mniej, ni więcej, tylko posłańcem Bożym.

I stało się pewnego dnia 1903 roku to, o czym Rasputin marzył. Sam ojciec Ioan Kronsztadzki – cudotwórca powszechnie uważany za świętego – podczas uroczystego nabożeństwa oddał pokłon naszemu Griszy.

„Święty starzec” zbliżywszy się do kół cerkiewnych, zyskawszy przychylność niektórych dostojników duchownych, biskupów i archimandrytów, miał już utorowaną drogę do salonów możnych rodów Rosji. I rzecz szczególna, właśnie osoby z wyższych sfer najbardziej czczą Rasputina i robią mu jak najlepszą reklamę.

Wreszcie nadszedł dzień największego triumfu Griszy. Oto bowiem, latem 1905 roku, archimandryta Teofan, rektor Akademii Duchownej w Petersburgu i ojciec duchowny carycy wpadł na pomysł, aby zaprosić Griszkę do siebie. Ciemny chłop syberyjski w tętniącej życiem stolicy imperium czuł się niczym ryba w wodzie i poznawał pierwsze osoby należące do carskiego dworu.

Niespodziewane przybycie do Petersburga władyki Antoniego, biskupa wołyńskiego, burzy spokój „świątobliwego” Grigorija. Antoni bowiem ma jak najgorsze zdanie o przybyszu z dalekiej Syberii. Rasputin zatem czym prędzej opuszcza stolicę i wyjeżdża do Kijowa.

I tym razem sprawdziło się stare porzekadło, iż nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. W Kijowie bowiem udało mu się poznać wielką księżnę Milicę, żonę carskiego stryja wielkiego księcia Piotra Nikołajewicza Romanowa.

Pobyt poza Petersburgiem nie trwa długo i już jesienią ojczulek Grzegorz jest z powrotem w mieście nad Newą. 1 listopada 1905 roku, dzięki wstawiennictwu księżnej Milicy, stary rozpustnik zostaje przedstawiony w Carskim Siole imperatorowi Wszechrusi Mikołajowi II i jego małżonce.

Od tej chwili kariera cudotwórcy nabiera szalonego wprost rozpędu.

Na marginesie warto wspomnieć, iż przed audiencją, podczas której car i caryca przyjęli Grzegorza, mieli nieco wątpliwości, czy wypada im to uczynić, ponieważ do monarszych uszu doszły były niepochlebne opinie na temat Rasputina.

Poradzili się zatem w tej kwestii, dzieląc się z nim swoją troską, ojca Teofana. A on ich uspokoił:

„– Ojciec Grjgorij Jefimowicz – prawił mnich – to chłop, to człowiek prosty i sądzę, że Waszym Wieliczestwom z pożytkiem będzie wysłuchać, co też on ma do powiedzenia. Bo jego głos, to głos ludu, głos świętej ruskiej ziemi."

„– Ja wiem wszystko. Ja wiem, co mu się zarzuca – ciągnął po chwili milczenia archimandryta. – Ja znam jego grzechy. One są niezliczone i bardzo ohydne. Ale w nim jest taka siła r a s k a j a n i j a i taka naiwna, dziecięca wiara w miłosierdzie Boże, iż jestem pewny, że u końca dni owego człowieka będzie mu przeznaczone wiekuiste bytowanie w rajskiej szczęśliwości, twarzą w twarz z Bogiem. Przecież on po każdym okazaniu skruchy (pokajaniju) na nowo staje się czysty jak niemowlę, które zostało obmyte wodą chrztu świętego." (por.: M. Paleolog, *Carskaja Rossija wo wremia mirowoj wojny*, Moskwa 1991, s. 106)

Car po spotkaniu z Grigorijem stwierdził, iż szczęśliwy los pozwolił mu poznać naprawdę świętego człowieka. Przekonaniu temu dał nawet wyraz w swoim pamiętniku.

Z chwilą zaprezentowania go u dworu, Rasputin zyskał nadzwyczajne powodzenie i wpływ na parę monarszą. I nie można powiedzieć, żeby im schlebiał, żeby się przed nimi płaszczył. Ba! On robił wręcz odwrotnie – od pierwszego dnia postępował z nimi całkiem po grubiańsku, zuchwale, a momentami nawet po chamsku. Carowi i carycy, którym do tej pory wszyscy wokół wyłącznie prawili komplementy, wydało się, że przez usta Rasputina posłyszeli nareszcie nie stłumiony głos ruskiej ziemi.

Naiwni ludzie!

Tymczasem Grisza zdobywał coraz większą popularność w stolicy i opinię cudotwórcy. Oto bowiem w niezwykły sposób uleczył z ciężkiej nerwicy depresyjnej żonę znanego inżyniera i radcy dworu, niejaką Olgę Łochtinę. Sposób leczenia – trzeba to przyznać – był nadzwyczaj oryginalny. Brudny mużyk po prostu zgwałcił tę damę. Łochtina po owym wydarzeniu zakochała się nieprzytomnie w „świętym" i wszem i wobec rozgłaszała, jakież to szczęście spotkało ją ze strony „męża Bożego".

W podobny sposób wyleczył on też wiele, wiele innych pań z towarzystwa.

W tym samym czasie mocno zaprzyjaźnił się z powiernicą carycy, Anną Wyrubową, dzięki czemu zyskał jeszcze większy wpływ na parę monarszą.

Wizyty Rasputina w prywatnych apartamentach Mikołaja II i jego żony były dość częste, tak iż w końcu zaczęto szeptać, jakoby caryca również została kochanką „mnicha". Nie była to jednak prawda.

Jedynie bezspornym faktem okazało się ślepe zauroczenie pary monarszej tym ciemnym chłopem, prawie analfabetą, przybyłym z dalekiej Syberii.

Im jednak większą sławę zdobywał Grisza, tym bardziej nienawidzili go ci, którzy doskonale rozumieli jaki destrukcyjny wpływ wywierał na znaczną część dworu. Ludziom rozsądnym, prawdziwie zatroskanym o dobro Rosji, nijak nie mogło pomieścić się w głowach, że jakiekolwiek narażenie się „starcowi" nieodwołalnie prowadzić musi do niełaski cara.

A ten ostatni zupełnie nie reagował na niezliczone skandale, jakie nieomal codziennie wywoływał „świątobliwy" Grigorij.

Myślę, że warto cokolwiek szerzej opowiedzieć na ten temat.

Grisza pił jak smok i żadnym trunkiem nie pogardzał. Chodził ciągle na wpół otumaniony alkoholem, ciskał grube przekleństwa, przechwalał się przyjaźnią z „ojczulkiem" carem i „matuszką" carycą, swym wpływem na nich. I wyprawiał, co tylko na myśl mu przyszło.

Na przykład. Pewnego razu w Kazaniu, bardzo wczesnym wieczorem, czy raczej późnym popołudniem, gdy na dworze było jasno jak w dzień, bo słońce dopiero co skryło się za horyzontem, po pijanemu wypędził z domu publicznego nagą prostytutkę, z którą się wcześniej zabawiał, i bijąc ją paskiem od spodni pędził ulicami miasta, ku wielkiej uciesze gawiedzi.

Kiedy indziej znów zgwałcił nianię carskich dzieci, której tak to się spodobało, iż później chadzała z dobrej woli do Rasputina, a szczególnie upodobała sobie wspólne kąpiele z mężem Bożym w tureckiej łaźni, kiedy ów grzesząc z nią cieleśnie, przy pomocy tegoż grzechu – co było zgodne z jego nauką – pomagał się jej zbawić.

Jak to się stało, trudno powiedzieć, widocznie jednak na tę kobietę przyszło opamiętanie i wszystko co wprzód czyniła, opowiedziała popu na spowiedzi. Duchowny nasłuchawszy się o „nabożeństwach" jakie Rasputin odprawia ze swoimi „duchowymi córkami", zaniepokoiwszy się, iż ów libertyn, mając przemożny wpływ na carówny i carewicza może ich zdeprawować, nakazał swej penitentce wszystko ujawnić.

Niania, posłuszna nakazowi popa, uczyniła jak jej powiedział.

Cóż z tego jednak, kiedy Mikołaj II absolutnie nie dał wiary owym rewelacjom i najpierw orzekł, iż kobieta po prostu skłamała, a później, iż bez wątpienia jest umysłowo chora.

Po takim wyroku imperatora, biedną nianię czym prędzej odtransportowano na – jakbyśmy to dzisiaj powiedzieli – leczenie psychiatryczne na Kaukaz.

Bawiąc na tejże kuracji, przedziwnym zbiegiem okoliczności spotkała arcybiskupa metropolitę Antoniego, któremu opowiedziała o swoich przygodach z Rasputinem, i o tym, jaki zgubny wpływ wywiera on na carskie dzieci.

Metropolita pojąwszy jakiegoż to niebezpiecznego człowieka car gości pod swoim dachem, czym prędzej udał się do Petersburga i poprosiwszy monarchę o audiencję, błagał go, iżby przepędził Rasputina.

Mikołaj II wszakże skrzywił się tylko i odrzekłszy arcybiskupowi, że to sprawa rodzinna, a jemu nic do niej, czym prędzej go odprawił. Na próżno Antoni przedkładał carowi, że to bynajmniej nie rodzinna, ale państwowa – najwyższej wagi, bo dotycząca przyszłości następcy tronu, a zatem i Rosji – sprawa. Imperator ani myślał go słuchać.

Grisza tymczasem coraz bardziej rozwijał swoją akcję misyjną. Czując swój ogromny wpływ na prawie wszystkich, ten niecny ulubieniec cara i carycy zamieszkał w wytwornym domu przy ulicy Gorochowskiej ogłaszając, iż od tej chwili dwa razy w tygodniu będą się tam odbywały zebrania jego „duchowych oblubienic", zwolenniczek kultu „pocieszenia i modłów".

Jak łatwo się domyślić to postanowienie „mnicha", rozniosło się lotem błyskawicy po salonach.

Rychło też do tego mieszkania, popłynęła fala dam, ślepo zapatrzonych w Rasputina, aby czynnie uczestniczyć w jego nabożeństwach i słuchać jego nauk.

Damami, które uczestniczyły w „obrzędach" były między innymi: wielka księżniczka Olga, córka cara, księżniczka Bojarska, hrabina Jepanczin, pani Pistodkow, siostra pani Wyrubowej, i wiele, wiele innych wysoko urodzonych i dystyngowanych pań i panienek.

Chociaż Rasputin nie był kimś nowym, a przez to tylko wzbudzającym ciekawość, i że od dawna głosił swoje nauki i sprawował „obrzędy", i to zarówno w swym mieszkaniu, jak i w Carskim Siole, ciągle zdobywał coraz to i nowe wyznawczynie, które udało mu się omamić, i które oddawały mu się z duszą i ciałem (i to wcale nie w przenośni). Z jakże z wieloma z nich prowadził „prywatne rozmowy" za zamkniętymi drzwiami swojej sypialni!

Wszystko to działo się pod samym bokiem carskiego dworu, to co wyczynia Rasputin było publiczną tajemnicą, ale mógł on działać bez najmniejszych nawet przeszkód, nie bojąc się z nikąd żadnych nieprzyjemności, bo tak car, jak i caryca byli zaślepieni.

Aby jednak owo zaślepienie zrozumieć, a być może i nawet próbować je usprawiedliwić (o ile taką głupotę usprawiedliwić można), należy pamiętać o tym, że Grisza nie jeden raz uratował życie chorującemu na hemofilię następcy tronu, carewiczowi Aleksiejowi.

Przez długi czas caryca rodziła córki, ciągłość następstwa tronu w głównej linii Romanowych była zatem zagrożona. Czyniono więc starania – nie odżegnując się bynajmniej

od różnej maści szalbierzy i oszustów i wzywając też na pomoc nadprzyrodzone – byle tylko w rodzinie carskiej pojawił się wreszcie i potomek męski.

Skoro zatem modły pary monarszej zostały już wysłuchane, a solenne nabożeństwa dziękczynne odprawione, okazało się, iż Wielki Książę Aleksiej jest chory i to nader poważnie, na niebezpieczną chorobę krwi, zwaną hemofilią, a po polsku krwawiączką, którą *Encyklopedia Popularna PWN* z 1989 roku tak oto defininiuje:

„KRWAWIĄCZKA (hemofilia), dziedziczne schorzenie występujące w zasadzie u mężczyzn (przenoszone na potomstwo przez kobiety), polegające na zaburzeniu krzepnięcia krwi, prowadzącym nawet przy drobnych urazach do krwawień trudnych do zahamowania”. (s. 381)

Nawet i dzisiaj, choć medycyna dysponuje już o wiele lepszymi i skuteczniejszymi lekami niż na początku obecnego stulecia, hemofilie zalicza się do chorób poważnych, wówczas zaś choremu na nią ustawicznie zaglądała śmierć w oczy.

Jakże trudno było z nią żyć, normalnie żyć, dziecku, które chce się bawić, skakać. To wszystko bowiem miało ono zakazane. Wystarczyło tylko lekkie zadrapanie, albo stłuczenie, a już zaczynały się poważne problemy.

Nic zatem dziwnego, że gdy para cesarska przekonała się, że „świątobliwy” Grigorij, przy pomocy samych tylko modłów i jakichś jeszcze niejasnych magicznych rytuałów, umie za każdym razem zażegnywać niebezpieczeństwo grożące następcy tronu, uwierzyli w jego nadludzką moc.

I w tym jednym, jedynym przypadku Rasputin rzeczywiście mógł być traktowany jako nadczłowiek.

Po raz pierwszy Grisza mógł się pochwalić swymi uzdrowicielskimi właściwościami zaraz na początku roku 1907. Aleksiej doznał wówczas obrażenia wewnętrznego i – oczywiście – krwotoku. Lekarze świadomi swoich ograniczonych możliwości, po długiej, oraz przegranej walce z chorobą, bezradnie rozłożyli ręce. Nadzieja pozostawała tylko w Bogu. Wszyscy byli przekonani, iż carewicz umrze.

I oto naraz pojawia się Rasputin. Przypada do łóżka umierającego dziecka, pochyla się nad nim, coś mamrocze pod nosem, rękoma kreśli jakoweś dziwne znaki nad głową chorego, potem pada u wezgłowia na kolana i modli się, żarliwie i gorąco się modli.

Czy wówczas, gdy „mnich” żądał dopuszczenia go do Aleksieja ktokolwiek, łącznie z carem i carycą – wierzył, iż oto zbliża się uzdrowiciel dziecka? Na pewno nie. Griszy pozwolono na odprawienie „uroków” nad umierającym, bo i tak już z nikąd nie można było oczekiwać pomocy, a ponadto – jak głosi stare przysłowie – „tonący brzytwy się chwyta”.

Po modłach Rasputina carewiczowi z godziny na godzinę, z minuty na minutę zaczęło się poprawiać, tak że już wkrótce wstał w pełni sił i taki, jakby mu wprzód nie zagrażało niebezpieczeństwo utraty życia.

Można by mieć, odnośnie tego niezwykłego daru Griszy poważne zastrzeżenia. Można by wszystko zbyć machnięciem ręki i stwierdzeniem, iż wszystko to czysty przypadek i nic nadto, gdyby... gdyby nie jedno – mianowicie to, że Rasputin leczył następcę tronu nie jeden raz, a czynił to po wielokroć.

Byli naoczni i wiarygodni świadkowie, którzy widzieli na własne oczy, jak „święty człowiek” obniżał ponad 40° gorączkę carewicza poprzez trzymanie dłoni chorego we własnych dłoniach.

Bardzo ciekawy będzie przypadek wyleczenia Aleksieja przez Rasputina, jaki miał miejsce w 1912 roku. A oto jego krótki opis:

Na początku miesiąca października imperator Mikołaj II przybył wraz z rodziną do Polski, a konkretnie do Spalskich Lasów nad Pilicę (niedaleko Piotrkowa). Było to bowiem ulubione miejsce polowań cesarza, w którym i tym razem zamierzał zażyć owej przyjemności.

Pewnego dnia następca tronu po przejażdżce łódką, tak wyskoczył z niej na brzeg, iż uderzył się biodrem o burtę. Na początku całe zdarzenie uznano za niegroźne, ale po dwóch tygodniach, 19 października, w zgięciu w pachwinie zjawił się obrzęk, potem opuchło biodro, a na koniec raptownie podniosła się temperatura.

W pośpiechu zawezwani lekarze dworscy Fiodorow, Botkin i Rauchfus stwierdzili wystąpienie krwawego obrzęku, który się powiększał. Należało czym prędzej dokonać zabiegu chirurgicznego. Niestety ten ostatni, biorąc pod uwagę hemofilię carewicza, był jeszcze bardziej niebezpieczny niż sam obrzęk. Sytuacja okazała się bez wyjścia.

Tymczasem temperatura rosła z godziny na godzinę. 21 października osiągnęła ona 39,8°C. Stan carewicza Aleksieja był krytyczny.

Lekarze taili, że spodziewają się najgorszego. Car i caryca ani na moment nie oddalali się od posłania swego jedynego syna. We wszystkich kościołach Spały i okolicy zarządzono nieustanne modły w intencji wyzdrowienia następcy tronu. Tylko księża zmieniali się przed ołtarzami.

Zgodnie z rozkazem cara, odprawiono niezwykle uroczystą św. Liturgię (mszę) w Moskwie, przed cudownym obrazem Matki Boskiej Iwerskiej.

W Petersburgu od rana do wieczora odbywały się modły błagalne w Kazańskim Soborze, na które przybywały tak liczne tłumy, że świątynia była stale przepełniona.

I oto naraz zdziwienie. Caryca Aleksandra Fiodorowna 23 października, choć blada i wymizerowana, pojawiła się w pokoju gościnnym, w którym podówczas przebywały jak najbardziej wiarygodne osoby: dyżurny adiutant cara pułkownik Naryszkin, frejlina księżna Jelizawieta Oboleńska, Sazonow i hrabia Władysław Wielopolski pełniący honory naczelnika monarszego polowania.

Caryca stanąwszy w progu uśmiechnęła się promiennie i rzekła:

„– Chociaż lekarze nadal utrzymują, że stan Wielkiego Księcia Aleksieja jest beznadziejny, ja już przestałam się o niego martwić."

Gdy ujrzała pytające, pełne zdziwienia spojrzenia zebranych, dodała:

„– Dzisiejszej nocy otrzymałam telegram od ojca Grzegorza, w którym pisze tak: «Gospod – Bog zobaczył twoje łzy, a do Jego uszu dotarły twoje modlitwy. Nie martw się. Twój syn będzie żył.»"

Ufność i wiara carycy w zapewnienie tego ciemnego mużyka były co najmniej zastanawiające. Czy jednak pozbawione podstaw? Nie!

Oto bowiem zupełnie wbrew diagnozom i przepowiedniom lekarzy, którzy Aleksieja nieodwołalnie skazali na śmierć, już następnego dnia stan chorego uległ ogromnej poprawie. W ciągu doby temperatura obniżyła się, a obrzęk i krwiak znikły całkowicie po dwóch dniach. Wielki Książę był uratowany.

Nadludzkie moce Rasputina naprawdę musiały być niesamowite, skoro umierający na nieuleczalną chorobę człowiek całkowicie wyzdrowiał i to w tak krótkim czasie. Ba! Czarodziej – Grisza nawet nie musiał widzieć chorego! Wystarczyło telegraficzne zapewnienie, że choroba ustąpi. I ustąpiła. Znów przypadek?

Raczej nie, ponieważ Grisza niejednokrotnie uzdrawiał różnych ludzi n a o d l e g ł o ś ć, a szczególnie dobrze mu szło obniżanie zbyt wysokiej temperatury.

Dowody swych niepospolitych umiejętności dał jeszcze – w przypadku również już konającego carewicza Aleksieja – w 1913 roku.

Czy to było wszystko, co „mnich" potrafił czynić, a co nie mogło być ani wówczas, ani teraz wytłumaczone przez naukę, przez medycynę?

Nie. Rasputin potrafił też prorokować.

Wielokrotnie przepowiadał mające dopiero nadejść wydarzenia, i wielokrotnie jego przepowiednie się sprawdzały. Chociaż – oczywiście – nie wszystkie.

Między innymi nie sprawdziła się ta, że carewicz zupełnie wyzdrowieje i raz na zawsze pozbędzie się hemofilii, po ukończeniu dwudziestego roku życia. Niestety, młodemu następcy tronu nie dane było dożyć tej chwili, wcześniej zamordowany.

Za to inne jego przepowiednie sprawdzały się co do joty. A między innymi i ta, którą wygłosił do carycy:

„– Ech, mamasza! Ty wiedz jedno. Dopokąd ja żyję, to i ty żyjesz i nic ci nie grozi, ale kiedy ja żyć przestanę, to i ty umrzesz, ale najpierw stracisz koronę."

Czy znowu zbieg okoliczności, przypadek?

A czy zbiegiem okoliczności, przypadkiem będzie publiczne przepowiedzenie śmierci Piotrowi Stołypinowi, premierowi, ministrowi spraw wewnętrznych, światłemu człowiekowi i nieprzejednanemu wrogowi Rasputina? I rzecz szczególna – przepowiednia owa sprawdziła się nieomal natychmiast.

I jeszcze w inny sposób Grigorij udowodnił, że nie jest zwykłym człowiekiem, a osobą o naprawdę nadludzkich mocach, a dowodu owego dostarczył w dniu swojej śmierci.

Nie uprzedzajmy jednak faktów.

Rasputin zatem mógł wiele, był ceniony przez rodzinę carską i przez niezliczone zastępy pań z towarzystwa, dzięki którym mógł wieść życie bogate, bez trosk i zmartwień. Tak, mógłby opływać we wszelkie dostatki. Niestety, jak każdy człowiek publiczny, wpływowy, miał on również śmiertelnych wrogów, którzy za wszelką cenę usiłowali Griszę zniszczyć.

Do najzacieklejszych jego nieprzyjaciół zaliczyć trzeba wyższe duchowieństwo, które ongiś utorowało mu drogę do cara. Ale nie tylko ono. Nienawidziło Griszę także wiele, wiele innych osób. Zdradzeni mężowie, porzuceni kochankowie, narzeczeni wystawieni na pośmiewisko.

Nienawidzili go wysocy urzędnicy państwowi, i część arystokracji, upatrujący w Rasputinie źródło wszelkich nieszczęść, jakie spadały na Rosję.

Z czasem powstał spisek mający na celu zgładzenie „świętego mnicha".

Wieczorem 16 grudnia 1916 roku w pałacu księcia Feliksa Jusupowa zebrali się spiskowcy: sam gospodarz, krewniak cara – Wielki Książę Dymitr Pawłowicz, zawodowy żołnierz, oficer Suchotin, poseł do Dumy, jeden z przywódców „czarnej sotni", Władimir Puryszkiewicz, i lekarz, Polak, Stanisław Łazowert.

Zebrani mężczyźni czekając na przybycie ojca Grigorija, którego zaprosił tego wieczora do siebie pupilek Rasputina, książę Jusupow. Zebrani zdecydowali się wybawić Rosję i carską rodzinę spod wpływu tego awanturnika i rozpustnika.

Dlatego też doktor Stanisław Łazowert zatruł ulubione wino i ciasteczka, którymi zamierzano poczęstować Griszę.

Gdy Grisza przybył i zażądał widzenia się z księżną Iriną, którą miał wielką ochotę przerobić na swoją „duchową córkę", nie można było oczywiście spełnić tego żądania, ponieważ Jusupow wysłał był ją wpierw daleko od Petersburga. Tak było bezpieczniej.

Tymczasem Grisza z uporem żąda widzenia się z Iriną. Więc Jusupow jak może, tak zagaduje „świętego starca", jednocześnie podsuwając mu nafaszerowane trucizną ciasteczka i pojąc go winem, również obficie zaprawionego trucizną.

Rasputin je, pije i wcale sobie nie skąpi, ale ani myśli umierać. Przez cały czas ma się najzupełniej dobrze!

Książę Feliks traci głowę. Czyżby ten niedomyty staruch z czarnymi obwódkami za paznokciami, rzeczywiście był cudotwórcą?

Postanowili go jednak zgładzić. Zgładzić za wszelką cenę, dlatego też Jusupow pożycza rewolwer od Wielkiego Księcia Dymitra, strzela Rasputinowi w plecy i wybiega z salonu, aby dołączywszy do reszty spiskowców naradzić się nad dalszym postępowaniem.

Gdy po dłuższej chwili wraca z Puryszkiewiczem na miejsce zbrodni, aby usunąć trupa z pałacu, obydwaj z przerażeniem widzą, jak rzekomo zabity Grisza podnosi się na nogi i z

rykiem rzuca się na nich. Potem porzuca zamiar uduszenia księcia Feliksa i pędzi w stronę drzwi wejściowych, aby ujść zabójcom. Dopiero trzy strzały, jakie oddał Puryszkiewicz, powalają go na ziemię.

Wówczas spiskowcy pakują ciało Rasputina do worka i krępują go po wierzchu sznurami, po czym transportują nad Newę, gdzie zwłoki topią pod lodem.

Mijają dwa długie dni niepewności i oto ciało „ojca" Grzegorza zostaje odnalezione. Na wieść o tym, że trup miał ręce uwolnione z krępujących go więzów, zabójców ogarnęło zdumienie połączone z przerażeniem. A zatem gdyby nie gruba warstwa lodu na rzece, przez którą osłabiony trucizną i zraniony postrzałami nie mógł się przebić, Grisza uszedłby z życiem!

A zatem? Czyż nie był to niezwykły człowiek? Człowiek obdarzony nadludzką mocą?

Co było dalej? Dalej zarządzono śledztwo, które choć jasno wskazało winnych śmierci Rasputina, to jednak nie było w stanie niczego im udowodnić.

Zwłoki „starca" pogrzebano z honorami (roniąc przy tym obficie łzy) w przepięknym parku cesarskim w Carskim Siole, a „duchowa córeczka" Griszy, Anna Wyrubowa, poczęła nad grobem cudotwórcy wznosić kaplicę.

A później przyszła rewolucja, która zmiotła nie tylko z tronu, ale również i z pośród żyjących Mikołaja II i całą jego rodzinę.

Trupa Rasputina zaś wyrwano z ziemi, bolszewicy rzucili go na stos drew, polali benzyną i podpalili, tak aby nie został po nim najmniejszy nawet ślad.

Tylko jego „duchowym córkom" długo jeszcze dźwięczały w uszach słowa, słowa, którymi „święty" je nawracał:

„– Jednym tylko raskajanijem (pokutą) możemy osiągnąć zbawienie. I dlatego trzeba nam grzeszyć, aby mieć powód do raskajanija. Kiedy Bóg zsyła na nas pokusę, my powinniśmy przyjmować ją z radością, i chciwie, i grzeszyć, aby móc potem pokutować. Córki moje! Czyż pierwsze słowo życia i prawdy, którą Chrystus przyniósł dla nas ludzi, nie brzmiało: «Czyńcie pokutę!... » Ale jakże ją czynić, jeśli się wcześniej nie grzeszyło?..."

I nawet czas jest bezsilny – Rzecz o Teresie Izabeli Morsztynownie, wojewodziance sandomierskiej

Gdy w Sandomierzu wyjdzie się poza obręb Starego Miasta, ongiś obwiedzionego murami, i ulicą Mickiewicza skieruje w stronę parku porastającego Wzgórze Świętego Wojciecha, dostrzeże się bezstylowy, kościół św. Józefa oraz przylegające doń budynki dawnego klasztoru O.O. Franciszkanów–Reformatów.

Ojcowie Reformaci przybyli do Sandomierza na zaproszenie mieszkańców i okolicznej szlachty (wbrew woli biskupa i innych miejscowych zakonów) w roku 1672, zaś w roku 1690 ostatecznie ukończyli budowę własnej świątyni. Reformatów z Sandomierza, po upadku powstania styczniowego, wypędził ukaz cara Aleksandra II z roku 1864.

W czasach gdy zamieszkiwali w tym mieście, cieszyli się wielkim szacunkiem tak ludności miejscowej, jak i też i tej z odleglejszych stron Sandomierszczyzny.

Gdy przez wielkie drzwi, usytuowane w zachodniej ścianie świątyni, wejdzie się do jej wnętrza i stanie twarzą do głównego ołtarza, to po prawej stronie, pod chórem, można dostrzec w posadzce ułożonej z kamiennych płyt, sporą drewnianą pokrywę, zamykającą wejście do podziemi.

Mieściły niegdyś one w sobie liczne (ponad tysiąc!) pochówki zarówno zakonników, jak i osób świeckich, których dokonywano od schyłku XVII wieku, aż do kasaty zakonu.

Krypty pod posadzką poreformackiego kościoła św. Józefa kryły prochy licznych możnych tego świata, którzy nader chętnie wybierali je na miejsce wiecznego spoczynku. Warto wspomnieć, iż tylko w latach 1724–1758 dokonano tu ponad 400 pochówków. Doprawdy, imponująca liczba. I nie grzebano tu byle kogo.

Nie to jednak, iż możni tego świata spoczywają w podziemiach kościoła św. Józefa jest ważne, mimo że jest ich setki. I tych wszystkich umarłych, którzy tu znaleźli ostatnią ziemską przystań, ważny i intrygujący jest tylko jeden pochówek – Teresy Izabeli Morsztynówny, wojewodzianki sandomierskiej, zgasłej w roku 1698, panny bardzo pięknej, gruntownie wykształconej i nadzwyczaj pobożnej.

Gdy poprosimy siostrę zakonną mającą pieczę nad porządkiem w kościele, ta uniósłszy drewnianą pokrywę odsłoni mroczny prostokąt wejścia do podziemi i pozwoli nam zstąpić na dół po niezbyt wygodnych, nadjedzonych zębem czasu, schodkach.

Niedaleko wejścia znajduje się niewielka krypta bez okien, mieszcząca tylko jedną trumnę o przeszklonym wieku, umieszczoną na podwyższeniu.

Mocne światło nagiej elektrycznej żarówki pozwala dobrze się przyjrzeć zwłokom spoczywającym tu od trzystu lat. Przez szybę widać szczupłą dziewczęcą postać w ozdobnym kontusiku, o rękach splecionych na piersi, ubranych w rękawiczki, i poczerniałej od kurzu stuleci twarzy, przypominającą rzeźbę wykonaną z ciemnego drewna.

Teresa Izabela Morsztynówna po śmierci – mimo iż nie poddano jej zabiegom mumifikacyjnym – nie uległa rozkładowi i w doskonałym stanie zachowana, przetrwawszy burze stuleci, wojny napoleońskie, powstania narodowe, dwie wojny światowe, stanowi świadectwo tego, iż nie wszyscy i nie zawsze muszą podlegać nieubłaganym prawom przemijającego czasu. Ona temu czasowi nie uległa.

Na czym właściwie polega fenomen Teresy Izabeli Morsztynówny? Przecież naturalne, spontaniczne mumifikacje się zdarzają i nie stanowią aż tak wielkiej rzadkości. Oto co na ów temat można wyczytać w podręczniku medycyny sądowej:

„Strupieszenie, czyli m u m i f i k a c j a zwłok, polega na stosunkowo prędkim ich wyschnięciu (zanim procesy gnilne zdążą doprowadzić do rozkładu). Zdarza się to, jeśli zwłoki pozostają w s u c h y m i p r z e w i e w n y m m i e j s c u (np. na strychu, w krypcie itd). W tych warunkach mogą one utracić około 85% swego ciężaru. Narządy wewnętrzne stają się małe, a skóra pomarszczona i twarda (...)”

(Tadeusz Marcinkowski, Medycyna sądowa dla prawników, Warszawa 1982, s. 110)

Zanim jednak zajmiemy się rozważaniami nad niezwykłością zachowania się nienaruszonych zwłok Teresy Izabeli, wpierw opowiedzmy o niej – choćby najkrócej.

Otóż, była ona córką Stanisława Morsztyna pieczętującego się Leliwą i Konstancji z Oborskich. Ojciec piastował wiele urzędów i godności, z których najważniejszym był urząd wojewody sandomierskiego, stawiający go w rzędzie najpierwszych panów Rzeczypospolitej (dokładniej: jako trzeciego z dygnitarzy po panach krakowskim i poznańskim).

Teresa Izabela urodziła się 19 października 1680 roku, jako trzecie dziecko Stanisława. Miała dwu starszych braci: Jana Kazimierza i Antoniego Andrzeja.

W roku 1681 Morsztynowie zamieszkali na stałe w swym majątku Chorzelów k. Mielca, w Ziemi Sandomierskiej. Stanisław Morsztyn, człowiek światły, sam zresztą parający się poezją, dbał o wykształcenie dzieci, w tym i córki. Posłał ją na naukę do P.P. Sakramentek do Warszawy, gdzie poznawała języki polski i francuski, gramatykę, religię, podstawy arytmetyki. Wiadomo też, że potrafiła grać na lutni. Cóż, jak na owe czasy, umiała wiele.

Po kilku latach spędzonych u Sakramentek powróciła do rodzinnego dworu, do Chorzelowa. Według tamtoczesnych świadectw była nadzwyczaj piękna, bardzo miła w obejściu. Jeżeli dołożymy do tego wykształcenie, majętność i fakt, iż się było córką wojewody sandomierskiego, nietrudno zgadnąć, że stanowiła jedną z najatrakcyjniejszych partii w kraju.

Toteż rodzice liczyli na to, iż wyjdzie za mąż za kogoś godnego jej ręki – mężczyznę świetnego pod każdym względem. Niestety, nie były to pragnienia samej Teresy Izabeli. Ona pożądała czegoś zgoła innego – chwały i szczęścia w niebie. Wiedziała, że najprostsza droga do raju wiedzie przez klasztor, postanowiła tedy odciąć się od świata i przywdziać habit mniszy.

Nie chciała tego wszakże czynić nagle, nie pragnęła bowiem aby rodzice przeżyli szok, zatem starała się powoli do owego ich przygotować.

Przez cały ów czas oddawała się praktykom religijnym, codziennie odwiedzając kościół chorzelowski, czasem udając się do kościoła w Mielcu, zaś obowiązkowo, we wszystkie większe święta, jeździła do Sandomierza, gdzie uczestniczyła w nabożeństwach u O.O. Reformatów od św. Józefa, których darzyła szczególną sympatią i zaufaniem.

Ale oto stało się coś, co przekreśliło plany zarówno rodziców, jak i samej Teresy Izabeli. W początku sierpnia 1698 roku bowiem, licząca niespełna osiemnaście lat dziewczyna, zapadła na nieznaną chorobę.

Już w pierwszych dniach od zachorowania oświadczyła, że nie powróci do zdrowia. Poprosiła tedy, aby sprowadzono do niej O.O. Reformatów z Sandomierza, iżby ci ekspediowali ją na śmierć. I tak też się stało.

Po spowiedzi, Komunii św. i przyjęciu ostatniego namaszczenia, na wypadek gdyby mimo wszystko Bóg zachował ją przy życiu, złożyła ślub czystości i obietnicę wstąpienia do klasztoru. Sprawdziło się jednak jej pierwsze przeczucie, przeczucie zbliżającego się końca i w dniu 15 sierpnia, w święto Wniebowzięcia N.M.P., Teresa Izabela zgasła.

Zgodnie z jej życzeniem przewieziono ją do Sandomierza i pochowano w podziemiach kościoła św. Józefa, gdzie spoczywa do dziś.

A teraz wróćmy do zachowania niezwykłości jej ciała w stanie nienaruszonym.

Otóż, od śmierci do pogrzebu minął tydzień, podczas którego zwłoki przewieziono na odległość 50 km. Był sierpień, a więc ciepło, upał, co sprzyjało szybkiemu psuciu się ciała, a to przecież nie nastąpiło. Od zgonu do wyjazdu z Chorzelowa doczesne szczątki Teresy Izabeli na pewno nie były przechowywane ani na strychu, ani w suchej, przewiewnej piwnicy, a choćby i nawet, to i tak w ciągu tych kilku dni nie mogły zdążyć wyschnąć. Później, gdy je transportowano, również wyschnięcie nie było możliwe. Zmieniające się podczas niełatwej podróży warunki otoczenia skutecznie to uniemożliwiały.

Gdy wreszcie przywieziono ją do Sandomierza, po pogrzebie została umieszczona w podziemiach kościoła św. Józefa, gdzie absolutnie nie ma warunków, które mogłyby umożliwić proces naturalnej mumifikacji.

Wszystkie, podkreślam to: wszystkie (z jednym, jedynym wyjątkiem ciała zakonnika, zmarłego w opinii świętości) z pochowanych tam zwłok, a było ich – jak wcześniej wspominałem bardzo dużo – uległy ca rozkładowi. Rozkładowi uległy także ciała obojga rodziców Teresy Izabeli, którzy kazali się pochować o b o k c ó r k i.

A zatem ani zbieg okoliczności uniemożliwiający wyschnięcie ciała, bo wykluczał go transport, ani tym bardziej właściwości miejsca pochówku, bo w proch zapadli się inni tam pogrzebani, nie wyjaśniają fenomenu Teresy Izabeli Morsztynówny. Zatem co może go wyjaśnić?

W krótkim czasie po śmierci dziewczyny lud miejscowy zaczął żywić przekonanie, że zgasła ona *in odore sanctitatis* i rozpoczął się prywatny kult jej osoby. O świętości córki byli chyba też przekonani i rodzice, skoro zdecydowali się osiemnaście lat po zgonie otworzyć trumnę. Co spodziewali się zobaczyć? Chyba coś niezwykłego. I rzeczywiście, tak właśnie się stało.

„Już w r. 1716 na prośbę rodziców otworzono trumnę Teresy Izabeli i okazało się jak zapisano – że ciało jej było „zupełnie całe i bynajmniej nieskażone".

Po raz drugi otworzono trumnę po dalszych 18 latach, tj. w r. 1734, i wówczas także ciało jej „widziane było w tejże całości i b i a ł o ś c i (podkr. – A. J. S.). Kilka lat później, w r. 1742, gdy trumna z upływem lat już się rozsypywała, z polecenia prowincjała Stefana Horodyńskiego dano nową trumnę, a przełożone do niej ciało Teresy Izabelli znów „całe i nieskażone znaleziono, dlaczego w wielkiej uczciwości i opinii świątobliwości u wszystkich jest ta przezacna i pobożna panna, a Pan Bóg i tem zachowaniem jej w całości pokazuje, jako mu się niewinna jej dusza podobała". Później zaglądano do trumny jeszcze w r. 1784, a kronikarz zanotował: „podziwialiśmy ciało tej pobożnej dziewicy całkiem nienaruszone i to stwierdziliśmy własnemi rękami."

*(*O. Jan Pasiecznik OFM*, Teresa Izabella Morsztynówna 1680 – 1698,* Sandomierz 1980, s. 171*)*

A dziś? Po 300 latach? Dziś twarz Teresy Izabeli, na której przez wieki osiadał pył, stała się brunatna, ktoś uszkodził jej nos. Gdy spoglądamy w tę twarz przez szklane wieko trumny zdaje się, iż widzimy zwyczajną mumię i nic nadto.

Jakiż jednak przeżylibyśmy szok, gdyby pozwolono nam owo wieko zdjąć i odchyliwszy odzież spojrzeć na ciało pod nią ukryte. Do dziś bowiem nie utraciło ono swego naturalnego koloru i ma wygląd taki, jak ciało osoby ż y j y c e j i to jest właśnie największy zagadką.

Duch popa z Cmentarza Katedralnego –Trzy relacje

Pan S., a było to latem roku 1935 lub 1936, około północy, udawał się dorożką na stację kolejową. Wyjechali z ulicy Listopadowej i jadąc ulicą Mickiewicza w stronę Zawichojskiej ujrzeli coś niezwykłego. Otóż z bramy Cmentarza Katedralnego wyszedł ubrany w sutannę, z krzyżem napierśnym, długimi siwymi włosami i brodą, duchowny prawosławny. Przeszedł przed bryczką, strasząc konie, które na jego widok zareagowały rżeniem, parskaniem i rzucaniem się w uprzęży.

Tymczasem duchowny nie zważając na to zupełnie, wszedł do parku po drugiej stronie ulicy i spokojnym krokiem udał się w kierunku zabudowań dawnego klasztoru O. O. Reformatów. Podczas zaborów znajdowała się w nim prawosławna parafia pod wezwaniem św. Archanioła Michała, zaś w okresie międzywojennym dowództwo 2 Pułku Piechoty Legionów, a więc obiekt niedostępny dla cywilów (nie mówiąc już o księżach prawosławnych!)

– I cóż w tym niezwykłego? – możecie zapytać. Ano na razie nic. Ale nim przejdę do następnej relacji, kilka słów wyjaśnienia. Otóż z chwilą odzyskania niepodległości przez Polskę, parafię prawosławną w Sandomierzu zlikwidowano. Mieszkający tu Rosjanie (poza dwiema czy trzema rodzinami) wyjechali i nie było też duchownego wschodniego wyznania. Skąd się zatem wziął ten ostatni i to w środku nocy, w drugiej połowie lat trzydziestych, na owym cmentarzu? Czyżby jaki przejezdny odwiedzał mogiłę bliskiej osoby, albowiem grzebano tam również prawosławnych? Może. Nieżyjący już dziś pan S. aż do śmierci, z uporem godnym lepszej sprawy, twierdził, iż obydwaj z woźnicą widzieli upiora.

***

Doktor R. wiosną 1945 lub 1946 roku został około północy wezwany do chorego. Wypadło mu przejść obok bramy Cmentarza Katedralnego. Śpieszył się, szedł zatem dość szybko i nieomal nie wpadł na akurat wychodzącego z niej prawosławnego księdza. Zatrzymał się, aby go przepuścić i przy okazji przyjrzał mu się dokładnie. Miał go na wyciągnięcie ręki, a pobliska latarnia dawała sporo światła.

Ksiądz był w sutannie (*riasie*), na piersiach wisiał mu na łańcuchu srebrzysty krzyż i miał siwiutkie jak gołąbek włosy i brodę. Wszelako jego twarz nie była twarzą żywej istoty, lecz trupiosina, o martwych oczach, twarzą upiora. Przeciął jezdnię i wszedłszy do parku, skierował się w stronę dawnej cerkwi św. Michała.

***

I wreszcie ostatnia relacja, pochodząca z lipca lub sierpnia 1976 roku. Młodzieniec P. zasiedział się u swojej dziewczyny dłużej niż zwykle i wyszedł od niej tuż przed pierwszą w nocy. Najbliżej mu było do domu obok Cmentarza Katedralnego. Minął go i przeszedłszy na drugą stronę ulicy Mickiewicza, znalazłszy się na chodniku biegnącym równolegle do parku, odruchowo odwrócił się i spojrzał w bramę cmentarną. Była pełnia i jak twierdzi – prawie tak widno jak w dzień. I wtedy zobaczył wychodzącą stamtąd postać.

Przystanąwszy, czekał aby przyjrzeć się jej, gdy nieco się przybliży. Postać minęła jezdnię i szła dokładnie w stronę młodzieńca. Gdy była odeń zaledwie kilka kroków, z przerażeniem spostrzegł, iż to nie zwykły ksiądz, za jakiego go wziął, lecz dziwnie wyglądający duchowny prawosławny. I tym razem opis zjawy dokładnie pokrywa się z dwoma poprzednimi. Sutanna, krzyż napierśny, siwe włosy i broda, a także coś, o czym nie mówi pierwsza relacja, ale występuje w drugiej – trupiosina twarz i martwe oczy.

Cóż, trzy identyczne relacje ze spotkań z tą samą zjawą (na przestrzeni 40 lat), to chyba nie bujna wyobraźnia świadków? Lecz jeśli nie ona, to co?

Strzyga

Zdawało się jej, iż przypływa skądś, z jakowejś niezmierzonej dali, z czarnej pustki niepamięci i niebytu. Na razie była samą czystą świadomością i niczym ponadto. Zawieszona w próżni niedookreślonej, zawieszona pomiędzy istnieniem a nieistnieniem wiedziała tylko jedno, iż jest, iż po prostu jest.

I właśnie owa myśl natrętna pulsowała w mózgu:

– Jestem... Jestem... Jestem...

Nie wiedziała czy mijają sekundy czy wieki. Jej oczy nie rejestrowały obrazów. Jej uszy nie wychwytywały dźwięków. Cisza i ciemność. Wszechogarniająca, wszechobecna. nieskończona...

Lecz powoli, bardzo powoli jęła uświadamiać sobie, że poczyna podlegać przemianie. Odzyskiwała poczucie własnego ciała. Mrowienie w stopach, zdrętwiałe mięśnie rąk, nieprzyjemny ucisk w kręgosłupie.

Delikatnie poczęła poruszać palcami, jakby jeszcze nie dowierzając, iż może nimi władać zgodnie z własną wolą. A one – co za radość! – by posłuszne. Zginały się i rozprostowywały w rytm sygnałów wysyłanych przez umysł.

Jakiś ciężar przygniatał jej piersi. Nie, nic na nich nie leżało. To tylko gęste, znieruchomiałe powietrze nie chciało nakarmić płuc i chociaż w nie wnikało, nie syciło przecież.

Już była sobą. Prócz czucia wracała i pamięć. Przesuwały się w niej barwne obrazy przeszłych zdarzeń...

Było lato. Tak, było lato. Za oknem w miniaturowym ogródku rosły malwy. Lubiła się wpatrywać w ich różowe, bordowe, żółte czy białe kwiaty, które zdawały się do niej uśmiechać. Lubiła patrzeć jak pszczoły siadają na płatkach. A potem wsuwają się do środka i spiwszy słodki nektar odlatują ociężałe i cale oblepione żółtym pyłkiem.

Czasami też odwiedzała ją sroka. Była to bardzo odważna sroka. Bo zdarzało się, iż przycupywała na parapecie i przekrzywiwszy łebek, wpatrywała się w leżącą. A później odlatywała, śmiesznie – jak to sroka – machając skrzydłami.

Lubiła patrzeć na mrówki, które w nieustannej procesji, niestrudzenie przemierzały jedną i tę samą ścieżkę nadpróchniałego parapetu, kryjąc się v szparze pomiędzy futryną, a oblazłym z tynku ościeżem okiennym...

Lubiła patrzeć, leżąc wsparta na spiętrzonych za jej plecami poduszkach, bo cóż innego ponadto mogła czuć?

Malwy przekwitły. Obeschły brunatniejąc wysokie badyle niegdyś zielonych łodyg. Sroka nie zaglądała już do izby, bo okno zamknięto na głucho i nawet mrówki kędyś się zapodziały.

A później, później spadł pierwszy śnieg. Widziała jak wielkie, podobne do gęsiego puchu, płatki wirują w powietrzu i bezszelestnie osypując się z nieba, przykrywają ziemię. Gdy mróz stężał. Nawet pod wielką, ciepłą pierzynę zdarzało mu się wsuwać swe lodowate palce...

Przypomniała sobie, jak dzwoniły dzwony, wzywając na pasterkę. Leżąc tak tutaj, gdy mijały dnie, miesiące, gdy zmieniały się pory roku, nauczyła się rozróżniać ich dźwięki. Dzwonili u Fary, u świętego Piotra, u Marii Magdaleny... Dzwonili i w innych kościołach...

Ach, jakże pragnęła móc pokonać własną słabość, wstać, przyodziać się i pójść razem z gromadą ludzi tam, dokąd wzywały dzwony. Jakże chciała usłyszeć miłe skrzypienie zmarzłego śniegu pod stopami. Jakże chciała wydychać obłoczki pary, która szadzią osiadała na włosach niesfornie wymykających się spod chustki.

Dzwony przestały bić, a ona została sama z mrokiem. Z mrokiem i ciszą. Chyba wtedy płakała, chociaż nie pamięta na pewno. Wie jednak, iż za gardło schwycił ją bolesny skurcz i doznała odczucia bezsilnej wściekłości.

A potem?

Potem czas płynął jednostajnie. Skapywał miarowo, niczym krople wody z okapu dachu, kędy coraz cieplejsze i coraz wyżej wspinające się po firmamencie słońce, roztapiało brudny i zaskorupiały śnieg...

Wybielono izbę. Było czysto i schludnie. Pachniało świeżym wapnem, gotowanymi jajkami, kiełbasą, chrzanem i widłakiem, którym przyozdobiono jedzenie przeznaczone na Wielkanocne święta. Cały stół zastawiony był suto. Przyszedł diakon i poświęcił pokarm. Mówił coś do niej, nie pamiętała już słów, ale sens był taki, iż Pan Bóg doświadcza cierpieniem, aby wypróbować naszą wiarę jak ongiś, przed wiekami, wypróbował Hioba.

A potem?... Potem ktoś... nie pamiętała kto... Potem ktoś przyniósł jej bukiecik pierwszych złocistych podbiałów. Uśmiechnęła się do kwiatów. Wtuliła w nie twarz, chłonąc z lubością subtelny, ledwo wyczuwalny zapach przedwiośnia... I to było ostatnie, co pamiętała...

Teraz otaczał ją mrok i cisza. Czyżby była noc? Może. Ale dlaczego to łóżko jest tak niewygodne Takie twarde? I czemu płucom brakuje powietrza?

Czucie wróciło już całkowicie, a waz z nim jęły nią wstrząsać dreszcze. Całe ciało przeniknęło dojmujące zimno, wgryzając się w każde – zda się włókienko, przesączając się aż do wnętrza kości.

Poczęła drżeć. Szczękać zębami. Zimno i duszno.

„– O Boże! – myślała. – Dlaczego tu tak zimno i duszno?”

Chciała szczelniej otulić się pierzyną, wsunąć się pod nią z głową by rozgrzać skostniałe członki, ale próżno szukała jej rękoma. Pierzyny nie było. Za to place natrafiły na coś zupełnie innego. Po obydwu jej bokach znajdowały się deski.

„– Gdzież to mnie przenieśli? – myślała. – Czemu zabrali z mojego łóżka, i ułożyli na tej wąskiej pryczy? Och! Jezusie Nazareński, chyba nie zrobili mi tego, nie oddali do szpitala? Tak pamiętam, doktór owo radził. Chciał mnie zabrać do świętego Hieronima, albo do świętego Ducha. Ale ja się sprzeciwiłam. Przecie kto raz trafi do szpitala, już nie wychodzi stamtąd żywy... A może mi się pogorszyło i oddali jednak wbrew mojej woli?”

Poczuła nagły przypływ sił. Wiedziała, iż da radę unieść się o własnej mocy. Zresztą. musiała wstać, by sprawdzić gdzie się znajduje. Uniosła się tedy raptownie i... z jękiem bólu opadła na powrót na plecy.

Z całej mocy uderzyła bowiem głową o coś twardego, o coś, co znajdowało się tuż, ponad nią. Przed oczyma zatańczyły kolorowe pozłociste skry. Raz jeszcze jęknęła cicho. Gdy ból nieco stępiał wciągnęła ostrożnie dłonie ku górze, by dotykiem zbadać to, o co rozbiła czoło. To była deska.

Jakiś lęk, zrazu niewielki, ale potężniejący z każdą chwilą. zdławił ją. Poczuła bolesny ucisk w krtani, a potem zdało się jej iż włosy powoli podnoszą się na głowie.

Na oślep dookoła. macała rękoma.

Deski. wszędzie deski, chropowate i pachnące jeszcze żywicą. Deski z przodu, z tyłu, z boków, deski nad głową. Wyczuwała palcami miejsca, w których się łączyły. Wyczuwała nierówności i sęki.

Nie chciała tej myśli dopuścić do siebie, broniła się przed nią z całą mocą, wyrzucała precz z umysłu. Ale ona natrętna, jedyna logiczna, ustawicznie wracała... Wracała....

Zrozumiała, iż znajduje się w trumnie.

Zimny pot uperlił jej czoło. Kiedyś, gdy jej mówiono, iż pot może być zimny, nie potrafiła tego pojąć. A teraz taki właśnie wypłynął z każdego poru jej skóry, ściekał wzdłuż policzków lodowatymi strużkami.

„– A zatem tak wygląda śmierć? Boże!”

Zastanawiała się dokąd trafiła. Ciemność i cisza. Nie, to nie było niebo. W niebie jest pięknie i jasno. Zatem piekło? A może czyściec? Nie, nie piekło i nie czyściec. Przecież czuła ciało! Miała ciało! Oddychała – to prawda, że z trudem, ale przecież oddychała. A zatem?... Zatem żyła. Bo oddech to życie.

Bezgłośnie poruszała wargami, prosząc Boga o zmiłowanie. Teraz nareszcie wszystko było jasne i oczywiste. Pogrzebano ją żywcem! Załkała przejęta grozą i bólem. Zaskomliła niczym pies.

„– Och! Tylko nie to! Nie to! Jezus, Maria, Józef, ratujcie mnie!”

Uzmysłowiła sobie, iż musi – choćby na kilka chwil – zdusić w sobie strach, by zastanowić się nad sytuacją i uporządkować myśli.

„– Tak, jestem w trumnie. Lecz gdzie się ona znajduje? Jeśli w ziemnym grobie, to koniec. To długie minuty konania, gdy do ostatka wyczerpie się powietrze we wnętrzu skrzyni... A może... Może jednak nie? Kiedyś prosiła, by ją pochować w podziemiach u Fary...”

Z ogromnym trudem, ze względu na ciasnotę, obróciła się na bok a potem na brzuch. Uniosła na łokciach i kolanach, prąc grzbietem zgiętym w pałąk, prąc z całej mocy na niego. Potworny strach dodawał jej sił. Bolał kręgosłup, ale nie zważała na to, prąc i prąc bezustannie. Daremne jednak były jej wysiłki. Deski, świeże, mocne, żywiczne deski zaskrzypiały tylko, lecz nie miało zamiaru odskoczyć i wypuścić ją z pułapki.

Czas jakiś leżała na brzuchu ciężko dysząc i odzyskując siły.

Pełna determinacji nie miała zamiaru dać za wgraną, zaraz po pierwszej nieudanej próbie.

„– Jeśli ziemia przygniata wieko, to tylko się zmęczę, a nic nie osiągnę...”

Znowu uniosła się na łokciach i kolanach i znowu naparła na wierzch trumny. I naraz...

„– Och! Dzięki ci Panie Boże!”

Naraz dało się słyszeć suchy trzask. To w pchnęła jeden z gwoździ, spajających spód i górę trumny.

Nigdy jeszcze przez całe swoje niezbyt długie życie nie odczuwała takiej radości jak teraz! Już wiedziała, że uda się, że się oswobodzi, że będzie wolna! Wolna i zdrowa! Na pewno zdrowa, bo skoro jest w niej tyle mocy, to niechybny znak, iż choroba nareszcie ją opuściła!

Jeszcze jeden wysiłek... i jeszcze jeden...

Następny gwóźdź zatrzeszczał i puścił, a potem, gdy już ostatni raz się natężyła i naparła na wieko odskoczyło raptownie i z głuchym łoskotem spadłszy w dół, potoczyło się po posadzce.

Usiadła i wciągnęła w piersi powietrze raz, i drugi, i trzeci. Wciągała je haust za haustem, aż lekko zakręciło się jej w głowie. Była wolna!

Ale zaraz, prawie natychmiast, gdy uczucie radości zblakło i przygasło, na nowo poczuła zimno. Znajdowała się w jakowymś podziemiu, lecz panowała w nim nieprzenikniona ciemność, zatem nie mogła była niczego wypatrzyć, ani znaleźć drogę wiodącą ku wyjściu.

Macała rękoma dookoła i wszędzie napotykała na trumny. Zrozumiała, iż znajduje się w krypcie zapełnionej szczelnie zmarłymi. Rozum podpowiadał, że jej trumna – jako że chyba przecież niezbyt wiele czasu minęło od pogrzebu – musi znajdować blisko wejścia.

Wszakże jak doń trafić? A jeśli nawet trafi, to w którą stronę się obrócić, kędy dalej się udać, gdzie szukać ratunku? Była jednak pełna ufności. Chyba musiała nad nią czuwać Opatrzność skoro udało się wypchnąć wieko i wyjść na zewnątrz? Pocieszała się, że i dalszy los będzie łaskaw.

Naraz spostrzegła, iż mrok grobowej krypty nie jest tak gęsty i smoliście czarny jak wprzódy. Oto poczynała rozróżniać zarysy otaczających ją przedmiotów. Lepka ciemność ustępowała najwyraźniej szarzyźnie budzącego się poranka.

Rozejrzała się bacznie dookoła, dokładnie lustrując wnętrze grobowca: Oto pod samym sufitem, tak wysoko, iż w żaden sposób nie mogłaby go dosięgnąć, widniał napełniający się jasnością wąziuchnym, o rozmiarach otworu strzelniczego w murach obronnych, prostokąt okienka.

Jej trumna stała wpodle drzwi, na lewo od wejścia, a wieko upadło na ceglaną posadzkę przejścia wiodącego od wchodu, aż do znajdującej się na przeciw niego ściany, na której wisiał ogromnych rozmiarów krucyfiks.

Podeszła do drzwi i nacisnąwszy wielką żelazną, mocno pordzewiałą klamkę, chciała, otwarłszy je, wyjść z owego odrażającego miejsca. Ale drzwi się nie rozwarły. Zamknięte na klucz, stanowiły zaporę nie do przebycia.

Znów uczucie przerażenia i grozy przypłynęło ku niej nową falą. Zatem była w potrzasku.

„– Będę krzyczeć – myślała, patrząc na niewielkie okienko pod sufitem. – Będę krzyczeć. Ktoś usłyszy. Ktoś musi usłyszeć! Przyjdą, uwolnią mnie! Wypuszczą stąd!"

Wstrząsały nią dreszcze. Zimno jęło paraliżować ruchy, drżała i szczękała zębami. Bezradnie rozglądała się dookoła, szukając czegoś, czym mogłaby się otulić, ale oprócz rzędów milczących trumien i kilku ogarków świec, nie było tutaj niczego.

„– Boże! Jeśli się nie rozgrzeję, nie będę mogła nawet wydać z siebie głosu..."

Przyszła jej pewna myśl do głowy, ale natychmiast odrzuciła ją spłoszona. Wszakże w miarę jak jej ciało kostniało coraz bardziej i zdawało się, że w żyłach nie krąży krew, lecz strużki wody przemieszanej z drobinkami lodu, pozwoliła owej myśli zagnieździć się w mózgu na dobre.

Podskakiwała czas jakiś w miejscu i wymachiwała rękoma, aby wykrzesać z siebie choćby odrobinę ciepła. Później potarłszy dłonie – jedną o drugą, aby do palców powróciło czucie, zbliżyła się do rzędu trumien wyglądających na nowe, do tych, które nie były zbutwiałe i kruszące się pod dotykiem.

Próbowała dłońmi podnieść wieka. U jednej, u drugiej, i piątej. Były mocno przybite solidnymi gwoździmi. Aż wreszcie, przy którejś kolejnej, wieko uniosło się, odsłaniając makabryczną zawartość.

Wewnątrz leżał na wpół zgniły mężczyzna, ubrany – nie wiedzieć dlaczego – w ciepły atłasowy żupan, podbity sobolowym futrem. Och, tego potrzebowała! Chociaż smród buchnął jej prosto w twarz, przyprawiając o mdłości, wiedziała iż tylko ów żupan może uratować jej życie, chroniąc przed dojmującym chłodem.

Z obrzydzeniem porozpinała wielkie, masywne guzy wyrobione z poczerniałego srebra, a ozdobione wymyślnym ornamentem. Z obrzydzeniem uniosła jedną z rąk nieboszczyka ku górze i ściągnęła z niej rękaw. Później uczyniła to z drugą. Pod palcami czuła jak miękkie ciało trupa się rozłazi. Chociaż nie dotykała bezpośrednio zgnilizny, bo oddzielała ją od niej gruba warstwa innych jeszcze ubrań, które nieboszczyk miał na sobie, nie mogła znieść obrzydzenia i poczuła jak żołądek podpełza jej do gardła.

Najtrudniej było w szarpnąć żupan spod pleców. Ale i to się jakoś udało. Czym prędzej zakryła trumnę wiekiem i ze zdobyczą odbiegła w pobliże drzwi. Żupan śmierdział, śmierdział tak bardzo, iż miała zamiar odrzucić go precz, lecz w tym momencie ziąb zaatakował ją ze zdwojoną mocą. Otuliła się tedy sobolami i po jakimś czasie odczuła wreszcie ulgę. Było jej ciepło. Wszakże na tym nie skończyła się jej męka. Teraz na odmianę żołądek jął dopominać się o swoje prawa. Choć wstrętne, ale przecie zdobyła ubranie, ale o jedzeniu nawet nie mogła marzyć.

Usiadła na wieku trumny, spoczywającym na ceglanej posadzce i zaniosła się łkaniem. Płacz przyniósł jej nieco ulgi, chociaż bynajmniej nie stępił uczucia głodu.

Szarpał on wnętrzności, gniótł je bolesnym skurczem, zaciskał się na żołądku. Och! Choćby kęs, choćby najlichszy kęs! Odłupała kawałek tynku ze ściany próbując go żuć, ale gdy piasek zachrzęścił w zębach, wypluła go ze wtrętem. I wtedy jej wzrok padł na ogarki świec woskowych leżących tuż przy drzwiach.

Podnosiła jeden po drugim, rozgryzała i przełykała. I chociaż owego pokarmu była garstka tylko, czczość ustąpiła.

Wtedy zaczęła krzyczeć. Krzyczeć tak głośno, jak tylko umiała i mogła.

– Ludzie ratujcie! Pomooocy!! Ratujcieee!!!

Słowa odbijały się głucho od ścian grobowej krypty, wracając od niej stłumione.

Krzyczała tak dopokąd sil starczyło, a później siadła i łapiąc oddech szeroko rozwartymi ustami odpoczywała, by – gdy rozszalałe od wysiłku serce znów zaczynało bić miarowym rytmem – krzyczeć od nowa.

– Ludzieee!!! W imię Boże!!! Ratunkuuu! Wypuśćcie mnie stąd! Wypuśćcie!

Szarzyzna jęła w podziemiu ustępować przed gęstniejącym mrokiem. Dzień przemijał, a nikt nie przybywał z pomocą. Ochrypła od krzyku, zmęczona, głodna i spragniona. wsparła się pół przytomna o drzwi oddzielające świat umarłych od świata żywych i zapadła w półsen.

Nawiedziły ją majaki straszne jakieś, co i raz przerywane wzdrygnięciem, które ją budziło. Koszmar dnia przemienił się w koszmar nocy. Radość wcześniejszej nadziei wyparła rozpacz i groza.

Ale nie poddawała się zwątpieniu. Resztka wiary chowała się w jej sercu. Resztka wiary, iż przecież musi nadejść ranek i wyzwolenie. Nad ranem, gdy skądś spoza Wisły jęło się nieść pianie dalekich kogutów, a ona nareszcie zapadła w głęboki sen, który przyniósł odpoczynek i ukojenie.

Szarawy pobrzask rozświetlił wnętrze grobowca, gdy obudziła się i otworzyła oczy. Poczuła ból we wszystkich kościach po niewygodnie, w kucki, spędzonej nocy. Podniosła się tedy i rozprostowała, aż chrupnęło w stawach.

Nie było jej zimno, sobolowe futro spełniało doskonale swoje zadanie. Nie odczuwała też głodu. Lecz jej umysł na odmianę zaprzątało jedno jedyne pragnienie:

„– Pić! Pić! Pić!..."

Każde włókienko, każde ścięgno, każda kosteczka, całe jej ciało błagało o wodę, domagało się wody, żądało wody, pragnęło wody, tęskniło za wodą! Wszystko inne teraz – nawet i wyjście z podziemia – wszystko inne stało się mniej ważne. Byleby tylko zwilżyć spierzchnięte i spękane wargi. Opuchły jęk k z trudem mieścił się w ustach.

Dojrzała na brudnobiałym murze z kamiennego ciosu, sporo poniżej okienka, osiadłą rosę. Przysunęła trumnę w tamto miejsce postawiła ją na sztorc i wspiąwszy się na ową chybotliwą podporę, przywarła ustami do kamienia.

Zlizywała kroplę za kroplą, starając się nic nie stracić, nie zmarnować, nie pominąć żadnej. Ale gdy już zlizała wszystkie, miast przytępić pragnienie, tylko bardziej jeszcze je rozbudziła.

Ześlizgnąwszy się z trumny podeszła do ciężkich, dębowych drzwi upadłszy przed nimi na kolana, biła w grube bierwiona pięściami na poły szepcząc, na poły charcząc:

– Na rany Chrystusa! Ratunku!...

Mimo woli dotknęła dłonią swojej koszuli na piersi i poczuła, iż jest mokra. Widać wtedy, gdy zlizywała rosę, płótno nasiąkło wilgocią. Wzięła ją tedy, w zęby i żuła wysysając wszystko, co się z niej dało wyssać, jednocześnie pojękując z cicha.

Wówczas do jej uszu dobiegł odgłos ludzkich kroków. Oto ktoś nadchodził....

– Dzięki ci Boże, że mnie wysłuchałeś! dzięki ci Chryste za ratunek!"

Oto ktoś zbliżał się do krypty.

Już słychać szczek żelaza o żelazo. To klucz wsuwał się w otwór zamka. Zgrzyt ustępującego rygla. Odsunęła się nieco, aby wchodzący nie wpadli na nią i powstała na nogi, ciągle żując przesyconą wilgocią koszulę, aby oszukać pragnienie.

Drzwi otworzyły się z niemiłosiernym skrzypieniem przerdzewiałych zawiasów. Najpierw spostrzegła dłoń ze świecą, a potem wchodzącego grabarza. Z tyłu za grabarzem rysowała się sylwetka duchownego w sutannie i birecie na głowie.

Grabarz na jej widok przeżegnał się najpierw, potem splunął trzy razy i jednym skokiem zalazłszy się przy kobiecie, począł wyszarpywać jej koszulę z ust.

„– Dlaczego on to robi? – przemknęło jej przez myśl. – Dlaczego?"

Mężczyzna nie ustępował, wydzierając koszulę kawałek po kawałku, na której odruchowo zaciskała szczęki.

– A nie mówiłem, proszę wielebnego księdza, że nie z człowiekiem będzie tu sprawa. To strzyga! Żre własną śmiertelną koszulę! Jaśniejszego dowodu nie trzeba! – ozwał się grabarz, jednocześnie powaliwszy kobietę na ziemię i przygniatając jej piersi kolanami.

– Niechże mi wielebny ksiądz poda rydel, co to poza drzwiami stoi. Boże, miej nas w swojej opiece! Inszego sposobu nie ma!

Ksiądz nie wchodząc do krypty, przechylił się tylko, najdalej jak było można przez próg i podał grabarzowi żądany przedmiot.

A wówczas ów, podniósł się, przydeptując jedną stopą – z całej mocy – kobietę do ziemi, uniemożliwiając jej tym samym jakikolwiek ruch.

Ona z cicha jęczała, a w jęku owym dawało się wyrozumieć pojedyncze słowa:

– Jezu... ratuj... Jezu... ratuj...

Ksiądz posłyszawszy owo wkroczył do grobowca i chciał podejść do powalonej, ale grabarz powstrzymał go gestem:

– To nic innego, to omamienie diabelskie!

A później uniósł rydel do góry i wziąwszy potężny zamach uderzył jego ostrzem w gardło kobiety. Zacharczała tak jakoś niesamowicie, iż obydwu mężczyznom dreszcz trwogi przebiegł po plecach, później zaś zaczęła się rzucać, grzebiąc nogami i drapiąc palcami posadzkę.

A grabarz nie ustawał, unosił rydel i uderzał, uderzał, uderzał. Jakby ogarnięty szałem siekł dotąd, dopokąd nie odrąbał głowy od tułowia. Głowa potoczyła się księdzu pod nogi, a ów z lękiem odskoczył do tyłu. Z szyi trupa grubym strumieniem buchnęła krew.

Ciekła długo, zbierają się w sporą kałużę. W szklistej powierzchni odbijał się migotliwy blask świecy.

– Niech wielebny ksiądz idzie do swoich obowiązków. Teraz już sam sobie poradzę. Dzięki Bogu w porę zaradziliśmy złu, które z tego grobowca mogło się było rozpełznąć po całym mieście. Dzięki Bogu w samą porę...

***

„... owe się tráfiaią po śmierći dźiwy z ludźmi, których my zowiemy strzygami, albo upiorami, że koszule ná sobie iedzą, krew się z nich po śmierći leie: czego oni do śiebie iáko niewinni wiedzieć nie mogą, ále przeklęte baby dźiećinámi ich odbieráiąc przy porodzeniu, páktá z Diábłem ná całe domy y familie czynią, áżeby z niemi po śmierći się dźiwy dźiały, y ći álbo owi wymierali; iáko się trafiło Roku 1693 dnia 6. Márcá, y u mnie u Fary w Sendomierzu, gdźie w grobie w kilkánáśćie Niedźiel ználeźiono biáłogłowę żuiącą koszulę z siebie, z ktorey przez gwałt z zębów wydarćiem, y potym iáko iey szyię rydlem ućięto krew się z trupa iako z żywego láła, patrzyłem sam ze stráchem ná to. Może iednak kamień w gębę włożywszy pactum owo zepsować, ktoby głowy ućinać niechćiał.”

(PROCESS KRYMINALNY O NIEWINNE DŹIECIĘ ETC. ETC., OD X. STEFANA ŻUCHOWSKIEGO, OBOYGA PRAWA DOKTORA, ARCHIDYAKONA, OFFICYAŁA ETC. SENDOMIRSKIEGO ETC. ETC., SANDOMIERZ 1713, s. 126)

Zjawy w sandomierskiej synagodze

Piękna murowana synagoga zbudowana w połowie XVIII wieku na miejscu pewnie jeszcze średniowiecze pamiętającej, drewnianej, stanowi cenny zabytek dawnej architektury polskich Żydów. Do wybuchu II wojny światowej była domem modlitwy sandomierskiej gminy starozakonnej. W czasie okupacji uległa znacznej dewastacji i stała na wpół zrujnowana, by po przepędzeniu hitlerowców z naszych ziem pełnić rozmaite funkcje, aż do czasu generalnego remontu i zaadaptowania jej na Archiwum Państwowe.

Pod koniec lat pięćdziesiątych w synagodze mieścił się magazyn ziół przedsiębiorstwa „Herbapol". Magazyn strzeżony nocą przez stróża. Ponieważ takie pilnowanie opustoszałego budynku jest nudne i przez to męczące, człowiek wykonujący ową pracę lubił zapraszać do siebie kolegów, z którymi namiętnie grywał w szachy.

Tak było i tamtego wieczoru. Zmrok już dawno zapadł, za oknem głucha noc rozpostarła się nad miastem, i tylko z daleka, od czasu do czasu, dolatywał warkot samochodu lub poszczekiwanie psa.

Stróż i jego przyjaciel, pochyleni nad szachownicą leżącą na stole o mocno zniszczonym blacie, który oświetlało ostre światło nagiej żarówki zawieszonej na długim kablu owiniętym czarnym bawełnianym oplotem, wpatrywali się w bierki, zastanawiając nad kolejnymi ruchami, jakie im miało przyjść wykonać.

Naraz jeden z grających uniósł głowę popatrzył na niezbyt strome schody prowadzące z parteru na piętro dawnego domu kahału. Popatrzył i zamarł w bezruchu z na wpół otwartymi ustami i ręką uniesioną w powietrzu.

Poczuł, że włosy podnoszą mu się na głowie, a zimny pot orosił czoło. Oto bowiem spostrzegł, iż po schodach, w dół, kroczy dostojnie grupa kilkunastu rabinów ubranych w rytualne modlitewne stroje.

W ostrym elektrycznym świetle widział każdy detal ich ubiorów, zmarszczki na twarzach, martwotę niewidzących oczu. Trącił stróża raz i drugi pod bok, chcąc zwrócić jego uwagę na tę dziwną procesję, ale ów na moment tylko podniósł wzrok i przestraszony, tak jakoś skuliwszy się w sobie, wbił wzrok w blat stołu.

Widmowa procesja kroczyła dostojnie i bezszelestnie. Od grupy zjaw nie dobiegł ni jeden dźwięk, a gdy zeszła ze schodów, jak nagle się pojawiła tak samo nagle rozpłynęła się w powietrzu...

Mężczyźni dość długo milczeli, aż wreszcie stróż bąknął pod nosem:

– No i cóż w tym dziwnego. Nie pierwszy raz i pewnie nie ostatni schodzili po tych schodach...

Opowieść o mniszce Krystynie

„Daj wszystko za wszystko”
Tomasz a Kempis

Gdy w dzień św. Gertrudy, czyli 17 listopada, roku Pańskiego tysięcznego sześćsetnego pięćdziesiątego, w rodzinie Dunin Brzezińskich, na świat przyszło dziecko płci żeńskiej, rodzice zapewne nie przypuszczali, iż żywot jego będzie aż tak różny od żywotów innych panien ze szlacheckich rodzin, podówczas żyjących na Sandomierskiej Ziemi..

Zwykle tak bywa, iż rodzice – kierowani miłością – pragnęliby, aby ich potomstwo nigdy nie doświadczyło krzywd i smutków i bólu. Żeby potomstwu wiodło się jak najlepiej, od poranka narodzin, aż po zmierzch starości.

Tak samo i Brzezińscy, którzy swojej córce dali na chrzcie świętym imię Krystyna, mniemali, iż ich latorośl doświadczy w swym ziemskim bytowaniu dobra tylko, że zło jej nie dotknie. Pewnie zdawało im się, iż – gdy nadejdzie po temu czas sposobny – poślubi równego jej stanem i majętnością młodzieńca, a oni, rodzice, w jesieni żywota mieć będą pociechę z wnucząt – największej radości starych ludzi.

Przecie stało się inaczej. Zgoła inaczej niż stać się było powinno. Krystyna rosła, przeszedł jej wiek dziewczęcy, z podlotka przeistoczyła się w pannę, z panny zaś w kobietę dojrzałą, a o zamęściu ani myślała. Ba! Zdawało się wszystkim tym, którzy ją znali iż sama nie wie czego chce od życia.

Och, ileż zgryzot i strapienia owa panna przysporzyła rodzinie. A może nawet i wstydu? Bo toć wstyd – zestarzeć się, a rodzicielskiego domu nie opuścić, męża nie pojąć, dzieci nie urodzić...

Sama zaś Krystyna jedyną pociechę czerpała z modlitwy, na której – skoro tylko sposobność po temu była – chcąc przysporzyć chwały i czci Panu Jezusowi i Jego Najświętszej Matce, trwała, czasu na czcze i płoche zajęcia nie marnując.

Skoro matka, tej kłopot sprawiającej panny, razu jednego z siostrą swoją, wielebną panną Szumowską, w sandomierskim świętomichalskim klasztorze Zakonu Świętego Ojca Benedykta, żywot skromny, a świątobliwy wiodącą, się spotkała, a na piersi mniszki wypłakała żale i strapienia, których córka była przyczyna, usłyszała:

– Cóż, pani siostro. A może w tym wszystkim, o czymeś mi tu opowiadała, widać palec Boży?

– Skoro tak powiadasz, to i może. Lecz co mi czynić wypada?

– Cóż? Trudno mi o tak, od razu, jakoweś lekarstwo wyszukać, tym bardziej, że i samej panny nie znam zbyt dobrze. Może... może byś – jeśli nic przeciw temu nie masz – przysłała Krystynę na czas jakiś do mnie, do Sandomierza, do klasztoru? Przyjrzę się jej z bliska, rozmowami wybadam. Może – z natchnienia Ducha Świętego – myśl jaka zbawienna mnie nawiedzi, i strapieniu twojemu ulżę? Któż to wie?

– A zatem niech się stanie jak chcesz, siostrzyczko.

I stało się, jak ciotka dziewczyny, wielebna panna Szumowska, powiedziała.

Skoro tylko Krystyna do Sandomierza przybyła, skoro tylko zatrzasnęła się za nią klasztorna furta, skoro tylko wciągnęła w nozdrza powietrze klasztornych korytarzy przesycone wonią uschłych kwiatów i ziół – lawendy i róż, zdało się jej, iż oto wreszcie znalazła cichą przystań na wzburzonym oceanie żywota. Błogość i spokój przepełniały jej serce, a niedookreślony lęk, który dotąd tkwił w najtajniejszej tajni duszy dziewczyny ulotnił się bezpowrotnie.

Dnie i noce przemijały wolno. Upływ czasu odmierzały dźwięki kościelnych dzwonów i bicie zegarów – tego z ratuszowej wieży i tego ze szczytu farnej dzwonnicy.

Krystyna trwała na modlitwie i wtedy, gdy brzask różowo–złocisty rozświetlał horyzont na wschodzie, i wtedy, gdy aksamitnogranatowe niebo iskrzyło się rojami gwiazd – złotych okruchów szczodrobliwie ręką Najwyższego rozsypanych po firmamencie.

Kiedy skiełkowała w niej ta myśl – nie podobna już dociec. Niepodobna dociec także, kiedyż to z tej myśli wyrosło potężne drzewo pewności i niezłomności postanowienia. Oto bowiem Krystyna pojęła, że jej miejsce znajduje się w klasztorze. W tym klasztorze.

Roku Pańskiego tysięcznego sześćsetnego osiemdziesiątego, dnia 23 kwietnia, panna Dunin Brzezińska upadła do nóg wielebnej ksieni sandomierskiej, prosząc pokornie o przyjęcie do nowicjatu. I nie odmówiono jej.

Zdawać by się mogło, że kiedy już panna odnalazła swoje miejsce w życiu, odpowiedziała „tak" na boskie powołanie, wszelkie utrapienia opuszczą ją na zawsze. Stało się przecież inaczej.

Kochając Boga najżarliwszą miłością, chcąc Mu dać siebie samą aż do końca, oddawała chwałę Najwyższemu prawie bez ustanku, do granic wyczerpania, rozumiejąc, że ludzka ułomna miłość nigdy z dostateczną siła nie może odpowiedzieć na miłość Stwórcy, nie może jej dorównać, nie mówiąc już o tym, by mogła ją zrównoważyć.

Ale to co czyniła Krystyna drażniło stare mniszki, które jakoś nie umiały się dopatrzyć w nienasyceniu modlitewnym szczególnej pobożności, a widziały w tym raczej słabość umysłową nowicjuszki, egzaltację, a może nawet chęć wzbudzenia podziwu w otoczeniu.

Stała się zatem przedmiotem pokpiwania (dla tych, które jej nie potrafiły zrozumieć) – szczególnie ze strony innych panien podówczas odbywających nowicjat, a niekiedy strofowania, a nawet i kar, ze strony przełożonych, które obserwując jej nader niezwykle zachowanie i pobożność uznały ją za dziwaczną, chciały aby była taka sama jak i inne mniszki.

Dla większej chwały Bożej znosiła to przecież Krystyna w cichości, co chyba jeszcze bardziej niechętnie nastawiało do niej współsiostry.

Dodatkowym powodem do drwin była szczególna cześć, jaką panna Brzezińska żywiła ku wizerunkom naszego Zbawiciela i Jego Dziewiczej Matki. Oddawała hołd Osobom wyobrażonym na owych wizerunkach, poprzez modlitwę, jak też i przyozdabiała je czym mogła i jak mogła, byle tylko wyglądały pięknie. Niestety, nie miała zmysłu artystycznego, a to drażniło pozostałe zakonnice. Łajana przez przełożone, nie zmieniała się jednak.

W końcu doszło do tego, że nie przypuściwszy jej do ślubów, zamierzano ją z klasztoru precz przepędzić. I na pewno byłoby się to stało, gdyby nie wyraźny palec Boży. Oto bowiem kapłani, którzy z rozmów z Krystyną rozpoznali szczerość powołania do życia zakonnego i jej niepospolitą świątobliwość, uprosili u ksieni, by ta – mimo wielu poważnych zastrzeżeń – przyjęła dziewczynę w poczet mniszek świętomichalskiego klasztoru.

Ale przecież i wówczas nic się nie zmieniło na lepsze w życiu Krystyny, a to dlatego, że jej zachowanie nie uległo zmianie. Liczne kary, jakie na nią nakładano, nie dały oczekiwanego efektu, dlatego w końcu uznano, że jest niespełna rozumu.

Dziwaczność zachowań Krystyny irytowała współsiostry, a szczególnie to, iż dla większej chwały Bożej i gwoli szczególnego uczczenia Trójcy Przenajświętszej, podczas wspólnych modlitw, gdy odmawiano „Chwała Ojcu, i Synowi, Duchowi Świętemu", wychodziła z ławki i padała krzyżem na posadzce.

Niezrozumiałe (a przez to chyba i drażniące) było przygotowywanie się do przyjęcia Przenajświętszej Eucharystii przez nader ostre posty, suszenia, śpiewy nabożne, modlitwy i całonocne czuwania. W końcu w klasztorze za najzwyklejszą wariatkę ja miano, i jak wariatkę traktowano.

Lecz przecież ona wszystko to z podziwu godnym spokojem przyjmowała, za dopust zsyłany od Boga mając, aby jej stałość i niezłomność w wierze wybadać, poczytując.

Nie szukała towarzystwa innych, zadowalając się obcowaniem z Panem. Jeśli nie musiała, nie opuszczała swojej celi, oddając się czytaniu dzieł duchownych i rozważaniu boskich tajemnic. Chociaż owa nie była jej patronką, ale przez wzgląd na fakt przyjścia na świat w dzień św. Gertrudy, ku niej miała szczególne nabożeństwo, które starała się jak mogła pośród mniszek klasztoru świętomichalskiego rozszerzyć.

I tak oto mijały miesiące i przemijały lata, aż tych ostatnich uzbierało się czterdzieści, podczas których w poniżeniu żyła, wykpiwana i za głupią uważana przez inne.

Przecież na tym padole nie masz nic wiecznego, a więc i cierpieniom panny Krystyny Dunin Brzezińskiej, kres nadejść musiał.

A stało się to za przyczyną jej tak wielkiej czci ku Ciału Pana Naszego Jezusa Chrystusa, obecnemu w eucharystycznym Chlebie. Oto, mimo częstych i gruntownych spowiedzi, postów i umartwień, nie czuła się wielokroć godna przystępować do Stołu Pańskiego.

Nie pomagały napominania panny ksieni. Ba! Nakazy nawet! Krystyna ustawicznie powtarzała, iż będzie komunikować wówczas tylko, gdy przyjęcia Ciała Pańskiego poczuje się godna.

Nie trudno domyślić się, że i ten upór poczytano za szaleństwo. Zatem gdy zdarzyła się okazja, gdy do Sandomierza z wizytacją kanoniczną przybył pan Biskup Krakowski Kazimierz Łubieński, podczas jego odwiedzin w klasztorze świętomichalskim Zakonu Świętego Ojca Benedykta, ksieni nie omieszkała przedstawić kłopotów i trosk, jakich doświadczała za przyczyną szaleństwa mniszki Krystyny. Szczególnie niepojęte dla niej było to, iż owa wzbraniała się przed komunikowaniem, mimo częstych spowiedzi i nader surowego żywota.

Wysłuchał Biskup ze zrozumieniem owej opowieści i posłał do Krystyny pewnego Prałata, będącego członkiem sądu kościelnego, aby ów ją wybadał. Lecz niestety – Prałat nic nie wskórał – ponieważ mniszka mówić z nim nie chciała. Po powrocie do przełożonego powiedział tedy:

– Ekscelencjo, ksieni ma zupełną rację, bo wielebna panna istotnie musi być niespełna rozumu.

– I z czegoż to wnosicie, księże? – zapytał biskup.

– Bo ze mną gadać nie chciała, nie bacząc na godność i urząd.

Odprawił Biskup skinieniem ręki swego audytora i zadumał się nad tym, co usłyszał. Ponieważ jednak należał do ludzi, którzy lubią o wszystkim przekonywać się naocznie, pomyślał, że najlepiej uczyni, jeśli sam uda się do Krystyny. Tymczasem jednak kontynuował wizytację klasztoru.

A gdy ja ukończył, skierował swe kroki ku celi Brzezińskiej. I jakież było jego zdumienie, skoro ujrzał ją stojącą przed progiem, przybrana godnie, i najwyraźniej oczekującą dostojnego gościa, choć o tym, iż ma do niej przybyć, żadną miarą wiedzieć nie mogła.

Skoro Krystyna spostrzegła Biskupa, upadłszy przed nim na kolana, wyciągając ręce w błagalnym geście, zawołała:

– Ach, wysłuchaj mnie bez świadków panie Biskupie, następco Świętych Apostołów. To bowiem, co mam ci do powiedzenia, jest dla mnie nader ważkie i nie chciałbym, iżby doszło do uszu, dla których nie jest przeznaczone.

Biskup w łaskawości swojej zezwolił na to, aby wielebna panna odbyła z nim rozmowę w cztery oczy tylko. A skoro wszedł do celi, wyszedł z niej potem zbudowany tym, co posłyszał z ust mniszki, przez wszystkie współsiostry uważanej za chorą na umyśle. I nakazał, izby ani ksieni, ani żadna inna z panien mieszkających w świętomichalskim klasztorze, od tej pory nie ważyły się dokuczać ni słowem, ni czynem Krystynie.

Następnego zaś ranka osobiście wysłuchał spowiedzi owej panny, a udzieliwszy jej rozgrzeszenia, chciał nieść jej Ciało Pańskie z kościoła do celi, na co przecie panna nie pozwoliła, udając się do świątyni.

I od tej pory ni ksieni, ni żadna inna zakonnica nie dokuczały już Krystynie. Ba! I przeciwnie nawet! Pouczone przez Biskupa, innymi oczyma poczęły patrzeć na jej żywot i postępki. A im pilniej się jej przypatrywały, tym większe podziwienie w nich budziła.

A te były dziwy, niepojęte dla ludzkiego rozumu, w które życie Krystyny Dunin Brzezińskiej Pan Bóg był ubogacił:

Jadała nader skąpo, jedynie tyle aby w piersi iskrę życia utrzymać. Mieszkając pośród innych, w rzeczywistości mieszkała sama, szukając samotności i zachowując milczenie.

Mimo srogości, jaką miała względem swojego ciała była pogodna i radosna, a co więcej, w dobrym zdrowiu – mało kiedy chorując – długie lata żyła.

Podobnie jak i względem innych świątobliwych sług i służebnic Boskich, tak i względem Krystyny, rozmaitych swych sztuczek Szatan – Diabeł, Kłamca i Ojciec Kłamstwa, nieprzyjaciel rodzaju ludzkiego próbował, ale przecie miłosierdzie Najwyższego nie dozwoliło, by kiedykolwiek owym pokusom uległa.

Zdarzało się, że pobożna panna w zachwycenie wpadała. Razu jednego aż przez trzy dni i trzy noce trwające. A gdy jej zwykłe czucie i zwykły rozum powróciły, to co przeżyła, czego doświadczyła i co słyszała, w owym zachwyceniu będąc, zataiła, mówiąc iż jej zakazano rozprawiać o tym.

Lecz to nie wszystkie przecie niezwykłe, a cudowne zdarzenia. Nie sposób wspomnieć o najważniejszym – o darze prorokowania i przewidywania przyszłości, o czym mniszki i ksieni nie raz i nie dwa się były przekonały.

I tak w dniu i w godzinie śmierci swojej matki mieszkającej o szesnaście mil od Sandomierza, poznała Krystyna (na co byli wiarygodni świadkowie), iż jej rodzicielka ów padół ziemski opuszcza i z doczesności przechodzi do wieczności. A to całe świętomichalskie zgromadzenie zakonne, które o westchnienie za swą matkę prosiła, zanim jeszcze wiadomość o jej śmierci do klasztoru przyszła, dziwowało się, skąd ona o tym wiedzieć mogła.

Wielebnej pannie benedyktynce, Franciszce Tarlównie, na trzy dni przed skonem jej ojca, Stanisława Tarły, wojewody lubelskiego, przepowiedziała, iż ów godny pan umrze i że rychło umrze, co było zgoła niepodobne, bowiem do zdrowia był wracał.

Przepowiedziała zawalenie się studni w macierzystym klasztorze, oraz że rychło i tanio zostanie odbudowana, chociaż studnia owa solidna była i krzepka, a nic zgoła nie wskazywało na to, by lec miała w gruzach.

Przepowiedziała była także i to między innymi, iż w roku 1732 mniszki od Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny, w Lublinie, pogorzeją i wiele z nich śmierć poniesie. A przepowiedziała to na trzy dni przed pożarem.

Zdarzało się, iż niektórym nieletnim dziewczętom przyszłość przepowiadała, a szczególnie jeśli która z nich zakonny żywot obrać miała. Krom tego, współtowarzyszki swoje, dusznymi niepokojami trapione, zbawienną nauką i ukazywaniem im sensu wewnętrznych cierpień i zmagań, w dobrym podtrzymywała i utwieredzała, przed upadkiem i grzechem chroniąc.

Bywało wreszcie, że i od cielesnej słabości uwolnić potrafiła nie sztuką lekarską bynajmniej (bo tej nie praktykowała) lecz słowem samym.

Największe przecież zdumienie wzbudziła we wszystkich, gdy – nie będąc przy tym – wiedziała, której mniszce jakie obowiązki i urząd jaki ksieni poruczyła. A także dając poznać, iż umie czytać w myślach i sumieniach współsióstr ze świętomichalskiego klasztoru.

Na koniec wreszcie dzień swojej śmierci przepowiedziała, a posiliwszy się Niebiańskim Pokarmem i poruczając duszę Bogu, 17 sierpnia, roku Pańskiego tysięcznego siedemsetnego trzydziestego i dziewiątego, podążyła ochoczo do swej niebiańskiej ojczyzny.

Na tym padole łez przeżyła lat 89, z czego w klasztorze 59. Na początku doświadczywszy upokorzeń i cierpień bez liku, a w wieczorze swego żywota szacunku i miłości.

Jeszcze i po śmierci dobry Bóg pokazał, iż panna Krystyna Dunin Brzezińska miłą Mu była i przyjął ją do chwały swojej. Oto bowiem, gdy po pogrzebie, jedna z mniszek sprzątała celę zmarłej, znalazła w jakowym zakamarku stary, całkowicie zasnuwszy bukiet kwiatów.

Śród innych uschłych gałązek bukiet ów tworzących, znajdowała się i taka, która ongi lilią białą była. Otóż spośród martwych, za dotknięciem kruszących się listków, u wierzchołka pędu jął wyrastać żywy pąk kwiatowy!

Skoro wieść o tym nadzwyczajnym zdarzeniu rozeszła się po mieście, znaleźli się tacy – głównie śród duchownych – którzy niedowiarkami będąc, naocznie zapragnęli się przekonać o prawdziwości niebywałego faktu, pogłoskom niedowierzając. I byli między nimi tacy, w których świadectwo powątpiewać nie można, którzy ów pąk żywego kwiecia na całkiem uschłym pędzie widzieli.

Ponieważ poczęto wierzyć w to, iż wielebna panna Krystyna Dunin Brzezinska dostąpiła po śmierci chwały wiekuistej w niebie, poczęto badać jej żywot, postępki i dokonania, utwierdzając się tylko, iż była osobą prawdziwie świątobliwą.

Na koniec wreszcie, roku Pańskiego tysięcznego siedemsetnego czterdziestego i ósmego, trumnę zgasłej w opinii świętości otworzono. I znów obecni przy tym doświadczyli czegoś niebywałego. Oto bowiem po odjęciu wieka, miast rozejść się w powietrzu odór trupi, co byłoby zwyczajne i naturalne, wszyscy poczuli, z lubością wciągając ją w nozdrza, przepiękna, miłą, pełna słodyczy woń.

Jedna z mniszek asystująca przy otwieraniu trumny świątobliwej panny, nie mogąc się powstrzymać, zabrała jej różaniec i krzyżyk.

Krzyżyk ów miał zaś tę właściwość, iż uciszał burze serca, a na dusze cierpiące od wewnętrznych walk, pokus i rozterek, sprowadzał błogi spokój.

I to byłoby już wszystko, co by można powiedzieć o zgasłej *in odore sanctitatis* wielebnej pannie Krystynie Dunin Brzezińskiej, szlachciance sandomierskiej i mniszce Zakonu Świętego Ojca Benedykta.

II. Historie straszliwe

OPĘTANIE PRZEZ DEMONY PRAWDA CZY MIT? CZYLI O SZATANIE, PIEKLE I CZCICIELACH ZŁEGO

Można by zapytać: Jak to? Dzisiaj, w epoce Rozumu, Krytycyzmu i totalnego Postępu (oczywiście słowa te piszę z ogromną dozą ironii) Szatan, czary i opętanie? Ależ to na milę czuć zabobonnym średniowieczem! Dziś, gdy stopa człowieka dotknęła powierzchni Księżyca, gdy za niezbyt długo dotknie pewnie i powierzchni Marsa, a zatem dziś mielibyśmy wierzyć w coś tak nieprawdopodobnego jak Szatan – uhipostazowane Zło?

Samo zło, owszem, istnieje, bo przecież niejednokrotnie i my doświadczamy go na własnej skórze, ale żeby istniał Ojciec Zła? Nie, tego się nie da pogodzić z racjonalnym myśleniem! Toż to czysta bzdura i jak wspomniałem wcześniej, średniowieczny zabobon. Cóż mogę odpowiedzieć? Chcę tu jedynie – na tych niewielu stronach – zaprezentować Czytelnikowi w miarę treściwy zbiorek wiedzy na temat samej postaci Szatana – Księcia Ciemności, jego metod działania i jego czcicielach.

Kult sił ciemności, kult tego, co przeciwne dobru, znany był (i jest!), a także praktykowany od zarania dziejów ludzkości. Nas jednak tamte kulty nie będą interesować, bo żeby omówić je wszystkie, musiałoby powstać potężne i bardzo obszerne dzieło, a nie małe objętościowo opracowanie.

My zajmiemy się tutaj jedynie diabłem i jego kultem „na gruncie" – o ile można użyć takiego określenia – wyłącznie chrześcijaństwa i – po niezbędnym wprowadzeniu w historię zagadnienia – współczesności.

Odrębnym zagadnieniem, które zostanie dość szeroko zaprezentowane Czytelnikom, będzie opętanie przez demony. Chociaż – tak mi się przynajmniej wydaje – większość z nas coś tam kiedyś na ten temat słyszała, to cała wiedza ogranicza się w zasadzie do tego tylko, że coś takiego może mieć miejsce, może się przytrafić.

Czym jednak jest opętanie, jakie są jego znaki i objawy, jak je rozpoznać, tego już niestety się nie wie.

Taki stan rzeczy wynika z wielu przyczyn, najpoważniejszą jednakże będzie chyba ta, że w krajach tradycyjnie chrześcijańskich od setek i tysięcy lat, opętania były czymś bardzo rzadkim – może z wyjątkiem okresu późnego średniowiecza i wczesnego Renesansu, kiedy to na zachodzie Europy, na skalę nieomal masową uprawiano kult Szatana i parano się czarami – co niejako uśpiło czujność nie tylko Kościoła, ale i zwykłych wiernych.

Teraz u schyłku wieku XX, kiedy laicyzacja całych ogromnych obszarów życia społeczeństw stała się faktem, kiedy w rzeczywistości – głównie w krajach wysoko rozwiniętych – chrześcijanie są nimi tylko z nazwy, w istocie będąc neopoganami, a także odżył iprzeżywa odrodzenie kult sił zła i ciemności, coraz częściej można się natknąć na przypadki opętań. Słychać o nich w Polsce chociaż przede wszystkim co jakiś czas dochodzą na ich temat wieści z Zachodu. A zatem warto na ów temat wiedzieć coś więcej. Ale najpierw może trochę na temat postaci Szatana.

Kim jest Szatan i skąd się wziął?

Teologia chrześcijańska (a także żydowska) mówi, że Szatana oczywiście stworzył Bóg, ale nie jako istotę złą, lecz jako dobrą – najwspanialszego, najpiękniejszego i najmędrszego z Archaniołów i postawił go na czele wszystkich zastępów niebieskich nadając mu cudowne imię: Lucyfer – Nosiciel Światłości. Imię, które dopiero później nabrało pejoratywnego wydźwięku.

A zatem Szatan jest aniołem. Słowo to pochodzi z greki („angelos") i dosłownie znaczy „zwiastun", „posłaniec". Jak nas poucza teologia chrześcijańska, aniołowie są bezcielesnymi duchami posiadającymi rozum i wolną wolę.

Duchy owe są pomocnikami i wysłannikami Boga. Niektórzy z nich są jako „anioły stróże" przydzieleni tak poszczególnym ludziom, jak i całym narodom na opiekunów. Pismo Święte i św. Tradycja przekazały nam imiona niektórych aniołów: Michała, Rafaela, Gabriela, Uriela.

Ale Lucyfer jako ów dobry anioł, w hierarchii niebieskiej ustępujący miejsca tylko Bogu samemu, będący istotą duchową obdarzoną rozumem i wolną wolą, popadł w pychę i na jej skutek zgrzeszył, co znaczy – mówiąc prostszymi słowami – odrzucił prawo i zwierzchność Bożą. Ba! Mało tego, doszedł do przekonania, że jest równy Bogu i dlatego nie musi mu służyć. W ten właśnie sposób stał się ojcem wszelkiego zła.

Nie tylko, że sam odwrócił się od Boga, to jeszcze na dodatek podburzył do buntu zastępy innych aniołów, które skuszone obietnicami, jakie im zaprezentował, jemu dały posłuch i po jego opowiedziały się stronie, stając się tym samym ze świętych i dobrych aniołów – demonami.

Skoro wcześniej zaprezentowałem, co na temat aniołów mówi teologia, sądzę, że wypada wspomnieć jak ona definiuje postać Szatana.

A więc: Szatan nie jest bynajmniej postacią mityczną, lecz realnym osobowym bytem. Mimo, iż jest on przeciwnikiem Boga, to w najmniejszym nawet stopniu nie jest jego rywalem. Dlaczego? Otóż dlatego, że jako istota przez Boga stworzona i skończona, jest całkowicie podległa Najwyższemu, chociaż Pan Bóg pozwala mu korzystać z wolnej woli, jaką został obdarowany w chwili stworzenia. Tak więc zło, którego ojcem i reprezentantem jest Szatan, również ma charakter i czasowy, i skończony.

Wspomnę jeszcze o sługach i podwładnych Lucyfera, innych zbuntowanych aniołach, którzy opowiedziawszy się po stronie pierwszego z aniołów, stali się demonami. W potocznym rozumieniu tego słowa są oni generalnie złymi duchami (absolutnie nie są to dusze zmarłych złych ludzi, jak to można wyczytać we współczesnych horrorach, a nawet książkach pretendujących do miana „naukowych", jak choćby działa księdza François'a Brune. Owe złe duchy posiadają swoją hierarchię, której zwierzchnikiem jest Pierwszy Buntownik.

Biblia mówi nawet o Królestwie Złych Duchów (Mk 3, 22–26), które znajduje się w stanie ustawicznej walki z Królestwem Bożym i zagraża ludziom, starając się ich nakłaniać do grzechu, szkodząc im na najrozmaitsze sposoby, nawet poprzez opętanie opanowując niektórych z nich. Ale – w tym miejscu raz to jeszcze podkreślę – tak jak to już było powiedziane, zło ma charakter skończony i czasowy.

Otóż z tejże przyczyny całkiem spora część współczesnych teologów albo bagatelizuje osobę Szatana, usuwając ją w cień, niejako wymazując ze świadomości wiernych, albo wyraźnie głosząc, że Szatan jako inteligentna i wolna osoba duchowa w ogóle nie istnieje.

Zgodnie zatem z ortodoksyjna nauką Diabła należy rozumieć tak, że nie jest to bynajmniej brak dobra, lecz realna, określona, osobowa siła, że to istota duchowa, z gruntu zła i zdeprawowana, która nieustannie dybie i czyha na człowieka pragnąc go za wszelką cenę zdeprawować i doprowadzić do takiego stanu, w jakim sama się znajduje.

Szatan i jego zwolennicy po buncie przeciwko Stwórcy zostali ukarani przez pozostałą, wierną Bogu część aniołów, będącą pod dowództwem Archanioła Michała. Szatana przepędzono z Raju. Lecz rychło – ciągle przepełniony nienawiścią – znalazł sobie nowe pole do działania. Otóż, gdy udało mu się zwieść pierwszych rodziców: Adama i Ewę w Edenie, sprawiając, że zgrzeszyli (przez co zostali ukarani dziedzicznym prawem śmierci), toczy wojnę przeciwko Bogu w ludziach i poprzez ludzi. Choć wie o tym doskonale, że nigdy nie uda mu się pokonać swego Przeciwnika, i że kiedyś nadejdzie kres tej rzeczywistości, a on sam odejdzie do piekła na nieskończoność wraz z demonami i ludźmi, którzy swym złym życiem opowiedzieli się po jego stronie, wciąż próbuje atakować Królestwo Niebieskie. Bowiem Szatan ciągle ziejący nienawiścią do wszystkiego, co dobre, sam przez tę nienawiść jest opętany.

Ale Szatan to nie tylko przeciwnik Boga (chociaż skończony i absolutnie Mu nie równy i podlegający Stwórcy jak każde stworzenie), Szatan bowiem to kłamca i ojciec kłamstwa i „zabójca od początku" który nakłonił serce Kaina do zbrodni. Działający w ukryciu i atakujący z ukrycia. Najchętniej wykorzystuje ludzkie namiętności, kierując je ku złu, ku totalnej negacji dobra. Wpływając pośrednio lub bezpośrednio na umysł człowieka podsuwa mu, że wszelkie nakazy i zakazy dane ludzkiemu rodzajowi przez Boga, wcale nie zostały dane dla jego dobra, lecz stanowią tylko dyby, które bezwzględnie powinno się zrzucić. A więc według Szatana, aby być szczęśliwym, należy żyć odwrotnie niż nakazuje to DEKALOG – czyli: mieć innych bogów niż Bóg, kraść, zabijać, cudzołożyć... I tu może zrodzić się pytanie: No dobrze, skoro wpływ Szatana jest tak ogromny, a on sam jest nieomal wszechobecny, posługując się upadłymi istotami – demonami, to dlaczego nie sposób dostrzec go bezpośrednio?

Otóż, to nieprawda, że świata zła przenikającego nasz świat nie da się nigdy dostrzec bezpośrednio, ponieważ Szatan i demony – chociaż dość rzadko, to jednak manifestują się przez opętania. No właśnie, dość rzadko. Dlaczego? Ponieważ Szatan woli by pomiędzy popełnionym złem, a jego osobą nie postrzegano związku. Szatan woli być anonimowy. Ba! On jest najszczęśliwszy, kiedy uda mu się sprawić, że ludzie przestają wierzyć w jego istnienie! Bo wtedy właśnie najłatwiej mu ich zwodzić i atakować.

Mało tego, Szatan może znieważać nie tylko jednostki, lecz nawet całe grupy ludzkie. Przecież jednak ojciec wszelkiego zła jest ograniczony i skrępowany w swym działaniu skierowanym przeciw człowiekowi przez to, iż może go tylko kusić, ale nie ma absolutnie żadnej możliwości, by – bez świadomie i dobrowolnie wyrażonej zgody – zawładnąć wolą człowieka i przymusić go do popełnienia grzechu. W tym miejscu jednak uwaga: otóż Szatan może z człowiekiem walczyć, może go doświadczać różnorodnymi udrękami, chociaż nie ma możliwości opanowania jego woli.

Teraz zaś króciutko zajmijmy się królestwem demonów, czyli piekłem.

Piekło. Miejsce, stan i rodzaj kar

Nikt nie wie i nikt nie może rozstrzygnąć tego, gdzie znajduje się piekło, mimo iż jest ono nie tylko stanem, ale również miejscem. Dlatego pominiemy kwestię umiejscowienia piekła we Wszechświecie, a przyjrzymy się mu raczej jako stanowi.

Tak więc przebywają w nim Szatan i demony, czyli zbuntowani niegdyś przeciwko Bogu i Jego Prawu aniołowie, oraz dusze ludzi, którzy zmarli wstanie grzechu ciężkiego („grzech ciężki" to wynalazek Kościoła rzymskokatolickiego, w Kościołach Wschodnich grzech to grzech – czyli zerwanie wspólnoty z Bogiem).

Jak nietrudno się domyślić, piekło jest całkowitą odwrotnością nieba. A zatem jest miejscem przepełnionym ciemnościami, bólem, smutkiem, rozpaczą, kędy dusze zniewolone złymi, nie odżałowanymi i nie odpokutowanymi czynami, przebywać będą w wieczności.

Właśnie dogmat o wieczności kar piekielnych, jako przerażającej rzeczywistości, od samych początków chrześcijaństwa, u niektórych wzbudzał najwięcej kontrowersji. Jednym z głównych argumentów, rzekomo przemawiających przeciwko istnieniu wiecznego piekła było twierdzenie, że Bóg jest miłością i miłosierdziem, a jako Miłość i Miłosierdzie nie dopuszcza, aby Jego dzieci, choćby i skażone grzechem, cierpiały nigdy nie kończącą się mękę.

Z chwilą zgonu, kiedy ustaje wszelka możliwość działania, nadchodzi kres zarówno zasługi, jak też i winy, dlatego na sądzie przed obliczem Bożym staje się z tym bagażem zasług i win, jaki się zgromadziło do momentu zgonu. Inaczej mówiąc: to się osiąga po śmierci, czego się przed nią zapragnęło i co wybrało. Po śmierci bowiem kończy się czas miłosierdzia, a zaczyna czas sprawiedliwości.

To przecież człowiek sam, za życia w ciele, świadomie i dobrowolnie wybrał bądź późniejsze obcowanie z Bogiem (czyli niebo), bądź bytowanie bez Boga (czyli piekło). I Bóg tę decyzję szanuje.

Cierpienie potępionego zaczyna się już w momencie zakończenia sądu szczegółowego po zgonie, gdy uświadomi sobie i pojmie, iż wybrał źle, i że jest to tylko i wyłącznie jego winą, oraz iż nie ma już absolutnie żadnej możliwości zmiany swego stanu.

Jak z powyższego wynika, cierpienie, niewyobrażalne wprost katusze psychiczne, biorą początek w samym potępionym. Jego dusza doskonale wie i rozumie, co przez swoje postępowanie na ziemi straciła. Świadomość utraty Boga – rozkoszy wprost niepojętej i absolutnego szczęścia, jakiego mogłaby doświadczać w niebie, powoduje niesłychaną, niebywałą wprost rozpacz i nienawiść. Potępiony najpierw i przede wszystkim nienawidzi samego siebie, ale również pała szaloną nienawiścią do Szatana, demonów i dusz innych potępionych ludzi – współtowarzyszy nie kończącej się męki. Równie potężną nienawiścią obdarza także Boga, aniołów oraz błogosławionych, którzy w niebie doznają niewysłowionego szczęścia, wynikającego z obcowania ze Stwórcą i z oglądania Go „twarzą w twarz".

Oprócz katuszy psychicznych, w czeluściach piekielnych potępieni doświadczają również mąk fizycznych, innymi słowy kary zmysłów, polegającej na dręczeniu ich przez nadzwyczaj palący ogień.

Jest to dziwne i trudne do pojęcia naszym rozumem nie obejmującym wieczności i tego, co się w wieczności dzieje, a pojmującym jedynie doczesność. No bo jak to? Niematerialne dusze pali materialny ogień?

Nie chcę się tutaj szeroko rozwodzić nad ową kwestią, więc wspomnę tylko, że oddziaływanie na dusze ludzkie rzeczywistego materialnego ognia w zaświatach jest i zagadką, i tajemnicą. Nie wiemy bowiem (ani nawet nie możemy się domyślać) w jaki sposób materialny ogień zadaje ból niematerialnej duszy. Ale nie jest to oczywiście powód by odrzucać realne istnienie tegoż ognia. Dlaczego? Ponieważ nic nam nie wiadomo ani na temat jego natury, ani natury duszy uwolnionej z ciała, ani nawet na temat samej... duszy. Skoro

jednak eschatologia (czyli nauka o rzeczach ostatecznych człowieka i świata) poucza, że męka ognia jest faktem, możemy się co najwyżej nad owym faktem zastanawiać. A swoją drogą dobrze by było, gdyby ktoś zajął się rozważaniami nad owym fenomenem. Tym bardziej, że jest to nauka oparta na Biblii, która wyraźnie mówi o karze ognia.

Inną z kar piekielnych jest brak – w owym miejscu oddzielenia od Boga i rozpaczy – miłości i wolności, oraz świadomość, że samemu jest się winnym swego obecnego stanu. Jak wcześniej wspomniałem, przymiotem wszystkich owych udręk jest wieczność. A można wszystko owo zdefiniować jednym zdaniem: Człowiek jest istotą wolną i w swej wolności może zamiast Boga, dobra, raju, wybrać Szatana, zło, piekło. Innymi słowy ma możność skazać się na wieczne przebywanie w miejscu pełnym odrazy, lecz dopiero tam się dostawszy rozumie, co utracił i to właśnie staje się jeszcze jedną z udręk – świadomość wiekuistego niespełnienia przeznaczenia do szczęścia i do radości.

Tyle – w zasadzie – na temat piekła można się dowiedzieć z eschatologii (czyli – z greckiego – nauki o rzeczach ostatecznych człowieka i świata) ortodoksyjnej. Ale oprócz tego co zawiera się w Biblii i św. Tradycji, a co jest zdefiniowane jako dogmaty, są jeszcze opinie i opisy piekła powstałe w wyniku objawień, jakich doświadczyły osoby określane jako świątobliwe, które zasłużyły sobie na łaskę, na przywilej wejrzenia poza jakże szczelną zasłonę odgradzającą doczesność od wieczności. Poniżej przedstawię niektóre z nich.

W 1917 roku, w Portugalii, trójka dzieci: Franciszek, Hiacynta i Łucja doznały objawień Matki Bożej, która wzywała świat do modlitwy i pokuty, jednocześnie powierzając owym dzieciom pewną tajemnicę, składającą się z trzech części, a dotyczącą przyszłości świata, jak i samych widzących.

W dniu 31 sierpnia 1941 roku, Łucja – jedyna żyjąca (bo Franciszek i Hiacynta pomarli w niedługi czas po doznaniu objawień) kierując się nakazem nieba, dwie spośród nich wyjawiła. W liście do swego ordynariusza, biskupa Lerii, tak pisze:

„Tajemnica (...) składa się z trzech części, teraz wyjawię dwie. Pierwsza to widzenie piekła. Najśw. Dziewica rozłożyła ręce, a z nich wytrysnęły strumienie światła, które przeniknęły ziemię. Ujrzeliśmy morze ognia znajdujące się jakby pod ziemią. W tym morzu pogrążeni byli szatani i dusze w postaci ludzkiej, które bądź wznosiły się w powietrzu jak płomienie z wydobywającymi się z nich kłębami dymu, bądź podobne do iskier olbrzymiego pożaru opadały na wszystkie strony w postaci deszczu, wśród przeraźliwych krzyków i wycia z powodu okropnego bólu i rozpaczy, wywołując potworny strach i przerażenie. Szatani odróżniali się od ludzi odrażającą postacią potwornych i nieznanych zwierząt czarnych i przezroczystych. Widzenie trwało tylko chwilę i wywołało grozę. Byliśmy pełni wdzięczności dla naszej Niebieskiej Matki za wcześniejsze zapewnienie, że zabierze nas ze sobą do Nieba. Gdyby nie to, chyba umarlibyśmy z wstrząsającego przeżycia." (cyt. za: Ks. H. Jongen: *Tajemnica Fatimy*, Warszawa (Struga) 1990, str. 23–24)

Jest to bez wątpienia opis wstrząsający, ale przecież istnieją jeszcze drastyczniejsze. Tych ostatnich, między innymi, dostarczyła nam żyjąca w latach 1890–1923, zmarła w opinii świętości, kobieta narodowości hiszpańskiej, będąca zakonnicą we Francji, w zgromadzeniu Sacrè Coeur, siostra Józefa Menendez. Dzięki – jak to określała – „niepojętej łasce Boga", siostra Józefa stała się żertwą wynagradzającą liczne i ciężkie grzechy (szczególnie dusz poświęconych Najwyższemu – kapłanów, zakonników, zakonnic) oraz posłanniczką Bożego Miłosierdzia.

Od momentu przyjęcia tego wielkiego powołania na swoje barki, Szatan zdobył nad jej ciałem szczególną moc. Siostra Józefa odtąd prawie nieustannie była prześladowana przez złego ducha, który w ten sposób usiłował ją zmusić, aby odszedłszy od Boga, wybrała przyjaźń z nim.

Nie miejsce tutaj na szczegółowe opisy prześladowań siostry Menendez, wspomnę tylko, iż diabeł używał wszelkich dostępnych mu środków i sposobów, ażeby ją złamać, a jednym z nich było fizyczne znęcanie się nad nią.

Jako ofiara wynagradzająca grzechy miała też ona szczególny przywilej: udawała się w ciele do piekła, by dobrowolnie cierpieć tam najstraszniejsze katusze (oszczędzono jej tylko rozpaczy i nienawiści).

A oto niektóre z mąk i przykrych przeżyć, jakich ta kobieta doświadczyła (żyjąc jeszcze w doczesności) w owym miejscu opuszczenia i udręki. Siostra Józefa spędzała w piekle nieraz kilka, nawet kilkanaście godzin, doznając niewysłowionej wprost męczarni. Zatracała poczucie czasu, i zdawało się jej, że w tymże miejscu kaźni przebywa od zawsze.

Ze słów zanotowanych przez nią zdaje się wynikać, iż dwa rodzaje mąk były dla niej szczególnie przykre. Mianowicie palenie żywego ognia, który zdawał się przenikać każde włókienko jej ciała, wlewać przez gardło do wnętrzności i sprawiać ból tak dotkliwy, że nie sposób było go potem opisać, oraz bluźnierstwa i przekleństwa wykrzykiwane przez potępionych i demony, których musiała wówczas wysłuchiwać.

Jak wynika z pism pozostawionych przez Józefę Menendez, w piekle oprócz tego wszystkiego na dodatek potwornie cuchnie. Smród ów zdawał się przenikać jej ciało, także jeszcze w kilkanaście minut po powrocie z miejsca udręki i cierpienia. Tak ona sama, jak i współsiostry zakonne czuły bijący od niej przenikliwy i nader niemiły duszący fetor. Przypominał on nieco odór płonącej siarki i zwęglonego ludzkiego mięsa.

O tym, że Józefa rzeczywiście doświadczyła tych okrutnych przeżyć w piekle, świadczył nie tylko ów niemiły zapach, który emanował od niej, gdy wracała z podziemia, ale też rzeczywiste rozległe rany spowodowane oparzeniami, które goiły się nadzwyczaj źle i bardzo wolno, pozostawiając brzydkie i głębokie blizny. Dla informacji warto też dodać, iż siostra Józefa bardzo często bywała doświadczana przez ogień nawet i bez przenoszenia jej do piekła (również w obecności świadków!). Oto, ni stąd ni zowąd poczynało płonąć jej ciało, a od niego zajmowała się bielizna (nawiasem mówiąc do dziś przechowywana w klasztorze na pamiątkę owych niesamowitych wydarzeń).

Z niektórych opisów wizjonerów wynika, że ogień piekielny, choć posiadający naturę zwyczajnego, ziemskiego ognia, od tego ostatniego poważnie różni się wyglądem. Jest bowiem ciemny i nie dający blasku. Będzie to chyba logiczne i zrozumiałe, zważywszy na fakt, iż piekło to miejsce opuszczenia, rozpaczy i ciemności, gdzie nie ma światłości.

Siostra Menendez pisała także, iż Szatan, który objawiał się jej bardzo często pod rozmaitymi postaciami, gdy przybierał posturę najbardziej przerażającą, czyli ludzkie kształty, wydzielał (czyż bowiem nie był on najpierw Aniołem Światłości?) dość intensywne światło, tyle że jakby zamglone, jakby osłonięte filtrem utworzonym z ciemnego obłoku, czy też z czegoś przypominającego mgłę lub dym.

Opis mąk piekielnych odnajdziemy także w DZIENNICZKU bł. Faustyny Kowalskiej, polskiej mistyczki i wizjonerki, którą niedawno wyniósł na ołtarze papież Jan Paweł II.

Pisze ona, że Bóg dozwolił jej zajrzeć w czeluście piekielne, gdzie oglądając przerażające cierpienie i katusze, zrozumiała co duszom sprawia największy ból, i wymienia je po kolei. A więc informuje nas, że najstraszniejszą męką jest utrata Boga, wieczne od niego oddzielenie. Drugą, gryzące i nigdy nie ustające wyrzuty sumienia. Kolejną, świadomość niezmienności tego losu. Dalej, dusza doświadcza męki ognia, który ją pali, lecz nie niszczy. Następną kaźnią jest niczym nie rozjaśniona ciemność, duszący smród, obcowanie z demonami i duszami innych potępionych, a przede wszystkim z Szatanem. Wreszcie jest to rozpacz, wypływające z niej bluźnierstwa i przekleństwa, nienawiść Boga, samego siebie i wszystkich istot, świadomość, że mogło się osiągnąć niebieskie szczęście, a wybrało się ohydę piekła.

Bł. Faustyna informuje nas dalej, że powyższe męki odnoszą się do w s z y s t k i c h dusz potępionych, ale bynajmniej nie są one jedyne. Do tych „ogólnych" bowiem dołączają się

jeszcze cierpienia indywidualne, stosownie do głównych ciężkich grzechów jakich dany potępieniec najczęściej się dopuszczał za życia. Pisze też, że w piekle są rozmaite „lochy i otchłanie kaźni", gdzie potępieni doznają katuszy.

Widok tego przeklętego miejsca uczynił na niej tak przerażające wrażenie, że gdyby nie opieka Pana Boga, to strach i przerażenie, jakich tam doświadczyła, bez wątpienia byłyby ją zabiły. Siostra Faustyna informuje nas ponadto, że pisząc na ów temat, czyni to z rozkazu Bożego, ku przestrodze błądzącym ludziom, aby nie odrzucali wiary w nigdy nie kończące się męki po śmierci, argumentującym, iż nie można w nie wierzyć, bo nikt z żyjących w piekle nie był, nie widział go i nie zaświadczył o nim.

Według bł. Faustyny do piekła trafia najwięcej dusz, które nie dowierzały w jego istnienie.

A zatem, jak z powyższego wynika, oprócz naszej codziennej, przaśnej powszedniości, oprócz doczesności, istnieje wieczność, którą oddziela od nas jedynie krucha łupinka życia w ciele. Oprócz człowieka istnieją też byty duchowe, i to zarówno mu przyjazne, jak i nieprzyjazne. Te ostatnie zaś usiłują za wszelką cenę człowiekowi zaszkodzić, posiąść go czyniąc poddanym swego Królestwa Zgrozy i Rozpaczy.

Chociaż bez wątpienia powszechnie uważa się, że owym królestwem jest piekło, to chodzi mi tym razem nie o miejsce, lecz o władzę, jaką Szatan sprawuje nad demonami i duszami uległych mu złych ludzi.

Diabeł – co chyba zrozumiałe – wszelkimi sposobami próbuje rozszerzyć, powiększyć to swoje Królestwo, manifestując się bądź poprzez opętania, bądź też poprzez widzialny, złożony z ludzi oddających mu boską cześć, własny Kościół. Częstokroć zresztą opętanie idealne łączy się z wyznawaniem kultu Księcia Ciemności.

Teraz – bardzo krótko – zajmę się omówieniem genezy i oblicza współczesnego satanizmu, tego wynaturzenia pełnego odrażających zbrodniczych obrzędów.

Jak mógł powstać współczesny satanizm? Poniżej proponuję jeden z możliwych scenariuszy. Czy było właśnie tak, czy zgoła inaczej, tego nikt nie wie, i nikt wiedzieć nie może.

Kult złych istot duchowych jest tak stary, jak stary jest rodzaj ludzki. Nasi odlegli przodkowie, którzy wyznawali animizm, składali ofiary złym mocom, powodowani zgoła innymi przesłankami niż ludzie nam współcześni.

Otóż, wierząc iż siły zła i ciemności, przeciwstawne siłom światła i dobra mają ogromną moc, woleli się zabezpieczyć. Zatem składali im ofiary nie jako wyraz oddania i miłości, lecz ze strachu – można rzec: „dla świętego spokoju".

Ale w miarę jak rozwijały się cywilizacje, rósł poziom wiedzy człowieka, a wraz z nim potrzeby i wymagania. Wtedy to, niektórzy szamani i kapłani (a może i ludzie spoza owych kast), jęli świadomie i dobrowolnie czcić złe moce, aby tylko nad nimi zapanować i w ten sposób zagwarantować sobie dobrobyt materialny, albo się im świadomie i dobrowolnie oddać na służbę, całe swoje życie podporządkowując złu, aby w ten sposób zdobyć wszystko, co w doczesności człowieka wydaje się mieć znaczenie – posiadanie, władzę, mądrość, powodzenie, sławę...

Ponieważ nie będę się zajmował kultami ciemnych mocy innych obszarów kulturowych niż nasz własny i innych religii prócz monoteistycznych, pozwolę sobie na analizę właśnie europejskiego i amerykańskiego (wywodzącego się z cywilizacji łacińskiej) satanizmu.

„Na początku pojawienia się w imperium rzymskim chrześcijanie za demony uznali wszystkie bóstwa pogańskie jako bałwany, rękoma ludzkimi uczynione. Zgodnie z nakazami zarówno żydowskich ksiąg starotestamentowych Biblii, jak i nauką Jezusa i Apostołów, nie poważyliby się oddawać czci Nieprzyjacielowi Boga. Chociaż już w czasach apostolskich do chrześcijan poczęli się zbliżać wyznawcy Złego Anioła, aby „zdobyć więcej mocy", móc powiększyć zakres swoich możliwości czarodziejskich. Najlepszym tego dowodem jest wzmianka o Szymonie Magu, który chciał kupić dary Ducha Świętego. Być może i wśród

samych ochrzczonych także trafiali się i tacy, którzy przechodzili na pozycje przeciwnika, ale jeśli nawet – chociaż z literatury nic na ten temat nie wiadomo – nie musiały to bynajmniej być zjawiska marginalne.

Szersze rozpowszechnienie kultów Zła zaczęło się dopiero wówczas, gdy na bazie nauk gnostyckich, chrześcijańskich, zoroastryjskich i taoistycznych, oparł swą nową doktrynę religijną niejaki Mani (240–276 n.e.). Pers z pochodzenia, który ogłosił się Parakletem – Duchem Świętym Pocieszycielem i ostatnim z proroków.

On to kamieniem węgielnym głoszonej przez siebie nowej religii uczynił dualizm. A więc głosił, że istnieje nie jeden Bóg, ale dwóch – dobry Ormuzd i zły Aryman, że pomiędzy nimi trwa ustawiczna walka o panowanie nad światem i rodzajem ludzkim, że człowiek jest tworem zarówno jednego, jak i drugiego, bo to Aryman ukształtował jego ciało, zaś Ormuzd obdarował je duszą. Dalej, że materia, jako dzieło Złego Boga jest złem i należy ją zwalczać, dążąc do jej ostatecznego unicestwienia. Sam Mani po bardzo intensywnym życiu nauczyciela i misjonarza, w końcu został zabity, bo szach perski dostrzegł niebezpieczeństwo jego nauki, niebezpieczeństwo potężne, gdyż doktryna Maniego zagrażała strukturze państwa i porządkowi społecznemu. Ale męczeńska śmierć Maniego niczego nie rozwiązała – pozostała jego myśl, zapalająca niejedną wyobraźnię.

Już słyszę ten okrzyk zgrozy rozmaitych „uczonych” (mniej, czy bardziej, nie ważne, takich co to swoje wiedzą, ale skoro im wolno, to i mnie wolno powiedzieć co myślę na ten czy inny temat). Przedstawię więc poniżej jeden z możliwych scenariuszy tego, jak mogło dojść do powstania religii satanistycznej na terenie cywilizacji judeochrześcijańskiej. Oczywiście wcale tak być nie musiało, ale oczywiście – mogło...

Mazdak

Doktryna perskiego proroka inspirowała wiele umysłów i była źródłem, z którego wielokrotnie czerpano. Obok głównego nurtu religii manichejskiej pojawiło się wiele innych, i to nie tylko płynących w tym samym mniej więcej kierunku, ale i w odwrotnym. Jak to możliwe? Można zachować główny zręb doktryny, a wypracować całkiem różną od ortodoksyjnej etykę.

Jeśli przyjmiemy, że materia jest zła, dobre zaś tylko uwięzione w niej dusze – iskry Światłości, to niekoniecznie musimy dojść do wniosku, że właśnie osobiste wyrzeczenia i umartwienia muszą spełniać pozytywną rolę w odwiecznej walce Ormuzda z Arymanem. Można uznać, że osobiste czyny nie posiadają żadnej wartości ani żadnego znaczenia.

Jeśli nasze pojawienie się w materialnym ciele zostało spowodowane aktem twórczym złego boga, to grzech nie jest wynikiem wolnej woli, lecz determinuje go wola i działanie sił ciemności. W takim wypadku nie ponosimy żadnej odpowiedzialności. Jeśli więc wszystko co czynimy bierze początek w woli Arymana, to nie ma ani zasługi, ani tym bardziej winy, a skoro nie ma winy, nie ma też i kary. Dlaczego wobec tego mamy się umartwiać, zamiast żyć w taki sposób, jaki daje nam najwięcej zadowolenia i rozkoszy?

Co więcej? W jeden tylko sposób można pomóc Dobru – starając się zniszczyć zastaną strukturę świata, twór Arymana. Ponieważ wszyscy jesteśmy materialni, wszyscy jesteśmy sobie równi i w nikim nie tkwi więcej boskiego światła. Rozdzielone bowiem zostało jednako między poszczególnych ludzi.

Nierówność społeczna powstrzymuje uwolnienie światłości z więzów materii. Jeśli klasy i warstwy zostaną zniesione i wszyscy ludzie zostaną dopuszczeni do sprawiedliwego, bo równego, udziału w dobrach, zniknie przyczyna nienawiści i walk nękających nasz glob od zarania dziejów. To z kolei przyczyni się do uzyskania przewagi Dobra nad Złem.

Do takich właśnie wniosków doszedł Mazdak będący mobedem, czyli magiem zoroastryjskim. Funkcję tę sprawował oficjalnie i wykazywał się nawet taką gorliwością, że został najwyższym kapłanem. W rzeczywistości jednak wyznawał manicheizm, który rozumiał zgoła inaczej niż jego twórca.

Osiągnąwszy pierwszą godność duchowną uznał, że ma już możliwość zrealizować swoje zamierzenia. Przygotował się do tego skrupulatnie. Przy pomocy zaufanych sług i zwolenników połączył w stołecznym chramie ołtarz, na którym płonął święty ogień, długim tunelem z podziemiami. W tunelu owym umieścił człowieka, który miał odpowiadać na pytania zadane ogniowi.

Mazdak przedstawił się szachowi Kawadowi (488–531 n.e.) jako ten, którego Bóg powołał do zreformowania zoroastryzmu. Władca zażądał dowodów. „Prorok” przedstawił tylko jeden: jego słowa potwierdził święty ogień w obecności króla i dworu. Kawad uwierzył. Mało, rychło stał się bezwolną marionetką w rękach Mazdaka, który faktycznie zaczął sprawować władzę. Rozpoczął reformy zakrojone na szeroką skalę, a nie mające odpowiednika we wcześniejszych dziejach. Zniszczył bariery między warstwami społecznymi, ogłosił wszystkich ludzi równymi sobie i zaczął poważne przygotowania do dopuszczenia wszystkich w jednakowym stopniu do korzystania z dóbr.

Trudno przewidzieć jak potoczyłyby się dalsze dzieje Persji, gdyby nie... kobiety.

Mazdak przyjął bowiem z klasycznego manicheizmu pogląd, że kobieta jako ta, która przekazuje życie nowym pokoleniom jest istotą złą i odmówił jej człowieczeństwa. Potraktowawszy je jako rzeczy – przedmioty służące dawaniu rozkoszy mężczyźnie, ogłosił kobiety wspólną własnością.

Posunięcie to miało, jak przypuszczam, również inne, bardziej prozaiczne znaczenie. Mimo popularności, jaką „prorok” zdobył wśród ludzi dzięki reformom społecznym, chciał ją

jeszcze bardziej rozszerzyć i ugruntować. Wspólne kobiety miały służyć temu celowi. Czyż któraś z dawnych religii mogła zaoferować coś bardziej atrakcyjnego?

Nic też dziwnego, że szeregi mazdakitów z dnia na dzień rosły. Ciągnęły chłopy do Mazdaka jak w dym, a jemu coraz bardziej przewracało się w głowie. Musiał chyba być bardzo pewny swej siły, skoro porwał się w końcu na królową. Ostatecznie chuci z nią nie zaspokoił, ulegając prośbom Chosrowa – następcy tronu, ale sama próba wejścia do sypialni władczyni stała się przyczyną zaciekłej nienawiści królewicza do Mazdaka. Był to początek klęski tego ostatniego. Syn szacha zaczął montować opozycję wśród arystokracji i magów.

Trwało to dość długo, ponieważ ludzkie obawy o własną skórę powstrzymywały tych spośród niezadowolonych, na których stawiał Chosrow. Jednocześnie wszelkimi możliwymi sposobami starano się zdjąć bielmo z oczu władcy.

Ten jednak był nieugięty. Powolny Mazdakowi nie słuchał najbardziej nawet rzeczowych dowodów prawowiernych mobedów (magów). „Prorok" ze swej strony rozumiał, że musi za wszelką cenę przeciągnąć na swoją stronę królewicza, który jego wiary nie przyjął.

W razie gdyby się to nie udało, postanowił go zgładzić.

Ciągle i ciągle poruszał ten temat w rozmowach z Kawadem, aż władca zdecydował się ostatecznie załatwić z synem ową sprawę. Chosrow zagadnięty przez ojca kategorycznie odżegnał się od przyjęcia mazdakizmu. Oświadczył wręcz, że „prorok" jest oszustem. Rozwścieczony szach dał mu dość krótki czas na udowodnienie zarzutu i zagroził, iż w przeciwnym razie ukarze go śmiercią.

Zdawałoby się, że dni księcia są już policzone i nic go nie uratuje przed utratą życia. Na fanatyzm króla królów do tej pory nie było bowiem sposobu. Zauroczony osobowością Mazdaka nawet nie chciał słuchać głosu rozsądku.

Stało się jednak inaczej. Znalazła się osoba (był nią stary i ponoć wielce mądry mag), która umiała poprzez królewskie uszy dotrzeć do królewskiego rozsądku. Przekonał Kawada, że Mazdak dybie na jego tron i wyłącznie żądza władzy, która nim kieruje, dyktuje mu takie, a nie inne posunięcia.

Mazdak postawił na pospólstwo, bo wie, że nie ma w państwie większej ponad nie siły. Wie także, że jeśli się je uzbroi, w razie potrzeby wyrąbie mu drogę do korony. Ale nawet zakładając, że Mazdak ma jak najczystsze intencje, do czego doprowadzi jego polityka? Wspólnota kobiet zniszczy rodzinę, a przez to ugodzi w społeczeństwo i państwo. Wspólnota majątków sprawi, iż ludzie nie będą mieli żadnego bodźca do wydajnej pracy, bowiem i ten, który będzie wykonywał swoje obowiązki uczciwie, i ten, który tylko będzie udawał, że je wykonuje, otrzymają tę samą zapłatę.

Jaka zatem perspektywa rysuje się przed takim narodem? To jasne: zupełna ruina gospodarcza i jej efekt – nędza. A cóż może wyniknąć z tej ostatniej, jeśli nie rozpacz, prowadząca do zamieszek i bratobójczych walk? A zupełna równość wszystkich ludzi? Jeśli każdy Pers uwierzy, że niczym nie ustępuje szachowi, to czy zechce słuchać poleceń władcy? Konsekwencją tego będzie całkowita anarchia. W końcu i armia przestanie istnieć, a jeśli armia, to i Persja.

Jeśliby zaś król ucząc ludzi, że są równi, zechciał dla dobra państwa przy pomocy urzędników siłą utrzymać ich w posłuszeństwie, to jednego tylko może się spodziewać uczucia z ich strony – nienawiści. I niech wie, że gdyby kiedyś jego siła osłabła, wszyscy zausznicy i urzędnicy pójdą pod nóż, a kraj utonie we krwi i to również będzie koniec Persji.

Tak czy owak, czy Mazdak wierzy w to, czego naucza, czy jest obłudnikiem pożądającym korony króla królów, nie szykuje ani państwu, ani narodowi świetlanej przyszłości, lecz ból, nędzę i śmierć.

Szach przejrzawszy przeraził się. Teraz dopiero dostrzegł w pełni całe niebezpieczeństwo wynikające z nauk Mazdaka, ale o odsunięciu go z dnia na dzień nie mógł nawet marzyć. Zwolenników „proroka" było pełno nie tylko w stolicy, ale w całym kraju i każde

radykalniejsze posunięcie względem jego osoby musiałoby się skończyć wybuchem wojny domowej.

Postanowiono więc uciec się do podstępu. Pozornie książę uległ i stał się mazdakitą. Uśpiono w ten sposób czujność „proroka", który sądził, że odniósł zupełne zwycięstwo, tym bardziej, iż oficjalnie dopuszczono go do udziału w rządach, o czym marzył od dawna. Jednocześnie gruntownie przygotowywano się do zadania Mazdakowi śmiertelnego ciosu.

Zabezpieczywszy się przed nieprzewidzianymi wypadkami, przy pomocy wiernych oddziałów wojska w ciągu jednej nocy wymordowano wszystkich mazdakitów zamieszkujących stolicę, a było ich tam kilkanaście tysięcy.

Jakże bolesne musiało być dla Mazdaka przebudzenie. Oto raptownie skończył się jego sen o równości wszystkich ludzi, o władzy, którą miał objąć nad Persją... Mordowany chyba bardziej był zdumiony niż przerażony.

Nie zostawiono mu czasu na żal za niedośnieniem jego majaku do końca. Uporawszy się z problemem w stolicy, rozpoczęto oczyszczanie całego kraju. Chociaż nie zabito wszystkich mazdakitów, jednakże ów ruch polityczno – społeczny nie mógł już zagrażać szachowi i państwu. Wegetował jeszcze dość długo jako marginalny i nie liczący się. A gdy w 531 roku Chosrow obejmował tron króla królów był spokojny o swoją przyszłość i przyszłość państwa.

Uznanie mazdakizmu za formę manicheizmu byłoby oczywiście zwykłym nieporozumieniem. Nie można jednak zaprzeczyć, że to właśnie myśl manichejska odpowiednio przetworzona przez Mazdaka stała się zaczynem nowego światopoglądu i nowej, wynikającej z niego etyki.

Manicheizm bowiem nakazuje walkę z zastanym porządkiem, dąży do jego zniszczenia tu i teraz. Po śmierci natomiast nie obiecuje niczego, bo wyłącznie rozpłynięcie się w Najwyższym, utratę samoświadomości jednostkowej.

Manicheizm skierowany do świata, mógł i musiał doprowadzić do powstania doktryny powszechnej równości w życiu doczesnym, po odpowiednim przetworzeniu jego podstawowych założeń, co zrealizowało się w mazdakizmie. Ten ostatni nie mógłby nigdy wyrosnąć ani na judaistycznym, ani chrześcijańskim, ani na ortodoksyjnym zoroastryjskim zaczynie.

Manicheizm pod względem dogmatycznym i organizacyjnym dopracowany do ostatniego szczegółu przez jego założyciela, w swym głównym nurcie, o ile można użyć takiego określenia, nigdy nie był nękany rozłamami i podziałami doktrynalnymi. Pod tym względem był zwarty i jednolity. Jednakże oferując swój światopogląd ludzkości przyczynił się do powstania całej mozaiki wyznań, sekt i ruchów religijno–społecznych, czy społeczno–filozoficznych, które bazując na nauce Maniego dowolnie ją przetwarzały i interpretowały.

Chociaż częstokroć twierdzi się, że religia manichejska całkowicie wymarła, a późniejsze ruchy paulicjan, bogomilców i katarów należy uważać wyłącznie za herezje powstające w obrębie chrześcijaństwa, to trudno jest całkowicie zgodzić się z takim poglądem.

W rzeczywistości manicheizm nie zaginął, lecz uległ licznym metamorfozom. Naturalnie ciągłość hierarchii i organizacji kościelnej została przerwana i tylko w tym sensie można mówić o śmierci manicheizmu, ale jego doktryna w mniej czy bardziej zmienionej formie przetrwała.

Wschód z prądami manichejskimi w łonie swoich religii uporał się względnie szybko (choć nie cały i nie wszędzie oczywiście, idee manichejskie w Rosji pobrzmiewają po dziś dzień, realizując się w jawnych, bądź częściej tajnych sektach). Zachód natomiast nie umiał sobie poradzić z tymi problemami przez całe wieki. Na Zachodzie manicheizm ewoluował w najrozmaitszych kierunkach: od niezwykle ascetycznych do najbardziej wyuzdanych i zbrodniczych. Przyjąwszy nazewnictwo chrześcijańskie i jego strukturę organizacyjną działał, rozwijał się i zdobywał liczne rzesze wiernych.

Przedziwna zdolność wyznawców dualistycznej doktryny do mimikry niezwykle utrudniała walkę z nimi. Różne manicheizujące wyznania rozbijano w puch kilkakrotnie, ale odradzały się ciągle i ciągle, w coraz bardziej zmienionej postaci.

W późniejszym okresie, chociaż często nieświadome swego rodowodu, przecież realizowały cel wytknięty przez Maniego w III wieku naszej ery – walkę ze złem, aby zwyciężyło dobro. By na ziemi znikły podziały społeczne: klasy i warstwy, i by wszyscy mieli „po równo". By człowiek wreszcie i raz na zawsze wyzwolił się do końca z zależności od drugiego człowieka, od prawa narzuconego mu z zewnątrz, od „religijnego przesądu", od głosu własnego sumienia i by wreszcie i do końca, zawsze robił to co według jego przekonania jest dobre.

„Sekta czarownic”

Podobnie jak na Wschodzie, także i na Zachodzie, szczególnie na Bałkanach i w południowej Francji religia dualistyczna zdobyła wielu zwolenników. Najprężniej rozwijała się w Prowansji i Langwedocji, gdzie jej wyznawców nazywano katarami (z gr. czystymi) ze względu na ascetyczny tryb życia.

Doszło do tego, że katarzym na tamtym terenie prawie zupełnie wyparł chrześcijaństwo i był popierany nie tylko przez prosty lud, mieszczaństwo, ale nawet szlachtę i baronów. Oczywiście taki stan rzeczy nie mógł trwać wiecznie i Kościół widząc, jakie katarzy poczynili spustoszenie w jego szeregach, poczuł się zmuszony podjąć akcję przeciwko nim, organizując wyprawy krzyżowe.

Po wielu latach krwawe rzezie, jakie urządzano katarom sprawiły, że ich religia w pierwotnej formie upadła, ale przecież tu i ówdzie musieli pozostać jej epigoni.

Chociaż nie ma na to w gruncie rzeczy dowodu, i jest to tylko hipoteza, niektórzy z nich, podobnie jak Mazdak, musieli dojść do wniosku, że człowiek nie włada swoimi poczynaniami, że żyjąc w ciele nie może ani zdobywać zasług, ani grzeszyć.

Ba! Niektórzy widząc całe zło, jakie ich otaczało, czyż nie mogli dojść do przekonania, iż oddając kult Bóstwu Dobremu błądzili, i że w rzeczywistości nie jest ono słabsze od Złego Bóstwa. A skoro tak, to należy czym prędzej naprawić swój dotychczasowy błąd i począć oddawać cześć przeciwnikowi Boga – Szatanowi...

Jak wspomniałem nie ma na to absolutnie żadnych dowodów, ale rzecz zadziwiająca, kiedy we wczesnym średniowieczu Kościół prawie wcale nie zajmował się czarami i demonicznymi kultami, w chwili gdy począł znikać kataryzm, jęło się nasilać zjawisko ich występowania, i wówczas znów Kościół – widząc w tym poważne zagrożenie dla siebie – zaczął zajmować się ową sprawą.

Pogląd, iż prześladowania czarownic (i czarowników, a owszem! Ale o tym jakoś „oświeceni” nie chcą mówić głośno, bo im to nie pasuje do koncepcji) rozpętali „ciemni, zabobonni” mnisi łacińscy, i że zjawisko czarownictwa na szeroką skalę nigdy nie miało miejsca, a wszystko zostało wyłącznie zmyślone przez księży (i „postępowych” pastorów protestanckich również, a jakże!), by dręcząc niewinne kobiety zaspokoić swoje sadystyczne chucie, przez poważnych badaczy został już zarzucony. „Oświeceniowe” poglądy jednak ciągle jeszcze egzystują i mają swych zażartych zwolenników. Co i raz publikowane są teksty, z których ma niezbicie wynikać, że problemu czarownictwa nie było (a jeśli nawet, to czarownictwo było „humanistyczne, postępowe i szlachetne”). A jako koronnego argumentu używa się twierdzenia, iż do tych wszystkich okropieństw (takich jak np. orgie seksualne, mordy rytualne, szczególnie mordy na dzieciach, kanibalizm itp.) człowiek poprostu n i e b y ł b y z d o l n y.

I wmawia się nam, którzy mamy już za sobą (?!!!) okropieństwa kilku rewolucji, dwóch wojen światowych, niemieckich obozów koncentracyjnych, sybirskich łagrów i praktykowanego przez cesarską armię japońską kanibalizmu na terenach okupowanych (nie, nie z głodu, ale dla krańcowego, totalnego zniszczenia wroga). Nie, dla mnie to żaden argument, i nikt mnie nie przekona, że człowieka nie stać na popełnienie takich odrażających uczynków.

A że zdarzyły się, podczas masowych nagonek na czarownice i czarowników, również i pomyłki (ba! bardzo wiele pomyłek!), że niektórzy inkwizytorzy (ba! bardzo wielu inkwizytorów!) przesadzali w gorliwości, to już inna sprawa. Pewno trochę tak, ale któryż z systemów policyjnych jakiegokolwiek państwa wolny jest od sadystów? Znacie taki? Przecież do policji musi trafiać pewien odsetek ludzi o określonych predyspozycjach psychicznych. I żadne testy tego nie wykluczą, zresztą cóż by wartała policja złożona z mazgajów, mięczaków

i maminsynków? Chcielibyście być chronieni przez funkcjonariuszy, którzy wylewają łzy nad każdą przez przypadek rozdeptaną mrówką?

Wydaje mi się, że „sekta czarownic", z jaką walczono aż do XVIII wieku (oczywiście nie mająca jednolitych ram organizacyjnych; były to luźne związki podobnie myślących i czujących ludzi, którzy od czasu do czasu wspólnie się spotykali, albo i nie spotykali), powstała na gruzach dwóch prądów religijnych – pogańskich kultów sił płodności, które choć tępione, to przetrwały w szczątkowej i skażonej postaci w różnych częściach Europy aż do schyłku XIX wieku, oraz bardzo silnie wypaczonego manicheizmu, na dodatek obficie podlanych (głównie w dziedzinie nazewnictwa) chrześcijańskim sosem.

Oczywiście ta nowa, synkretyczna religia, powstała na kanwie owych dwóch rodzajów wierzeń, z nich obydwu musiała przejąć nienawiść do „czystego" chrystianizmu, jako że dla obydwu był on prześladowcą.

I tak: dawne pogańskie bóstwa płodności stały się Szatanem – Baphometem – Panem i Władcą Sabatu (czyż nie uczono tych ludzi, że każde bóstwo pogańskie jest piekielnego pochodzenia?), któremu oddawano cześć podczas ośmiu głównych świąt roku, wybitnie wskazujących na ich agrarne pochodzenie.

Owe sabaty przypadające m.in. na równonoce czy przesilenia słoneczne, były niczym innym, tylko kontynuacją dawnych obrzędów mających ziemi zapewnić płodność, a ludziom dobrobyt. Obrzędy te obfitowały w orgie seksualne odbywające się pod gołym niebem. Często kopulowano na świeżo zaoranym polu, częstokroć dochodziło do stosunków kazirodczych.

No właśnie. Czyż z tego co wyżej, nie widać (i to chyba dość jasno), że pogańskie święta to gotowy scenariusz późniejszych sabatów dawnych czarownic czy współczesnych sabatów satanistów? Tyle, że sabaty ku czci ciemnych mocy, chociaż w ogólnym zarysie bazują na tych pogańskich świętach (noc, miejsce oddalone od zamieszkania, rytualna uczta, rytualna rozpusta aż do kazirodztwa włącznie itp.), dodatkowo wzbogaciły je w elementy wybitnie perwersyjne, starając się poprzez plugawe naśladownictwo mszy rzymskiej, bluźnić Bogu chrześcijan.

Na temat owych kultów praktykowanych przez „sektę czarownic" nie będę się szerzej rozpisywał, ponieważ nie różnią się one od kultów nam współczesnych czcicieli Złego, a zatem ujmę je wszystkie w rozdziale dotyczącym tych ostatnich właśnie. Na zakończenie muszę dodać, iż na skutek bardzo zdecydowanej akcji przeciw ludziom (głównie były to kobiety, mężczyźni pozostawali nieliczni) parającym się czarną magią i biorącym udział w spotkaniach – sabatach, na których składano cześć Szatanowi, i to zarówno w krajach katolickich, jak i protestanckich, doprowadzono do zaniku „sektę czarownic", przy okazji wymordowując połowę ówczwesnej populacji Europejczyków (ale to tak na marginesie).

Ci co przeżyli, maskowali się znakomicie, lękając się by ich nie rozpoznano, bo wówczas czekałaby ich tylko jedna droga – na stos.

Ale wszelkie łowy, procesy i egzekucje czarownic i czarowników nie mogły oczywiście przynieść sukcesu ostatecznego i zupełnego. Kult Szatana przetrwał w ukryciu, w oczekiwaniu – długim i cierpliwym – na nadejście takich czasów, kiedy bez obaw o życie ludzi go praktykujących, można go znów będzie zacząć uprawiać prawie legalnie.

Piszę „prawie legalnie", ponieważ ze względu na obrzędy i rytuały stojące w sprzeczności z prawem karnym wszystkich krajów świata, sataniści tak całkiem jawnie i otwarcie nie mogą uprawiać swoich zboczonych kultów. Co więcej, nie mogą oni uprawiać ich jawnie i z drugiej przyczyny – bowiem w tej grupie wyznaniowej obowiązują szczeble wtajemniczenia i nie wolno profanom odkrywać więcej, niż i tak wiedzą lub się domyślają.

W związku z tym, dziś satanizm nie jest i chyba nigdy nie będzie poznany do końca. Ale obok głównego nurtu satanistycznego występuje wiele obocznych – coraz więcej ludzi zajmuje się okultyzmem – magią, szeroko rozumianą parapsychologią, astrologią... Coraz

więcej ludzi porzuca chrześcijaństwo i przyjmuje za własne pogańskie doktryny religijne, oddając cześć bogom hinduskim czy Buddzie, czy praktykując starożytne kulty czarodziejskie rodem z celtyckiego kręgu kulturowego, a znane pod nazwą Wicca.

Kościół Szatana

Jak wspomniano w poprzednim rozdziale, satanizm uprawiany w Europie do XVIII wieku uległ zanikowi, a jego epigoni przeszli do ukrycia.

Jak podaje literatura, w roku 1800 pewien Szkot, Isaak Long wyemigrował do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, uwożąc ze sobą do Nowego Świata – jak głosi tradycja – posąg Baphometa (Władcy Sabatu) jako najcenniejszą relikwię. Czy był to ten sam posąg (tajemnicza głowa), któremu oddawali cześć templariusze, zanim Rzym nie dokonał kasaty zakonu, a wielki mistrz i najbardziej znaczący dostojnicy zgromadzenia nie trafili na stos? Trudno dziś dociec, lecz nie jest to wykluczone.

Ale wracając do przerwanego wątku: Otóż, ów Isaak Long założył w mieście Charleston lożę, której członkowie oddawali hołd posągowi Baphometa. Sądzę, iż zainteresuje Czytelnika opis tej relikwii satanistycznej, który można znaleźć w pracy *„Królestwo Szatana”* pióra Bolesława Wójcickiego (nb. doskonałego znawcy satanizmu i problematyki okultystycznej – warto owo nazwisko będzie zapamiętać):

„Posąg ten tak wygląda: Podstawę stanowi kamień kubiczny, stojący na kuli. Na tym kamieniu siedzi postać, której koźle nogi z racicami, skrzyżowane jedna na drugiej, zaczynają się u brzucha pokrytego łuską. Na łonie figury widnieje kaduceusz Hermesa. Piersi – kobiece. Jedna ręka wzniesiona – męska, druga opuszczona – żeńska. Na jednej napis: solve, na drugiej: coagula. Z barków wyrastają skrzydła. Głowa koźla z dwoma rogami, z płomieniem w kształcie litery (hebrajskiej – A.S.) szin (...)” (Bolesław Wójcicki: *Królestwo Szatana*, Warszawa 1924, s. 15 – 16)

Przez cały wiek XIX, aż do połowy wieku XX satanizm propagowany był jedynie wśród elit intelektualnych ówczesnego świata i nie rozrastał się zbytnio, chociaż nie jeden raz było o nim głośno, i nie jeden raz sataniści dostarczyli tematu prasie.

Dopiero w roku 1966, a dokładniej w Noc Walpurgii (z 30 kwietnia na 1 maja), będącej jednym z największych świąt satanistycznych, ogłosił formalne utworzenie Kościoła Szatana, Niejaki Anton Szandor La Vey, Amerykanin węgierskiego pochodzenia. Siebie oczywiście uczynił Najwyższym Kapłanem Księcia Ciemności w Świątyni Trapezoidu, a rok 1966 po narodzeniu Chrystusa, I rokiem ery Szatana, która wedle słów czarnego papieża wtedy właśnie się rozpoczęła.

Anton Szandor La Vey to postać barwna i ciekawa. Zanim został arcykapłanem Szatana, imał się różnych zajęć i uprawiał różne zawody. Potem, zrezygnowawszy ze wszystkiego, oddał się wyłącznie uprawianiu magii i szerzeniu kultu Diabła.

Jest autorem Szatańskiej Biblii, na kartkach, której zawarł całą naukę diabelską, wraz z diabelskimi przykazaniami. Według owej nauki Szatan to – wbrew powszechnie przyjętym poglądom i opiniom – postać bynajmniej nie zła, lecz pozytywna, jedynie godna czci i uwielbienia przez ludzi, którzy w swoim życiu doświadczają wyłącznie klęsk i niepowodzeń.

Anton Szandor La Vey głosi, iż Szatan jest bogiem ziemskim, realistą dalekim od wszelkiego idealizmu. Posiada on najwyższą mądrość i dlatego należy słuchać jego głosu. Najbardziej pociągającą dla osób pozbawionych jakichkolwiek zahamowań moralnych, dla ludzi bez sumienia, jest etyka satanistyczna, która zamyka się w jednym zdaniu: Dobrem jest to, co mi sprawia przyjemność, co mi służy; złem natomiast to, co sprawia mi przykrość, co mi nie służy.

Stosując się do owego poglądu – jak nietrudno się domyślić – bezkarnie (to znaczy nie lękając się ponadziemskiej sprawiedliwości, a sprytnie unikając doczesnej) można czynić wszystko – do najcięższych zbrodni włącznie – o ile taki mamy kaprys, o ile uznamy to, czy owo za dobre dla siebie (!) Kościół Szatana Antona Szandora La Vey, który powstał w Stanach Zjednoczonych, uważa się za spadkobiercę i kontynuatora kultów zła, które z taką zajadłością i konsekwencją były prześladowane i tępione w Europie od średniowiecza

poczynając, a na wieku XVIII kończąc. W związku z tym – w nawiązaniu do tradycji – ustanowiono osiem głównych świąt dorocznych, z których dwa przypadają na czas przesileń słonecznych, dwa na równonoce, a pozostałe cztery to początki czterech pór roku.

Największymi z owych świąt są: Noc Walpurgii oraz Samhain, zwane inaczej Halloween, będące dniem prastarego celtyckiego święta ku czci umarłych, jednocześnie również rozpoczynającego zimę.

Ruch satanistyczny po ogłoszeniu utworzenia przez La Veya Kościoła Szatana i opublikowaniu przezeń Biblii Szatańskiej, dość prężnie rozwija się nie tylko w Stanach Zjednoczonych (gdzie według *oficjalnych* danych liczy około 1 miliona wyznawców), ale praktycznie na całym świecie. Przywleczony z Zachodu, trafił również i do Polski.

Oczywiście należy dokonać rozróżnienia pomiędzy rzeczywistymi satanistami, a ich prymitywnymi naśladowcami. Ci pierwsi rekrutują się bowiem głównie spośród śmietanki intelektualnej i finansowej, drudzy zaś z marginesu społecznego (jest to w zdecydowanej większości młodzież) i poza dziwacznym przyozdabianiem się symbolami szatańskimi, specyficznym ubiorem i – od czasu do czasu – dokonywaniem bestialskich mordów na zwierzętach, a nawet ludziach czy profanowaniu grobów, tak naprawdę o satanizmie (tym autentycznym) zupełnie nie mają pojęcia. Są to na ogół osoby bez żadnego wykształcenia (chociaż ostatnio nie tylko!!!), zwykle nadużywający alkoholu i lubiące też sięgać po narkotyki, o satanizmie czerpiący wiadomość jedynie z telewizji lub sensacyjnych artykułów prasowych.

Jednak i drudzy w ostatnich latach (szczególnie w Europie Zachodniej i Ameryce) poczynają stanowić dość istotny problem i zagrażać bezpieczeństwu publicznemu. Są to na ogół budzący lęk patologiczni przestępcy, nie cofający się przed żadnym występkiem. A nie mając żadnych oporów moralnych, częstokroć popełniają nie tylko zbrodnie rytualne, ale także mordują, aby z tego ciągnąć podwójną korzyść – mieć materialny zysk, umożliwiający życie na odpowiednio wysokim poziomie, jak i czerpać satysfakcję seksualną.

Nie jeden raz prasa – zarówno ta poważna, jak i sensacyjna – donosiła o odkrywaniu zbrodni dokonywanych przez satanistów. Są one zawsze ohydne, odrażające i cechujące się szczególnym upodobaniem zdziczałych wyznawców Złego do sadystycznej perwersji.

Zwykle jednak jedynie przypadek naprowadza na trop owych zbrodni, bowiem sataniści doskonale się maskują, aby nie wpaść w ręce policji. Fakt, że organa ścigania mimo wszystko coraz częściej wpadają na trop makabrycznych przestępstw, bynajmniej nie dowodzi coraz większej ich sprawności, ale raczej czegoś zupełnie innego – rozrastania się satanizmu w miarę upływu lat i niesłabnącego zainteresowania ludzi Szatanem.

Zbrodnie satanistów

Współcześni sataniści – o czym coraz częściej donoszą kroniki policyjne i o czym wspomniano wcześniej – potrafią połączyć „przyjemne z pożytecznym" i pogodzić oddawanie czci Szatanowi z wcale intratnymi interesami, pośród których najpopularniejsze staje się kręcenie wyjątkowo brutalnych filmów pornograficznych.

W wielu zborach satanistycznych najchętniej morduje się dzieci i nastolatków, wcześniej wykorzystując je seksualnie i bardzo często utrwalając owo na taśmie video. Tego typu filmy pornograficzne zawierające sceny autentycznego zabijania ludzi, są bardzo poszukiwane tak na kontynencie amerykańskim, jak i w Starym Świecie, przez dość liczną i stale powiększającą się grupę amatorów szczególnie mocnych wrażeń, których „zwykłe" horrory już nie podniecają.

Policje rozmaitych krajów nie raz i nie dwa wpadały na tropy zbrodni satanistycznych, a nawet niekiedy udawało się im aresztować winnych (o czym niejednokrotnie donosiła prasa) ale wszystko to nie przyniosło pożądanego rezultatu zupełnego oczyszczenia społeczeństwa z groźnych dewiantów i morderców.

Wynika to z faktu, iż satanizm, który został zrównany wprawach z innymi religiami, może być bezkarnie wyznawany, jeśli nie znajdzie się niezbitych, niepodważalnych dowodów na to, że podczas rytualnych spotkań członków tej, czy innej gminy satanistycznej dokonywane są odrażające przestępstwa kryminalne.

Dopiero jeśli znajdzie się takie dowody, do akcji może wkroczyć policja. Tyle tylko, że bardzo często zaczyna ona działać nazbyt późno i jeśli nawet zapełniają się zastawione przez nią sieci, to zwykle płotkami, ponieważ grube ryby – hierarchiczni przywódcy satanistyczni – mają dość czasu, aby umknąć, lub tak się zabezpieczyć, iż praktycznie niewiele, lub nic zgoła nie można im zrobić.

Satanizm, jako ideologia, stawia wszystko na głowie. Na ogół w sposób zawoalowany oddziałuje na całe społeczności (ba! na całą ludzkość!), prezentując poglądy, że dotychczasowe prawa i boskie i ludzkie, są niczym innym, tylko kajdanami krępującymi człowieka, że zabijają one całą radość życia, i że tak naprawdę moralnie dobre jest to, co służy osiągnięciu radości i rozkoszy – bez względu na środki i sposoby, jakimi się posługuje.

I współczesny człowiek coraz bardziej woli „mieć" niż „być", stając się cynicznym materialistą szukającym w życiu jedynie zabawy i przyjemności. Ponieważ jednak nasze ziemskie bytowanie w niczym nie przypomina rajskiego ogrodu, zatem ludzie, aby zdobyć choćby namiastkę szczęścia, szukają go w narkotykach, wyuzdaniu, alkoholu... Jak długo jeszcze? Czy aż do upadku cywilizacji euro–amerykańskiej?

Chcę tu zwrócić uwagę Czytelnika na jeszcze jedno. Oto im bliżej czasu końca naszej cywilizacji, tym więcej zła będziemy doświadczać i tym bardziej powszechne ono będzie. Zatem rojenia o jakimś powszechnym, generalnym naprawieniu ludzkiej moralności są tylko pobożnymi życzeniami i mrzonkami fantastów.

Ale zbrodnie popełnione przez współczesnych satanistów to nic nowego. Odkąd w kręgu cywilizacji chrześcijańskiej rozpoczął się kult Szatana, a więc od wczesnego średniowiecza (a prawdopodobnie jeszcze wcześniej, bo od starożytności) poczynając, takie historie to nic szczególnego.

Najgłośniejszą sprawą był proces wytoczony przez sądy: kościelny i świecki przeciw panu Gilles'owi de Rais, wielkiemu magnatowi, marszałkowi Francji, który wespół z Joanną d'Arc[1] prowadząc wojnę przeciwko Anglikom, wybitnie się zasłużył dla kraju, narodu i króla.

[1] Ciekawe — w średniowieczu Joannę władze kościelne uznały za czarownicę i spaliły na stosie, w czasach nowożytnych zaś zrehabilitowały ją i ogłosiły świętą!!!

Panu Gillesowi de Rais oskarżonemu w procesie w 1440 roku udowodniono ponad wszelką wątpliwość zbrodnie (do których się zresztą sam przyznał): uprawiania czarnej magii, aby zdobyć złoto i bogactwa, odprawianie przez jego dworzanina czarnych mszy, w których uczestniczył, i niesłychanie zwyrodniałe zaspokajanie potrzeb seksualnych na dzieciach połączone z ich mordowaniem w bestialski sposób oraz składaniem części ich ciał w ofierze Szatanowi. Ogółem udowodniono mu zgładzenie ośmiuset dzieci (!).

Tak wielkiego pana i tak zasłużonego dla Francji rycerza niełatwo było dostać sędziom. Dość długo trwało, nim zebrano przeciw niemu wystarczającą ilość niepodważalnych dowodów, w postaci szczątków jego ofiar i zeznań świadków, którzy wespół z ich panem uczestniczyli w owych potwornych obrzędach.

Początkowo Gilles de Rais nadrabiał miną, pogardliwie odnosząc się do sądu, ale gdy zrozumiał, iż jego straszliwe, makabryczne uczynki zostały rzeczywiście odkryte, przyznał się do wszystkiego, z pokorą przyjął wyrok śmierci i idąc na stracenie błagał rodziców dzieci, które zamordował, o przebaczenie za to, co uczynił.

Czytanie protokołów ze śledztwa i zeznań świadków składanych przed sądem może sprawić, że zacznie się powątpiewać w realność tego, co się zdarzyło. Niestety, są to niepodważalne fakty, których ż a d e n prawnik ani historyk nie poważyłby się zanegować.

Zeznań świadków, ani zeznań samego marszałka Francji nie wymuszono torturami. Pan Gilles de Rais był zbyt wielki i zbyt dumny na to, aby się wypierać popełnionych zbrodni – on, bogaty potomek prastarego szlachetnego rodu, miał na tyle odwagi, by przyznać się do tego, co uczynił.

A zresztą, może miał dosyć życia, które prowadził? Może przesycił się już krwią i zbrodnią? Może zrozumiał, iż wykonanie na nim wyroku śmierci nie tylko uwolni społeczeństwo od potwora, ale i jemu samemu przyniesie ukojenie? Jego dość chętne przyznanie się do przestępstw, jego szczery żal i skrucha, jego błaganie nie o litość dla ciała, ale o wybaczenie mu zbrodni przez rodziców zamordowanych dzieci, sprawiło, że ludzie rzeczywiście mu darowali.

Proces marszałka Francji trwał od jego aresztowania dnia 15 września 1440 roku, poprzez jego ekskomunikowanie (wyklęcie przez władze kościelne) 13 października, do przyznania się do popełnionych makabrycznych zbrodni w dniu 21 października, aż do wykonania wyroku śmierci 26 października 1440 roku.

Aby czytelnik miał wyobrażenie o ogromie zła popełnionego przez Gillesa de Rais, kiedy to czynnie wyznawał religię szatańską, zajmował się uprawianiem czarnej magii i dokonywał mrożących krew w żyłach mordów, przytoczę kilka faktów z zeznań jednego ze świadków i współuczestników ohydnych zbrodni, niejakiego Henrieta Griard, które złożył przed sądem kościelnym w dniu 17 października roku 1440.

Otóż Griard poinformował sędziów, że dworzanie Gillesa de Rais, których wymienił z nazwiska, przyprowadzali marszałkowi Francji dzieci – tak chłopców, jak i dziewczynki, chociaż te ostatnie wyłącznie z braku chłopców, marszałek był bowiem homoseksualistą. Griard wiedział o około czterdzieściorgu dzieciach.

Gilles de Rais tak oto sobie z nimi poczynał. Podniecał się seksualnie i gdy osiągnął wzwód członka, wkładał go między uda dziecka i doprowadzał się do orgazmu, pocierając prąciem o brzuchy ofiary.

Po zaspokojeniu chuci, marszałek osobiście zabijał dziecko, rzadziej kazał je zabijać któremuś z dworzan. Mordował je na różne sposoby. Najczęściej odcinał im ręce, nogi i głowę, czasem podrzynał gardła, czasem zabijał uderzając pałką, innym razem otwierał żyłę i czekał aż ofiara wykrwawi się na śmierć. Kiedy z rozciętej żyły wyciekała krew, Gilles lubił siadać na brzuchu konającego dziecka i przyglądać się śmiertelnym drgawkom.

Czasem ponownie go to podniecało, więc kopulował z dzieckiem w czasie jego agonii, a bywało, że i wówczas, gdy umarło.

Po nasyceniu tych zbrodniczych chuci trupy dzieci palono w kominku komnaty, w której sypiał Gilles de Rais. Jeśli nie można było trupa spalić, topiono go w ustępie, albo wrzucano do nieuczęszczanych lochów zamku.

Marszałek Francji – często się to zdarzało– po odcięciu głowy dziecka ustawiał ją na kominku, jako ozdobę salonu i trzymał ją tam do momentu, aż zaczęła cuchnąć, bądź do momentu, gdy zdobywał inną, jeszcze ładniejszą. (por. Michel Herubel, *Gilles de Rais*, w przekł. Krystyny Arustowicz, Warszawa 1987, s. 291 i n.)

Ale oczywiście – jak to zwykle z satanistami bywa – owe potworne i przerażające zbrodnie, uprawianie czarnej magii, spisywanie księgi czarnoksięskiej przy użyciu krwi pomordowanych, branie czynnego udziału w czarnych mszach odprawianych na zamkach marszałka Francji, nie pomogło mu nie tylko się wzbogacić, czy stać się nietykalnym, lecz wręcz odwrotnie – przyspieszyło utratę majątku, a nie obroniło przed wykonaniem kary śmierci.

Sądzę, iż Czytelnik zwrócił uwagę na przerażające podobieństwo pomiędzy zbrodniami popełnianymi kilkaset lat temu, w średniowieczu, i zbrodniami popełnianymi w czasach nam współczesnych. I wtedy, i dziś ofiarami są przede wszystkim dzieci. Ani wówczas, ani teraz, ludzie, którzy się ich dopuszczali, nie posiadali żadnych hamulców moralnych i – by zdobyć powodzenie życiowe i majątek – nie cofali się przed niczym. Oczywiście przed setkami lat tak niesłychanych mordów dokonywał nie tylko sam Gilles de Rais, ale wiele innych osób, w tym i postaci z gminu.

Przez lata całe (a dziś jeszcze wyznawany przez niektórych) panował „oświeceniowy" pogląd, że nic z tych rzeczy nie miało miejsca. „No, cóż – przyznawano cicho – z tym Gillesem de Rais może i prawda, ale żeby też inne osoby, ale żeby było to zjawisko częste, nieomal masowe? Co to, to nie!"

Temu, że marszałek Francji był zbrodniarzem i uprawiał kult Szatana, niestety zaprzeczyć się nie dało, bo trudno by było – jak to uczyniono w przypadku przestępstw popełnianych przez „sektę czarownic" – podważyć realności opisywanych faktów, twierdząc, że tego niewinnego człowieka skazali na śmierć, aby zaspokoić swe zboczone chuci, ciemni, fanatyczni zakonnicy katoliccy (wyłącznie, bo według „oświeconych", „postępowi" pastorzy protestanci byli ponad to!!! Chociaż fakty mówią akurat co innego). Był na to zbyt wielkim i potężnym panem!

Oczywiście, nie można zaprzeczyć, o czym zresztą wspomniałem już wcześniej, iż wielokroć nadgorliwość inkwizytorów, fałszywe oskarżenia czy zwyczajne omyłki sądowe pognały na stos wiele niewinnych osób, ale było to nieuniknione z dwóch powodów: nieudolności ówczesnego systemu sądowniczego i skali zjawiska. Chociaż liczni jeszcze epigoni poglądu (bardzo rozpowszechnionego w Polsce) głoszą, jakoby wszelkie oskarżenia o czary i oddawanie czci Szatanowi były zwyczajnie wyssane z palca, trudno w to uwierzyć zapoznawszy się z przykładami w połączeniu z niezbitymi i niepodważalnymi dowodami, że takie ohydne zbrodnie istotnie miały miejsce w wielu miejscach tamtoczesnej Europy.

Ściganie i bezwzględne karanie śmiercią osób oddających cześć Księciu Ciemności, w ciągu około czterystu lat z czasem musiały doprowadzić do zaniku tego kultu, ale przecież nie do jego zupełnego unicestwienia.

Dowodzi tego niezbicie fakt, iż gdy tylko warunki po temu stały się sprzyjające, odżył on natychmiast. I co? Co na to mogą powiedzieć obrońcy uciśnionych czarownic? Czy też zaprzeczą realności faktów? Teraz tych ludzi nie oskarża kościelna inkwizycja, a świeckie sądy nowoczesnych, bezwyznaniowych państw!

Tak, oczywiście, można o współczesnych satanistach rozgłaszać, że są to ludzie chorzy psychicznie, a co ma stanowić jakieś racjonalne wyjaśnienie drażliwej i niewygodnej dla materialistów i agnostyków kwestii. Tylko... tylko jakoś tak dziwnie się składa, że usiłuje się coś trudnego do ogarnięcia rozumem, coś niewytłumaczalnego w swojej ohydzie, wyjaśniać

przy pomocy czegoś tak samo zagadkowego i tak naprawdę niezdefiniowanego i niepojętego jak choroba psychiczna. Bo któż naprawdę wie, c z y m ona jest i j a k powstaje? A przecież wyjaśnianie zagadek zagadkami, to ż a d n e w y j a ś n i e n i e!!!

Sabat i czarna msza

Pora teraz zająć się omówieniem czarnej mszy, czyli bluźnierczej, przesyconej erotyzmem parodii mszy rzymskiej, podczas której – o ile to tylko możliwe – winno się zabijać w ofierze Szatanowi człowieka, a w najgorszym razie zwierzę i to w wyjątkowo okrutny i brutalny sposób.

Ściany świątyni satanistycznej powinny być pomalowane na czarno i czerwono. Pośrodku niej ustawia się ołtarz, a na nim umieszcza symbole diabelskie: odwrócony krzyż i odwrócony trójkąt. Dobrze też jest, jeśli w pobliżu ołtarza znajduje się posąg Baphometa – Pana Sabatów. Wokół ołtarza płoną czarne świece, na mensie ołtarzowej zaś kładzie się naga kobieta, na ciele której celebrans odprawia ohydne nabożeństwo, wzywając Szatana, bluźniąc Bogu, Matce Bożej i świętym, a następnie z ową kobietą kopuluje.

Wierni powinni być zamaskowani, choć poza tym mogą być nago. Wraz z kapłanem odmawiają oni bluźniercze modlitwy, recytują plugawe teksty, odbywają procesje (marsz do przodu) i recesje (marsz do tyłu) wokół świątyni, a gdy nabożeństwo osiągnie punkt kulminacyjny, oddają się najwyuzdańszej rozpuście.

Preferowany jest seks grupowy, ale najbardziej Książę Ciemności się cieszy, jeśli uprawia się orgie homoseksualne i kazirodcze. Aby uczestniczyć w nabożeństwach satanistycznych należy zostać wtajemniczonym, dlatego tak niewiele o nich w zasadzie wiadomo.

Informacje o czarnych mszach głównie czerpane są z relacji schwytanych za popełnione przestępstwa satanistów, albo ich niedoszłych ofiar, którym udało się cudem uratować życie.

Sądzę, iż Czytelnik z chęcią przeczyta, co na temat sabatów, czarnych mszy i innych obrzędów diabelskich piszą ludzie, którzy doskonale znają problematykę satanistyczną i ogólnie – okultystyczną, a swoje wiadomości zawarli w publikacjach.

Opisy owe będą się odnosić do czasów dawnych (sprzed powstania Czarnego Kościoła Antona Szandora La Vey), od średniowiecza poczynając, na okresie międzywojennym kończąc.

A zatem: pozwolę sobie zaprezentować kilka opisów dawnych obrządków. Pierwszy zaczerpnąłem z *„Synagogi Szatana”,* pióra Stanisława Przybyszewskiego, jednego z najlepszych znawców, i to nie tylko teoretyków, problematyki okultystycznej, diabolicznej. A oto jak według niego wyglądał ongiś sabat czarownic – czcicielek Księcia Ciemności – Baphometa:

„Około północy rozbiera się młoda kobieta, co już w moc Szatana popadła, smaruje się maścią, którą otrzymała od starej wiedźmy, naciera silnie swe ciało, a mianowicie pod pachami i w okolicy serca. Natychmiast wpada w kamienny sen, który atoli chwilkę tylko trwa (...).

W jaki sposób dostaje się na miejsce, nie wie dokładnie. Przypomina sobie tylko, że spotkała kogoś po drodze, że ktoś do niej parę słów przemówił, ale to wszystko. Miejsce przeznaczenia zna już po trochu. Jest to osłonione miejsce na górze, pełne strachu i grozy, niedostępna puszcza bez dróg i ścieżek, a jak daleko oko sięga, nie ma mieszkania ludzkiego.

Widzi już wielkie zebranie mężczyzn, kobiet i dzieci. Zdaje jej się, że zna już niektórych, ale nie wie dokładnie, bo jest bardzo ciemno, a światło pochodni przemienia postaci w straszliwe upiory.

Widzi kobiety wpół nagie, w poszarpanych sukniach i z rozwianym włosem. Widzi jak krążą i wyskakują w dzikich podrzutach, jakby wielki ciężar straciły, tylko od czasu do czasu rozlega się ryk: Har, har! Sabat! Sabat!

A naraz, jakby na dany znak, porządkują się pary w wielkim kole, mężczyzna i kobieta zwróceni plecami do siebie i rozpoczyna się szalona orgia tańca. Słychać rżenia namiętności, dzikie rozpustne pieśni, przerywane ochrypłym, dyszącym krzykiem: Har! Har! Dyable! Dyable! Skacz tu! Skacz tam!

Orgia dochodzi w potwornych skokach i rzutach do najwścieklejszego rozbestwienia, zwierzę rozpętało się w człowieku, chuć kojarzy się z pragnieniem krwi, z deliryi bólu wyłania się obłąkanie.

Kobieta opanowała ten piekielny kult szatana. Ona jest jego najwierniejszą sprzymierzenniczką. I szatan ukochał kobietę (...)

Staje się tu pod opieką szatana bezwstydną nierządnicą, rzuca się na ziemię – rozszarpuje resztki odzienia i z krzykiem rozpusty poddaje się fallusowi (...) I nagle zmienia się chuć na krwiożerczość – rozszarpuje paznokciami swe ciało, wyrywa sobie pęki włosów z głowy, rozszarpuje sobie piersi, ale to jeszcze mało, by bestię zaspokoić. Rzuca się na dziecko, tę odwieczną ofiarę składaną na ołtarzu szatana, rozrywa mu zębami piersi, wyszarpuje serce – albo przegryza mu tętnicę na szyi i ssie krew, albo – kilka takich przypadków jest zupełnie uwiarygodnionych – wtłacza miękką główkę w narządy płciowe z piekielnym rykiem – wejdź tam skąd wyszedłeś.

Te mordy spełniane na dzieciach nie są (...) bajką i wymysłem dyabologów (...) za czasów Ludwika XIV można było w ciemnych uliczkach i zaułkach (Paryża – A.S.) kupować dzieci dla mszy szatańskiej już za talara. Dzisiaj używają sataniści płodów przedwcześnie spędzonych w celach rytualnych." (Stanisław Przybyszewski, *Synagoga Szatana*, Warszawa 1902)

Zabijanie dzieci dla uczczenia Księcia Tego Świata, bądź w obrzędach magicznych nigdy nie należało do rzadkości. Właśnie dzieci, ze względu na swoją czystość i niewinność były ulubioną ofiarą przeznaczoną dla Złego i ze szczególną lubością wykorzystywane w bluźnierczych praktykach. Nadzwyczaj zajmujące informacje na ów temat znaleźć można w dawnych księgach.

A oto jeden z przykładów potwornego obrzędu: Bodin – francuski prokurator królewski za panowania Karola IX – w swojej książce *„O demonomanii czarowników"* przytacza opis czarnej mszy odprawianej tuż przed zgonem monarchy. Król cierpiał na jakąś dziwną i niewytłumaczalną chorobę, wobec której lekarze byli bezradni. Gdy więc siły ziemskie okazały się nieskuteczne, a wróżby astrologów nieprzydatne, postanowiono odwołać się do sił nadprzyrodzonych.

Na polecenie matki monarchy, Katarzyny Medycejskiej, poczyniono przygotowania do nabożeństwa ku czci Szatana. W czasie tej bluźnierczej mszy zgromadzeni mieli usłyszeć wróżbę dotyczącą przyszłych losów króla. Przed ołtarzem, na którym widniał wizerunek Szatana, ksiądz zajmujący się uprawianiem czarnej magii, zbezcześciwszy krzyż, odśpiewał bałwochwalczy, bluźnierczy hymn, a następnie ofiarował dwie hostie: czarną i białą. Białą włożył do ust niemowlęcia, porwanego po to, aby złożyć go w ofierze Panu Ciemności. Po chrzcie, który nastąpił w chwilę później, dziecko zamordowano, a kapłan odciąwszy mu głowę położył ją na czarnej hostii. Ustami „krwawej głowy", uwielbiony płonącymi świecami i dymem kadzideł, sam Szatan miał odpowiedzieć na pytanie, pomyślane przez króla. Pomyślane, gdyż ten był tak przerażony, iż nie mógł z gardła wydobyć żadnego dźwięku.

I oto naraz zgromadzeni usłyszeli cichy głos wydobywający się z ust zgładzonego dziecka: „Cierpię gwałt". Były to tylko dwa słowa, lecz tak wstrząsnęły królem, tak go przeraziły, ugruntowując w przekonaniu, iż po śmierci zostanie potępiony, że dostawszy drgawek i kurczy, dziko krzycząc wyzionął ducha.

Lecz ta opisana wyżej czarna msza była specjalnym obrzędem, obrzędem nietypowym. Typowa czarna msza była zwykle odprawiana pod gołym niebem, nocą, w ustronnym miejscu, tam gdzie nie istniało niebezpieczeństwo przeszkodzenia wyznawcom Złego w bluźnierczym nabożeństwie. Na samym początku każdy z zebranych wykopywał dołek, oddawał do niego mocz, zanurzał w nim dwa palce i zamiast znaku krzyża kreślił na ciele znak odwróconego trójkąta – symbol diabła – gdyż czarna msza miała być – w zamyśle – parodią i zbezczeszczeniem mszy chrześcijańskiej. Na początku nabożeństwo odprawiała

kobieta–czarownica, która chcąc przypodobać się Szatanowi, skrapiała się pachnidłem przyrządzonym z werbeny, której woń była Złemu w szczególny sposób miła.

Dalej, właściwa msza odprawiana była już przez kapłana–mężczyznę, rozpoczynała się ułożonym przez Szymona Maga bluźnierczym hymnem ku czci Szatana. (por.: Janina Walicka: *Czciciele Szatana*, brak roku wydania, s. 18 – 24)

Po odmówieniu lub odśpiewaniu hymnu zebrani całowali drewnianą rzeźbę przedstawiającą Szatana w postaci Baphometa – Władcy Sabatu, czyli –innymi słowy– w postaci kozła, czarownica–królowa sabatu kładła się naga na ołtarzu, który był zasłonięty przed oczyma wiernych woalem z dymów kadzideł. Ta pierwsza część liturgii kończyła się wyuzdanym tańcem.

W części drugiej czarnej mszy, dymy kadzideł opadały, ołtarz odsłaniał się. Wówczas na nagim ciele spoczywającej na nim kobiety kapłan–mężczyzna celebrował kolejne części nabożeństwa: odmawiał szatański symbol wiary, konsekrował hostię, którą później znieważał, łamał na cząstki i rozdawał wiernym. A oni również złorzecząc Bogu znieważali ją plując na nią, depcząc nogami i oddając na nią mocz i kał. Następnie na kobiecym ciele kapłan rozrabiał ciasto, którego kawałek – jako diabelską komunię – otrzymywał każdy z zebranych. Wreszcie na tymże ciele kładziono dwie podobizny: ostatnio zmarłego i ostatnio narodzonego w gminie satanistycznej.

Mszę kończyło bluźniercze wezwanie rzucane Bogu. Czarownica–królowa sabatu rozrywała w rękach ropuchę, która miała symbolizować Jezusa Chrystusa. Ponieważ niebo milczało, nie zsyłając gromu, który ukarałby świętokradców, wszyscy uczestnicy liturgii głośnymi okrzykami wyrażali radość, a następnie rozchodzili się do domów. (opis wg: Janina Walicka, dz. cyt. s. 18–24)

Wreszcie trzeba wspomnieć o obrzędach ku czci Księcia Ciemności, sprawowanych w czasach nam współczesnych. W okresie międzywojennym sekta satanistyczna martynistów działająca na terenie Polski, miała swych najwybitniejszych przedstawicieli i jednocześnie celebransów czarnych mszy, w osobach ludzi głośnych i znanych w warszawskim światku.

Do najbardziej głośnych osobistości zaliczali się: Czyński, Czaplin, Filipowski i Wójcicki (o zapamiętanie tego nazwiska prosiłem wcześniej). Wójcicki był postacią odrażającą w swojej brzydocie (jedno z oczu miał osadzone bardzo nisko, prawie w policzku), wyglądającą prawie tak samo odpychająco, jak jego Pan, któremu oddawano hołdy albo w mieszkaniu Wójcickiego, albo Czaplina.

Jedna z osób zachęconych przez Wójcickiego do wzięcia udziału w czarnej mszy opowiadała potem o przygotowaniach do niej oraz o samym jej przebiegu.

Otóż nakłoniona została do zażywania narkotyków i brania specjalnych kąpieli, mających osłabić jej siły witalne i wprowadzić jej umysł w stan, w którym łatwe się staje manipulowanie nim.

Po tygodniu tych dziwnych przygotowań, miała miejsce czarna msza. Nabożeństwo odbywało się w pomieszczeniu, na ścianach którego wisiały symbole Szatana, a także jego wizerunek w postaci kozła siedzącego na kuli ziemskiej. Przed wizerunkiem stały naczynia z kadzidłami, które działały na zebranych jak narkotyk.

Odprawiającym nabożeństwo był, ubrany w czarny z czerwonymi aplikacjami ornat, Wójcicki.

Stojąc pośrodku trójkąta utworzonego z ciał trzech nagich leżących na podłodze kobiet, celebrans odmawiał bluźniercze modlitwy. Później po zażyciu przez wszystkich narkotyków, rozpoczął bałwochwalczy hymn i błagał Szatana, aby zjawił się wśród zebranych.

Kiedy na jednej ze ścian pojawił się cień postaci o potwornej, złej twarzy, wierni na znak radości rozpoczęli orgię. Wójcicki, podobnie jak większość satanistów nie zakończył życia w sposób naturalny, lecz popełnił samobójstwo.

Niemal wszyscy wyznawcy kultu Szatana nie znajdują w swej religii szczęścia, a żywot – jeśli go wcześniej sami sobie nie odbiorą – kończą w gabinetach psychiatrów. (wg. dz. cyt. s. 55–58)

Przed kilkoma laty prasa opublikowała relacje 10–latka, który bywał zabierany przez rodziców na czarne msze. Rzecz miała miejsce w Stanach Zjednoczonych. Chłopiec opowiadał o współżyciu seksualnym rodziców z własnymi dziećmi, odmawianiu bluźnierczych modlitw, wzywaniu Szatana i wreszcie o rytualnych mordach i jedzeniu mięsa, oraz piciu krwi ofiar. Straszne!...

Ale oprócz tych prawdziwych czarnych mszy, wśród zaniedbanej, prymitywnej młodzieży (w naszym kraju również) zdarza się obserwować oddawanie hołdów Szatanowi. Ale chociaż i te nieudolnie naśladowane obrzędów pseudosatanistów budzą niesmak, to jednak przede wszystkim politowanie.

W Polsce najgłośniejsza była (miało to miejsce 29 lipca 1986 roku.) sprawa sprofanowania ludzkich szczątków i odprawienia „czarnej mszy" przez bandę głupawych wyrostków podczas festiwalu muzyki rockowej w Jarocinie. Oczywiście bez trudu sprawcy zostali schwytani, postawieni w stan oskarżenia i wreszcie ukarani więzieniem.

W roku 1999 zaś, opinią publiczną w Polsce wstrząsnęła makabryczna zbrodnia satanistyczna, na ofiarę Diabłu złożono już nie zwierzę, a człowieka... I nie była to bynajmniej jedna taka zbrodnia...

Jak można zostać satanistą?

Oczywiście nie chodzi mi tu o to, iż prywatnie może oddawać cześć Księciu Ciemności każdy i zawsze. Nie chodzi mi też o taki satanizm, jak ten uprawiany przez prymitywnych podpitych wyrostków. Chodzi mi natomiast o satanizm prawdziwy, o rzeczywistą przynależność do którejś z gmin Czarnego Kościoła. A to już nie jest takie proste.

Ponieważ – jak wcześniej wspomniałem – prawdziwy satanizm jest z dawien dawna organizacją tajną, w której obowiązują stopnie wtajemniczenia, nie można ot tak, zwyczajnie, „z ulicy" jeśli tylko ktoś tego zapragnie, pójść i zgłosić swój akces do gminy. Satanistą trzeba się albo urodzić, albo zostać wybranym.

Kogo zatem wybierają, i przy użyciu najrozmaitszych metod werbują do swojej społeczności czciciele Diabła? Ano zwykle tylko te osoby, z których mogą mieć jakiś pożytek, oraz ludzi posiadających albo rozległą wiedzę na temat magii, parapsychologii (obecnie zwaną psychotroniką), spirytyzmu itp., wreszcie tych, którzy przejawiają takie czy inne zdolności paranormalne: astrologów, różnej maści wróżbitów, hipnotyzerów, media spirytystyczne...

W chwili, kiedy sataniści zwrócą na kogoś swoją uwagę i poczną go zachęcać by przystąpił do ich Kościoła, na ogół ma się szansę, żeby ową propozycję odrzucić. Gorzej jest, jeśli się wyrazi zgodę – wówczas uwolnienie się od wyznawców diabła już nie jest ani proste, ani łatwe.

Stosowane metody werbunkowe opierają się głównie i przede wszystkim na otaczaniu się aureolą tajemniczości, co powoduje rozbudzenie zaciekawienia i chęć poznania niezwykłych ludzi i niezwykłych obrzędów osobiście.

Jeśli poprzedni sposób nie jest skuteczny, stosuje się zastraszanie i to tak umiejętne, by w wybranym lęk przed satanistami narastał i potęgował się do takiego stopnia, iżby w końcu ów człowiek załamał się psychicznie, i wówczas już bez oporów zgodził się na wszystko, co mu się proponuje. Jeśli jednak i to nie daje efektów, wtedy czciciele diabła uciekają się do stosowania sposobów ponadnaturalnych, by za pomocą praktyk magicznych ukarać oporną osobę.

Myślę, iż czytelników zainteresuje przedstawienie przeze mnie przykładu próby werbunku nowego członka do Kościoła Satanistycznego. Jest to historia znana mi z pierwszej ręki. Pewien publicysta, któregoś sierpniowego dnia 1987 roku otrzymał zagadkowy telegram o treści: *„Proszę przyjechać natychmiast. Sprawa życia i śmierci. Wszelkie koszty pokryję"*.

Pod owym tekstem figurowało imię i nazwisko nieznanej mu kobiety, oraz adres i numer telefonu.

Telegram został nadany w jednym z miast północnej Polski, gdzie – jak wynikało z adresu – mieszkała osoba, która go podpisała. Nasz publicysta mieszkał natomiast na południu kraju. Ów telegram był dla niego kompletnym zaskoczeniem. Publicysta na darmo natężał umysł, by znaleźć jakieś rozsądne wytłumaczenie dziwnego, i budzącego w nim jednocześnie lęk, tekstu.

Nie zwlekając postanowił zadzwonić pod wskazany numer. Ale jego cierpliwość miała zostać wystawiona na próbę. Otóż nadawczyni telegramu nie zastał w domu, a telefon odebrała jej kilkuletnia córka, która w ogóle nie wiedziała o co chodzi. Od dziecka udało mu się tylko tyle dowiedzieć, że „mamusia będzie w domu dopiero wieczorem". Uzyskał także informacje na bardziej konkretne pytania, co pozwoliło mu zorientować się, z jakim środowiskiem może mieć do czynienia. Tak więc dziecko powiedziało mu jeszcze, że „mamusia nigdzie nie pracuje, a tatuś jest wykładowcą na wyższej uczelni". Niestety, nie zrobił się od tego wiele mądrzejszy.

Wieczorem zatem zadzwonił raz jeszcze i wtedy udało mu się porozmawiać z kobietą, która wysłała telegram. Ale rozmowa z nią jeszcze bardziej go zaniepokoiła i zdenerwowała,

miast uspokoić. Na wszelkie pytania, co oznacza tajemnicza treść telegramu, co oznaczają słowa, że ma przybyć natychmiast „w sprawie życia i śmierci", napotkał na mur milczenia i poza wielokrotnym jedynie powtarzaniem tego samego, co było zawarte w telegramie, niczego się nie dowiedział.

Kiedy zirytowany chciał już zakończyć tę – głupią jak mu się zdawało – rozmowę, na koniec powiedział, iż nie ma zamiaru przyjeżdżać, skoro nie wie po co. I wtedy kobieta poczęła mu – ni stąd ni zowąd – opowiadać szczegółowo o jego rodzinie. Ile ma dzieci, do której klasy chodzą (jedno z nich miało wtedy lat 11 a drugie 10), jaką drogą i o jakich porach wracają do domu ze szkoły, gdzie mieszkają jego rodzice (oboje byli w dość podeszłym wieku), jak żyją, gdzie i kiedy można ich najłatwiej spotkać poza domem i temu podobne rzeczy, poczuł, iż coś złego wisi w powietrzu.

Zrozumiał, że cała jego rodzina była – nie wiadomo przez kogo i po co – śledzona, a wiadomości na jej temat zebrano nadzwyczaj szczegółowe. I o jego dzieciach, i o rodzicach, którzy nie mieszkali w tym samym mieście co publicysta.

Zrozumiał też, że owo prezentowanie wiadomości o jego rodzinie, to nic innego jak tylko zawoalowane pogróżki. Tamta nieznajoma kobieta, oddalona odeń o setki kilometrów, ni mniej, ni więcej, tylko chciała go zastraszyć, dać mu do zrozumienia, iż jeśli nie zastosuje się do jej polecenia i nie przyjedzie do niej, jego dzieci i rodziców może spotkać coś złego. Już miał obiecać przyjazd, gdy kierowany jakimś irracjonalnym odruchem, stanowczo i zdecydowanie oświadczył, że nie przyjedzie i żeby dano mu spokój, a pogróżek się nie boi i będzie się umiał zabezpieczyć.

W ten sposób zakończył rozmowę i całą sprawę, co nie znaczy, iż nie nurtowała go ona. Postanowił tedy przeprowadzić swoje prywatne śledztwo. Rezultat jaki przyniosło, przeszedł jego oczekiwania – czegoś takiego absolutnie się nie spodziewał. Otóż uzyskał informację, że próbowano go zwerbować do gminy satanistycznej działającej wówczas na terenie owego miasta na północy kraju.

A dlaczego? Cóż, powód był prozaiczny. W tymże czasie, kiedy otrzymał dziwny telegram i przeprowadził nie mniej dziwną rozmowę telefoniczną, publikował na łamach lokalnego miesięcznika, który ukazywał się w miejscowości, w której działała owa grupa satanistyczna, cykl artykułów z zakresu magii, parapsychologii, spirytyzmu i hipnozy.

Dla tamtejszych satanistów osoba dysponująca tak rozległą wiedzą na tematy ich interesujące, byłaby na pewno cennym nabytkiem.

Było jeszcze coś, co go zaskoczyło – i jednocześnie zaszokowało najbardziej; gdy po dość długim czasie, kiedy trwało zbieranie przez niego wiadomości, dowiedział się wreszcie, kto krył się za niesamowitym telegramem, nie mógł pojąć, dlaczego, mimo udowodnionej inwigilacji jego dzieci i rodziców, mimo ewidentnych pogróżek i prób nakłaniania go za wszelką cenę, by zgodził się na przyjazd, po zdecydowanej, twardej – jednorazowej – odmowie, nie próbowano się z nim już nigdy więcej skontaktować. Nie rozumie tego do dziś. Ani dzieciom, ani rodzicom nie stało się wtedy nic złego.

Jedyne zło, jakie go wówczas spotkało, to niemożność zrealizowania bardzo ambitnych planów publicystycznych, co się ciągnęło – „wbrew wszelkim znakom na niebie i ziemi", zapowiadającym sukces aż dwa lata. Ale może był to tylko zwyczajny zbieg okoliczności i nic ponadto?

Sataniści i młodzież

Czciciele Szatana, czy to skupieni w Świątyni Trapezoidu, czy też w innych, pokrewnych organizacjach, nie ograniczają się jedynie do werbunku poszczególnych osób. Oni mają o wiele poważniejsze aspiracje – opanowanie całej ziemi i rozpowszechnienie na niej swojej ideologii. Aby to osiągnąć, stosują przeróżne metody. Jedną z nich jest finansowanie i promowanie kapel i wokalistów muzyki rockowej (np. przez Lożę Iluminatów, Agencję Czarnoksięstwa VICCA, czy Walijskie Towarzystwo Czarownic) (wg: ks. J. Regimbald, *Ciemna strona rock'n'rolla* [w:] P. Bonifacius Günther CCD: *Szatan największy wróg człowieka*, Wrocław 1991, s. 293), która – głównie w „najcięższych" swoich odmianach posiada wpływ wybitnie destrukcyjny na psychikę i osobowość człowieka (szczególnie młodego – chłonnego, podatnego na wpływ i bezkrytycznego).

„Sponsorzy" nie mają tutaj większych problemów, bowiem znaczna część muzyków rockowych to na ogół ludzie o słabej psychice i upodobaniach do alkoholu i narkotyków, których wolą nie jest tak trudno zawładnąć, jeśli się ich zapewni, że dzięki wtajemniczeniu w magię i obrzędy satanistyczne zdobędą sławę i zrobią wielką karierę artystyczną. Zresztą wielu z nich, nie tylko bez żenady i większych oporów, ale czasem wręcz szczycąc się tym, publicznie przyznaje się do zaprzedania samych siebie złym mocom.

I tak między innymi bardzo znany i głośny wokalista rockowy Alice Cooper na seansie spirytystycznym pozwolił przybyłemu tam duchowi, aby wszedł na stałe w jego ciało, w zamian za zdobycie bogactwa, sławy i powodzenia. (wg: dz. cyt. s. 291–292)

Podobnie rzecz się miała z Mickiem Jaggerem z grupy „The Roling Stones", który został wtajemniczony w rytuał czarnej magii przez czarnoksiężnika Kennetha Anger i dwie czarownice Marion Faithful i Anity Polenberg. (wg: dz. cyt. s. 292)

Tak samo było z Ozzy Osborne („Black Sabat"), Garry Newmenem, Eltonem Johnem, czy wieloma innymi. (wg: dz. cyt. s. 292)

Muzyka rockowa, w swoim założeniu, ma „wyzwalać" młodych, których nie da się odpowiednio indoktrynować ani za pomocą ideologii filozoficznych i politycznych, ani przy pomocy środków masowego przekazu, ani w żaden inny „normalny" sposób, bo sobie tego po prostu nie życzy i nie godzi się na to.

Otóż właśnie owa muzyka ma oswobadzać młodzież z wszelkiego rodzaju „tabu": poszanowania tradycji, tradycyjnej moralności, posłuszeństwa prawu, religii, a ofiaruje w zamian: zniszczenie starego świata i zbudowanie na jego gruzach świata nowego, doskonałego. Ta jego dobroć i doskonałość ma się przejawiać oczywiście w absolutnie niczym nie skrępowanej wolności, szczególnie w sferze seksualnej, narkotyzowaniu się, czynieniu tego, co dla poszczególnego człowieka wydaje się słuszne i dobre (wszystko zgodnie z satanistyczną etyką: „Moralnie dobre jest to, co mi służy i sprawia przyjemność"). Działalność niektórych kapel rockowych jest wyjątkowo perfidna i prawie niemożliwa do zwalczenia, a to ze względu na stosowanie najnowszych zdobyczy psychologii, socjologii i techniki. Najpierw przy użyciu takich środków jak odpowiednia (o ogromnym natężeniu) głośność wykonywanych utworów, szczególny ich rytm i zastosowanie stroboskopii podczas koncertów i dyskotek, powoduje osłabienie odporności psychicznej i woli słuchaczy do tego stopnia, że już bez większego problemu można im przekazać takie czy inne rozkazy, polecenia, nauki wprost do podświadomości. (wg: dz. cyt. s. 287–288)

Przekazy do podświadomości polegają na tym, że pomiędzy poszczególne frazy muzyczne wmontowano niesłyszalne przy normalnym odtwarzaniu płyt, a jedynie przy odtwarzaniu ich „od tyłu", rozmaite wezwania, polecenia, slogany czy hasła, mające odpowiednio ukierunkować postępowanie słuchającego, zdobyć wpływ na niego i żonglować jego losem. Do najczęstszych wezwań kierowanych do podświadomości należą: zachęcanie do używania narkotyków (np. jedna z piosenek z albumu „Killers" grupy „Queen", zawiera przekaz:

„Zacznij palić marihuanę", bluźnierstwa przeciw chrześcijaństwu (np. przekaz na płycie „Rewolucja nr 9" grupy „The Beatles" brzmi: „Podekscytuj mnie seksualnie martwy człowieku" – chodzi tu oczywiście o Jezusa Chrystusa), oddawanie czci i okazywanie miłości Szatanowi (np. w utworze „Led Zeppelin" – „Stairway to Heaven" słychać: „Mój słodki Szatanie – nikt inny nie wytyczy mi drogi" oraz „Trzeba, byś żył dla Szatana" i wreszcie zachęcanie do gwałtów, zabójstw czy też popełniania samobójstw (np. śledztwo wykazało, że przed kilku laty, w kręgu Montreal–Granby w Quebecku, w czasie krótszym niż rok, pod wpływem muzyki rockowej i przekazów do podświadomości popełniono aż osiemnaście samobójstw w grupie młodzieży 15 – 21–letniej; po dowiedzeniu, że nie były to przypadki odosobnione, ale występujące nie tylko w Kanadzie i USA, lecz i w innych krajach świata, niektórzy ustawodawcy z a k a z a l i wmontowywania na płyty jakichkolwiek przekazów dla podświadomości, a jeśli już zostały wmontowane, do bezwzględnego umieszczania informacji–ostrzeżeń na okładkach płyt. (wg: dz. cyt. s. 289–290)

Stosowanie przekazów jest tym bardziej niebezpieczne, że są one wychwytywane i zrozumiałe nie tylko wówczas, gdy nagrano je „od tyłu" i przy normalnym odtwarzaniu płyty niczego nie słychać, ale są zrozumiałe jeśli nawet zostały nagrane w języku n i e z n a n y m s ł u c h a j ą c e m u (!). Jest to bardzo zagadkowe i absolutnie niewytłumaczalne, lecz przecież jak najbardziej realne i prawdziwe, co jasno i wyraźnie dowiodły badania prowadzone przez naukowców. (wg: dz. cyt. s. 287 i n.)

Ale ostatnimi czasy niektóre kapele rockowe, szczególnie te grające hard rocka (ciężkiego rocka) i acid rocka („kwaśnego" czyli narkotycznego rocka), w tym głównie satanistyczne kapele metalowe, już się nie fatygują, by na swych płytach wmontowywać przekazy dla podświadomości. Oni zaczęli teraz stosować przekaz bezpośredni. I tak: W albumie „El Dorado" grupy „ELO" (Electric Light Orchestra – Orkiestra Elektrycznych Świateł) słychać bluźniercze przesłanie: „To on, niegodziwy Chrystus piekielny". W piosence „Hymn" grupy „KASK" odwrotne nagranie brzmi:

„O szatanie, to ty świecisz – mury szatana – mury unicestwienia – to właśnie ciebie kocham!". (wg: dz. cyt. s. 291)

Po pierwszej fali orędzi podświadomych, autorzy rock'n'rolla zaczynają otwarcie wyrażać swoje satanistyczne inspiracje. Trzy przykłady ukażą nam głębię ich myśli:

1. Oto wyjątek z piosenki „Bóg Grzmotu" grupy „KISS" („Knives in satan sholder" – „Noże w ręku Szatana"):

„Byłem wychowany przez szatana, przygotowany tak, jak on. Jestem na pustyni – człowiek z żelaza najnowszych czasów. Wołałem do ciemności aby mieć przyjemność i rozkazuję ci paść na kolana przed bogiem grzechu, bogiem rock'n rolla". (wg: dz. cyt. s. 291)

2. Grupa mocnego rocka „AC/DC" („Alternative current/ Definitive current" – „Prąd stały/Prąd zmienny") śpiewa w utworze „Hells Bells" (Piekielne Dzwony):

„Spuszczam moje grzmoty, spuszczam ulewne deszcze, przychodzę jak huragan, moje błyskawice oświetlają mnie, niebo, jesteś młody ale umrzesz, ja nie biorę więźniów, nie oszczędzam żadnego życia, nikt mi się nie oprze, mam swoje dzwony i zabiorę cię do piekła, będę cię miał i szatan będzie cię miał, o dzwony piekielne, dzwony piekielne." (wg: dz. cyt. s. 291)

3. Utwór grupy punk „DEAD KENNEDYS" („Umarli z rodziny Kennedych") pod tytułem „Zabijam dzieci":

„Bóg powiedział, aby obedrzeć cię ze skóry na żywo. Ja zabijam dzieci, kocham patrzeć jak umierają. Zabijam dzieci i patrzę jak ich matki płaczą. Rozjeżdżam je moimi samochodami, chcę słyszeć jak krzyczą z bólu. Chcę dawać im zatrute cukierki i zepsuć im święto Halloween". (wg: dz. cyt. s. 291)

I może jeszcze jeden przykład. Tym razem krajowy. Otóż, rzecz się miała na koncercie rockowym, jaki się odbył 1 sierpnia 1986 roku w Jarocinie. Oto solista kapeli „Test Fobii

Creon" podczas występu sprofanował krzyż (łamiąc go) i stułę będącą oznaką kapłaństwa w Kościołach chrześcijańskich (którą podeptał na estradzie). A oto słowa piosenki, którą wtedy śpiewał:

„Nawiedził mnie czarnym snem
Poczułem go ciałem
Spaliłem biblię i krzyż
Sutannę ubrałem
Odkryłem prawdę jego słów
Poczułem śmierci sens
Wieczysta siła pochłania mnie
Ludzkości nadejdzie kres
Nawiedzać czas!
Mordować czas!
Czuję, że widzę
Miliony lat, setki lat
Lucyfer jest królem mym
Jestem już taki jak Pan
Cierpienie rozrzucam
Płonie krzyż na stosie krzywd
Pójdziesz tam do piekieł bram
Gdzie dusza zła oświeci cię
Diabelskiej mszy wiruje czas"

(cyt. za: Jerzy Wojciech Wójcik, *Od hipisów do satanistów*, Kraków 1992, s. 152)

Oprócz takich sposobów rozszerzania idei satanistycznych i metod werbowania nowych członków w poczet społeczności Czarnego Kościoła, czciciele Diabła używają również i innych sposobów. Jednym z nich – coraz częściej i coraz powszechniej stosowanym w obecnej dobie, jest rozprzestrzenianie się „mody" na uprawianie czarów.

Współcześni czarownicy

Podobnie jak przez wieki ścigane było przez prawo oddawanie czci Szatanowi, tak samo zakazywano uprawiania czarów, upatrując w tych praktykach również diabelskiego pazura. Zresztą, jeśli ktoś był satanistą, to równocześnie (posiadając wyższy stopień wtajemniczenia) parał się czarną magią. A jeżeli nawet swój kontakt z „tamtym światem" zaczynał nie od satanizmu, lecz od „niewinnej białej magii" tylko, to w końcu i tak na ogół przechodził na stronę Księcia Ciemności.

We współczesnym – tak przecież racjonalnym świecie – obserwujemy gwałtowny powrót do czarownictwa i do praktyk czarnomagicznych. Obecni czarownicy rekrutują się tak jak i przed wiekami z najrozmaitszych grup społecznych. Spotkać ich można wśród rolników, rzemieślników, gospodyń domowych, urzędników, ale także i pomiędzy ludźmi legitymującymi się posiadaniem tytułów naukowych.

Rolą czarowników jest – poprzez przekonanie ludzi obserwujących ich działania – udowodnienie sceptykom, że człowiek dzięki zdobyciu odpowiedniej wiedzy i przy zastosowaniu konkretnych praktyk, może posiąść władzę nad otaczającym go – tak ożywionym, jak i nieożywionym – światem.

Oczywiście musi to prowadzić (w sposób pośredni oczywiście, na podstawie wyciągania logicznych wniosków, do stwierdzenia: skoro mogę prawie wszystko, to w czym właściwie jestem gorszy od Boga?) do odrzucenia zwierzchności Stworzyciela i przez to ubóstwienie samego siebie. Ponieważ każdy czarownik popełnia najcięższy z grzechów, grzech pychy, ten sam, który doprowadził do buntu Szatana przeciw Najwyższemu, to w końcu musi popaść w sidła tego pierwszego. A gdy już się w nich znajdzie, na pewno będzie Diabłu przygotowywał grunt ludzkich serc i umysłów.

Bardzo gruntownie badaniami współczesnego czarownictwa na terenie Francji w latach 80–tych zajmował się znany naukowiec – etnolog Dominique Camus. Początkowo do zagadnień czarno– i białomagicznych obrzędów i rytuałów czarnoksięskich podchodził on sceptycznie, traktując je jako przejaw folkloru i nic więcej. Gdy jednak głębiej wniknął w zagadnienie, gdy poznał środowisko czarnoksiężników, musiał zerwać ze swym „naukowym" sceptycyzmem i przyznać, iż niewyjaśnione siły magiczne jednak istnieją i można przy ich użyciu dokonywać rzeczy niezwykłych i niewytłumaczalnych.

Camus relacjonuje, że niektórzy z czarowników zaakceptowali go niejako i obdarzywszy zaufaniem poczęli nawet wtajemniczać w swoją wiedzę i umiejętności, lecz byli także i tacy, dla których jego osoba stanowiła (w ich mniemaniu oczywiście) zagrożenie i chcieli się pozbyć etnologa.

Naukowiec dopiero wówczas, kiedy przy pomocy niezwykłych sił usiłowano go zgładzić (na podstawie szczegółowej analizy zaistniałych zdarzeń musiał wykluczyć przypadkowość tego, co go spotkało, czy dziwnie niefortunny zbieg okoliczności), ostatecznie przekonał się, że z czarami, rzucaniem uroków itp. nie ma żartów.

Wtedy to sformułował pogląd, iż istnieje we Wszechświecie jakaś nieokreślona acz potężna siła, którą można (i wielu się to udaje) odpowiednio pokierować i wykorzystać dla własnych – złych, dobrych lub obojętnych moralnie – potrzeb. Mimo wielokrotnego stykania się z przejawami działania i wykorzystywania owej siły przez znajomych czarowników (przy stosowaniu odpowiednich rytuałów), nie udało mu się jej określić ani zdefiniować. Jest ona możliwa do zaobserwowania jedynie na podstawie sprawionych przez się skutków.

Dominique Camus doszedł w trakcie swoich badań do jeszcze jednego, najbardziej chyba zdumiewającego wniosku. Ale o tym za chwilę. Najpierw chciałbym bowiem zwrócić uwagę Czytelników na próby wyjaśnienia przez świat ortodoksyjnej nauki niezwykłych zdarzeń w ten sposób, że jeśli kogoś spotykają nieszczęścia, lub odwrotnie – nagle, całkiem

niespodziewanie zły los jaki człowieka prześladował się odmienia (np. przez cudowne, dokonane w mgnieniu oka uzdrowienie) tłumaczone jest w taki mniej więcej sposób:

Oto pod wpływem s i l n e j w i a r y w mające nadejść złe lub dobre zdarzenie, kierowani autosugestią (á propos: a co to takiego?!), rzeczywiście go doznajemy. Francuski badacz w tej kwestii jest akurat odmiennego zdania. Po przebadaniu niezliczonych przypadków rzucenia uroku czarnomagicznego przez złego człowieka mającego władzę nad nieznaną siłą, prawie zawsze osoba dotknięta klątwą nie m a p o j ę c i a, iż ją na nią rzucono.

Dopiero wówczas, gdy nieszczęścia w życiu danego człowieka kumulują się i nie da się ich wyjaśnić w żaden racjonalny sposób, zaczyna on szukać tłumaczeń irracjonalnych. Przychodzi to jednak z ogromnymi oporami, ponieważ istota ludzka posiada psychikę tak skonstruowaną, że do końca będzie szukała wyjaśnień zgodnych z jej obrazem i pojmowaniem rzeczywistości. Aby zaś próbowała szukać pomocy u jakiegoś „odczyniacza" uroków, musi dojść do tego, że widzi iż własne życie wymknęło się jej z rąk i absolutnie nie jest w stanie kierować własnym losem i postępowaniem.

A zatem badania Dominique Camusa zdają się w niepodważalny sposób dowodzić, że to nie wiara w czary i rzucony urok prowadzi do nieszczęść, lecz odwrotnie: Kumulacja nieszczęść i niepowodzeń zmusza – prawie do samego końca sceptycznych ludzi – do wiary w czarną magię.

Eksperymenty mające na celu obalić lub potwierdzić realność zjawisk „rzucania uroku na odległość", robił w 1895 roku francuski badacz Albert de Rochas, osiągając doskonałe rezultaty .Doświadczenia de Rochasa wyglądały tak. Oto lepił on woskowe laleczki, na które na drodze hipnotycznej przenosił odczuwanie poddawanych eksperymentowi osób. Następnie sam pozostawał z człowiekiem poddawanym badaniu, a jego pełnomocnik wraz z konkretną laleczką przechodził do innego, oddalonego pomieszczenia. Tam kłuł laleczkę szpilką np. w nogę, i w tej samej chwili człowiek, którego odczuwanie na nią przeniesiono, odczuwał dojmujący ból w nodze; kłuł w rękę – ból był odczuwany w ręce...

Co ważne i istotne: Ani osoba poddawana temu „zabiegowi", ani nawet sam de Rochas nie mieli najmniejszego pojęcia, które z członków lalki i w jakiej kolejności będzie kaleczył pomocnik. Wydaje się, iż wynik owego eksperymentu potwierdza realną możliwość szkodzenia komuś na odległość (i odwrotnie: pomagania również). Oczywiście można tu postawić zarzut, że de Rochas wykorzystywał hipnozę, aby przy jej pomocy „przenosić czucie" człowieka na martwy przedmiot. Zarzut to jednak słaby i niepoważny, bo przecież i tak nie wiadomo było, które miejsca na ciele lalki będą okaleczone.

Co więcej – Francuz nie znał zupełnie rytuałów czarnomagicznych, które stosowane są przez wtajemniczonych. Zresztą, znane i od tysiącleci wykorzystywane w zakazanych rytuałach dręczenie podobizn osób, którym postanowiono zaszkodzić, wykonywane bywało nieco inaczej: Otóż, czarnoksiężnicy czy szamani przygotowywali owe podobizny lepiąc je z rozmaitych materiałów, lecz z a w s z e do nich dodając część ciała (włosy, paznokcie itp.) lub przedmioty osobistego użytku wybranej ofiary. Być może to, co udawało się de Rochasowi przy zastosowaniu techniki hipnotycznego „przenoszenia czucia", im udawało się w wyniku nawiązania kontaktu psychicznego z wybranym człowiekiem w wyniku wykorzystania jego osobistej własności.

Tak czy inaczej: eksperymentalnie – chociaż prawie wszyscy naukowcy w dalszym ciągu zaprzeczają realności magii – chyba udowodniono możliwość pozytywnego lub destrukcyjnego wpływu na człowieka na odległość i to bez żadnego osobistego kontaktu. Stosowanie przez liczne osoby rytuałów czarno– lub białomagicznych, mimo iż przeważnie działają one w ukryciu, było i jest dość powszechne.

Ostatnimi czasy o rozmaitych magach zaczyna być coraz głośniej i w Polsce. Oczywiście nie brakuje wśród nich licznych szarlatanów, którzy uprawiają swoją profesję wyłącznie

nastawieni na zysk, nie dając klientom nic w zamian, ale są pośród nich i osoby naprawdę wtajemniczone w arkana nauk tajemnych i bez wątpienia posiadające możliwości szkodzenia czy pomagania ludziom.

Sądzę, że to bardzo, bardzo skrótowe omówienie zagadnienia musi Czytelnikowi wystarczyć. Kwestia czarów jest bowiem tak obszerna, że domagałaby się odrębnego opracowania. W niniejszym opracowaniu kwestia czarów została tylko zasygnalizowana jako – na ogół – nieodłączna część składowa praktyk satanistów, którzy wiedzę magiczną zawsze wykorzystywali i wykorzystują nadal do swoich celów. Sądzę, iż teraz pora zająć się wreszcie kolejnym z interesujących nas zagadnień, kwestią opętań ludzi przez demony.

Opętanie. I cóż to takiego?

Uważnie czytając Biblię, możemy się dowiedzieć, że w ciało człowieka mogą wstępować demony, i że wówczas taki człowiek zachowuje się nienormalnie, że charakteryzuje się niezwykłą siłą oraz zdolnościami parapsychicznymi (np. jasnowidzeniem – opętani wiedzieli kim naprawdę jest Jezus), że złe duchy muszą opuścić ludzkie ciało na rozkaz Jezusa, ale czynią to niechętnie, pożądając jakiejkolwiek żywej „siedziby", nawet zwierzęcych powłok. Oczywiście nie wyczerpuje to kwestii opętania nawet w niewielkim stopniu.

A zatem – reasumując: opętanie to zawładnięcie nie tylko ludzkim ciałem, ale także i wolą oraz zdobycie pełnej kontroli nad opętanym, który mimo, iż najczęściej, choć nie zawsze tak musi być, buntuje się przeciw owemu zniewoleniu, to sam o własnych siłach nie jest w stanie uwolnić się od demona bądź demonów.

Jedyną nadzieją opętanego jest uzyskanie pomocy z zewnątrz i uwolnienie go od krępującej, wrogiej mocy, mocy która doprowadza człowieka przez nią opanowanego do wycieńczenia fizycznego i psychicznego, dążąc z całą siłą i konsekwencją do pozbawienia go życia. Ponieważ demony choć pożądają cielesnego opanowania istoty ludzkiej i są niechętne jej opuszczeniu, to jednocześnie pragną ją unicestwić.

Ale najjaśniej, najkrócej i najbardziej rzeczowo kwestię zła, Szatana i opętań ludzi przez złe moce wyjaśniają hasła zawarte w trzech poważnych publikacjach kościelnych.

Owe publikacje nie są najświeższej daty, dlatego też język, jakim zostały napisane jest może nieco trudny, niemniej warto sobie zadać trud i uważnie przestudiować to, co poniżej zostało zacytowane, aby sobie wyrobić zdrowy pogląd na tę tak intrygującą i – co tu ukrywać – budzącą dreszcz emocji, kwestię.

Dziś o Szatanie, piekle, opętaniach ludzi przez demony mówi się mało, jakby tematy te były czymś wstydliwym, czymś „nienowoczesnym", nie pasującym do „naukowej" współczesności, czymś trącącym „średniowiecznym zabobonem".

Tymczasem przemilczanie owych, jakże dla nas wszystkich istotnych zagadnień, jest bardzo poważnym błędem, ponieważ usypia czujność wierzących, sprawia, iż bagatelizują oni zagrożenie płynące ze strony Złego, który „krąży rycząc jak lew i patrzy, kogo by pożreć".

Zbytnie akcentowanie zagadnienia opętań w dawnych wiekach, również było szkodliwe, bo niejednokrotnie prowadziło do rozbudzania niezdrowej sensacji, czy też wręcz stawało się przyczyną powstawania – tyle że na gruncie chrześcijańskim – zabobonów.

Teraz popadnięto w inną skrajność, o opętanych jakby nie wypada mówić, a przecież to niepodważalne fakty, których nie sposób zanegować.

A teraz wreszcie przejdźmy do cytatów:

DIABEŁ – DEMON. – I. Wyrazy te, użyte w liczbie mnogiej, oznaczają anioły, czyli duchy czyste, które na początku świata zbuntowały się przeciw Bogu, Stwórcy swojemu, i które zamiast posiąść wieczne szczęście, dziedzictwo aniołów dobrych, zostały skazane na wieczne męki w piekle; te same wyrazy, w liczbie pojedynczej, oznaczają jednego z liczby aniołów odrzuconych, a w najściślejszym tego słowa znaczeniu – wodza aniołów potępionych, który w języku biblijnym zowie się także Szatanem, Lucyferem, Belzebubem.

Istnienie diabłów i wodza ich (księcia czartowskiego) jest faktem niejednokrotnie i najwyraźniej potwierdzonym przez Pismo św. (Jan VIII, 44; Łuk. X 18; 2 Piotr, 4; Jud. 6; Apok. XII, 7 etc.); jest to prawda początków wiary sięgająca, istotowo z dogmatem grzechu pierworodnego związana, w nauce katolickiej o odkupieniu zawarta, w opisach życia Zbawcy opowiadana, przez Kościół Katolicki w zasadach moralności, w modlitwach i w obrzędach wyraźnie wyznawana, w praktyce, w jego rocznikach w historii duchów stwierdzona, dogmatycznie przez Sobór Lateraneński określona. Ilość diabłów niewiadoma, atoli przytoczone teksty każą się domyślać, że jest bardzo wielka. – Istnienie książęcia czartowskiego jest faktem nie mniej pewnym, jak w ogóle istnienie diabłów. Hierarchiczny

ustrój ich klasy, czyli oddziały nie jest przedmiotem wiary, ale jest bardzo prawdopodobny ze względu na to, że Chrystus mówi o szatanach gorszych od jednego z nich, nequiores se (Łuk. XI, 26), co się tym tłumaczy, iż ci aniołowie, którzy posiadali wyższą naturę i łaskę, dopuścili się wyższej zdrady, zbrodni i złości. – Objawienie wątpić nam nie pozwala, że szatani wywierają wpływ na ludzi za pomocą bądź wrażenia i sugestii, bądź napaści i kuszenia albo też i opętania. Trzeba prawdopodobnie dodać, że oni też w życiu przyszłym będą dla potępionych narzędziem kaźni i tortur. Taki sam wpływ szatanów może się rozciągać – i niekiedy rzeczywiście się rozciąga – na istoty niższe od człowieka, bądź ze złej woli szatana, bądź też z wyraźnego dopuszczenia bożego. Stała tradycja Kościoła, podająca tłumaczenie wzmiankowanych w Piśmie św. faktów wróżbiarstwa i magii (Mat. XXIV; II Tes. 9), nie pozwala również zaprzeczać rzeczywistości, a tym bardziej możliwości wyraźnej lub niewyraźnej umowy człowieka z diabłem, zawieranej we wspólnych celach, których ostatecznym końcem jest walka człowieka z Bogiem i zguba dusz ludzkich. Wszystkie powyżej wyłuszczone punkty stwierdza ustanowienie egzorcystów przez Chrystusa Pana (Mat. XVI, 17) i przez Kościół Katolicki, który postawił ich w rzędzie swych mniejszych święceń (...) i przepisał im w swym rytuale pewien sposób postępowania, tudzież wskazał środki, jakie mają być przedsiębrane przy wykonywaniu tego trudnego obowiązku, w dzisiejszych czasach zastrzeżonego wyłącznie kapłanom.

III. Przeciwko powyższej nauce walczą następujące zarzuty: 1–o Czy naprawdę istnieją i czy istnieć mogą aniołowie t.j. duchy czyste, mające istnienie poza materią? A jeżeli istnieją, to czy mogą być złymi? Czy Bóg mógł stworzyć złe anioły? A jeśli stworzył ich dobrymi, to czy mogli oni stać się złymi? – 2–o Czy można przypuścić, żeby duchy czyste, a zwłaszcza te, które się stały złymi, mogły oddziaływać na świat materialny i wywoływać fizyczne zjawiska, przez chrześcijanizm im przypisane. Dlaczego dobroć i wszechmocność boska nie przeszkadza im źle czynić, Jeśli to prawda, że mogą szkodzić ludziom? Widocznie wiara w istnienie diabłów jest rezultatem ciemnoty ludzkiej i zabobonu – 3–o I w rzeczy samej, tak zwana magia łatwo się tłumaczy podstępem jednych, a łatwowiernością drugich; kuszenie i nagabywanie diabelskie są zjawiskami porządku fizjologicznego i patologicznego, nieco tylko zaostrzone i trochę jaskrawsze, niż zwyczajne cierpienia; dawniejsze opętania diabelskie są identyczne z dzisiejszym pomieszaniem zmysłów, z histerią, epilepsją; dzisiejsze media, spirytyści, hipnotyzerzy i somnambulicy w średnich wiekach nazywali się magami, czarnoksiężnikami, opętanymi; nowoczesna wiedza rzuciła światło na te mniemane ciemności piekielne i wykazała więcej nierozumu i okrucieństwa w sądach duchownych i świeckich, prowadzących procesy o czarnoksięstwo, aniżeli w pospólstwie łatwowierności; tam gdzie uciekano się do pośrednictwa kata, powinien był stosować swą dobroczynną sztukę lekarz, ale i lekarze ciągnęli jarzmo powszechnej głupoty. – W końcu owe ustępu Biblii, w których ukazuje się wiara w czarty, można tłumaczyć w sposób zupełnie naturalny, wcale nie obrażający ani rozumu, ani wiedzy. – Takie oto są w skróceniu główniejsze zarzuty, krążące pomiędzy nami, odnośnie do nauki chrześcijańskiej o czartach i ich sprawach. Odpowiedzmy na nie pokrótce.

1–o Najpierw weźmy pod rozbiór zarzut pozytywistyczny, który podaje nam w wątpliwość istnienie, a nawet możliwość istnienia duchów anielskich. Jeżeli istnienie istoty czysto duchowej jest niemożliwe, to i Bóg istnieć nie może, to i dusza ludzka z natury swej duchowa, acz posiada czynności w porządku zmysłowym i organicznym, również istnieć nie może; tym sposobem wpadamy w gruby materializm. (...)

Szatani nie są też z natury źli, stworzył ich bowiem Bóg dobrymi, swoją łaską uświęcił i przeznaczył do wiecznej i doskonałej świętości w niebie. Obok tego jednak obdarzył ich Bóg wolną wolą i wystawił, podobnie jak wszystkich innych aniołów, na próbę przed ostatecznym ubłogosławieniem.

Ale szatan i zwolennicy jego próby tej nie wytrzymali i upadli. Pismo św. wspomina o tej próbie, teologowie zaś rozmaicie ją tłumaczą. Najprawdopodobniej ci źli aniołowie zamierzali dojść bez nadprzyrodzonej pomocy Boga do nadprzyrodzonego celu, który im Bóg przeznaczył; i występna pycha, na widok której zdumieni jesteśmy nierozumem i przewrotnością tych duchów, a która jest możliwa ze względu na warunki, w jakich duchy te stworzone zostały, ta występna pycha, powtarzam, słusznie ukarana została potępieniem. Jeśli zaś winnym nie pozostawiono czasu ani łaski do żalu, to dla tego, że udzielona im od Boga wyższość natury i łaski, powinna była zabezpieczyć ich od wszelkiego dobrowolnego upadku. Lecz nad człowiekiem bardziej do grzechu skłonnym i ułomnym, Pan Bóg większą miał litość i miłosierdzie i dlatego obiecał mu i zesłał Pocieszyciela.

2–o Oddziaływanie złych duchów na świat materialny również jest możliwe, ponieważ wszyscy aniołowie od początku byli stworzeni do życia w świecie, a popełniony przez niektóre anioły grzech nieposłuszeństwa nie odmienił ich natury. Gdyby anioł nie mógł działać w świecie materialnym, dlatego że jest duchem, to czyżby Bóg, duch czysty, mógł stworzyć świat? Czyżby mógł wprawić go w ruch, kierować nim i rządzić? Czyżby dusza ludzka mogła zamieszkiwać, ożywiać i poruszać ciało? A jeśli Bóg i dusza ludzka mogą działać w porządku fizycznym, dlaczegożby anioł nie mógł posiadać takiej samej mocy? A jeżelibyśmy ani Bogu, ani duszy, ani aniołom, którzy zajmują pośrednie stanowisko między Bogiem i duszą, nie chcieli przyznać takiej mocy, to wówczas upada wszelka religia naturalna, wszelkie objawienie, na nic się nie zda psychologia i moralność; i znowu wpada się w najgrubszy materializm; stąd w dalszym ciągu trzebaby wnioskować, że Bóg nie stworzył świata, i świat nie objawia Boga, że Bóg nie mógł objawić tego, w co wierzy chrześcijanizm, że dusza jest zwyczajną funkcją mózgu, a anioł zwyczajnym płodem tej funkcji. Takie wnioski jasno dowodzą fałszywości powyższych przypuszczeń.

Nie trzeba jednak sądzić, żeby czyny diabelskie całkowicie były niezależne od Boga. Niepodobna bowiem przypuszczać, żeby złe duchy miały nieograniczoną wolność gwałcenia ustanowionego porządku. Złość ich nie przekracza pewnych określonych granic, gdyż mądrość i dobroć Boga ustawicznie czuwa nad nimi i o tyle zezwala na złe, o ile ono przyczynia się do ostatecznego szczęścia człowieka, chyba że ludzie z własnej winy dobrowolnie stają się ofiarą szatana. Atoli wierzymy, że nikt nie jest kuszony i napastowany ponad siły, i że pomoc łaski boskiej zawsze przychodzi w porę temu, kto szczerze pragnie ją otrzymać, ażeby uniknąć grzechu i pozostać wiernym Bogu; to też bardzo słusznie św. Augustyn porównuje w jednym miejscu szatana do owych brytanów, które strzegły wejścia do domów Rzymian, i o których pewna starożytna mozaika przestrzega gościa: cave canem. Szatan, według Augustyna, jest jakby na uwięzi i tych tylko kąsa, co nierozważnie zbyt blisko podchodzą ku niemu. A więc złość jego ostatecznie przyczynia się do szczęścia ludzi.

Wiadomo, że ciemnota i zabobonność pogańska w różnych epokach i pośród rozmaitych starożytnych narodów przypisywały szatanom takie figle i takie psoty, że ich za nic miano. Wiemy też, że przesądy i zabobony pogańskie nie wygasły całkowicie wśród chrześcijan; że one to zaciemniały umysły prostaczków w średnich wiekach i nawet w nowszych czasach one straszyły i dręczyły lud prosty. Z tym wszystkim jednak przesady te nie wypływają z prostej i prawdziwej nauki Kościoła, którą przed chwilą wyłożyliśmy, a której jedynym źródłem jest objawienie boskie. Ani niedorzecznej fantazji ludowej, ani dziwacznych i śmiesznych nadużyć nie można przypisywać Kościołowi i nie można miotać za to błotem. Kościół boleje nad nadużyciami i nad błędem tych, co mylnie pojmują i błędnie stosują jego naukę, i nie może być odpowiedzialny za nadużycia poszczególnych osób.

3–o Wiemy również dobrze, iż historia magii przepełniona jest faktami zmyślonymi, wątpliwymi albo po prostu naturalnymi; lecz pomiędzy tymi faktami bywają i takie, które zdrowa filozofia przypuszcza jako możliwe, rozsądna krytyka uznaje za rzeczywiste, a w których prawdziwa teologia odnajduje cechy diabelskie. Teologia bowiem stosując zasadę

przyczynowości do faktów dokładnie zbadanych drogą krytyki historycznej, jest w możności sprawdzić, czy takowe fakty przekraczają zakres sił przyrodzonych, jak również, czy można je przypisać działaniu przyczyn nadprzyrodzonych dobrych, t.j. Bogu, aniołom lub świętym. Skoro się sprawdzi te dwie okoliczności, na pewno będzie można wnioskować, że fakty te są dziełem diabelskim; jeżeli zaś pozostanie wątpliwość co do natury skutku, to taka sama wątpliwość pozostanie co do natury przyczyny. Taka tedy jest prawdziwa nauka Kościoła, oficjalnie przyjęta w słynnym rozdziale de Exorcisandis, w tytule IX RYUAŁU RZYMSKIEGO; takie są wnioski, wypływające z nauki, zawartej w Biblii i w Tradycji, o stosunkach człowieka z diabłem, i o sądach, jakie mamy o nich wydawać.

Kościół – w nauczaniu dogmatycznym – od powyższych zasad nigdy nie odstąpił; nie można go więc czynić odpowiedzialnym za nadużycia, na jakie nauka jego była wystawiona. Kościół nigdy nie zaprzeczał, aby nasze pokusy nie były częstokroć subiektywnymi, i aby nie dały się wytłumaczyć za pomocą danych fizycznych i moralnych, wśród których żyjemy, ale nic więcej nad to zaprzeczać nie mógł, albowiem tym samym zaprzeczałby możliwości i rzeczywistości napaści i przemocy szatańskiej, które w teorii poznać można po pewnych cechach, określonych przez teologię, a które w praktyce częstokroć bardzo trudno należycie rozróżnić.

Gotowi jesteśmy przyznać, że niektóre niedostatecznie jeszcze zbadane wypadki psychologiczne brano za opętanie diabelskie; ale niepodobna iżby zdrowy rozum zgodził się na to, że nie było nigdy żadnego wypadku opętania, i że to wszystko, co daje się widzieć dziwnego w historii zboczeń umysłowych i zjawisk nadzwyczajnych w porządku umysłowym, moralnym, fizjologicznym i psychologicznym, tłumaczy się stanem chorobliwym; wiara w objawienie biblijne zawsze będzie się sprzeciwiała podobnemu tłumaczeniu powyższych faktów. Żaden stan chorobliwy nie będzie w możności nagle udzielić człowiekowi dokładnej znajomości obcego języka, ani jakiejkolwiek nauki przedtem i potem nigdy nie posiadanej, ani odgadywania tajemnic nigdy nie przewidzianych i fizycznie do wytłumaczenia niepodobnych. Ani choroby umysłowe, ani histeria, ani stan hipnotyczny nie stawiają człowieka poza prawami świata fizycznego i nie udzielają mu sił całkowicie niezgodnych z jego fizycznym ustrojem.

Fakty opowiadane przez Ewangelię tudzież przez apostołów i przez najuczeńszych i najświętszych Ojców Kościoła można bardzo łatwo sprawdzić. Św. Paulin, którego wymienia Bergier („Demoniaques”), zaświadcza, iż widział opętanego, który chodził po sklepieniu Kościoła, głową na dół obrócony, i mimo to potrafił w porządku utrzymać swoje ubranie. Sulpicjusz Severus (ibid.) widział opętanego, który na widok relikwii św. Marcina uniósł się w powietrze z rękoma rozkrzyżowanymi. Fernel, lekarz Henryka II, i słynny protestant Ambroży Paré wzmiankują o pewnym opętanym, który mówił po grecku i po łacinie, chociaż się nigdy nie uczył tych języków. (...) Cechy powyższych faktów, naszym zdaniem, są całkowicie nadnaturalne, ale nie są z pewnością boskie, a zatem są diabelskie.

4–o Nauka o czartach, w granicach przez kościół wskazanych, jest z pewnością objawiona. Daremnie usiłowanoby zastosować do tekstów biblijnych, z których naukę tę czerpiemy, zręczną naturalistyczną egzegezę, gdyż teksty te wyraźnie sprzeciwiają się takiemu tłumaczeniu. Chrystus Pan usuwa wszelką wątpliwość pod tym względem, gdy mówi o szatanach jako istotach obdarzonych rozumem i wolą, osobowych i na złe wylanych. On sam przemawia do nich, walczy, jeśli wolno tak się wyrazić, przeciwko nim, wypędza ich, głosi się ich nieubłaganym przeciwnikiem, daje swym uczniom władzę egzorcyzmowania i wypędzania ich z opętanych, których wyraźnie odróżnia od chorych. Przed Nim i po Nim natchnieni pisarze mówią w podobny sposób o naturze i działaniu szatana, tak że ostatecznie zmuszeni jesteśmy wybierać jedno z dwojga: albo wierzyć w osobowość i rzeczywiste działanie diabłów, albo też odrzucić Biblię, tradycję i wiarę Kościoła katolickiego” (SŁOWNIK APOLOGETYCZNY WIARY KATOLICKIEJ, podług Dra. Jana Jaugey,a,

opracowany i wydany staraniem X. Władysława Szcześniaka, Mag. Teol. i grona współpracowników, Warszawa 1894, t. I, s. 574 – 579).

Skoro z wcześniej cytowanego tekstu dowiedzieliśmy się tyle o szatanie, demonach, ich naturze i ich stosunku do człowieka, najwyższa pora zająć się teraz kwestią opętania, czyli tego szczególnego wpływu demona (bądź demonów, ponieważ w opętaniu jednostki może brać udział nie jeden tylko upadły anioł, lecz większa ich liczba) na osobę ludzką.

Opętanie

Nie chcąc się narazić na zarzut niezgodności prezentowanej opinii z nauką Kościoła, i tym razem posłużmy się obszernymi cytatami z dzieł, które, choć wydane przed wielu laty, zawierają czystą i nieskażoną nauką katolicką. Do rzeczy jednak:

Opętani (energumeni), ludzie podlegający na ciele nadzwyczajnemu, przemocą działającemu wpływowi złych duchów. (...) władza czarta nad fizyczną stroną człowieka, skutkiem której objawia się w tym człowieku, bądź habitualnie, bądź aktualnie, to gwałtowne i dręczące działanie czarta na czynności, władze i organa jego. Tego gwałtownego działania mocy ciemności dwojaki rozróżnia się rodzaj, czyli stopień: opętanie – possessio, i obsiadanie – obsessio. Nazwy te dopiero w nowszych czasach nabrały ściśle określonego znaczenia, dawniej stale były używane zarówno jedne za drugie, co zresztą i dziś jeszcze się zdarza. W obsiadaniu, czyli obsesji – która się także zowie circumsessio – moc szatana w słabym stopniu się objawia; wywiera tu wpływ swój, jakoby zewnętrznie tylko i w pewnych tylko czynnościach i chwilach, bez wewnętrznego posiadania. We właściwym zaś opętaniu – possessio, insessio – zły duch habitualnie [stale] ma mieszkanie swoje w fizycznej sferze istoty ludzkiej, opanowuje, o ile Bóg dopuści, organa zmysłowe i niższe władze duszy, i w różny, nieraz okropny sposób znęca się nad swoją ofiarą. Mieszkanie to, zarówno jak i owa przemoc nad władzami człowieka, ściąga się bezpośrednio tylko do fizycznej jego strony. Do istności duszy, do wewnętrznych i wyższych władz jej, szatan nie ma przystępu, jak go nie ma i anioł; mieszkanie w istności duszy, i bezpośrednie poruszanie wewnętrznych jej władz, jest wyłącznym prawem Boga, jak to, zacząwszy od św. Augustyna, uczą i dowodzą wszyscy teologowie. (...) W ciele zaś mieszka czart, w sposób określony – modo definitivo – jak mówi stara szkoła, i tylko jako czynnik poruszający, a bynajmniej nie w taki sposób, w jaki dusza mieszka w ciele, to jest jako jego forma żywotna; dlatego też nie może sprawować przez nie czynności żywotnych, ale czynności te, o ile od niego, jako obcego działacza, pochodzą, są wprost zewnętrznym przymusem sprawione. Z tego tylko względu poniewolne te, siłą i gwałtem wymuszone ruchy, pochodzą z wewnątrz, i w tym tylko się różnią od czynności przez obce ciało, drogą czysto materialnego przymusu wywołanych, że tutaj obcy czynnik jest natury duchowej, i nie z zewnątrz, ale w samymże ciele działa, a nawet i mieszka. (...) W języku kościelnym ludzie, temu smutnemu stanowi podlegli, zowią się energumeni, daemoniaci, arreptitii, niekiedy i maleficiati, o ile ta niedola ich przypisuje się tzw. maleficium czyli urokowi. (...)

Możliwość i rzeczywistość opętania

Rzeczywistość opętania jest faktem historycznym. (...) Tekst Pisma św. bardzo wyraźną robi różnicę między naturalną chorobą, czy obłąkaniem, a opętaniem od czarta; Ojcowie św. także, owszem, nawet i pospólstwo, żydowskie czy pogańskie, dobrze umieli poznawać się na różnych cierpieniach: które rzeczywiście [były] szatańskie, a które tylko przyrodzone, albo urojone, albo udane, (...) byłoby nierozumnym zaprzeczenie faktu opętania, bo fakt ten polega na przyczynach, nie materialnych, ale duchowych i wolnych, mianowicie: na woli Boga, który dopuszcza to złe, wedle świętych ale ukrytych zamiarów Opatrzności swojej; i na woli czarta, który to złe sprawuje, i na woli człowieka, który odpowiednie do niego przynosi usposobienie. Aliści bardzo dobrze, jak każdy przyzna, może to być w planie rządów Boga nad światem, że w danym czasie chce okazać nad ludźmi miłosierdzie swoje, i w tym celu, dla zburzenia nierównie groźniejszej władzy piekła nad duszami, ciało w moc jego oddaje, „na zatracenie ciała, aby duch był zachowan na dzień Pana naszego Jezusa Chrystusa" (1 Kor. 5,5); i że znowu w innym czasie czyni sąd nad światem przeniewierczym, który, w rozmyślnym od poznanej prawdy odstępstwie, dobrowolnie wtrąca dusze w niewolę szatańską, i Boga i czarta się zapiera, i ani na to już nie zasługuje, by mniejszym złem opętania do zbawiennej bojaźni i Boga i czarta był nawrócony. (...)

Sposób antagonizmu czartowskiego objawia się w życiu pojedynczych ludzi: niezwykła świętość niechybnie napotyka na drodze swojej niezwykłe napaści ducha złego, i właśnie zwycięstwo nad tymi napaściami stanowi dla świętych i sprawiedliwych sposób i drogę do osiągnięcia nadzwyczajnej cnoty, i do utwierdzenia się w niej. Z tego punktu zapatrując się na dzieje i sprawy ubiegłego stulecia (tj. XVIII – przyp. A.S.), możnaby wnosić, że nie jest to bodaj pomyślną dla niego wróżbą, że z jednej strony niedowiarstwo i grzech w nim urosły do niebywałych rozmiarów, a z drugiej strony opętanie fizyczne, przynajmniej jawne i publiczne, stało się zjawiskiem bardzo rzadkim. Czy nie jest to może kara, i to straszna, za tak szeroko panującą w owym wieku apostazję [która w dzisiejszej dobie nabrała jeszcze potworniejszych rozmiarów – przyp. A.S.], że Bóg czartowi pozwolił na tę taktykę, iż rzemiosło swoje jakoby incognito prowadzi, a tak tym pewniej dusze zaślepione w przepaść zapędza?

Przyczyny opętania

Z przyczyn często naturalnych i fizycznych nie mogą wyniknąć skutki inne, jak również czysto naturalne i fizyczne; choroba zatem fizyczna nie może sama przez się i bezpośrednio spowodować wdawania się mocy szatańskiej, ale może być dalszym i pośrednim do tegoż przysposobieniem. Hipochondria, i histeria, i wszelkie rozstrojenia systemu nerwowego, choć najczęściej z moralnych przyczyn pochodzą, to jest z gwałtownych i nieposkromionych namiętności, są to jednak, same przez się przypadłości i cierpienia zgoła fizyczne; rzadko jednak się zdarza (...) żeby przy rzeczywistym opętaniu i te cierpienia fizyczne się znalazły, jako tło i przygotowanie.

Właściwie jednak i najbliższe do opętania przysposobienie ma charakter moralny: to jest grzech własny lub cudzy. Z pewnością nie byłoby opętania, gdyby nie było grzechu pierworodnego czy własnego. Niemowlęta także, choć ochrzczone, jak o tym świadczą św. Augustyn i św. Hieronim, podlegają niekiedy w ten sposób mocy złego ducha, czy to za grzechy rodziców, czy z innych niewiadomych nam wyroków Bożych. W ogólnej jednak zasadzie, tylko grzech własny, choćby to był i grzech powszedni, może dać powód do opętania. Bo „czart nie inaczej w niewolę podbija człowieka, jedno przez wspólnictwo w grzechu." (S. Augus., De Civ. Dei, 10, 22), i wtedy tylko, jak uczą Ojcowie śś., szatan może posiąść ciało, gdy pierwej opanuje ducha i serce (...) Są wszakże wyjątki. W samejże Ewangelii mamy przykład człowieka, opętanego „od dzieciństwa" (Mar. 9.20). Nieraz nawet, choć w rzadkich bardzo wypadkach, ludzie wysokiej cnoty jakiś czas podlegali opętaniu, nie sposobem kary i pokuty, jak słusznie sądzić się godzi, za jakieś popełnione przez nich grzechy powszednie, ale raczej dla większego oczyszczenia, i upokorzenia, i uświęcenia wewnętrznego. (...) Lecz takimi ciemnymi drogami Bóg sam tylko mocen jest z ciemności wyprowadzić na światłość; byłoby to więc pokusą, albo i wyraźnym grzechem, gdyby kto, bez szczególnego i niewątpliwego natchnienia Bożego, przez rzekomą pobożność, i w celu osiągnięcia jakoby większego dobra, takiego złego pragnął. Przeciwnie, drugi ów rodzaj nagabywania czartowskiego, który wyżej nazwaliśmy obsiadaniem, czyli obsesją, nierzadko zdarza się duszom do wyższej świętości powołanym. Owszem nawet u tych, których Bóg prowadzi drogą tzw. biernej modlitwy, i którzy znajdują się w stanie tzw. biernego oczyszczenia, nadzwyczajne i dotykalne nagabywania szatańskie poczytują się, nie już za wyjątek, ale za stałą regułę. (...) Skuteczną przyczyną opętania, jak już powiedzieliśmy, jest wpływ mocy szatańskiej i dopuszczenie woli Bożej. Celem tego dopuszczenia ze strony Bożej jest zawsze jakieś większe dobro – czy to sprawiedliwe ukaranie grzesznika, czy łaskawe oczyszczenie duszy niedoskonałej, czy doświadczenie i uświęcenie cnotliwego, czy wreszcie, pożytek ogólny, jak np. okazanie Boskiej mocy Kościoła, objawienie i wsławienie doskonałości Bożych.

Skutki, jakie czart sprawuje na opętanym, nie tylko są w najwyższym stopniu bolesne i dotkliwe, ale z natury swej zgubne, t.j. wszelkiemu dobru przeciwne, i dla zbawienia duszy groźne. Szatan mocen jest, za pomocą różnych halucynacji skrzywić, albo i całkiem wstrzymać użycie zmysłów, uczynić człowieka ślepym, głuchym, albo niemym (...) mocen jest sprowadzić na opętanego ciężkie bóle i niemoce fizyczne (...), albo nawet i śmierć samą (...), może go popchnąć na różne niebezpieczeństwa, albo i do samobójstwa [częste samobójstwa wśród dzisiejszej młodzieży wyznającej satanizm mogą wskazywać na większą powszechność opętań, niż się powszechnie sądzi – przyp. A.S.]. Mocen jest organa zmysłowe usunąć z pod władzy duszy, i do wstrętnych czynów używać, np. organa mowy do wydawania ryków zwierzęcych, do sprośnych bluźnierstw; mocen jest sprawować zjawiska zadziwiające, ze zwyczajnymi prawami fizyki, i życia roślinnego, albo zwierzęcego niezgodne, jak np. objawy siły nadludzkiej, zawieszenie prawa ciężkości, podniesienie ciała w powietrze, albo obciążenie wagi jego aż do zupełnego unieruchomienia. Rzeczywistych jednak cudów,

przewyższających wszystek porządek stworzenia, jak np. wskrzeszania umarłych, zdziałać nie może. Co się tyczy władz duszy, opętanie sprawuje potworne spaczenie wyobraźni i żądz zmysłowych, dusza podlega okropnym wyobrażeniom i uczuciom, myślom smutnym i szkaradnym, złośliwym i przeciwnym naturze pożądliwościom, i siłą niepowstrzymaną porwana, miota bluźnierstwa, i pieni się w szalonych wybuchach gniewu i wściekłości. Wszystko to najczęściej dzieje się nieświadomie, a więc moralnie za winę jej się poczytywać nie może. (...) W obsesji wpływ złego ducha nie tak silnie się objawia; ogranicza się do nękania duszy za pomocą halucynacji zmysłowych, przerażających urojeń wyobraźni i widzeń urojonych (od których częstokroć zaczyna się opętanie); ciało także doznaje bolesnych udręczeń, bicia, a nawet ran. Nieznośne także pokusy wszelkiego rodzaju zwykle takiemu stanowi towarzyszą. Ze wszystkich tych, niemałych z natury swojej utrapień, Bóg w tych, którzy Go miłują, przedziwne wyprowadza owoce. „W tym boju", tak uczy św. Augustyn, „czart ma od Boga władzę kuszenia, a człowiek, rozkaz cierpienia. A skutek z tego taki, że duch w dziedzinie niższej zwycięża, ale w wyższej zwyciężony jest. Pokonywa ciało, które jest słabsze, ale pokonany jest od ducha, który jest mocniejszy. Albowiem przeciwko przemocy jego dusza wierna walczy cierpliwością, i przeciw chytrości jego, roztropnością; a tak do zgubnego zgodzenia się, ani przemocą zmusić jej, ani podstępem zwieść nie może."

Moc i władza Kościoła nad wpływami szatańskimi

Chrystus Pan władzę, jaką z natury swojej ma nad duchami ciemności, przelał na apostołów i uczniów swoich, zaraz po ich powołaniu (...); jakoż i Apostołowie i uczniowie, jeszcze w czasie przepowiadania Zbawiciela na ziemi, jak również i potem, w rzeczy samej po wiele razy tę władzę wykonywali. Po zmartwychwstaniu swoim, Zbawiciel tę władzę wysoką uczniom swoim powtórnie udzielił, i na wszystkich, którzy weń uwierzą, rozciągnął (...) Tak więc dar ten miał po wsze czasy pozostawać w Jego Kościele, i to w sposób dwojaki, jak uczą Ojcowie Kościoła: w sposób ogólny, z samej wiary wypływający, i dlatego na wszystkich wiernych się rozciągający; i w sposób szczególny, i jakoby urzędowy, do urzędu Apostołów i ich następców [biskupów – przyp. A.S.] przywiązany. (...)

Zasady dziś obowiązujące w postępowaniu z opętanymi

Krótko i treściwie określa Rytuał rzymski (...); w końcu jednak po bliższe objaśnienia odsyła do „autorów wiarygodnych". (...) Najpierwsze tu, a nieraz i najtrudniejsze zadanie polega na zbadaniu i jasnym poznaniu stanu pacjenta. Słusznie ostrzega Rytuał rzymski, iż „nie należy w danym razie przypuszczać zbyt łatwo opętania przez czarta; potrzeba zatem dokładnej znajomości oznak służących do osądzenia, czy dane indywiduum jest rzeczywiście opętane, czy też tylko cierpi na melancholię lub inną jaką chorobę". O złudzenie albo i o oszustwo tu nie trudno; zjawiska te mają miejsce w ciemnej i tak już ujemnej stronie natury ludzkiej, a w tych ciemnościach różne rodzaje nędzy moralnej i fizycznej i przez czarta sprawionej, nieraz stykają się ze sobą; grzech i choroba, i urojenie, i świadome szalbierstwo, i kłamstwo, i ojciec jego diabeł, wszystko to razem plącze się nieraz w jedną nierozwikłaną gmatwaninę, albo nieraz i jedno wprost przybiera maskę drugiego. Znaki opętania wymienione w Rytuale, są niezawodne; chodzi tylko o ich sprawdzenie. Znaki te są następujące: „Prowadzenie albo rozumienie dłuższych rozmów w języku obcym i opętanemu nieznanym; oznajmianie rzeczy ukrytych, albo w miejscu odległym się dziejących; dowody zdolności albo siły, przewyższających zgoła wiek opętanego, albo zwykły porządek natury, i inne tym podobne". Ferraris i Brognoli te jeszcze znaki przytaczają jako również niewątpliwe: Dawanie odpowiedzi na pytania w myśli tylko zadane, albo spełnianie takich rozkazów; pewne objawy, skutkiem egzorcyzmu wstępnego (exorcismus probativus) są okazujące, a nie dające się wytłumaczyć w sposób przyrodzony, np. nagłe, na rozkaz nabrzmienie jakiejś części ciała i również nagły powrót tejże do stanu normalnego. Są inne znaki mniej pewne, i wówczas tylko, gdy kilka ich razem się zejdzie, stanowczo na nich polegać można; mianowicie: gdy człowiek skądinąd dobry, doznaje niepojętych, a gwałtownych uczuć nienawiści do rzeczy świętych, do ludzi Bogu poświęconych, albo do osób mu bliskich i najdroższych; gdy człowiek skądinąd zdrowy i nie obłąkany, ma zmysły przepełnione halucynacjami, a wyobraźnię najsprośniejszymi i przerażającymi wyobrażeniami; gdy stanie się niezdolnym modlić, wymówić słowa święte, albo rzeczy świętych, np. relikwii, znaku krzyża, używać; gdy w człowieku czystego serca i dobrych obyczajów nagle i z niepowstrzymaną siłą objawi się upodobanie do wszystkiego złego, wstręt i nienawiść do rzeczy Bożych, szalony pęd do rozpaczy, do kaleczenia siebie, do samobójstwa. Są także pewne przypadłości fizyczne, które mniej więcej na pewno zdradzą obecność czarta, jako to: nagle zjawiająca się, i również nagle ustępująca ślepota lub głuchota, zwłaszcza gdy tego rodzaju objawy następują za użyciem środków duchownych; post nienaturalnie długotrwały bez upadku na siłach; wstręt do wszelkiego pokarmu i napoju, przy strasznym mimo to głodzie i pragnieniu; bolesne, jakby za przyłożeniem wody lodowatej lub ognia, ściskanie lub palenie w głowie, ustąpienie, albo – odwrotnie – powstające od włożenia rąk albo dotknięcia relikwiami; nienaturalne zrzucanie [wymiotowanie – przyp. A.S.] rzeczy, żadną miarą nie mogących służyć za pokarm, jak włosów, szkła, żelaza itp. Również i w tłumaczeniu zjawisk do obsesji się odnoszących, łatwo się omylić, biorąc za sprawą czartowską to, co nieraz bywa tylko skutkiem rozstroju systemu nerwowego, albo początkiem obłąkania. Cielesny nawet ból, jakoby od bicia albo ran, może niekiedy być prostym tylko skutkiem silnie rozdrażnionej i chorobliwej wyobraźni; tym bardziej jeszcze stosuje się to do halucynacji zmysłowych, które w wielu razach bywają zwiastunami obłąkania, choć czasem mogą być także znakiem opętania diabelskiego. (...) Co się tyczy – zdarzających się często przy obsesjach nadmiernych – pokus do rozpaczy, do nienawiści, do nieczystości, do samobójstwa, należy pamiętać o tym, że szatan nigdy i żadną miarą nie może zmusić człowieka do formalnego zgodzenia się i grzechu, materialne zaś przestąpienie (złamanie) przykazań Boskich, przez czyny z natury swojej od wolnej woli zależne, w takim tylko razie może, kiedy w człowieku nastąpi zupełne zawieszenie władz umysłowych. Takie całkowite, z nieświadomością połączone związanie

wolnej woli, często się zdarza przy właściwym opętaniu, ale w obsesji może chyba tylko mieć miejsce w bardzo ograniczonej mierze (jako chwilowy raptus, czyli jakoby uprowadzenie woli); zwłaszcza też, co się tyczy tych ludzi dobrych, albo tym bardziej świętych, żadną miarą tego przypuszczać nie można, by Bóg taką dawał czartowi władzę nad nimi, iżby tenże zdołał ich zmusić do czynów jawnie i grubo grzesznych i gorszących. (...)

Do uleczenia rzeczywistego opętania, środki czysto naturalne albo recepty lekarskie bezpośrednio nic pomóc nie zdołają; ponieważ jednak w takim stanie zwykle i ciało jest chore, więc z tego względu (...) i kuracja lekarska pośrednio mogą się przyczynić do uzdrowienia, albo nawet okazać się zgoła koniecznymi. Lekarską tę kurację egzorcysta, według wyraźnego przepisu Rytuały, powinien zostawić lekarzowi. Bezpośrednio działać tu mogą tylko środki natury duchowej, przede wszystkim egzorcyzmy kościelne. Tutaj dość będzie nadmienić, że skuteczność tych środków, a szczególnie egzorcyzmu, zależy w znacznej części od usposobienia pacjenta, a także i od usposobienia egzorcysty. Kiedy więc brakuje w pacjencie należytego usposobienia, potrzeba je wpierw, przed przystąpieniem do ostatecznego egzorcyzmu (exorcismus expulsivus) nauczaniem, ćwiczeniami ascetycznymi (...), modlitwą i innymi środkami, do nabycia łaski Bożej służącymi, obudzić w nim i utwierdzić. Przede wszystkim należy się postarać o oczyszczenie sumienia w Sakramencie Pokuty, w razie potrzeby i przez odbycie spowiedzi z całego życia; dalej potrzeba ćwiczyć pacjenta w aktach trzech cnót głównych, a szczególnie też w mocnej ufności w Bogu, co nieraz przedstawia wielkie trudności. Częstsze także, o ile roztropność wskaże, przystępowanie do Komunii św. przewodnik duchowny takiemu penitentowi przepisywać powinien, jak to (...) i Rytuał rzymski zaleca. Sakramentalia kościelne, jako to: błogosławieństwo kapłańskie, szkaplerze, znak krzyża św., woda święcona, relikwie (...) itp. skutecznie mogą poprzeć i ułatwić powyższe ćwiczenia, do nabycia należnego usposobienia potrzebne. Również i modlitwa, wstrzemięźliwość, albo i post, jak to sam Zbawiciel zaleca (Mat. 17, 20), okażą się najczęściej nieodzownym do należytego przygotowania warunkiem. Nie prędzej więc, powiada Brognoli, aż gdy po ścisłym zbadaniu pacjenta, przekona się o należnym jego usposobieniu, powinien egzorcysta przystąpić do czynności ostatecznej, t.j. do właściwego egzorcyzmu na wypędzanie czarta. W przeciwnym razie uzdrowienie albo wcale nie nastąpi, albo, choćby skutkiem żywej wiary egzorcysty nastąpiło, zawsze groziłaby recydywa. Zresztą sprawowanie egzorcyzmu zależy od pozwolenia biskupa (...). Dodajmy jeszcze, że na obsesję, jaką Bóg niekiedy dopuszcza na dusze święte, dla doświadczenia i oczyszczenia ich, żadne środki nie pomogą, dopóki Bóg celu swego nie osiągnie, i sam wszechmocną ręką Swą cierpiącego ze lwiej jamy nie wyprowadzi. Właściwy egzorcyzm na wypędzenie czarta stosuje się tylko do rzeczywistego opętania; inne jednak, wstępne formy egzorcyzmu, jak je podaje Rytuał (exorcisumus probativus, lenitivus) zdaje się, że mogą być zastosowane do obsesji." (ENCYKLOPEDIA KOŚCIELNA PODŁUG TEOLOGICZNEJ ENCYKLOPEDII WETZERA I WELTEGO z licznymi jej dopełnieniami, przy współpracownictwie kilkunastu duchownych i świeckich osób, wydana przez X. Michała Nowodworskiego, Warszawa 1891, t.XVII, s. 346 – 357).

***

I wreszcie, na zakończenie tego rozdziału, dotyczącego szatana, jego stosunku do człowieka, jego wpływu na człowieka, mogącego manifestować się także i opętaniem, ostatni już cytat z książki teologicznej, traktującej o zjawiskach mistycznych, a konkretnie fragment rozdziału mówiący o zjawiskach pochodzenia szatańskiego. Być może Czytelnik uzna, że zbyt dużo tych uczonych cytatów, ale po pierwsze chcę, aby miał pełną jasność w tej – jakże istotnej kwestii – omawianej w niniejszej książce, a poza tym, każdy z owych cytatów –

chociaż ogólnie mówią o tym samym – jednak wnosi coś nowego, jeden jest uzupełnieniem drugiego, przez co nasza wiedza jest i bogatsza i pełniejsza. A o to przecież chodzi.

Opętanie niezupełne (obsessio)

Jego istota. Polega w swej istocie na szeregu pokus przewyższających gwałtownością i długim trwaniem pokusy zwyczajne. Jest ono zewnętrzne, gdy przez różne zjawy działa na zmysły zewnętrzne; wewnętrzne zaś, gdy powoduje wrażenia wewnętrzne. Często zewnętrzne jednak rzadko się zdarza, bowiem szatan po to tylko działa na zmysły, by tą drogą łatwiej niepokój do duszy wprowadzić. Byli jednak Święci, którzy choć dręczeni na zewnątrz wszelkiego rodzaju widmami, zachowywali w duszy spokój niezmącony.

Szatan może oddziaływać na wszelkie zmysły zewnętrzne:

a) Na wzrok, już to ukazuje się w postaci wstrętnej, by przerazić osoby kuszone i odwieść je od cnoty, jak to uczynił z czcig. Matką Agnieszką de Langeac i wielu innymi; już to w postaci ujmującej, by pociągnąć do złego, jak to się wydarzało częstokroć św. Alfonsowi Rodriguezowi.

b) Na słuch, przez słowa lub pieśni bluźniercze albo lubieżne, jak to czytamy w żywocie błog. Małgorzaty z Kortony; lub też strasząc przez hałasy, jak to się zdarzało niekiedy ze św. Magdaleną de Pazzi i św. Proboszczem z Ars.

c) Na dotyk w dwojaki sposób, przez zadawanie razów i ran, jak czytamy w bullach kanonizacyjnych św. Katarzyny Sieneńskiej, św. Franciszka Ksawerego i w żywocie św. Teresy; innym znów razem przez uściski mające na celu pobudzenie do złego, jak to opowiada sam św. Alfons Rodriguez. (...)

Szatan oddziaływa też na zmysły wewnętrzne, tj. na wyobraźnię i pamięć, oraz na namiętności, by je podniecić. Człowieka wbrew jego woli ogarniają natrętne i dręczące obrazy, które mimo energicznych wysiłków ustąpić nie chcą; czuje że się staje pastwą kipiącego w nim gniewu, niepokojów rozpaczy, instynktownych poruszeń spowodowanych uczuciem apatii, lub też przeciwnie, napadów niebezpiecznej tkliwości, których niczym, zda się, usprawiedliwić nie można. Trudno bez wątpienia niekiedy określić, czy zachodzi istotnie opętanie niezupełne; skoro jednak pokusy te pojawiają się z nagła i są zarazem gwałtowne, uporczywe i trudne do wytłumaczenia za pomocą przyczyn naturalnych, można słusznie uważać je za szczególniejsze działanie szatana. (...)

O całkowitym opętaniu. Istota właściwego opętania (possessio)

Jego pierwiastki składowe. Dwa pierwiastki stanowią opętanie: obecność szatana w ciele opętanego i władza, jaką posiada nad ciałem, a za jego pośrednictwem także i nad duszą. Ten ostatni punkt wymaga wyjaśnienia. Przy opętaniu szatan nie jest złączony z ciałem tak jak dusza; jest on w stosunku do duszy zewnętrznym tylko motorem; jeśli zaś na nią działa, to przez pośrednictwo ciała, w którym mieszka. Może on działać bezpośrednio na członki ciała i kazać im wykonywać rozmaite ruchy; pośrednio zaś działa na władze duszy w miarę, jak one czynnościach swych zależne są od ciała.

U opętanych rozróżnić można dwa odrębne stany: stan kryzysu i stan spokoju. Kryzys jest to jakby rodzaj gwałtownego ataku, w którym szatan objawia swą moc tyrańską, wprowadzając ciało w gorączkowe wzburzenie, objawiające się w skurczach, wybuchach wściekłości, słowach bezbożnych i bluźnierczych. Opętani, zda się, tracą wówczas wszelkie poczucie tego, co się w nich dzieje, a gdy przyjdą do siebie, nie pamiętają nic z tego, co mówili lub czynili, a raczej co szatan prze nich czynił. W pierwszej tylko chwili odczuwają napad szatański; potem zdają się tracić przytomność.

Zdarzają się wszakże wyjątki od tej ogólnej zasady. O. Surin, który egzorcyzmując Urszulanki z Loudun, sam stał się opętanym, zachował świadomość tego, co się z nim działo. Opisuje sam, jak to dusza jego była rozdzielona, otwarta z jednej strony na wrażenia szatańskie, z drugiej strony uległa całkowicie działaniu Boga; jak modlił się, podczas gdy ciało jego tarzało się po ziemi. I dodaje: „Stan mój taki, iż bardzo mało pozostaje mi czynności, w których zachowuje wolną wolę. Gdy chcę mówić, język odmawia mi posłuszeństwa; podczas mszy św. zmuszony jestem znienacka zatrzymać się; przy stole nie mogę jedzenia do ust włożyć. Gdy spowiadam się, zapominam grzechów; i czuję to, że szatan jest we mnie jak u siebie w domu, wchodząc i wychodząc, jak mu się podoba.”

W chwilach spokoju nic nie zdradza obecności złego ducha: sądzić by można, że ustąpił. Niekiedy jednak obecność jego przejawia się w pewnym rodzaju chronicznej słabości, która wymyka się spod wszelkich zabiegów sztuki lekarskiej. Niekiedy kilku szatanów jednocześnie trzyma w opętaniu jedną osobę, co wskazuje na to, jak są słabi. – Opętanie zazwyczaj ima się samych tylko grzeszników; zdarzają się jednak wyjątki (...) [zależne od wyraźnej woli Bożej – przyp. A.S.]

(Oznak opętania nie będziemy tu wymieniać, aby nie powtarzać tego samego, co już we wcześniejszym cytacie można było wyczytać. Koniecznie natomiast – naszym zdaniem – powinno się omówić sam obrządek egzorcyzmu, jaki winno się – zgodnie z zaleceniami Kościoła – odprawić nad całkowicie opętanym – przyp. A.S.).

Rytuał wskazuje, w jaki sposób postępować należy, i udziela egzorcystom (wyznaczonym przez miejscowego biskupa – przyp. A.S.) rad bardzo rozumnych. Główne tylko z nich na tym miejscu przypominamy. Kiedy wypadek opętania został stwierdzony i kiedy ktoś został delegowany do odprawienia egzorcyzmów:

a) Wypada mu przygotować się do tej tak niezmiernie ważnej czynności przez pokorną i szczerą spowiedź, aby szatan nie mógł egzorcystom wyrzucać własnych ich win; a także przygotować się postem i modlitwą, gdyż niektóre czarty przed tymi tylko środkami ustępują.

b) Na ogół egzorcyzmy odbywać się powinny w kościele lub kaplicy, o ile dla ważnych powodów nie jest wskazane dokonać ich w mieszkaniu prywatnym. W żadnym razie jednak egzorcysta nie powinien pozostawać sam na sam z opętanym; w towarzystwie jego znajdować się powinni świadkowie poważni i pobożni, a dość silni, by mogli powstrzymać opętanego w chwilach ataków. Jeśli chodzi o niewiastę, do powstrzymania jej używać należy posługi innych poważnych niewiast, wypróbowanej roztropności i cnoty; kapłan zaś ma się zachować z jak największą powściągliwością i skromnością.

c) Po odmówieniu przepisanych modłów egzorcysta przystąpić ma do stawiania pytań. Powinien je zadawać z powagą i ograniczać się do tych, które są rzeczywiście pożyteczne, i które zaleca Rytuał: jaka jest liczba i imiona duchów opętanych, kiedy i dlaczego wtargnęli; wzywa się czarta, by oświadczył, kiedy wyjdzie i po jakim znaku poznać jego ucieczkę, grożąc mu w razie upierania się zwiększeniem mąk stosownie do oporu. W tym celu ponowić należy te zaklęcia [egzorcyzmy – przyp. A.S.], które zdają się w większy wprowadzać go gniew, wzywać świętych imion Jezusa i Maryi, czynić znaki krzyża i kropić wodą święconą; należy zmusić czarty, by upadły przed Najświętszym Sakramentem, przed krzyżem, lub przed świętymi relikwiami. – Starannie unikać trzeba niepotrzebnej gadaniny, żartów, pytań zbytecznych; jeśli zły duch daje odpowiedzi uszczypliwe lub śmieszne i zaczyna odbiegać od przedmiotu, z powagą i godnością nakazuje mu się milczenie.

d) Świadkom – których zresztą niewielu być powinno – nie należy pozwalać na stawianie pytań; niech zachowują milczenie i skupienie i modlą się w zjednoczeniu z Tym, który czarty wypędza.

e) Mimo swej władzy nie powinien egzorcysta wypędzać czarta do tego czy innego miejsca; niech się ograniczy do wypędzenia złego ducha [z ciała opętanego – przyp. A.S.], pozostawiając dalszy jego los boskiej sprawiedliwości. Egzorcyzmy należy przeciągać przez kilka godzin, a nawet przez kilka dni z przerwami dla wytchnienia, dopóki szatan nie wyjdzie, a przynajmniej nie oświadczy, iż gotów jest wyjść z opętanego.

f) Gdy oswobodzenie zostało należycie stwierdzone, egzorcysta prosi Boga, ba zakazał szatanowi powrócić kiedykolwiek do tego ciała, które zmuszony był opuścić; składa dzięki Bogu i zachęca osobą uwolnioną od złego ducha, aby błogosławiła Bogu i pilnie unikała grzechu, by nie wpaść ponownie pod panowanie czarta.”

(O. AD. Tanquerey: ZARYS TEOLOGII ASCETYCZNEJ I MISTYCZNEJ, przeł. z francuskiego Ks. Piotr Mańkowski Arcyb. Enejski, Kraków 1949, t. II, s. 710 – 723

***

Reasumując: Najogólniej można opętania podzielić na dwa rodzaje: opętania typu obsessio (obsesja), zwane też dręczeniem diabelskim, oraz opętanie typu possesio (posesja), polegające na faktycznym wniknięciu demona lub demonów w ludzkie ciało.

Do opętania tak pierwszego, jak i drugiego typu może dojść z trzech przyczyn:

– Z p r z y z w o l e n i a B o ż e g o, co należy rozumieć w ten sposób, że bez udziału wiedzy człowieka, w pewnych szczególnych przypadkach, z pewnych szczególnych względów, Pan Bóg dozwala Szatanowi opanować ciało istoty ludzkiej. Może to być spowodowane np. poddaniem próbie wiary i wierności danej osoby, bądź też udzielenie w ten sposób przestrogi ludziom zatwardziałym w grzechach i występkach, czy wreszcie jako rodzaj pokuty i ekspiacji za po pełnione zło, albo też z jakichś, Bogu tylko wiadomych, powodów.

– Z p r z y z w o l e n i a w ł a s n e g o. Tę z przyczyn uznać chyba należy za najpospolitszą i zapewne za najpowszechniejszą. Na ogół można się jej doszukać u ludzi, którzy świadomie i dobrowolnie zawarli rodzaj paktu z Księciem Ciemności, poświęcając mu – w zamian za powodzenie, bogactwo czy sławę – własną duszę i ciało. Wydaje się również, że za ten rodzaj przyzwolenia uznać należy szczególną zatwardziałość w grzechach ciężkich, pozbawiających ludzi stanu łaski uświęcającej, czyli wspólnoty i przyjaźni z Bogiem, a w szczególności wyjątkowo ohydnych czy przeciwnych naturze, jak na przykład: notorycznego pijaństwa, narkomanii, rozpusty (wszelkiego rodzaju dewiacji: zoofilii, nekrofilii, sadyzmu, kazirodztwa, homoseksualizmu), wielokrotnych zabójstw czy świętokradztwa.

– Z k a r y g o d n e j n i e o s t r o ż n o ś c i. Przyczyną dania złym duchom możności owładnięcia naszym ciałem i umysłem (chociaż w tym wypadku nie wolą!) może być zwykła

lekkomyślność bądź zwykła głupia nieostrożność, przejawiająca się na przykład w praktykowaniu magii (nawet dla żartu i zabawy !!!), branie czynnego udziału, bądź też biernej obserwacji seansu spirytystycznego, poddawanie się zabiegom hipnotycznym przeprowadzanym przez osoby do tego nie powołane, wreszcie gromadzenie i przechowywanie przedmiotów służących do odprawiania praktyk czarnomagicznych lub satanistycznych (zresztą, jedno jest pokrewne drugiemu, czy nawet praktycznie tożsame, chociaż w potocznym rozumieniu satanizm jest naganny, a odprawianie czarów nie, co jest oczywiście ewidentnym błędem, bowiem i jedno, i drugie ma na celu nawiązanie bliskiej duchowej, emocjonalnej więzi pomiędzy Człowiekiem a Szatanem i jego demonami.

Poza tym można jeszcze ulec opętaniu na skutek klątwy rzuconej na dzieci przez rodziców lub „uroku" przez osobę praktykującą czarną magię (a takich ostatnimi czasy jest coraz więcej).

Wreszcie może się też zdarzyć, że Pan Bóg podejmuje szczególny zamiar – dopuszczając opętanie, aby konkretna osoba stała się – przez owo cierpienie – żertwą wynagradzającą grzechy świata czy konkretnych ludzi. Osoba taka ma pełną świadomość stanu, w jakim się znalazła.

Nie sposób pominąć jeszcze i kwestii możności opętania egzorcysty w czasie odprawiania przezeń obrzędów, mających na celu uwolnienie osoby, w którą wstąpiły demony. Dlaczego tak się może zdarzyć – nie wiadomo.

Co najwyżej należy przypuszczać, że w jakimś stadium pojedynku między człowiekiem a złymi mocami, wola egzorcysty osłabnie, albo ogarnie go zwątpienie, czego duchy nieczyste nie omieszkają wykorzystać. Ale to tylko moje spekulacje i przypuszczenia.

Proces opętania

Dla doczesności świat ducha i wieczności ma bardzo wiele tajemnic. Pamiętać należy, że księgi Pisma Świętego nie odkrywają nam i nie rozświetlają bynajmniej ich wszystkich, a jedynie pewną znikomą część.

Sam proces opętania jest również nader tajemniczy i zagadkowy. Kwestią, na którą raczej nigdy nie uzyskamy odpowiedzi jest to, jakimi kryteriami kierują się złe duchy w wyborze osoby, którą zamierzają opanować (pamiętając oczywiście o przyzwoleniu Bożym). Jest raczej oczywiste, że własne przyzwolenie istoty ludzkiej bynajmniej nie oznacza, iż demony zechcą skorzystać z przedstawionej im przez człowieka oferty i wnikną weń. Jednocześnie zaś jest niepodważalnym faktem, że atakują one i opętują częstokroć takie osoby, które n i g d y n i e p r o s i ł y o t o i są nieświadome – przynajmniej w pierwszym okresie – iż dzieje się z nimi coś nienaturalnego. Chociaż oczywiście nie zdarza się by do opętania typu possesio doszło w przypadku człowieka wiodącego świątobliwe i prawe życie.

Biorąc pod uwagę stopień opanowania istoty ludzkiej przez złe duchy, można wyróżnić niejako trzy rodzaje opętania typu possesio: idealne, pełne i częściowe. Dodać tu jeszcze można dręczenie diabelskie przy opętaniu typu obsessio, oraz zjawisko tzw. „przylgnięcia" (zwanego przez O. Malachi Martina „oswojeniem"). Polega ono na tym, że zły duch stale towarzyszy człowiekowi, nie wnikając jednak w jego ciało. Człowiek taki jest związany z demonem węzłem ściślejszym niż małżeński, choć zachowuje swoją odrębność osobową.

Opętanie idealne to takie, kiedy Szatan i demony uzyskują świadomą, absolutną, doskonale pełną zgodę człowieka na ich w niego wniknięcie i świadome, absolutne, doskonale pełne poddanie się woli opętanego władzy (woli) złych duchów.

Jak często zdarzają się tego rodzaju opętania, nie sposób nawet w przybliżeniu określić (domyślać się jedynie należy, iż chyba dosyć rzadko), ponieważ człowiek opętany idealnie, praktycznie nie wykazuje żadnych dewiacji w sferze psychiki i w zachowaniu. Jest zimny, opanowany, wyrachowany, doskonale radzący sobie w życiu i z innymi ludźmi – prawdziwy człowiek sukcesu. Oczywiście nie ma on żadnych, minimalnych nawet zahamowań w dążeniu do wytkniętego sobie celu, który – jak można przypuszczać – zwykle osiąga. Odznacza się też – co charakterystyczne – wielką nienawiścią do Boga, Kościoła, do wszystkiego co ma jakikolwiek związek z religią, którą w miarę swoich sił i możliwości zwalcza z całą zajadłością, zawsze i na każdym miejscu. Ale – i o tym trzeba pamiętać – może on wchodzić do świątyni, dotykać sakramentaliów, wymawiać imię Jezus i imiona innych istot Niebiańskich (jak twierdził O. Malachi Martin).

Taki człowiek, człowiek który totalnie poddał się woli złych mocy, nie może zostać od nich uwolniony przez drugą osobę (egzorcystę), bowiem demony nie opuszczą jego ciała jeżeli sam naprawdę nawet w minimalnym stopniu tego nie zapragnie, nie zbuntuje się przeciw opanowaniu jego jaźni przez obcą inteligencję, a w takim przypadku jest to – co chyba oczywiste – zupełnie wykluczone.

W opętaniu pełnym demony opanowują ciało i umysł ludzki w sposób nie pozwalający człowiekowi w normalny sposób funkcjonować w społeczeństwie (ale – im pełniejsze opętanie, bliższe idealnego, tym człowiek zachowuje się normalniej, naturalniej). Ten rodzaj opętania może być (co zresztą w dzisiejszych czasach na ogół ma miejsce) mylony z chorobą psychiczną. Rzeczą charakterystyczną jest tutaj fakt, iż wola opętanego w większy, mniejszy, czy wręcz mikroskopijny sposób sprzeciwia się woli złego ducha przez bardzo długi czas.

Wreszcie w opętaniu częściowym, osoba dotknięta tą straszną przypadłością znajduje się niejako na pograniczu „normy" i „patologii" psychicznej. Być może – podkreślam: być może – tutaj należy odnieść dziwne zjawisko znane i opisywane przez psychiatrów, a noszące miano omamów rzekomych, zwanych inaczej pseudohalucynacjami.

Polegają one na tym, że chorzy nie słyszą ich „na zewnątrz", lecz wewnątrz własnego umysłu, przyrównując je do „dźwięku myśli". Głosy te są natrętne i narzucane chorym przez jakąś obcą, złą inteligencję. Często w praktyce wygląda to tak, że owe głosy objawiające się w umyśle człowieka, zmuszają go do wypowiadania określonych słów, do popełniania określonych czynów i do zachowań sprzecznych z jego wolą.

Przy opętaniu częściowym osoba dotknięta ową przypadłością doskonale zdaje sobie sprawę ze swego nienormalnego stanu i bardzo często podejmuje walkę ze złymi mocami na własną rękę. Im jednak więcej się buntuje, tym silniejszym atakom ze strony Szatana podlega. Prawdopodobnie zdarza się i coś takiego, że dzięki wewnętrznej sile i modlitwie – o ile zdoła sobie uświadomić, co ją naprawdę spotkało, że to nie bynajmniej wyczerpanie psychiczne czy też ciężka nerwica – uwolni się od złego. Przeważnie jednak do tego nie dochodzi, a osoby opętane częściowo trafiają do gabinetów psychiatrycznych czy nawet szpitali, gdzie oczywiście nie znajdują odpowiedniej pomocy, ponieważ w takich wypadkach metody medyczne nie mogą przynieść im wyleczenia.

Również i w przypadku opętania pełnego wola człowieka nękanego przez demony sprzeciwia się temu. Im głębsze opanowanie ciała i umysłu istoty ludzkiej przez wrogą inteligencję, tym dramatyczniejsza walka, jaką przychodzi jej prowadzić z mieszkańcami piekieł.

Oczywiście nie muszę chyba nikogo przekonywać, że dla psychiatrów nie istnieje coś takiego jak opętanie, a wszelkie dewiacje psychiczne przypisują oni czynnikom czysto naturalnym. Opętanie – jako przypadłość, która może dotknąć człowieka, a będąca wynikiem zadziałania na daną osobę czynników nienaturalnych, jest uważana powszechnie za przejaw zabobonu i zacofania, na milę cuchnącego „ciemnym" średniowieczem.

Tymczasem rzeczywistość jest inna i przypadków opanowywania ludzi przez złe duchy spotyka się coraz więcej i to nie tylko wśród społeczeństw pogańskich, w tak zwanych krajach misyjnych, ale także w krajach tradycyjnie chrześcijańskich od setek, albo i więcej lat, które w okresie ostatnich dwóch wieków, a w szczególności w XX stuleciu, tak dalece się zlaicyzowały, że nie będzie przesadą stwierdzenie, iż są to kraje neopogańskie, z „idealistami" w mniejszości, a z „racjonalistami, materialistami i ateistami" w ogromnej przewadze.

Sam proces opętania narasta stopniowo. Nie ma tak, że naraz, ni stąd ni zowąd, człowiek zupełnie wolny i normalny w jednej chwili staje się zniewolony i nienormalny. Wręcz przeciwnie – trwa to długimi miesiącami, a niejednokrotnie całymi latami nawet.

Oczywiście musi być jakiś moment zapoczątkowujący cały proces, kiedy zły duch (czy też złe duchy, bo może ich być więcej niż jeden) niejako wnika w wybraną przez siebie ludzką istotę, lecz nie oznacza owo bynajmniej, iż już w tym samym momencie staje się ona w jakikolwiek widoczny sposób inna niż przed zaistnieniem tego faktu, i że natychmiast zaczyna się wyróżniać spośród otoczenia.

Wnikanie demona w ciało człowieka odbywa się pod pewnego rodzaju przymusem, ponieważ opętywany instynktownie (czy nazwijmy to inaczej: w sposób naturalny) wie, że to, co go dotyka, jest złem. A zatem w pełni świadomie nie zgodziłby się na dopuszczenie ciemnych mocy do swego wnętrza (wyklucza się – co oczywiste – przypadki przemyślanego uprzednio wyboru, wiodące wprost ku opętaniu idealnemu).

Jednocześnie jednak zły duch bez częściowej choćby zgody ofiary nie może jej opanować. Aby ową zgodę zdobyć, w pewien sposób oddziałuje na człowieka przygotowując się do dobrowolnej (choć nie zawsze w pełni świadomej) rezygnacji z autokontroli i poddania się pod kontrolę mocy, która zamierza się w nim „zagnieździć". Tutaj demon (demony) może na wolę opętanego oddziaływać bądź przez zmysły (dotkliwe cierpienia), bądź przez umysł (błędne oceny, stany lękowe, zwątpienia, rozpaczy, pokusy itp.)

Czy konieczne jest werbalne wyrażenie zgody na owładnięcie przez złego ducha? Bynajmniej! Chociaż jest ono zapewne zawsze mile widziane. Siłom ciemności wystarczy jednak sam określony, sprzyjający ich osiedleniu się na stałe w człowieku, sposób jego postępowania, będący faktyczną zgodą na opętanie i sama myśl owo dopuszczająca. Oczywiście wszystko to nie przebiega tak gładko i prosto, jak by można było wywnioskować z powyższego opisu. Atakowana istota ludzka doskonale bowiem zdaje sobie sprawę z faktu, iż jest przez jakąś obcą i złą, destrukcyjną inteligencję opanowywana, że w miarę upływu czasu staje się coraz bardziej od niej zależna, słabsza i coraz bardziej uległa. Mając taką świadomość oczywiście na wszelkie dostępne sposoby i przy użyciu takich środków, jakimi dysponuje, stara się spod owej zależności, czy może raczej winno się powiedzieć: nacisku wyswobodzić. Chyba, że – co również się zdarza – nacisk ten odbiera jako coś pozytywnego, jako coś, co sprawia przyjemność, rozjaśnia dotychczasowy mrok, uwalnia od niepewności i lęków.

Wystarczy jednak, że w chwili słabości choćby raz ulegnie słowem, myślą, albo też czynami, dając złym duchom przyzwolenie na opanowanie siebie, a już praktycznie nie będzie mieć odwrotu. Taka zgoda bowiem, choćby nawet wyrażona pod presją, w lęku lub dla ulżenia cierpieniom fizycznym bądź psychicznym („niech się dzieje co chce, byle cierpienie się skończyło") stanowi wyłom, przez który Szatan może sięgnąć w głąb duszy.

Jeżeli opór mniej lub więcej świadomie, mniej lub bardziej intensywnie stawiany złym duchom ustanie – może dojść do opętania idealnego. Jeśli jednak on – mimo wszystko – trwa, choćby nawet i nadzwyczaj słaby, choćby nawet wpół świadomy tylko, walka wewnętrzna pomiędzy człowiekiem a demonami będzie toczyć się bez ustanku, co na zewnątrz da obraz łudząco podobny do choroby psychicznej, czy silnej nerwicy.

Ponieważ nader rzadko się zdarza, aby osoba częściowo opętana, sama o własnych siłach, po odwołaniu danej dobrowolnie bądź też wymuszonej zgody na „osiedlenie się" w niej demona, uwolniła się spod jego wpływu, dochodzi do kolejnego etapu prowadzącego ku opętaniu pełnemu.

Siły zła do tego stopnia opętują jej psychikę, że podporządkowują sobie wszelkie przejawy życia umysłowego i zmysłowego człowieka, w którego weszły.

Pozostając pod tak przemożną, potężną władzą, wszelkie myśli, odczucia, wszelkie akty woli staną się zależne od obcego destrukcyjnego wpływu. W większości przypadków bywa tak, iż człowiek w końcu owym wpływom się poddaje, ustępuje, nie widząc sensu w tym, aby dalej walczyć. I wówczas dopiero proces opętania pełnego dobiega końca.

Co zatem z taką osobą dzieje się dalej?

Gdy człowiek opanowany przez demona czy to z wyczerpania, czy też z jakiegokolwiek innego powodu dokona wyboru pomiędzy własną wolą, a poddaniem się woli obcej, z korzyścią dla tej ostatniej (a wyboru owego dokonać może, ponieważ został przez Boga stworzony jako istota wolna, a więc ma prawo również z owej wolności zrezygnować na rzecz niewoli), tym samym dokonuje wyboru między Stworzycielem a Szatanem.

Zły duch zaś, mając teraz pełną i niczym nie skrępowaną możliwość działania w takiej osobie, skrzętnie i skwapliwie owo wykorzystuje.

Skoro człowiek dokona wyboru i odrzuci własne człowieczeństwo, wiedzę, oraz światło Boże, Szatan nie pozostawia w jego duszy pustki, ale natychmiast wypełnia ją swoją wiedzą, oświecając swoim martwym światłem.

Zrozumiałe zatem jest, że u człowieka już do końca „wypełnionego" złym duchem, zmieniają się priorytety życiowe, ideały, zasady, system wartości i światopogląd. Cechą znamienną i charakterystyczną zarazem jest to, iż osoba taka z jednej strony zdaje się zatracać świadomość i kontrolę nad własnym postępowaniem, z drugiej zaś stan opętania może jej się nawet stać pomocny i dzięki niemu zacznie odnosić sukcesy na polu zawodowym, bądź innym.

Ale tak jest na krótką raczej metę, choć oczywiście nie zawsze. Na ogół bowiem bywa, iż w pewnym momencie, w świadomości, w duszy opętanego na pewno poczyna rodzić się bunt przeciw zniewoleniu go przez złą obcą inteligencję.

Gdy pojawi się choćby ślad takiego buntu, choćby cień pragnienia stania się znów pełnym i wolnym człowiekiem i odzyskania łączności z Dobrem Najwyższym, istnieje szansa (ale tylko szansa!) na uwolnienie spod władzy złych mocy. Lecz na tym etapie nie ma nawet mowy o tym, aby on sam mógł się od Szatana wyzwolić i opuścić Królestwo Zła. Ponieważ jego wola, z jego własnego przyzwolenia, została podporządkowana woli demona, nie starcza mu sił na podjęcie odpowiedniej decyzji i wycofanie zgody wcześniej danej złym duchom, zezwalającej na opętanie.

Konieczna zatem staje się pomoc z zewnątrz. A jej może udzielić jedynie egzorcysta, który działać będzie nie we własnym imieniu, a w imieniu Jezusa Chrystusa, w łączności i jedności z Kościołem Powszechnym, stając się niejako zakładnikiem – w zamian za opętanego – Szatana. Wszelkie próby wypędzenia demona z ciała opanowanego przezeń przy pomocy naturalnych sił egzorcysty nie tylko nieodwołalnie muszą zakończyć się fiaskiem, ale na dodatek istnieje realne niebezpieczeństwo, że tym samym naraziłby się na atak złego ducha i sam mógłby stać się ofiarą opętania.

Jeżeli w przypadku opętania częściowego nie da się wykluczyć, iż osoba dotknięta ową przypadłością – uzmysłowiwszy sobie problem – sama może zwrócić się o pomoc do innego człowieka, tak w opętaniu zupełnym, absolutnie nie ma mowy o czymś podobnym. Człowiek, w którym zamieszkał demon (bądź większa liczba demonów), skazany jest wyłącznie na pomoc najbliższych, o ile zgadną, jakiej to pomocy akurat potrzebuje.

Jeśli zatem prawidłowo ocenią przyczynę dolegliwości i udadzą się po ratunek do kompetentnego egzorcysty (co bynajmniej nie jest ani łatwe, ani proste, ponieważ Kościół ulegając naciskom różnej maści „postępowców" jak również i wewnętrznemu „postępowemu" prądowi prawie zrezygnował z egzorcyzmowania) ma szansę (bo nigdy nie istnieje stuprocentowa pewność, że się to uda) na odzyskanie swojego człowieczeństwa i uwolnienie się od niepożądanego „lokatora".

Lecz jeśli rodzina odda go w ręce psychiatrów, nie ma szansy na wyzwolenie się spod wpływu złego, chociaż zastosowanie terapii stricte medycznej może przynosić okresową i nietrwałą, nie tyle może poprawę stanu opętanego, co raczej ulgę.

W przypadku opętania jednak szczegółowe i rzetelne badanie psychiatryczne powinno wykluczyć psychozę czy psychonerwicę, inne bowiem są symptomy tych ostatnich, a inne opętania.

W tym miejscu koniecznie jednak należy dodać, że żaden odpowiedzialny egzorcysta nie podejmie się odprawienia obrządku wypędzenia demona z człowieka, jeśli wpierw nie podda tegoż szczegółowemu i gruntownemu badaniu, głównie psychiatrycznemu właśnie, aby móc zupełnie wykluczyć istnienie zaburzeń psychicznych, spowodowanych czynnikami naturalnymi, a mogących niejednokrotnie dawać – dość powierzchownie, co prawda – obraz nieco podobny do opętania. To ostatnie wszakże ma swoje własne, trudne do pomylenia z jakąkolwiek inną dolegliwością (o ile można użyć tego niezbyt fortunnego określenia) objawy. Ale o tym niżej.

Znaki opętania

Na początku wypadałoby wspomnieć cokolwiek na temat opętania idealnego. Jak dowiedzieliśmy się z wcześniejszych opisów, osoba dotknięta tym rodzajem przypadłości oddała się bez reszty diabłu i w związku z powyższym znajduje się pod jego totalnym wpływem. Diabeł – co oczywiste – nie jest bynajmniej zainteresowany w ujawnianiu się, a zatem opętany nie wykazuje żadnych oznak tego, iż osiedlił się w tym właśnie ludzkim ciele.

Jeśli inni, których posiadły demony, na widok krzyża, różańca, bądź po skropieniu wodą święconą reagują wyciem, drgawkami, kuleniem się, miotaniem bluźnierstw i przekleństw, to opętany idealnie, bez okazywania wstrętu, może dotykać sakramentaliów.

Jeżeli inni opętani nie będą mogli wypowiedzieć imienia Boga, Jezusa, czy Matki Najświętszej, to opętany idealnie nie tylko uczyni owo bez najmniejszego trudu i wysiłku, ale może nawet wdawać się w polemiki i dysputy na tematy religijne (tak twierdził Malachi Martin).

A zatem znaki wskazujące na zamieszkanie demona, lub większej liczby złych duchów, w człowieku mają odniesienie wyłącznie do formy opętania pełnego.

Jeśli istnieje uzasadnione podejrzenie opętania, należy dokonać niejako „próbnego" egzorcyzmowania. Gdy na jego skutek nie następuje żadna reakcja ze strony człowieka podejrzanego o nie, nie musi owo wcale oznaczać, że demon jest nieobecny w jego ciele. Częstokroć bowiem ten ostatni celowo usiłuje zataić swoją obecność, aby wprowadzić w błąd egzorcystę.

Nawet i próba z odróżnieniem wody zwykłej od święconej dokonana z podejrzanym o opętanie, jeśli nie przyniesie spodziewanego efektu, wcale nie musi dowodzić, że demona nie ma.

Na ogół jednak opętany pokropiony święconą wodą reaguje wściekłością i agresją, ponieważ sprawia mu to nieopisaną wprost przykrość. A teraz przejdźmy wreszcie do znaków bezsprzecznie wskazujących na fakt rzeczywistego przypadku opętania. Jest ich wiele, chociaż nie zawsze muszą wystąpić razem.

Rytuał rzymski wymienia trzy główne spośród nich, które w łączności z dodatkowymi, bezwzględnie na opętanie wskazują. Są to: mówienie i rozumienie obcych, nie wyuczonych wcześniej przez opanowanego, przez demony człowieka języków, posiadanie zdolności do jasnowidzenia i telepatii („znajomość rzeczy oddalonych lub skrytych"), wreszcie przejaw potwornej siły fizycznej, absolutnie nieproporcjonalnej do płci, wieku i kondycji ofiary.

Rzeczą charakterystyczną dla opętania pełnego będzie to, że we wszystkich jego przypadkach da się stwierdzić istnienie w jednym ciele dwu lub więcej osobowości. Człowiek taki nierzadko skarży się na przemożny, obezwładniający jego wolę, wpływ obcej destrukcyjnej inteligencji, gwałcącej wolność osobowości zaatakowanego. Przejawia się to na najrozmaitsze sposoby. Na przykład: jako zmuszanie przez złą obcą siłę do odpowiednich form zachowania, co może dotyczyć nie tylko sfery myśli i odczuć, wypowiadanie słów i zdań, ale też przeszkadzanie w normalnym funkcjonowaniu na planie czysto fizycznym – na przykład przeszkadzanie w posilaniu się (coraz częstsza w obecnej dobie jest anoreksja), czy narzucanie specyficznej formy chodzenia, bądź przybierania jakichś określonych póz.

Istnienie w jednym ciele dwóch lub większej liczby osobowości zostało zauważone i wiele razy opisane tak w literaturze stricte medycznej, jak i popularnej. Oczywiście – co chyba będzie zrozumiałe w świetle materialistycznej nauki – uznano je za zjawisko zupełnie naturalne, a więc za zaburzenie psychiczne.

Bardzo ciekawe informacje na ten temat podaje w swoim artykule *„Osobowość zwielokrotniona"* Teresa Nowak. Otóż, informuje ona, że gdy w latach siedemdziesiątych naszego stulecia liczba cierpiących na tę dolegliwość w USA wynosiła kilkaset osób, to w latach osiemdziesiątych osiągnęła już kilka tysięcy.

Osobowości, które „przyczepiły się” do pierwotnej osobowości danego człowieka, usiłuje się „wypierać” przy użyciu psychiatrycznych metod leczenia. Niekiedy lekarzom udaje się wyrugować którąś z nich. Przeważnie jednak nie.

Zwykle ujawnienie się osobowości obcej następuje stopniowo, choć zdarza się i odwrotnie, czyli nagle. Nowe – bo może ich być więcej niż jedna – niszczą zupełnie pierwotną strukturę psychiczną danego człowieka, a nawet w drastyczny sposób wpływają na jego ciało, na planie czysto fizycznym.

Badania medyczne prowadzone na terenie Stanów Zjednoczonych niezbicie wykazały, że na zaburzenia zwielokrotnionej osobowości zapadają przeważnie dwie grupy ludzi: ci, którzy brali udział w obrzędach satanistycznych, bądź czarnomagicznych, oraz ci, nad którymi znęcano się w dzieciństwie w sposób wyjątkowo okrutny.

Psychiatria na razie daleka jest od wypracowania jakiegoś jednego, klarownego stanowiska w kwestii, czym tak naprawdę jest osobowość zwielokrotniona i jaka jest przyczyna powstawania tego rodzaju zaburzenia. Dalecy od zajęcia wspólnego stanowiska, w zasadzie ograniczają się tylko do obserwowania i opisywania poszczególnych przypadków, niezmiernie się dziwią faktowi niesamowitego wprost wpływu ducha na ciało.

Psychiatrów wprawia w zdumienie istnienie bezsprzecznych i niepodważalnych faktów, takich jak na przykład poniższe: Osoba dotknięta zespołem zwielokrotnionej osobowości różnie reaguje na podanie środków uspokajających i nasennych, które mogą zadziałać na jedną osobowość usypiająco, podczas gdy inna po ich podaniu staje się wręcz pobudzona.

Pewna kobieta z cukrzycą zaszokowała lekarzy – tym razem internistów – którzy nie bardzo dowierzając temu co widzą, w końcu musieli jednak stwierdzić, iż ciało cierpi na cukrzycę tylko wówczas, gdy ujawnia się jedna z wielu osobowości, przy innych osobowościach, kiedy ta odpowiedzialna za chorobę jest ukryta, cukrzycy nie ma!!!

Badania prowadzone przez psychiatrów w Stanach Zjednoczonych udowodniły ponad wszelką wątpliwość, że w pojedynczym ludzkim ciele może znaleźć mieszkanie od kilku do kilkunastu (a czasem nawet i więcej) osobowości, które zupełnie się między sobą różnią.

Dalej, jeżeli w przypadku stwierdzenia zespołu wielokrotnej osobowości poddać człowieka cierpiącego na tę przypadłość badaniom przy pomocy elektroencefalografu (EEG) uzyskuje się r ó ż n y obraz funkcjonowania mózgu, odrębny dla każdej z osobowości zasiedlających to ciało.

I jeszcze jedno. W przypadku wystąpienia zespołu osobowości zwielokrotnionej badanie psychiatryczne nie może ustalić rodzaju zaburzenia psychicznego, ponieważ dolegliwość owa może dawać w różnym czasie bardzo różny obraz – od całkowitej normy psychicznej – poczynając, a na obrazach dosłownie wszystkich psychoz kończąc. Stąd przy pobieżnym badaniu nie można postawić właściwej diagnozy przypisując dolegliwości np. schizofrenii, cyklofrenii, czy nawet padaczce.

Przy badaniu opętanego przez egzorcystę ujawnić się mogą i inne znaki. Bardzo charakterystycznym jest ten, że osoba, w którą wszedł demon, potrafi absolutnie poprawnie mówić w jednym lub większej liczbie języków obcych, których nigdy się przedtem nie uczyła, może także rozumieć jeśli się do niej w tychże obcych językach zwracać.

Nie mniej niepojęte będzie również posiadanie przez opętanego umiejętności ujawniania ukrytych lub odległych faktów. Oczywiście zdolność do telepatii i jasnowidzenia nie musi być zawsze związana z obecnością demona w ludzkim ciele, bo posiadają ją – chyba nawet dość często – także ludzie żyjący w opinii świętości, a nawet i zupełnie przeciętni pod względem moralnym osobnicy. Jednak w przypadku opętania występuje ono powszechnie.

Może się to przejawiać nieraz w nader niemiły sposób, kiedy demon przemawiając ustami opętanego, głośno, publicznie ujawnia trzymane dotąd w największym ukryciu grzechy ciężkie egzorcysty bądź jego pomocników.

Ma to na celu wywołanie zakłopotania, uczucia wstydu i upokorzenia tych, którzy walczą ze złymi mocami, aby zniechęcić ich do dalszych poczynań. Doświadczony egzorcysta wie doskonale, co go może spotkać i dlatego wpierw przygotowuje się psychicznie na to, lekceważąc (o ile to tylko możliwe) ujawnianie jego nieprzyzwoitych tajemnic (o ile je oczywiście ma).

Lecz te zdolności opętanego mogą się również odnosić do jakichś spraw ogólniejszych. Może on wygłaszać przepowiednie tyczące się społeczności, wśród której żyje, ujawniać publicznie rozmaite sekrety, czy nawet wskazywać miejsca ukrycia przedmiotów specjalnego znaczenia. Wszystko to w określonym celu – aby osłabić egzorcystę i jego asystentów.

Zwykle każdy opętany – chociaż jest przeważnie, ale niekoniecznie wyniszczony fizycznie – przejawia przeogromną siłę. Siłę zupełnie nie przystającą do jego płci, wieku, kondycji. Jest ona tak wielka, że podczas egzorcyzmu musi być albo mocno krępowany przy użyciu dostatecznie wytrzymałych więzów, albo też przytrzymywany, niejednokrotnie przez kilka osób, które i tak z trudem sobie z nim radzą.

O sile opętanych jest już wspomniane w Ewangeliach w jednym z opisów wypędzania złych duchów przez Jezusa Chrystusa.

O tym, iż od człowieka dotkniętego opętaniem cuchnie – czasem (lecz nie zawsze) smród przede wszystkim wydobywa się ust, przeważnie jednak nieprzyjemny zapach emanuje z całego ciała – można znaleźć informację tak w opisach zjawiska pochodzących sprzed setek lat, jak i tych, które powstały nam współcześnie.

Całe piekło przenika smrodliwy, duszący zapach, i przesiąkają nim demony i potępieńcy. Fetor ów przylegał także do ciał tych świątobliwych osób, którym ze specjalnym zezwoleniem Bożym, dano za życia zajrzeć w czeluści gehenny.

Między innymi także do ciała ofiary wynagradzającej grzechy świata, a w szczególności dusz Bogu poświęconych, Sługi Bożej siostry Józefy Menendez, która podczas ziemskiego życia była przenoszona do otchłani nigdy nie kończącej się męki, aby tam cierpieć niewypowiedziane wprost katusze. Potwierdzała ona, co mówiły i inne świątobliwe osoby, które zetknęły się z piekielną rzeczywistością, że istotnie cuchnący zapach przenika wszystko.

Ów nadzwyczaj nieprzyjemny fetor emanował od s. Józefy, gdy wracała z piekła na ziemię, ale także wówczas, gdy w naszej rzeczywistości doznawała udręki uprowadzeń i innych prześladowań ze strony diabła. Jak określają to świadkowie, przypominał pomieszanie zapachów: siarki, gnijącego mięsa, i mięsa palonego.

Tenże smród wydzielało ciało Józefy przez kilkanaście minut, do pół godziny, po powrocie z piekła.

Podobnie niemiły zapach towarzyszy duszom osób potępionych, które po śmierci objawiły się żyjącym. Tak na przykład zdarzyło się przed wiekami we Florencji, kiedy to pewien zakonnik, o którym mniemano, że został zbawiony, w rzeczywistości dostał się do piekła, bo przez całe życie był zatwardziałym świętokradcą. Na rozkaz mocy Bożej, chcąc zapobiec temu, by oddawano mu cześć jako świętemu, ukazał się po śmierci współbraciom i napełnił cały klasztor smrodem, który utrzymał się jeszcze jakiś czas potem, gdy potępieniec zniknął.

Jak z powyższego wynika, smród dla złych duchów jest więc czymś charakterystycznym, dlatego też musi się on udzielać również i ciałom osób, w których owe zamieszkują.

Pamiętając o owym, iż Szatan i demony byli niegdyś aniołami światłości i zamieszkiwali niebo, nie powinno dziwić, że są doskonale obeznani z historią zbawienia i zagadnieniami teologicznymi. Mają też wielką znajomość Pisma Świętego. Tę swoją wiedzę często ujawniają przez usta opętanego, gdy chcą wdawać się w dysputę z egzorcystą.

Innym ze znaków – bardzo charakterystycznym – jest ten oto: opętany posiada żywiołową, głęboką nienawiść i wstręt do Boga, Jezusa, Matki Najświętszej, świętych aniołów, oraz do przedmiotów kultu religijnego. Ów wstręt i nienawiść na przykład do wody święconej, krzyża czy relikwii świętych, przejawia się nadzwyczaj widowiskowo (o ile można użyć takiego

niezbyt fortunnego określenia). Opętany reaguje strachem, histerią, bluźnierstwami, przekleństwami, wydawaniem przerażających odgłosów (wyje, ryczy).

Bardzo ciekawe jest to, że wcale nie musi widzieć sakramentaliów. Jeśli zostaną potajemnie wniesione i ukryte w pomieszczeniu, w którym przebywa, w jakiś niepojęty sposób dowiaduje się o tym i natychmiast zaczyna zachowywać się w sposób wcześniej opisany.

Dalej – nie jest też w stanie wymówić imienia Boga, Jezusa czy Matki Bożej. Jeśli w czasie rozmowy z egzorcystą zmuszony jest wypowiadać się na temat istot niebiańskich, zawsze używa określeń zastępczych, takich jak na przykład: te Osoby, Ci z góry, On, Tamten... I nawet wówczas, na samo ich wspomnienie reaguje dziką nienawiścią, wyciem i przekleństwami.

Kolejnymi cechami charakterystycznymi dla opętania będą: niewrażliwość na ból, piętno (stygmat diabelski) przybierające różne formy na skórze, upodobanie do zjadania odrażających rzeczy (np. ekskrementów), niekontrolowana pobudliwość ruchowa, mocno pobrużdżony język, wzdęty brzuch, podrażnienie skóry i błon śluzowych, ogólne znaczne wyniszczenie fizyczne organizmu (wcale nie będące tożsame z osłabieniem). Wreszcie zmiany barwy i grubości głosu oraz rysów twarzy, których może być wiele rodzajów, w zależności od tego, który z demonów (jeśli więcej niż jeden wniknęło w ciało opętanego) akurat przemawia.

Dalej – często też skóra twarzy opętanego rozciąga się do tego stopnia, że twarz przypomina płaską maskę, bez jednego załamania czy zmarszczki.

Innym z typowych, charakterystycznych znaków będzie ten oto: ciało człowieka, w którym zamieszkały demony w pewnych okolicznościach (na ogół ujawnia się to podczas egzorcyzmów, choć nie tylko) staje się tak potwornie ciężkie, że nie może zostać uniesione nawet przez kilku silnych mężczyzn.

Wreszcie należy się dłużej zatrzymać nad fenomenami parapsychicznymi mającymi miejsce w obecności opętanego, lub dotyczącymi samej jego osoby. Prawie zawsze występuje zjawisko telekinezy, polegające na poruszaniu przedmiotów na odległość, bez dotykania ich, ani w żaden inny sposób nie oddziałując na nie fizycznie. Odnosi się to zarówno do rzeczy drobnych, jak też masywnych i ciężkich, które unoszą się w powietrzu, kołyszą, a czasem jakaś niezwykła siła ciska nimi o podłogę czy ściany.

Mogą to być również mniej czy bardziej donośne odgłosy stukania, od bardzo delikatnych, po niesamowity łoskot i łomot. W obecności osób opanowanych przez złe duchy można niekiedy zaobserwować zjawisko pisma bezpośredniego, polegające na tym, że nagle na kartce papieru lub jakiejkolwiek innej, nadającej się do kreślenia znaków graficznych, powierzchni, pojawiają się słowa, sensowne zdania, a nawet długie teksty, bardzo często w postaci „negatywowej", które można dopiero odczytać w zwierciadle.

Na koniec wreszcie sam opętany, wbrew prawu ciążenia może unosić się w powietrzu (zjawisko to nosi nazwę lewitacji, a nieobce bywa również osobom uznanym za święte; lewitowali między innymi: św. Franciszek z Asyżu, św. Teresa z Avila, św. Jan od Krzyża, czy bł. Ładysław z Gielniowa).

Samo zjawisko jest niezmiernie interesujące i nadzwyczaj zagadkowe, ponieważ w wyraźny, namacalny sposób przeczy prawu powszechnego ciążenia. Ale – jak się można domyślić – fizycy to całkowicie lekceważą, w myśl zasady – „Jeśli fakty przeczą teorii, tym gorzej dla faktów." W dawnych wiekach przypisywano umiejętność lewitowania, albo też nadzwyczajnej utraty wagi, osobom podejrzanym o uprawianie czarów. Podczas badań inkwizytorskich sprawdzano, czy ta, lub ten, kogo oskarżono o związki z Szatanem, nie przejawia owych niesamowitych zdolności.

Mogły się one manifestować na różny sposób, a powinny ujawnić w trakcie przesłuchań bez względu na to, czy czarownica albo czarnoksiężnik życzyliby sobie tego, czy nie. Były

zatem one w jakiś sposób autonomiczne wobec ich woli, co oczywiście mogłoby wskazywać na stan opętania tychże osób, bo jak pamiętamy, człowiek, w którego wniknęły demony nie dysponuje już wolną wolą (a przynajmniej ma ją w znacznym stopniu ograniczoną) lecz jest totalnie uzależniony od woli złych duchów.

Bardzo interesujące opisy lewitowania lub znacznego zmniejszenia ciężaru ciała u podejrzanych o kontakty z demonami, znajdujemy nie tylko w dawnej, ale i we współczesnej literaturze diabologicznej i poświęconej zagadnieniom okultyzmu. Nie będę ich teraz przytaczał, a zainteresowanych Czytelników odsyłam do rozdziału poświęconego opisom niektórych przypadków opętań, zaistniałych tak w przeszłości, jak i wczasach nam współczesnych.

Dręczenie diabelskie (obsessio*)*

W tym rozdziale opowiemy o przypadkach (oczywiście niektórych tylko, wybranych) dręczenia diabelskiego, któremu podlegali ludzie uznani za świętych, bądź zgaśli w opinii świętości. (Chociaż nie tylko oni owej przypadłości mogą podlegać, co wyraźnie zaznaczyć należy).

Ponieważ Szatan nie ma dostępu do serc i umysłów ludzi dobrych, bo te zajmuje jedynie miłość i chęć pełnienia woli Bożej, działa na nich w inny sposób. Napotykając na tak silny opór woli człowieka, że nie może nań wywrzeć najmniejszego nawet wpływu, doprowadzony tym do wściekłości, stosuje wobec tych dusz wiernych Panu, nie tylko ataki w sferze psychicznej, ale również i w fizycznej.

Na początku opowiemy o dręczeniu diabelskim, jakiego doświadczał za życia św. Ojciec Pio, stygmatyk włoski, należący do zakonu kapucynów, zmarły 23 września 1968 roku.

Zarówno z własnoręcznych zapisków O. Pio (a konkretnie jego listów do kierowników duchowych), jak i w oparciu o świadectwa tych, którzy widywali napaści szatańskie na owego niezwykłego człowieka, niezbicie wynika, że był on dręczony w sposób szczególny, i to przez lata całe (poczynając od dzieciństwa, aż po schyłek życia).

Sam O. Pio tak mówi na ów temat: „Moje słabe zdrowie (...) ma swoje lepsze i gorsze chwile. Prawdą jest, że cierpię, ale cieszę się bardzo, że przez moje cierpienie Pan daje mi przeżyć niewyrażalną radość! Jeśliby nie było tych cierpień, tej ustawicznej walki, którą szatan nieustannie toczy ze mną (...) chyba już byłbym w raju. Tymczasem czuję, że tkwię w pazurach szatana, który usiłuje mnie wyrwać z rąk Jezusa. Mój Boże! Jakaż to okrutna, przejmująca bitwa!

Moja wielka słabość napawa mnie lękiem i sprawia, że zimny pot oblewa me ciało. Szatan w swej przewrotnej strategii, wojując ze mną, nie męczy się nigdy (...) Diabeł czyni potworny zamęt i nieustannie wydaje ryki, krążąc wokół mnie, wokół mej ubogiej woli. (...) W pewnych chwilach staję jakby na krawędzi zatracenia i wydaje mi się, że ta walka służy raczej mojemu ośmieszeniu przez tych strasznych łajdaków. Wszystko to przeżywam, odczuwając uderzenia bolesnych ciosów.

Diabeł za wszelką cenę chce mnie zdobyć dla siebie. Proszę mi wierzyć, że to wszystko znoszę i cierpię dlatego, że jestem chrześcijaninem. Gdybym nim nie był, to by tego nie było. Nie znam jednak powodu, dla którego Bóg dopuszcza to wszystko na mnie i dotychczas nie ulitował się nade mną, i nie uwolnił mnie od tego. Tylko to wiem, że On nie działa bez celu i że wszystko ma swój najświętszy sens i pożytek dla mej duszy. (...)

Odnoszę wrażenie (...), że znajduję się w rękach szatana, który chce mnie wyrwać z rąk Jezusa. Jakaż to wielka walka, o mój Boże, którą szatan podejmuje przeciwko mnie. To prawda, że pokusy, na które zostałem wystawiony, są okrutne. Pokładam jednak ufność w Bożej Opatrzności i mam nadzieję, że nie wpadnę w otchłań kusiciela.” (cyt. za Ojciec Pio, oprac. Irena Burchacka, Warszawa 1986, s. 26)

Warto również powołać się na świadectwo jednego ze współbraci zakonnych O. Pio, mianowicie na świadectwo O. Alberto d'Apolito, który widział i słyszał, jak demony nękają stygmatyka:

„My, braciszkowie, bywaliśmy często budzeni ze snu w środku nocy przerażającym odgłosem rzucanych mocno łańcuchów, zgrzytem żelaza, krzykami i jękami dochodzącymi z celi numer 5, w której przebywał O. Pio. Chłopcy naciągali kołdry na głowy, drżąc ze strachu. O. Pio, pragnąc ich uspokoić, zapewniał, że demon nie będzie ich dręczył ani nie zrobi im nic złego, że całą złość i nienawiść kieruje ku niemu. Raz jeden z chłopców rzekł, chcąc ujść za śmiałka: „Gdyby mi się ukazał, przegoniłbym go precz”. Na to O. Pio: „Nie wiesz co mówisz. Gdybyś ujrzał demona, umarłbyś z przerażenia.” (dz. cyt. s. 26)

Pewnego razu zdarzyło się, że demon obsiedliwszy ciało opętanej dziewczyny publicznie, w obecności licznie zgromadzonych wiernych, którzy czekali na odprawienie przez O. Pio Mszy św., szczycił się, iż minionej nocy tak dotkliwie uderzył zakonnika, iż ten nie będzie miał siły przyjść do kościoła. Jak potwierdzili to świadkowie, współbracia zakonni stygmatyka, fakt taki istotnie miał miejsce i od owego pobicia musiało upłynąć kilka dni, by O. Pio mógł znów podjąć swoje normalne obowiązki kapłańskie.

***

Wielka święta, jaką niewątpliwie była Katarzyna Sieneńska, także doświadczała napaści ze strony złych duchów. I to zarówno w sferze psychicznej, jak i fizycznej, o czym można dowiedzieć się z jej biografii, która wyszła spod pióra jej spowiednika O. Rajmunda z Kapui.

Katarzyna była atakowana niezmiernie ciężkimi pokusami, myślami natrętnymi i koszmarami nocnymi. Ba! Demony ukazywały się jej także i w postaci widzialnej, unosząc się w powietrze, pokazując jej i mówiąc rzeczy obrzydliwe.

Broniąc się przed owymi napaściami diabelskimi, św. Katarzyna czyniła ostrą pokutę, biczując się, opasując żelaznymi łańcuchami i pozbawiając snu.

Ale niewiele to pomagało. Demony, nieraz w bardzo wielkiej liczbie, unosząc się w powietrzu, przybierając przerażające postaci, naśmiewały się z niej, albo przeciwnie – użalały się nad nią, mówiąc:

– Czemu tak nędzne życie prowadzisz? Znęcając się nad własnym ciałem, co najwyżej możesz je o śmierć przyprawić. Nie myśl sobie, że dasz radę wytrzymać w tak srogiej pokucie. Lepiej dla ciebie będzie, kiedy to wszystko porzucisz, zanim samą siebie zamordujesz. Jeszcze masz dość czasu! Jeszcze możesz dobrze użyć świata! Młodaś jeszcze! Żyj jak inne dziewczęta! Idź za mąż i wychowuj dzieci. Przyczyniaj się do rozmnażania rodzaju ludzkiego!

Na owe jawne pokusy święta zupełnie nie reagowała, nie odpowiadając demonom i nie wdając się z nimi w żadne dysputy. Bywało jednak, że ponad miarę udręczona, traciła już siły psychiczne, i wtedy modliła się tymi słowy:

– Ufam Panu Jezusowi Chrystusowi, a nie samej sobie!

Wówczas przerażające widzenia ją opuszczały i doznawała ulgi. (wg.: Żywot przedziwny świętey dziewice KATHARZYNY SENENSKIEY, przez wielebnego oyca Raymunda Kapuana, Generała Zakonu Dominika S. na ten czas Spowiednika tey ś. Panny napisany, y od niegoż, THEOLOGIA MYSTICA, nazwany, iż taiemne nauki Boskie w sobie zamyka. Z łacińskiego na polskie przez X. Symona Wysockiego, Societetis Iesu, przełożony, y tu y owdzie potrosze skrocony, w Drukarni Mikołaja Loba, Kraków 1609, s. 101 – 103)

Kiedy nie skutkowały pokusy, widziadła i natrętne namowy, czart używał względem św. Katarzyny przemocy fizycznej.

Pewnego razu, w obecności licznych wiarygodnych świadków, diabeł wrzucił świętą w środek płonącego ognia. Gdy przerażeni świadkowie usiłowali ją czym prędzej stamtąd wydobyć, lękając się o jej życie, ona z uśmiechem mówiła:

– Nie bójcie się, szatan to sprawił, ale żadna krzywda mnie nie spotka.

Po czym nietknięta przez ogień ani na ciele, ani na ubraniu, wyszła zeń.

Drugim razem przytrafiło się, że gdy leżała chora w łóżku, ustawiono obok niej dużą glinianą donicę, napełnioną żarzącymi się węglami, aby świętej było ciepło, diabeł z całej siły pchnął jej głowę w ową donicę, że padając twarzą w węgle, uderzyła z taką siłą, iż naczynie roztrzaskała się na kawałki. I tym razem z opresji owej wyszła bez szwanku. (wg.: dz. cyt. s. 138 – 139)

Świadkowie potwierdzili również, iż widzieli na ciele świętej rany, ślady i blizny od uderzeń zadawanych jej przez duchy nieczyste, oraz że w roku jej śmierci dało się słyszeć głosy straszliwe, wołające:

– O przeklęta! Dotychczas wszędzie nas i zawsze prześladowałaś, ale wreszcie przyszedł czas, że teraz my wypędzimy życie z ciebie!

I przy tych słowach jakieś niewidzialne ręce zadawały jej bolesne razy. A męka ta trwała przez kilka tygodni, aż do samego dnia jej śmierci. (wg.: dz. cyt. s. 408 – 409)

Przeważnie tak się dzieje, że dusze szczególnie miłe Bogu, które doświadczają napaści szatańskich, srodze cierpiąc z tego powodu, mają równocześnie wielką władzę nad złymi duchami, które wyrzucają z ciał osób opętanych.

Święta Katarzyna również tę władzę nad demonami posiadała i wiele osób spod wpływu mocy ciemności w imię Jezusa uwolniła.

***

Kolejną postacią, którą się teraz zajmiemy, będzie Sługa Boża siostra Józefa Menendez, zakonnica, która zmarła 1923 roku, a jej proces beatyfikacyjny jest w toku.

Jej przypadek różni się od pozostałych tym, iż ona świadomie i dobrowolnie, jako ofiara za grzechy świata i dusz Bogu poświęconych, to dręczenie diabelskie przyjęła.

Opisy tego, co Szatan wyczyniał z ową kobietą, gdyby nie pewność, że świadectwa jej współsióstr, które na własne oczy widywały, co się z nią działo, są absolutnie uczciwe, można by uznać je za przejaw bujnej wyobraźni, tak to wszystko wygląda fantastycznie. Udręki jednak były prawdziwe, a ponieważ doświadczała mąk nadzwyczaj okrutnych, trzeba podziwiać jej wytrzymałość i samozaparcie.

Szatan dręczył ją na najrozmaitsze sposoby, szczególnie przecież upodobał sobie fizyczne znęcanie się nad zakonnicą.

Siostra Józefa była ustawicznie dotkliwie bita po całym ciele. Dalej – zły duch przeszkadzał jej w modlitwie, bardzo często nie pozwalał wchodzić do kaplicy klasztornej, lub – o ile się już tam znalazła – wyciągał ja gwałtem na zewnątrz.

Albo też – a działo się to wszystko na oczach innych zakonnic – porywał ją (co wyglądało w ten sposób, Józefa naraz znikała) – by po dłuższym, bądź krótszym czasie porzucić ją w którymś z rzadka uczęszczanych, lub trudno dostępnych zakamarków klasztoru. Przez długi czas działo się to każdego dnia.

Innym z prześladowań diabła było palenie żywym ogniem ciała Józefy. Przełożona i współsiostry widziały, jak ni stąd ni zowąd ubranie Józefy stawało w płomieniach, a ciało pokrywało się głębokimi oparzeliznami.

W tym samym czasie udręczona kobieta doznawała dodatkowo katuszy innego rodzaju, katuszy duchowych, bowiem objawiał się jej sam Szatan pod najrozmaitszymi postaciami, od postaci Jezusa poczynając, poprzez rozmaite zwierzęce kształty, a na posturze najbardziej przerażającej i odrażającej – ludzkiej postaci – kończąc, kusząc ją i namawiając na najrozmaitsze sposoby do odstępstwa od Prawdy i Miłości. Podsuwał też wówczas myśli plugawe i bluźniercze, które nie opuszczały jej przez długie godziny, a nieraz nawet dnie i noce.

Bywała też porywana do piekła, gdzie cierpiała niewyobrażalne wprost męki ognia, smrodu, rozpaczy, musząc wysłuchiwać zawodzeń, wycia, ryków, obelg, bluźnierstw i przekleństw potępionych. W owym miejscu katuszy nie doświadczała jedynie nienawiści, choć czuła się opuszczona i pozbawiona miłości, zatracając jednocześnie poczucie czasu, tak iż sądziła, że jej pobyt w czeluściach piekielnych trwa w wieczności. Jak wynika z jej słów, do otchłani boleści i rozpaczy była przenoszona ponad sto razy! (wg.: L.G. de Ségur: Piekło.

Czy istnieje? Czym jest?, Wrocław 1993, [w:] Dodatek. Wybór tekstów pod redakcją Walentego Barczaka, s. 77 – 110)

Jedno z uprowadzeń diabelskich siostra Józefa opisuje tak oto: „... wleczono mnie przez długą drogę pogrążoną w ciemnościach. Ze wszystkich stron słyszę straszliwe krzyki. W ścianach tego wąskiego korytarzyka, znajdowały się zagłębienia jedne na przeciw drugich, skąd wychodził dym niemal bez płomienia, a zapach jego był nieznośny. Stąd też głosy potępionych miotały różnego rodzaju bluźnierstwa i brudne słowa. Jedni przeklinali swe ciało, drudzy – swych rodziców. Inni wyrzucali sobie, że nie korzystali ze sposobności i ze światła, aby porzucić zło. A wreszcie była to wrzawa pełna wściekłości i rozpaczy.

Wleczono mnie przez to przejście, w rodzaju korytarza, który nie miał końca. A potem otrzymałam tak gwałtowne uderzenie, że zgiętą we dwoje, wepchnięto mnie do jednej z tych nisz. Czułam się jakby ściśnięta między rozżarzonymi igłami. Naprzeciw i obok mnie przeklinały mnie dusze i bluźniły. To sprawiało mi najwięcej cierpienia... Ale, co nie może być porównane z żadną katuszą, to udręka duszy widzącej, że jest odrzucona przez Boga...

Zdawało mi się, że spędziłam długie lata w tym piekle, a przecież trwało to tylko sześć do siedmiu godzin... Nagle szarpnięto mnie gwałtownie i znalazłam się w ciemnym miejscu, gdzie szatan, uderzywszy mnie zniknął i zostawił mnie wolną... Nie potrafię wypowiedzieć, co czułam w duszy, kiedy zdałam sobie sprawę, że żyję jeszcze i że mogę miłować Boga (...)

Widzę jasno, że wszystkie cierpienia świata są niczym w porównaniu z bólem, jaki sprawia świadomość, że już więcej nie można miłować, gdyż tam oddycha się tylko nienawiścią i pragnieniem zatracenia dusz...” (cyt. za: L.G. de Ségur: Piekło. Czy istnieje? Czym jest?, [w:] Dodatek. Wybór tekstów pod redakcją Walentego Barczyka, Wrocław 1993, s. 96 – 97)

***

Szatan nękał także św. Teresę od Dzieciątka Jezusa:

„Wczoraj wieczór – mówiła /św. Teresa/ do matki Agnieszki od Jezusa – opanowała mnie trwoga, a ciemności wzmogły się. Jakiś głos wrogi mówił do mnie: „Czy jesteś pewna, że Bóg cię miłuje? Czy przyszedł i to ci powiedział? Zdanie niektórych ludzi nie uczyni cię przed Nim sprawiedliwą.” (...)

W miesiącu sierpniu była /św. Teresa/ przez kilka dni w takim stanie duszy, jakoby od siebie odchodziła, i błagała nas, aby się za nią modlić. Nigdy nie widziałyśmy jej w podobnym stanie duszy. W tym niewypowiedzianym udręczeniu powtarzała co chwila:

„O, gdyby ludzie wiedzieli, jak potrzeba się modlić za konających!”

Pewnej nocy prosiła infirmerkę, by skropiła jej łóżko święconą wodą, mówiąc:

„Szatan jest koło mnie; nie widzę go, ale czuję... dręczy mię, trzyma mnie jakby żelazną ręką, by nie dopuścić najmniejszej ulgi; przysparza mi cierpień, aby mnie przywieść do zwątpienia... A nie mogę się modlić!... Mogę tylko patrzeć na Najśw. Pannę i wymawiać: Jezus! Jakże potrzebna jest modlitwa komplety:

„Procul recedant somnia, et noctium phantasmata! Wybaw nas od widziadeł nocnych.”

„Dziwne mam uczucie, nie cierpię za siebie, lecz za inną jakąś duszę... a szatan nie chce tego.”

Infirmerka wzruszona, zapaliła gromnicę, a duch ciemności uciekł bezpowrotnie. Jednak nasza siostra /św. Teresa/ zostawała aż do końca w bolesnych trwogach.” (DZIEJE DUSZY czyli żywot św. Teresy od Dzieciątka Jezus i od Najśw. Oblicza Karmelitanki Bosej przez nią samą skreślony. Listy – Poezje – Cuda, Poznań – Warszawa – Wilno – Lublin 1925, s. 247 – 248)

***

Ostatnią postacią, o której opowiemy w tym rozdziale będzie św. Proboszcz z Ars – Jan Maria Vianney. Żył w wieku XIX i po dziś dzień jest niejako klasycznym przykładem, często przytaczanym w różnych dziełach, nękania przez złego ducha.

Był nieuczonym, lecz niezwykle świątobliwym, ascetycznym kapłanem, który za cel życia postawił sobie przyprowadzenie jak największej liczby dusz do Boga.

Od momentu objęcia przezeń bardzo zaniedbanej moralnie parafii w Ars, i podjęcia działań, by ją odrodzić do życia w zgodzie z prawem Bożym, począł nękać go demon, którego on na poły żartobliwie nazywał Grappinem.

Początkowo nie działał wprost, ale za pośrednictwem oszczerstw i obelg rzucanych na proboszcza przez wrogich mu ludzi, nie widząc jednak żadnego pozytywnego rezultatu takowych działań, jął go osobiście dręczyć.

Napaści szatańskie na świętego rozpoczęły się w szóstym roku jego proboszczowania, gdy liczył sobie trzydzieści osiem lat.

Demon począł go nawiedzać w nocy i wyłącznie w nocy. W dzień nie miał do niego przystępu. A oto opis niektórych nadnaturalnych zjawisk:

Początkowo demon, każdej nocy, tylko szarpał zasłony wokół łóżka, na którym sypiał kapłan. Skoro to jednak nie niepokoiło proboszcza (zjawisko przypisywał harcom szczurów) zły duch posunął się dalej:

Następnych nocy dało się słyszeć dobijanie do drzwi i dziwne krzyki rozlegające się we wnętrzu budynku plebani. Tym razem Jan Maria Vianney przypuszczał, że to złodzieje, próbujący go ograbić.

Dla tego też powodu poprosił jednego z miejscowych osiłków André Verchére, by spędził noc na plebani i jeśli to rzeczywiście włamywacze kręcą się koło niej, wraz z proboszczem, spróbował ich przegonić.

André nie miał nic przeciwko temu. Zaopatrzony w nabitą strzelbę udał się do wyznaczonego mu przez proboszcza pokoju, rozebrał i usiłował zasnąć.

Nie było mu to przecież dane. Ledwie minęło kilka chwil od jego udania się na spoczynek, posłyszał okropne, niezwykle silne uderzenia w drzwi wejściowe, które pod ich wpływem całe się trzęsły, a wewnątrz pomieszczenia plebani dało się słyszeć huki i łoskot.

Schwyciwszy strzelbę, odważnie pobiegł na poszukiwanie intruza. Nie znalazł jednak nikogo. Tymczasem potworny łoskot, huki i walenie w drzwi trwały nadal. Wówczas gość proboszcza zrozumiał, że z diabłem to sprawa.

Gdy demon wreszcie zamilkł, udali się na spoczynek, a następnego dnia, gdy ksiądz go prosił, by znów przyszedł na nocleg, zdecydowanie odmówił.

Kolejne dwanaście nocy spędziło na plebani dwóch silnych i odważnych młodych mężczyzn, im jednak demon nie dał się słyszeć.

Proboszcz upewnił się – ostatecznie – co do szatańskiego pochodzenia owych zjawisk dopiero wówczas, gdy pewnej zimowej nocy, kiedy spadł świeży śnieg i przysypał cały plac wokół plebani i kościoła, z owego placu dało się słyszeć dźwięki głośnych rozmów i krzyki, jakby wielkiej liczby ludzi, którzy tam się znajdowali. Duchowny natychmiast wyszedł z latarką na dwór – na świeżym śniegu nie było ani jednego śladu. Niepokalana biel pokrywała wszystko wokół.

Jak sam relacjonował później, dopiero po tym zdarzeniu począł odczuwać strach.

Od tej pory nie miał już ani jednej spokojnej nocy. Każdej dawało się słyszeć mniej lub bardziej nasilone hałasy.

Po dłuższym czasie święty doszedł do wniosku, iż w sposób szczególny nasilają się one wówczas, gdy następnego dnia ma do Ars przybyć jakiś zatwardziały grzesznik i tu się nawróci.

W miarę upływu czasu proboszcz przestawał się bać. Ot, po prostu, przyzwyczaił się do Grappina. Kiedy ów zaczynał harce żegnał się znakiem krzyża, a z demona kpił i mu urągał. Traktując go jak idiotę.

Pewnego razu Grappin, czyli demon nękający św. Proboszcza, powędrował wraz z nim poza Ars, do Saint Trivier, gdzie nocą, na plebani, dał się słyszeć przerażający łoskot i huki dobiegające z sypialni Jana Marii. Byli liczni świadkowie, spośród okolicznego duchowieństwa.

Diabeł nękający Proboszcza z Ars dręczył go i na inne sposoby – a to ni stąd, ni zowąd, w postnym posiłku pojawiało się mięso, a to odgrażał mu się i urągał, przemawiając strasznym, grozę budzącym głosem.

Wielokroć demon dyszał mu w twarz, bądź przesuwał się po niej jakby pod postacią niewidzialnego szczura.

Demon ukazywał mu się również widomie, raz jako potworny, potężny czarny pies o ognistych oczach rozkopujący mogiłę, w której pochowano zmarłego bez sakramentów zatwardziałego grzesznika, a raz pod postacią niezliczonej ilości nietoperzy, które napełniły całą jego sypialnię, to znów pod postacią roju pszczół.

Innym razem przed świtem, grudniowego dnia 1826 roku, gdy znajdował się w drodze do sąsiedniej parafii, wokół niego, w powietrzu, jęły się unosić kłęby ognia, a po chwili zdało się, iż drzewa i krzewy po obydwu stronach drogi płoną.

Szatan znieważał i plugawił obraz Zwiastowania N.M.P., tak często, że proboszcz musiał go zabrać z plebani i przenieść do kościoła.

Hałasy na plebani, bądź przesuwanie się mebli słyszeli i widzieli liczni świadkowie, np. Maria Ricotier, Franciszek Pertinard, Ks. Dionizy Chaland.

Również liczne osoby słyszeli głos demona, który wołał:

– Vianney, Vianney! Wynoś się stąd! I tak cię dostanę!

Demon wielokroć, w nocy, ciągnął łóżko, na którym spoczywał św. Proboszcz, po całym pokoju. A ukoronowaniem prześladowań diabelskich było podpalenie owego łóżka. Na szczęście wówczas, gdy Jana Marii nie było w sypiali, lecz w kościele, gdzie siedział w konfesjonale i od pięciu godzin spowiadał.

Pod koniec życia proboszcza napaści szatańskie i dręczenia nocne ustały zupełnie, tak że mógł spokojnie przenieść się do Wieczności. (Przykłady nękania diabelskiego w stosunku do św. Proboszcza z Ars, zaczerpnąłem z najlepiej – jak dotąd – napisanej biografii tego człowieka, czyli z dzieła Ks. Franciszka Truchu: *Proboszcz z Ars święty Jan Marja Vianney 1786 – 1859. Na podstawie aktów procesu kanonizacyjnego i niewydanych dokumentów.* Z francuskiego przełożył ks. dr Piotr Mańkowski Arcybiskup Enejski, brak miejsca wydania, 1932 rok, s. 216 – 231)

Opisy przypadków całkowitego opętania – obsiadania (possessio)

Zanim zajmiemy się opowiadaniem o konkretnych przypadkach opętania całkowitego, obsiadania, czyli possessio, chciałbym zwrócić uwagę Czytelników na opis pewnej dolegliwości – dość dziwnej, dla myślącego człowieka, niezwykle intrygującej i – jak mi się wydaje – zmuszającej do pewnego zastanowienia się, czy rzeczywiście medycyna ma rację, umieszczając ową dolegliwość pośród chorób psychicznych „zwyczajnych", naturalnego pochodzenia.

Mnie w opisie, który poniżej zacytuję, uderzyła niewiarygodna wprost zbieżność z tym, co charakteryzuje (oczywiście nie w pełnym zakresie, lecz w pewnych tylko – niemniej nadzwyczaj istotnych elementach, w znacznej mierze), oznaki opętania całkowitego. Naturalnie nikogo nie chcę zmuszać by przyjął ten punkt widzenia, niemniej zachęcam do przemyślenia kwestii tzw. omamów rzekomych, zwanych również pseudohalucynacjami, bo o nich będzie poniżej:

„OMAMY RZEKOME (PSEUDOHALUCYNACJE) (...) Po raz pierwszy zostały one opisane przez znanego rosyjskiego psychiatrę, W. Ch. Kandynskiego (1887) i przez francuskiego psychiatrę Clerambauld. Różnią się one od (...) halucynacji (tzw. prawdziwych) tym, że są one rzutowane nie zewnątrz, ale „wewnątrz". „Głosy" dźwięczą „wewnątrz głowy"; chorzy często mówią, że słyszą je jakby „wewnętrznym uchem". Nie mają one zbyt wyraźnego charakteru zmysłowego: chorzy często mówią, że „głos w głowie" podobny jest do „dźwięku myśli", do „echa myśli". Chorzy mówią o szczególnych widzeniach, wyjątkowych głosach, ale nie identyfikują ich z realnymi przedmiotami lub dźwiękami. Drugą, odmienną cechą pseudohalucynacji jest to, że głosy są odbierane przez chorych jako „natrętne" przez kogoś „narzucane", że u chorego „wywołują głos myśli". Pseudohalucynacje mogą być dotykowe, smakowe, ruchowe. Chory ma wrażenie, że jego językiem „poruszają" mimo jego woli. Jego językiem mówią słowa, których on nie chce wymawiać, ktoś porusza jego ciałem, rękami, nogami. Następuje znana nam depersonalizacja: własne myśli i uczucia stają się obce. Tak na przykład L.M. Jałgazina opisuje chorą, która czuła jakby „odbierali jej myśli i przekazywali inne". Wspomina też chorego, u którego prawdziwe halucynacje łączyły się z rzekomymi. Słyszał on prawdziwe głosy i jednocześnie „głosy w głowie": sugerowały mu one złe słowa i myśli, nie mógł on „kierować swoimi myślami", „fabrykowały" mu one niezgrabny chód, „musiał" chodzić z wyciągniętymi rękami garbiąc się, nie mógł się wyprostować itp.

Pseudohalucynacje cechuje więc przymus, automatyzm psychiczny, uczucie oddziaływania. Chorzy boją się korzystać z komunikacji, nie chcą również, żeby postronni słyszeli ich myśli (tzw. objaw „odsłonięcia"). Połączenie pseudohalucynacji z poczuciem obcości i automatyzmem psychicznym nosi nazwę zespołu Kandynskiego. Podstawą tego zespołu jest poczucie automatyzmu, „odsłonięcie" myśli, utrata przynależności do własnej osoby, uczucie opanowania przez kogoś, oddziaływania z zewnątrz." (B.W. Zeigarnik: Podstawy patopsychologii klinicznej, tłumaczyły – Alicja Marciszewska i Hanna Zaborowska, Warszawa 1978, s. 51 – 52)

Drugą z zagadek psychiatrii jest tak zwana „osobowość zwielokrotniona", oznaczająca, iż w jednym ludzkim ciele kolejno mogą się ujawniać różne (nieraz nawet kilkadziesiąt), osobowości, które, jedna z drugą, nie mają nic wspólnego. Podczas ujawniania się kolejnych osobowości, zazwyczaj dochodzi do zmiany w wyglądzie zewnętrznym osoby, zmieniają się rysy jej twarzy, tembr głosu, a także zachowanie. Jak dowiodły prowadzone w Stanach Zjednoczonych badania naukowe, „zespół osobowości zwielokrotnionej" dotyczy prawie zawsze osób, które w dzieciństwie były brutalnie traktowane przez rodziców, zabierane na nabożeństwa satanistyczne, ofiarowane demonom i wykorzystywane seksualnie przez własnych rodziców.

Wydaje mi się, że i nad tym zjawiskiem – na Zachodzie coraz powszechniej występującym – także warto by się zastanowić.

Ale przejdźmy wreszcie do rzeczy, czyli do opisów konkretnych przypadków opętania zupełnego. A przypadków takich – proszę mi wierzyć – naprawdę w historii (a ostatnio i we współczesności także) nie brakuje.

Nękani i opętani

Jeśli chodzi o zakłócenia zewnętrzne, to największą liczbę ich opisów spotkać można w żywotach świętych, lub ludzi, którzy zmarli w opinii świętości. Z relacji niektórych z tych osób wynika, że diabeł i demony znęcali się nad nimi zarówno fizycznie, jak też i psychicznie. Ojciec Pio, włoski zakonnik kapucyn, posiadający zdolność czytania w ludzkich sercach i umysłach, cudotwórca, posiadający zdolność eksterioryzacji i bilokacji, naznaczony wreszcie przez Boga na swym ciele stygmatami Męki Jezusa Chrystusa, bywał napastowany przez Szatana i bity tak dotkliwie, że wielokroć zdawało mu się, że tych katuszy nie przeżyje.

Podobne zdarzenia odnaleźć można także i w życiorysach innych osób, na przykład św. Proboszcza z Ars. Ale oczywiście nie tylko osoby święte czy błogosławione podlegają temu.

Oto w sierpniu 1992 roku zetknąłem się z relacją na temat niezrozumiałej i niewytłumaczalnej w żaden racjonalny sposób przypadłości u kilkunastoletniego chłopca z jednego z polskich miast.

Na jego ciele dostrzeżono ślady wyjątkowo brutalnego bicia, co okazało się jednak zagadką nie do rozwikłania, ponieważ żadna istota w fizycznym ciele, żaden człowiek ani żadne zwierzę nie dopuściło się ataku gwałtu na chłopaku.

Owe ślady dotkliwego pobicia nie pojawiły się jednorazowo, lecz obserwowane były wielokrotnie. Chłopiec poddany został gruntownym badaniom lekarskim, które nie dały jednak żadnego rezultatu w tym sensie, iż nie były w stanie udzielić odpowiedzi na tę tajemniczą i zagadkową kwestię.

O przypadku opętania typu possessio, które miało miejsce przed kilkunastoma laty w Kalifornii, opowiedział mi ksiądz rzymskokatolicki, który znał ten przypadek z pierwszej ręki.

Otóż demon wszedł w ciało czteroletniej dziewczynki. Początkowo rodzice, zaniepokojeni jej dziwnym zachowaniem, szukali pomocy u lekarzy, gdy to jednak nic nie dało, widząc, iż stan dziecka pogarsza się z dnia na dzień, postanowili poszukać ratunku u kapłana.

Jak opowiadał mi duchowny, dziecko za dnia zachowywało się normalnie i spokojnie, ale zawsze po zapadnięciu zmroku zmieniało się w bestię. Twarz wykrzywiała mu się w przerażającym grymasie, wykrzykiwało bluźnierstwa i obelgi, oraz nabierało niesłychanej wprost siły, także było w stanie pobić rodziców. Ba! Więcej nawet! Rozbijało meble, demolowało pokoje, a potrafiło również przy pomocy samych tylko rąk i nóg obalać ścianki działowe w mieszkaniu.

Egzorcyzmy nad ową dziewczynką były odprawiane przez kapłana przez około trzydzieści dni i dopiero po tym czasie demon opuścił jej ciało, a rodzina odzyskała spokój.

Jako przykład dręczenia diabelskiego może posłużyć relacja pewnego człowieka, który nabył oryginalną rękopiśmienną XVI–wieczną księgę magiczną. Kupił ją tanio iśmiał się w duchu z głupoty sprzedającego. Zadowolony, że zdobył tak unikalny przedmiot, chwalił się księgą pokazując ją wszystkim krewnym i znajomym. Co prawda znane mu było ostrzeżenie, iż nie powinno sprowadzać się do mieszkania przedmiotów magicznych, bo razem z nimi można sprowadzić też demony, śmiał się jednak z tego, nie wierząc w głupie „średniowieczne" zabobony.

Przestało jednak być mu do śmiechu, kiedy w ciągu roku spotkało jego i rodzinę wiele nieszczęść i niepowodzeń. Zaczęło się banalnie: od zabicia przez samochód – w noc wigilijną 1991 roku – jego ulubionego kocura. Potem przyszły niepowodzenia (niemożliwe do pojęcia i wytłumaczenia) w pracy tak u niego, jak i u żony. Mimo, iż przykładali się do roboty solidniej niż kiedykolwiek, poświęcając jej po 12 – 16 godzin na dobę, tylko z wielkim trudem udało się im wiązać koniec z końcem. Miały miejsce i inne dziwne przypadki: a to nowy parasol dosłownie rozsypał mu się w rękach w ciągu kilkunastu sekund zaledwie,

podobnie stało się z zegarkiem. Przecież ów człowiek tych zdarzeń nie łączył z księgą magiczną.

Zaczął się zastanawiać nad możliwością takiego związku, czyli nieszczęśliwych zdarzeń z faktem sprowadzenia do domu książki magicznej dopiero wówczas, gdy w jego rodzinie zaczęły się choroby. Najpierw bardzo poważna przypadłość dotknęła jego żonę, która omal nie umarła, potem rozchorował się on sam.

Po przeprowadzeniu dokładnego bilansu wszelkiego zła, jakie go dotknęło, musiał uznać, że to absolutnie nie przypadek i dziwny zbieg okoliczności, jak wcześniej mniemał, lecz coś absolutnie niewytłumaczalnego, co chcąc nie chcąc, musi powiązać z „czarną księgą" (bo innego wyjścia po prostu nie miał).

Sprzedał ją (nota bene za jedną czwartą wyłożonej wcześniej na zakup sumy) zatem i – o dziwo! – pasmo nieszczęść i niepowodzeń, raptownie się skończyło. Jeszcze tylko, niejako na pożegnanie, pochorowała się córka, której podarował pieniądze uzyskane ze sprzedaży książki magicznej.

I ten sceptyk, który wcześniej tylko śmiał się i kpił z wszelkich zabobonów i przesądów, teraz mówił, iż na wspomnienie księgi dostaje gęsiej skórki.

O przypadku, który odważyłem się uznać za przypadek diabelskiej obsesji, również dowiedziałem się z pierwszej ręki. Oczywiście osoba, która była nim dotknięta, usiłowała znaleźć racjonalne wytłumaczenie tego, co się z nią działo, przypuszczając, że potworne duchowe cierpienia są objawem powolnego popadania przez nią w chorobę umysłową.

Wiem, iż osoba owa przez całe lata fascynowała się wręcz Szatanem, demonami, czarami – słowem wszystkim tym, co jest związane ze złymi mocami. W tym miejscu muszę jednak nadmienić, iż nie czyniła tego z żadnego innego powodu (nigdy nie oddawała czci diabłu i nigdy nie miała nawet takiego zamiaru), lecz wyłącznie kierując się niezdrową ciekawością i chęcią poznania „tematu".

Trwało owo do czasu, aż zaczęły się z nią dziać jakieś dziwne i niesamowite rzeczy. Oto, którejś nocy, ni stąd, ni zowąd ogarnął ją lęk tak przerażający, a w umyśle jęła pulsować jedna, jedyna obsesyjna myśl, iż w związku z pewną zupełnie nieistotną sprawą spotkać ją musi – bezwzględnie musi! – okropne nieszczęście.

Stan lękowy nasilił się do tego stopnia, że osoba ta nie była w stanie prowadzić normalnego życia. Nie mogła ani stać, ani chodzić, ani leżeć, ani siedzieć. Każda pozycja była nie do wytrzymania. Dygotała cała, przerażona i słaba. Nie miała pojęcia, co się z nią dzieje.

Popadła w stan przygnębienia i rozpaczy. Nie uspokajała się ani na chwilę ni w dzień, ni w nocy. Jęły nachodzić ją myśli samobójcze i kto wie, jak by się to wszystko skończyło, gdyby nie poczęła uświadamiać sobie, że jej stan mógł zostać spowodowany obsesją diabelską.

Zaczęła zatem odmawiać egzorcyzmy, skrapiać siebie i mieszkanie wodą święconą i gorąco, po wielokroć w dzień i w nocy się modlić. Nie odczuła jednak ulgi od razu. Stany lękowe i rozpacz poczęły ustępować bardzo wolno, co trwało około miesiąca. Dopiero po tym czasie wróciła do równowagi, ale gdy pomyśli o tym, co przeżyła, wstrząsa nią jeszcze – po upływie długiego okresu – dreszcz przerażenia i drży ze strachu, iż coś podobnego mogłoby ją spotkać raz jeszcze.

Opisany powyżej przypadek był wyjątkowo lekki. Nie doszło do tragedii, osoba nękana przez złe duchy sama uporała się ze swym problemem. Bywają bowiem przypadki obsesji o wiele cięższe, które kończą się źle.

Najczęściej dotyczy to młodzieży, która bierze udział (niejednokrotnie dla zabawy) w seansach spirytystycznych. Często młodzi ludzie, którzy zetknęli się z duchami przybyłymi na wezwania podczas owych seansów, zaczynają odczuwać lęki tak silne, że nie umiejąc sobie z nimi poradzić, decydują się na popełnienie samobójstwa.

W roku 1988 głośny był w Muster (RFN) przypadek samobójstwa popełnionego na życzenie demona (który objawił się na seansie spirytystycznym) przez piętnastoletnią Anję,

która była członkiem grupy czcicieli Złego w Ldinghausen. Nie był i nie jest to przypadek odosobniony ani w Niemczech, ani innych krajach.

Przed kilku laty dwunastoletnia córka znajomych zwierzyła się im, że brała udział w wywoływaniu duchów osób umarłych (seans odbył się w szkole!) i chociaż traktowała to jako żart i zabawę, nie biorąc całej sprawy poważnie, gdy duch się pojawił, co dziewczęta, uczestniczki tego seansu, poznały po jakichś znakach, ogarnął ją straszny, dławiący lęk i przez dość długi czas nie mogła odzyskać spokoju i równowagi psychicznej.

Idźmy dalej – tym razem wracając do przeszłości.

Sądzę, że każdy z Czytelników słyszał o sławnym magu niemieckim, żyjącym na przełomie XV i XVI stulecia, niejakim doktorze Johannesie Fauście. Chociaż niektórzy uważają, że to postać mityczna, szczegółowe i nad wyraz dokładne „dochodzenie" przeprowadzone przez historyków oraz badaczy zjawisk okultystycznych udowodniły, że to na pewno postać autentyczna, działająca przed wiekami na terenie Niemiec.

Mimo iż literatura nie informuje, że Faust był opętany, analiza opowieści o życiu niemieckiego alchemika i czarnoksiężnika zdaje się bezsprzecznie wskazywać na fakt, że jego ciałem zawładnął demon.

Proszę pozwolić, iż – choćby krótko – opowiem o jego doświadczeniach z siłami ciemności. Wszystko zaczęło się w chwili, gdy Johannes Faust zaprzestawszy studiów teologicznych, całym sobą oddał się badaniom rzeczywistości piekielnej. Z wielką energią zajął się krystalomancją (czyli wróżeniem przy pomocy wpatrywania się w kryształową kulę, zwierciadło, albo powierzchnię wody lub jakąkolwiek inną, błyszcz ącą powierzchnię) oraz wywoływanie demonów.

Po dość długim i uporczywym ćwiczeniu się w tej sztuce, przyszły oznaki pierwszych sukcesów – Faust jął widywać sylwetki ludzkie i latające światełka, oraz słyszeć głosy dochodzące skądś z bliżej nieokreślonej przestrzeni, z których jedne były cichsze, inne głośniejsze. Ucieszyło go to niezmiernie i teraz był już pewny, iż uda mu się osiągnąć zamierzony cel, to jest przymusić piekło do posłuszeństwa.

Zachęcony pozytywnymi osiągnięciami swych praktyk, uczony doktor nie zamierzał bynajmniej poprzestać na tym. Zgodnie z posiadaną wiedzą czarnoksięską udał się teraz do lasu i tam przestrzegając rytuału i ceremoniału magicznego jął przywoływać do siebie demona.

Przez dłuższy czas nic się nie działo, aż raptem śród drzew rozległ się hałas potężny, a zaraz po nim pojawiło – przez mgnienie oka zaledwie – widmo jakiejś zwierzokształtnej postaci. Wreszcie skądś z góry spadła ognista kula, z której wydobył się płomień. Ten początkowo rozdzielił się na kilka smug, a później sformował w ludzką szkaradną postać, z grubsza przypominającą swym wyglądem mnicha. Demon w rozmowie z czarnoksiężnikiem podał swe imię Mefistofeles, a później, przymuszony zaklęciami, obiecał pokazywać się odtąd w mieszkaniu Fausta i służyć mu.

Dzięki Mefistofelesowi zyskał on nie tylko zdolność przepowiadania przyszłości i jasnowidzenia, ale również moc oddziaływania na innych ludzi, a konkretnie paraliżowanie ich własnej woli i poddawanie woli swojej. Dalej – powodowanie przedziwnych wizualnych zjawisk – miraży (na przykład na oczach nader licznie zgromadzonych świadków wyczarował iluzję zamku, lub formował zastępy widmowych rycerzy), dokonywanie tzw. aportów, czyli materializowania nie znajdujących się wcześniej w danym pomieszczeniu przedmiotów (za pośrednictwem demona Mefistofelesa otrzymywał w ten sposób nie tylko wykwintne jadło i napitek, ale również kosztowności, co pozwalało na prowadzenie beztroskiego i niezależnego trybu życia).

Oprócz demona wymienianego już z imienia, a posłusznego rozkazom czarnoksiężnika, miewał on również wizje i innych duchów nieczystych, nieraz w znacznej liczbie. Ich materializacjom towarzyszyło zawsze tak dotkliwe uczucie zimna, iż doktorowi zdawało się ,

iż zamarznie. Johannes Faust, jak przystało na potężnego maga, posiadł był również i sztukę lewitacji.

Dzięki obcowaniu z demonami nie narzekał na brak środków do utrzymania, ba! powodziło mu się bardzo dobrze. Cieszył się tedy dobrym humorem, bo i zdrowie również mu dopisywało. Często, a nawet bardzo często upijał się i z prawdziwą lubością oddawał najmilszemu swemu zajęciu – wyrafinowanej rozpuście.

Atoli wszystko to do czasu. Nadszedł bowiem taki moment, że zły duch przestał być dla Fausta łaskawy, a jął go dręczyć na najrozmaitsze sposoby. Wpadł tedy doktor Johannes w przygnębienie i rozpacz, stając się nadzwyczaj rozdrażnionym. Często płakał, ubolewając nad swoim losem, od którego już nie widział ucieczki.

Wreszcie doszło do tego, że diabeł jął potwornie wstrząsać jego ciałem. Cierpiał na okrutne konwulsje, które w końcu stały się przyczyną śmierci. Demon rzucając nim po całym pomieszczeniu, obijając ciało o podłogę i ściany, w końcu zatłukł go na śmierć. (por.: Ignacy Matuszewki, dz. cyt. s. 167–192)

Jak uprzednio wspomniałem przyczyną opętania przez demona może być uczestnictwo w seansie spirytystycznym. Opisy takich przypadków odnaleźć można nie tylko w dawnej, lecz i we współczesnej literaturze.

W przeszłych wiekach, kiedy mniej sceptycznie podchodzono do zjawisk nadprzyrodzonych, nierzadko obserwowano i opisywano nie tylko opętanie pojedynczych osób, ale całych – mniejszych, bądź większych – społeczności.

I tak na przykład w 1487 roku miała miejsce prawdziwa „epidemia" opętania, która ogarnęła wiele miast niemieckich i niderlandzkich. Jednym z najbardziej odrażających jej objawów były mnożące się przypadki kanibalizmu, głównie pożerania niemowląt. Za popełnienie tej zbrodni na śmierć skazano blisko pięćdziesiąt osób.

Tragedią współczesnego człowieka jest to, że nie umie i nie chce zaakceptować cierpienia, którego przecież nie da się ani uniknąć, ani też zwalczyć – przynajmniej przy użyciu naturalnych środków i metod. Przypisane doczesności, jako jeden z jej nieodłącznych atrybutów, jeśli nie zostanie z całą pokorą i zrozumieniem przyjęte, staje się przyczyną wewnętrznego buntu, buntu który bynajmniej nie przynosi ukojenia.

I wtedy Szatan się śmieje, ma bowiem szansę na zawładnięcie duszą przepełnioną lękiem i niepokojem...

I to jest ogromny paradoks: To nikt inny, a właśnie Szatan przyniósł na świat ból i zło. To jemu zawdzięczamy, że „w pocie czoła pożywamy swój chleb", to on nas oszukał i pozbawił wiecznego szczęścia w rajskim ogrodzie Edenu. Teraz zaś, jak na „kłamcę i ojca kłamstwa" przystało, mami nas obietnicą dania ukojenia. Czyli – chce nas rzekomo ratować przed tym, co w nim samym ma początek.

I jakże wiele osób daje się na to nabrać. Jak wiele osób nie umiejąc zobaczyć, czy może raczej przewidzieć tego, co przy końcu drogi, jaką proponuje zdążać zły duch, nas czeka.

A czekać może tylko jedno – jeszcze większy ból, jeszcze większy lęk i jeszcze większe cierpienie.

Oto kolejne opisy przypadków opętania:

Opętany ksiądz czeski

Jak podają dawne kroniki, za pontyfikatu papieża Piusa II (1458 – 1464), miało miejsce takie oto zdarzenie:

Pewien kapłan, Czech z pochodzenia, został opętany przez ducha nieczystego. Ponieważ ani modły, ani egzorcyzmy odprawiane nad nim w ojczystym kraju nie przyniosły pożądanego rezultatu, zrozpaczony ojciec owego księdza udał się z nim do Rzymu, z nadzieją w sercu, że jego dziecko zostanie uwolnione od demona.

Opętany ów na ogół zachowywał się zupełnie normalnie, od czasu do czasu tylko wpadał w szał. Odczuwał także niewypowiedziany wstręt do rzeczy świętych. Nie mógł odprawiać mszy, ani nawet przekroczyć progu kościoła.

Władza duchowna przekonawszy się o rzeczywistym opętaniu owego kapłana, zaleciła by prowadzać go do miejsc szczególnie uświęconych, gdzie odprawiano nad nim egzorcyzmy. Skoro się one rozpoczynały, demon obsiedlający jego ciało miotał nim, przeklinał i bluźnił.

Wreszcie przywiązano go do słupa kamiennego, przy którym – jak głosiła tradycja – ubiczowano Pana Jezusa. Wówczas szał opętanego rozgorzał w dwójnasób i kąsając zębami kamień, pokrwawionymi ustami, przerażającym głosem wył:

– Tu stał! Tu stał! – mając na myśli Jezusa.

Później jął przemawiać po włosku, chociaż – jako Czech, który nigdy się owej mowy nie uczył – zupełnie nie znał tego języka. Na koniec demon, zamieszkujący to nieszczęsne ciało, na naleganie egzorcystów stanowczo oświadczył, iż nie uwolni opętanego.

Dopiero pewien biskup grecki, który przed Turkami uciekł z Konstantynopola do Rzymu, pożałował nieszczęśnika, jął na jego intencję pościć o chlebie i wodzie, oddając się też wielogodzinnym modlitwom, jednocześnie przez wiele dni odprawiając egzorcyzmy nad opętanym, aż w końcu go wyzwolił, tak – że uszczęśliwiony i zdrowy – mógł wrócić wraz z ojcem w rodzinne strony.

O pewnej kobiecie dręczonej przez diabła

Też same piętnastowieczne kroniki wspominają o pewnej kobiecie, która doznała napaści ze strony demona, który przez pół roku przyprawiał ją o potworne, wręcz nie do zniesienia bóle.

Chociaż miała ona świadomość – bo złe moce jej to ujawniały, że one są przyczyną dolegliwości – pochodzenia owych cierpień, i mówiła o tym zarówno własnemu mężowi, jak i miejscowemu proboszczowi, spotkała się z ich strony jedynie z drwiną i twierdzeniem, że jest chora z urojenia.

Dopiero gdy na oczach świadków zwymiotowała ciernie, kawałki kości drewna i fragmenty okrytych ostrymi kolcami gałązek dzikiej róży, uwierzono iż jej cierpienia nie pochodziły z wybujałej fantazji, a ich pochodzenie nie mogło mieć naturalnej przyczyny.

Jak pamiętamy z poprzednich rozdziałów jednym ze znaków opętania może być właśnie wydalanie z organizmu osoby podległej demonowi takich dziwnych przedmiotów, na co bywają niepodważalne dowody i wiarygodni świadkowie.

Opętanie ośmioletniej dziewczynki

W mieście Sienie, w Italii, mieszkał człowiek pewien, Michał Noualdy, mający żonę i dwie córki. Był on uczony i pobożny. Skoro osiągnął dojrzałe lata, za zgodą małżonki postanowił oddać dzieci do klasztoru św. Jana, a sam poświęcić się na wyłączną służbę Bogu, zajmując się doczesnymi potrzebami wzmiankowanego klasztoru, mieszkając nieopodal niego.

Z dopustu Bożego, którego przyczyny zakryte były przed ludźmi, stało się, że jedna z córek owego pobożnego człowieka, licząca zaledwie osiem lat, została opętana przez ducha nieczystego, który jej ciało srodze dręczył. Zakonnice wystraszone, zażądały, iżby ojciec opętaną córkę od nich zabrał, co też się i stało.

Przy badaniu przez egzorcystów demon przemawiał przez usta dziewczynki po łacinie, wdając się w uczone dysputy z teologami, zajmując się kwestiami trudnymi i bardzo głębokimi.

Ponadto publicznie odkrywał trzymane w tajemnicy grzechy i występki tych, którzy się do owego nieszczęśliwego dziecka zbliżali.

Smucili się i frasowali niepomiernie rodzice, nie widząc sposobu – bo egzorcyzm zawodził – uleczenia swego dziecka. Prowadzili ją do rozmaitych relikwii, aby przez ich moc i zasługi owo diabelstwo mogło być wypędzone. Niestety – nigdy nie bywali wysłuchani – bo, jak można domniemywać, ani grzech owego dziecka, ani grzechy jego rodziców, ale jakieś tajemne zamysły i dopust Boży sprawiły, iż doszło do tegoż opętania. Po to zapewne, aby nawrócić grzeszników, ukazując im na przykładzie, iż oprócz znanej, materialnej rzeczywistości, istnieje również inna, mogąca się niekiedy manifestować w naszym wymiarze.

Słuchając rad życzliwych ludzi, rodzice nieszczęśliwego dziecka zwrócili się o pomoc do św. Katarzyny Sieneńskiej, lecz ta kategorycznie odmówiła mieszania się do owej sprawy.

Dopiero przymuszona św. posłuszeństwem przez swego spowiednika, zgodziła się przetrzymać opętane dziecka w swojej celi. Całą noc spędziła na modlitwie, i dopiero to dało pożądany skutek. Skoro noc się zbliżała, ku końcowi, demon opuścił młode ciałko.

Lecz to jeszcze nie koniec naszej opowieści.

Po kilku dniach duch nieczysty ponownie wszedł w ciało owej dziewczynki. Zatem znów św. Katarzyna Sieneńska przez całą noc w obecności nieszczęśliwego dziecka modliła się w swojej celi. Wszakże duch nieczysty był krnąbrny i nie chciał ustąpić, odgrażając się nawet:

– Jeśli wyjdę z tego dziecka, wejdę w twoje ciało! Zaniechaj więc tego, co robisz!

A na to święta mu odpowiedziała:

– Sam z siebie nic uczynić nie możesz. Lecz jeśli taka jest wola Boża, pokornie się jej podporządkuję.

Demon pokonany pokorą świętej i jej całkowitemu zaufaniu Jezusowi, upokorzony, na koniec poddał się i opuścił dziecko, by już nigdy go nie opętać. (wg.: *Żywot przedziwny... Katharzyny Senenskiey etc...,* Kraków 1609, s. 354 – 364)

O opętanej dwórce

Święta Katarzyna Sieneńska pewnego razu odwiedziła zaprzyjaźnionych ze sobą ludzi, którzy mieszkali w bogatym pałacu. Jedna z dwórek pani domu była opętana przez ducha nieczystego.

Ucieszyli się gospodarze – wiedząc już, że czarty przed św. Katarzyną uciekają – iż zostali nawiedzeni przez też pobożną niewiastę. Poprosili ją zatem co rychlej, aby wyzwoliła nieszczęsną opętaną z mocy ducha ciemności.

Ponieważ Katarzyna akurat nie miała czasu, musiała bowiem odwiedzić – w ważnej i nie cierpiącej zwłoki sprawie – jeszcze jeden dom w tym mieście, widząc, iż w pałacu przebywa znany z pokory i nabożeństwa mnich, nakazała przyprowadzić opętaną. A gdy ją przywiedziono, nakazała jej uklęknąć przed mnichem i ułożywszy głowę na jego kolanach trwać tak bez ruchu aż do jej powrotu z owego drugiego domu, o którym wcześniej wspomnieliśmy.

Zły duch zaklęty w imię Jezusa, związany wolą świętej panny, musiał być posłuszny rozkazowi.

Cały czas jednak poprzez usta opętanej złorzeczył, bluźnił i przeklinał, jednocześnie informując, gdzie się Katarzyna w danej chwili znajduje. Na koniec krzyknął:

– Oto wchodzi w drzwi domu tego!

I rzeczywiście, Katarzyna weszła do pałacu, a znalazłszy się w komnacie, w której przebywała opętana usłyszała jęki i zawodzenia demona:

– Ach! Czemuż mnie zatrzymujesz?! Czemu mnie dręczysz?!

Św. Katarzyna zaś na to:

– Wstań nędzniku, wyjdź z dziewczyny, opuść to stworzenie Pana Jezusowe, i więcej w nią nie wchodź.

Na owe słowa diabeł opuścił ciało opętanej, a ta została na trwałe uleczona. (wg.: *Żywot przedziwny... Katharzyny Senenskiey etc...,* Kraków 1609, s. 364 – 368)

Epidemie opętań

W dawnych wiekach, kiedy mniej sceptycznie podchodzono do zjawisk nadprzyrodzonych, nierzadko obserwowano i opisywano nie tylko opętanie pojedynczych osób, ale całych – mniejszych, bądź większych – społeczności.

I tak na przykład w 1487 roku miała miejsce prawdziwa „epidemia" opętań, która ogarnęła wiele miast niemieckich i niderlandzkich. Jednym z najbardziej odrażających jej objawów były mnożące się przypadki kanibalizmu, głównie pożerania niemowląt. Za popełnienie tej zbrodni, na śmierć skazano blisko pięćdziesiąt osób.

Z XV stulecia zachowały się dwie informacje na temat opętań, jakie miały miejsce na terenie Polski. Jedno dotyczyło szlachetnie urodzonego Łukasza Słupeckiego, w którego, w 1459 roku, w Sandomierzu, wstąpił diabeł; drugie zaś pewnej mieszczki krakowskiej.

Ojciec Pio i opętana

W maju 1922 roku, któregoś niedzielnego popołudnia, przyprowadzono do Ojca Pio osobę podejrzaną o to, iż jest opętana przez demona. Ta, – na widok zakonnika – poczęła ordynarnie przeklinać i bluźnić, wyjąc i rycząc donośnie. Egzorcysta, nie zwracając na owo najmniejszej uwagi, natychmiast przystąpił do odprawiania obrzędu. Nie trwał on nazbyt długo, gdy opętana wydawszy z siebie jeszcze donioślejszy, od uprzednio wydawanych, ryk, uniosła się około 1 metra nad ziemię, a potem opadła z powrotem na dół, już bez oznak opętania przez ducha nieczystego.

Jak uprzednio było wspomniane, lewitowanie opętanych nie jest czymś wyjątkowym, a raczej typowym.

Przypadek Marii Cecylii Pistorini

Dawniejsza literatura dotycząca tak opętań, jak i czarownictwa nader często zamieszcza opisy unoszenia się ludzi w powietrzu.

Na polecenie cesarzowej austriackiej Marii Teresy (1717 – 1780) opat Oswald Laschert szczegółowo przebadał przypadek opętania niejakiej Marii Cecylii Pistorini, jednej z mniszek klasztoru kierowanego przez ksienię Renatę Seanger, oskarżoną o uprawianie czarnej magii i rzucanie uroków na podległe sobie zakonnice.

Według świadectwa uczonego opata Maria Cecylia wielokrotnie, kilkadziesiąt, do stu razy na dzień, była gwałtownie unoszona w powietrze, a potem z ogromna siłą ciskana o posadzkę, co jednak nie powodowało obrażeń zagrażających jej życiu. Poddana zabiegom egzorcyzmowania, również została – wraz z krzesłem – uniesiona do góry.

W czasie masowych opętań, jakie miały miejsce w XVII wieku w Loudun i Marsylii, prócz objawów katalepsji, znieczulenia ciała na ból, ujawniania się dodatkowych osobowości, telepatii i jasnowidzenia, obserwowane były również – u niektórych z opętanych niewiast – również i zdolności lewitacyjne. (wg.: Ignacy Matuszewski: *Czarnoksięstwo i medyumizm*, Warszawa 1896, s. 86 i n.)

Przypadek lewitacji u opętanej Hiszpanki

W hiszpańskim dziele *„Historia del Emperados Carlos V”* wydanym w roku 1507, znajduje się opis badania inkwizytorskiego kobiety podejrzanej o zawarcie paktu z diabłem. Przesłuchujący ją biskup Pampeluny Prudencio de Sandoval, powodowany ciekawością, zażyczył sobie, aby owa niewiasta pokazała mu swoje nienaturalne umiejętności. I wówczas ona, wydostawszy się przez okno, poczęła schodzić po murze głową w dół, a później swobodnie uniosła się w powietrzu.

Jeśliby ktoś mniemał, że tego rodzaju opisy pochodzą jedynie z protokołów inkwizytorskich przesłuchań prowadzonych przez duchownych rzymskokatolickich, jest w błędzie. Napotyka się je bowiem zdecydowanie częściej w dokumentach protestanckich.

W jednym z nich, pochodzącym z siedemnastego wieku, występuje, pod datą 1620, informacja na temat opętanej Anny Fleischer, która zachowując się bardzo nienaturalnie, kręcąc się, rzucając, wijąc jak robak, wstrząsana konwulsjami, na koniec całkowicie oderwała się od ziemi i zawisła w powietrzu. Świadkami tego zdarzenia były osoby raczej wiarygodne, a mianowicie dwaj diakoni protestanccy Kacper Dachsel i Tobiasz Walpurger. (wg.: Ignacy Matuszewski, dz. cyt, s. 88)

Demon imieniem Gabbage

Pewien mężczyzna, po dość długim okresie utraty przytomności najpierw usłyszał męski głos, który oświadczył, że należy do istoty imieniem Gabbage, po jakimś czasie zaś ujrzał swego rozmówcę, który – jako żywo – przypominał diabła z podań ludowych. Miał bowiem wygląd niespełna czterdziestoletniego osobnika, był silnie zbudowany, o gęstym czarnym zaroście, takiejż czuprynie i brwiach, pałających ciemnych oczach. Ukazywał się zawsze w stroju myśliwego. W czasie rozmów, jakie prowadził z bohaterem niniejszej opowiastki, ustawicznie namawiał go do działań destrukcyjnych (kazał mu niszczyć rozmaite wartościowe przedmioty i targnąć się na własne życie). Osobnik ów posłuchał w końcu owych podszeptów i popełnił samobójstwo rzucając się z trzeciego piętra na bruk. (wg.: Ignacy Matuszewski, dz. cyt. s. 158)

Opętanie w klasztorze urszulanek

W roku 1610 miało miejsce masowe opętanie w klasztorze żeńskim św. Urszuli w Marsylii. Pierwsze oznaki posesji diabelskiej wykazała nowicjuszka Magdalena de la Palud, po niej zaś inne.

Magdalena, poddana indagacji ze strony inkwizytorów, wyznała, że wszystko to sprawił niejaki ks. Ludwik Gaufridi, proboszcz miejscowy, który gdy dzieckiem jeszcze była, wprowadził ją do kręgu osób oddających cześć szatanowi na miejscu ustronnym. Od tamtej pory wiele razy uczestniczyła w sabacie, podczas którego oddawała się wyuzdanym orgiom seksualnym, bluźniła Bogu i Kościołowi. Jednocześnie przez cały ten czas była kochanką Gaufridiego.

Ten, pojmany i stawiony na przesłuchanie, przyznał się co prawda do tego, że współżył seksualnie z młodą zakonnicą, ale kategorycznie wyparł się przypisywanych praktyk satanistycznych. Dopiero później zmienił zdanie i przyznał się do wszystkiego, co mu zarzucała kochanka. Wyrokiem sądu, oddany władzy świeckiej, spłonął na stosie.

W trakcie badań okazało się, że Magdalena de la Palud wykazuje nienormalne właściwości. Między innymi ustalono, że biegle włada łaciną, czyli językiem, którego nigdy się nie uczyła. Ponieważ sama się oskarżała przed inkwizytorami, zachowano ją przy życiu, uprzednio poddano egzorcyzmom, które przyniosły pożądany skutek.

Dobrowolna zgoda na opętanie

Kolejny przykład dotyczy Szwajcarki (nb. żyjącej współcześnie) niejakiej R.B., która została opętana w wieku 15 lat przez cztery demony. Opętanie owo nie było spowodowane niemoralnym życiem dziewczyny, bo takiego nigdy nie prowadziła, żyjąc w zgodzie z prawem Bożym, lecz zostało jej zaproponowane (jeśli można użyć tego dość niefortunnego określenia), jako zadośćuczynienie za grzechy świata i w celu ostrzeżenia ludzkości przed grożącą jej straszliwą karą, jeśli się nie opamięta i nie nawróci.

Ponieważ R.B. zgodziła się przyjąć cierpienie, które dotknęło ją w ukrytej formie, w żaden sposób się nie uzewnętrzniając, opętanie stało się faktem.

Po upływie wielu lat, przeżywając nieopisany wprost koszmar i po wędrówkach od lekarza do lekarza, po gruntownych wielokrotnych badaniach psychiatrycznych, które wykazały, iż jest zupełnie normalna, trafiła wreszcie w ręce egzorcystów. Ci, niestety, mimo wielu wysiłków, nie umieli jej okazać pomocy. Udało się im jednak zmusić demony do ujawnienia i do mówienia, choć czyniły to bardzo niechętnie i pod silnym przymusem.

Ponieważ nie miejsce tutaj na szczegółowe rozpisywanie się na temat ostrzeżenia, jakie Pan Bóg i Matka Boża zsyłają za pośrednictwem duchów nieczystych (może to zabrzmieć dziwnie, ale skoro ludzie odrzucają jakże liczne objawienia Boskie oraz nadzwyczaj jasne i czytelne znaki czasów, nadeszła pora, by nawet piekło zmusić do świadczenia o prawdzie), nie będę tutaj rozwodził się nad treścią przekazów zasłyszanych od demonów.

Opętana na specjalne życzenie spisała swój życiorys, w którym zawarła opisy udręk spowodowanych faktem zniewolenia przez złe moce.

Zarówno z jej słów, jak i z zeznań świadków wynika, że za dnia nie odczuwa poważniejszych dolegliwości (spełnia obowiązku żony i matki), straszne są natomiast dla niej noce, podczas których przeżywa niewyobrażalne wprost katusze psychiczne. (wg.: *Piekło wypluwa prawdę* [w:] Ks. L.G. de Ségur: *Piekło. Czy istnieje? Czym jest?,* Wrocław 1993, s. 136 – 137)

Opętanie Annelise Michel

Wydaje się, że na uwagę zasługuje również przypadek opętania niemieckiej studentki pedagogiki, pochodzącej z Klengenbergu, niejakiej Annelise Michel. Ten przypadek opętania tym znów różnił się od licznych uprzednio wymienionych, że było to świadomie przyjęte cierpienie, jako wynagrodzenie za grzechy świata. Nie mogły zatem egzorcyzmy odprawiane nad ową dziewczyną przynieść oczekiwanego rezultatu. Annelise Michel wycierpiała bardzo wiele i męczyła się strasznie, ponieważ do zgonu doszło na skutek nie przyjmowania przez nią pokarmów i napojów, mimo strasznego głodu i pragnienia. Ta głośna niezbyt dawno sprawa, która miała miejsce w roku 1976, rozeszła się szerokim echem po całym świecie. „Postępowe" media o spowodowanie śmierci opętanej oskarżały duchownych egzorcystów, jednocześnie ośmieszając całą sprawę i domagając się sądownego ukarania kapłanów, którzy „hołdując średniowiecznemu zabobonowi" doprowadzili – rzekomo – do tak strasznej tragedii: śmierci dziewczyny.

Jakoś jednak nikt nie wspomniał, że i „naukowa" terapia nie przyniosła żadnego, nawet minimalnego pozytywnego rezultatu, i że wcale w tym wypadku nie chodziło o schorzenie psychiczne, a o jakąś bliżej nie określoną (dla „naukowców") dolegliwość, co do której medycyna była bezsilna, nie tylko nie umiejąc jej leczyć, ale nawet i nazwać!

Opętanie w Loudun

W roku 1626 założono w Loudun klasztor Urszulanek. Zakonnice w większości odznaczały się wysokimi przymiotami i na ogół pochodziły z dobrych domów, i zgodnie ze swym powołaniem zajmowały się wychowaniem dziewcząt.

Pierwszym spowiednikiem urszulanek był przeor O. Moussant. W niedługi czas po jego śmierci poczęły się dziać w budynku klasztornym rzeczy co najmniej dziwne. Dawało się zupełnie wyraźnie słyszeć w nocy hałasy, a wiele spośród zakonnic uległo dziwnym objawom przypominającym opętanie. Samej matce przełożonej ukazywały się widma, przypominające bądź to zmarłego spowiednika, bądź też jakowąś inną osobę duchowną.

Ponieważ owe dziwne zjawiska trwały bez ustanku, zakonnice poinformowały o wszystkim nowego spowiednika, ks. Jana Mignon, kanonika z kościoła św. Krzyża w Loudun, pomijając głównego bohatera dramatu ks. Urbana Grandier. Powód pominięcie Grandiera nie jest znany, wydaje się jednak prawdopodobnym, że urszulanki nie zaproponowały mu stanowiska swego spowiednika, z powodu faktu złej opinii, jaką się ów duchowny cieszył. Zamieszany był nawet w procesy sądowe, a w końcu ukarany przez miejscowego biskupa za złe prowadzenie się. Ale Grandier nic sobie z tego nie robił, apelował do wyższych instancji, przez które został od kary uwolniony.

Tymczasem zjawiska natury szatańskiej w klasztorze urszulanek nie ustawały. Widząc to ks. Mignon poprosił o radę i wsparcie ks. Piotra Barré, proboszcza kościoła św. Jakuba i kanonika de Saint Meme. Owi duchowni, w towarzystwie jeszcze dwu karmelitów sporządzili szczegółowy protokół, dotyczący niezwykłych zjawisk, który zaopatrzyli własnymi podpisami.

Niebawem zjawiska przybrały wyraźniejszy charakter, wiele zakonnic i sama przełożona podlegały dziwnym konwulsjom, a ich czynności i rozmowy w czasie ataków zupełnie były niezgodne z zachowaniem, jakie przystoi mniszkom.

Wówczas Ks.Ks. Mignon i Barré, mając na to zgodę biskupa z Poitiers, odprawili nad opętanymi zakonnicami egzorcyzmy. Było to latem 1613 roku. W październiku – wobec bezskuteczności tamtych egzorcyzmów – odprawiono nowe, tym razem w obecności władz świeckich.

Opętane zakonnice badano, zadając im pytania po łacinie, czyli w języku, którego się uczyły, a demony odpowiadały, że przyczyną opętania jest ks. kanonik Urban Grandier, proboszcz u św. Piotra. Można sobie wyobrazić, jakie wrażenie na świadkach wywołało takie oświadczenie. W tym miejscu – co istotne – należy zaznaczyć, że egzorcyzmy odbywały się zawsze w obecności świadków.

Pod koniec listopada ksiądz Barré uznał za stosowne, aby biskup Poitiers dodał mu dwóch nowych świadków do obrzędu egzorcyzmów. I rzeczywiście dodano mu dziekanów kapituły Champiny i Thouars. Z kolei podejrzany o spowodowanie opętanie ks. Urban Grandier ze swej strony wniósł prośbę do arcybiskupa Bordeaux, który przeznaczył na egzorcystów ks. Barré, O. Escaye, jezuitę z Poitiers, i O. Gau, oratorianina z Tours, dał im szczegółową instrukcję i rozkazał oddalić wszystkich innych świadków, oprócz mera miasta Loudun, prezesa sądów kryminalnych i przełożonego opactwa Saint Jouin.

Pech chciał, że w tym samym czasie – w zupełnie innej sprawie – w Loudun znajdował się delegat królewski, którego kuzynka była przełożoną owego klasztoru urszulanek. Była to panna Belsiel, w zakonie nosząca imię (rozsławione w negatywny sposób przez literaturę i film) Matki Joanny od Aniołów.

Delegat królewski dowiedziawszy się o wszystkim, co się u urszulanek dzieje, pojechał czym prędzej do Paryża, zdał sprawę królowi Ludwikowi XIII i kardynałowi Richelieu, po czym, dnia 30 listopada 1633 roku przybył do Loudun z komisją królewską, która miała zbadać całą sprawę.

Komisja swoją pracę zaczęła od aresztowania ks. Urbana Grandier i dokładnej rewizji w jego domu. Nie znaleziono niczego kompromitującego, poza odręcznym pismem księdza wymierzonym przeciwko celibatowi duchowieństwa. Pismo owo miało uspokoić sumienie pewnej dziewczyny, która dała się uwieść temu występnemu kapłanowi.

Niemniej był to kamyczek, który pociągnął za sobą lawinę. Przeciw Ks. kan. Urbanowi Grandier komisja królewska wytoczyła formalny proces kryminalny i powołała licznych świadków, którzy zeznawali przeciw niemu. Badanie świadków wykazało u ks. Grandier wiele wykroczeń przeciw moralności, a jedna z zeznających kobiet, niejaka Elżbieta Blanchard zeznała, iż oskarżony proponował jej, że ją uczyni czarownicą.

W tym samym czasie w klasztorze urszulanek, gdzie objawy opętania nie zanikły, zarządzono nowe egzorcyzmy. Brali w nich udział m. in. O. Laktancjusz, reformat, O. Tranquille, kapucyn i O. Józef, kapucyn.

Proces przeciwko ks. Grandier, oskarżonemu o spowodowanie opętania zakonnic, i egzorcyzmy odprawiane nad nimi, trwały siedem miesięcy, po czym akta procesu przewieziono do Paryża, gdzie po ich dokładnym zbadaniu uznano, że Grandier jest winny i 3 lipca 1634 roku ustanowiono specjalną komisję złożoną z 14 urzędników duchownych i świeckich, dla wydania ostatecznego wyroku. Dnia 18 sierpnia komisja owa uznała ks. kanonika Urbana Grandier winnym magii, czarnoksięstwa, spowodowania opętania i skazała go na śmierć.

Grandier tego samego dnia został stracony.

Mimo to, objawy opętania nie ustawały. Udzielały się nawet wielu świeckim kobietom w Loudun i jego okolicach, a także w Chinon. Również opętani zostali niektórzy spośród egzorcystów. Przytrafiło się to między innymi O. Laktancjuszowi, który zmarł 18 września 1634, O. Tranquille, który żył jeszcze kilka lat, mianowicie do roku 1638 i O. Surin, który zastępował O. Laktanciusza po jego śmierci. O. Surin pozostawił nam szczegółowy opis swego stanu i wiele spostrzeżeń o wypadkach opętania, zaszłych po śmierci księdza Grandier.

O. Surin przybył do Loudun dopiero w cztery miesiące po wyroku na księdza Grandier, uwolnił on w części matkę Joannę od Aniołów spod władzy demonów i został odwołany, a zastąpiony przez O. Recés, również jezuitę. W czasie od śmierci ks. Grandier do roku 1639 i 1640, kiedy opętania ustały i wieści o nich znacznie ucichły, mamy do zaznaczenia niektóre wizyty znakomitych osób, świadczących za rzeczywistością opętania. Oprócz kilku biskupów był tam rodzony brat królewski i dał świadectwo autentyczne, własną ręką podpisane dnia 11 maja, na rzecz prawdziwości opętania, na podstawie dokonanych prób z opętanymi, które sam sprawdzał. Nie możemy też pominąć świadectwa lorda Montagu i pana de Quériolet, którzy tak byli wstrząśnięci tym, co widzieli, iż nie tylko opętanie uznali za absolutnie prawdziwe, ale – ponadto – stało się to okazją do głośnego i niespodziewanego nawrócenia wspomnianego lorda.

Opętanie w Loudun przez licznych pisarzy o „krytycznym i postępowym" nastawieniu uznane zostało, bez gruntownego zbadania, za fałszerstwo z premedytacją przygotowane i przeprowadzone przez księży i zakonnice.

Tymczasem bezstronne badanie dowiodło, iż w opętaniu w Loudun dało się zauważyć wszystkie cechy prawdziwego opętania. I tak: na ręce Matki Joanny od Aniołów pokazywały się napisy o nadnaturalnym pochodzeniu, zakonnice nie znające łaciny, odpowiadały po łacinie na po łacinie zadawane im pytania, wyjawiały ukryte tajemnice i widziały na odległość.(wg.: Słownik apologetyczny wiary katolickiej, podług d–ra Jana Jauge'a oprac. i wydany przez X. Wł. Szcześniaka i grono współpracowników, Warszawa 1894, s. 505 – 514)

Opętanie Ojca Surin

Jan Józef Surin S.J., urodził się w roku 1600 w Bordeaux. W roku 1616 wstąpił do zakonu jezuitów, gdzie ukończył studia teologiczne. Następnie, w roku 1628, został wyświęcony na kapłana. 17 grudnia 1634 roku, w kilka miesięcy po wykonaniu wyroku śmierci na księdzu Grandier (a zatem – nie był zamieszany w sprawę tego występnego duchownego!), skierowano go do egzorcyzmowania opętanych urszulanek w Loudun. Z powierzonego mu zadania wywiązał się nadzwyczaj sumiennie. Widząc jednak, iż jego wysiłki nie przynoszą spodziewanego rezultatu, po kilku miesiącach bezowocnych prób uwolnienia opętanych spod władzy demonów, ofiarował się Bogu jako ofiara zastępcza owego opętania, prosząc by demony opuściły ciała zakonnic, a weszły w niego. Jego prośby zostały wysłuchane i tak też się stało.

Ojciec Surin był przekonany, że jego ciało i wyobraźnia podlegają jakiejś obcej woli. Stan opętania świątobliwego kapłana utrzymywał się nieustannie od tego czasu do roku 1658, a więc przez ponad dwadzieścia lat.

Przez pewien okres – uznany przez władze zakonne za umysłowo chorego – przebywał w odosobnieniu. W tym też właśnie czasie powstały jego głębokie dzieła ascetyczne, które są najlepszym dowodem na to, iż Ojciec Surin był całkowicie zdrowy psychicznie i że stan, któremu podlegał był rzeczywistym, a nie urojonym opętaniem (posesją). Dopiero na trzy lata przed śmiercią został uwolniony spod władzy demonów. Potworne udręczenie ustąpiło miejsca niewyobrażalnej wprost radości. Umarł w Bordeaux 22 kwietnia 1665 roku. Napisał wiele dzieł i rozpraw, w tym i na temat opętania w Loudun. Nas interesować będzie, jak sam określał swój stan i co odczuwał, znajdując się we władaniu demonów. (wg.: Encyklopedia Kościelna... przez X. Michała Nowodworskiego, Warszawa 1904, t. XXVII, s. 147)

A oto słowa Ojca Surin:

„Zdawało się, że cała moja istota, wszystkie władze mojej duszy i członki ciała, z niewypowiedzianą gwałtownością wydzierały się ku Panu Bogu mojemu, którego uznawałem jako najwyższe moje szczęście, jako dobro nieskończone, jako jedyny przedmiot mojego istnienia. Ale jednocześnie czułem, że jakaś siła, mimo mojego oporu, gwałtem mnie odrywa i trzyma z dala od Niego tak dalece, iż stworzony na to, aby żyć, widziałem się i czułem pozbawiony Tego, który jest Żywotem; stworzony dla prawdy i światła, widziałem się stanowczo odpychanym od światłości i prawdy. Stworzony dla miłości, byłem bez miłości i odepchnięty od niej. Stworzony dla dobra, byłem pogrążony w otchłani zła. Trwogę, rozpacz, która przenikała mnie w tym niewymownym ścisku serca, mógłbym chyba przyrównać do stanu lecącej strzały, z wielką mocą wypuszczonej ku pewnemu celowi, a nieustannie od niego odpychanej nieprzepartą siłą: koniecznie dążyć musi naprzód, a ciągle coś ją odpycha wstecz.” (cyt. za: Ks. L.G. de Ségur: PIEKŁO. CZY ISTNIEJE? CZYM JEST?, Wrocław 1993, s. 32)

Konwulsjoniści z cmentarza św. Medarda

Przypadki, bądź to sporadycznych, bądź epidemicznie występujących, konwulsji, wywoływanych albo przyczynami naturalnymi, albo pozanaturalnymi o charakterze szatańskim, są odnotowywane od najgłębszego średniowiecza poczynając.

Najgłośniejsze z konwulsji są te, związane z jansenizmem, kultem diakona Parisa i cmentarzem św. Medarda w Paryżu.

Na wstępie kilka słów wyjaśnienia. Oto w XVII wieku powstała błędna nauka o łasce Bożej, która zyskała licznych zwolenników zwanych – od nazwiska autora heretyckiego dzieła – jansenistami. Przeciw jansenistom i ich błędom ostro wystąpił Rzym, ostatecznie potępiając ich bullą papieską Unigenitus (z 8.09.1713 r.).

Janseniści wszakże nie dali za wygraną i postanowili apelować od decyzji papieża do przyszłego Soboru Powszechnego. Jednocześnie wciąż szerzyli swoją naukę, którą w pewnym okresie wsparli rzekomymi cudami, które jakoby się miały dziać – jako potwierdzenie z nieba – tego czego uczyli.

Tak więc, czego nie mogli dokonać przy użyciu innych środków, postanowili przeprowadzić za pomocą rzekomych cudów zmarłego w Paryżu w roku 1726 diakona Franciszka de Paris, który swoim pełnym umartwień i prowadzeniem działalności dobroczynnej życiem zyskał duży rozgłos w stolicy Francji. Rozpuszczono wieści, że przy grobie owego diakona, pogrzebanego na cmentarzu św. Medarda, dochodzi do licznych cudownych uzdrowień. Sprawiło to, że na grób de Parisa wyruszyły tysiące pielgrzymów.

Zaczęto wówczas, wobec licznych świadków, dochodzić do zachwytów i ekstaz, objawiających się straszliwymi konwulsjami i wykręcaniem członków ciała.

Na wieść o tym król Ludwik XV zakazał wstępu na rzeczony cmentarz. Wtedy czciciele zmarłego diakona, ze swymi praktykami przenieśli się do prywatnych domów, gdzie grób „świętego" zastępowała przyniesiona z niego garść ziemi.

Nie ma absolutnie żadnych podstaw i możliwości, by zaprzeczyć realności konwulsji, ponieważ ich świadkami było tysiące ludzi i to zarówno jansenistów (zwolenników konwulsjonizmu), jak i katolików (upatrujących w konwulsjoniźmie działań diabelskich). Ludzie ci mogli doskonale kontrolować się nawzajem. Tedy – bezwzględnie wykluczyć trzeba oszustwo.

Franciszek de Paris był diakonem, wyznawcą jansenizmu, który należał do stronnictwa apelantów (odwołujących się od bulli Unigenitus do Soboru Powszechnego). Żył, srodze umartwiając swe ciało, i słynąć z dobroczynności. Umierając oświadczył, że umiera jako jansenista. W glorii sławy świętego, przez swoich współwyznawców, został 1 maja 1727 roku pochowany na wspomnianym cmentarzu św. Medarda w Paryżu.

O rzekomych cudach, których komisja kościelna nie uznała za prawdziwe, już wspomniałem wcześniej.

W lipcu 1731 roku zdarzył się pierwszy wypadek konwulsji na grobie „świętego" u niejakiej Amalii Pivert. W sierpniu podlega jej pewna głuchoniema kobieta z Wersalu, oraz ksiądz Bescherrant.

Z czasem konwulsje tak się rozpowszechniają, że ulegają im tysiące ludzi. Konwulsje owe są przyczyną wielkich cierpień tych, którzy im ulegli.

Konwulsjonistom się zdaje, że przynosi im ulgę, gdy się ich... bije po żołądkach, ściska ciała i kopie je nogami. Zadanie tegoż „przynoszenia ulgi" przypadło ludziom nazwanym wspomożycielami. Wspomożyciele owi, zwykle mężczyźni, bili swe ofiary pięścią, niekiedy po dwunastu kładli się na desce, gniotącej ciało konwulsjonisty. Później z tego zwykłego wspomagania, wynikł drugi jego rodzaj – wspomaganie zabójcze, dokonywane poprzez uderzanie ofiary sztabą żelaza lub drągiem drewnianym.

Władza – zarówno świecka, jak i duchowna (z wyjątkiem biskupów sprzyjających jansenizmowi) – rozpoczęła ostrą walkę z konwulsjonistami, zabraniając im występowania publicznie.

Mimo to, zjawisko nie tylko, że nie ustępuje, ale nawet się wzmaga. Zgromadzeni po prywatnych domach janseniści doświadczają konwulsji, popadają w ekstazy, przemawiają nieznanymi językami, prorokują. Mimo fizycznego znęcania się przez „wspomożycieli" nad ich ciałami, nie doznają najmniejszych nawet urazów! Na ciałach niektórych pojawiają się stygmaty Męki Jezusa i zjawisko konania. Ta epidemia trwa aż do wybuchu Rewolucji Francuskiej w 1789 roku. Potem o niej już nie słychać.

Co sądzić o tych dziwnych wydarzeniach?

Wykluczając oszustwo (bo było niemożliwe na tak wielką skalę) musimy przypuścić, że konwulsje na cmentarzu św. Medarda, z towarzyszącymi im zwykle objawami, miały w istocie początek pozanaturalny. Nie możemy jednak przypisać ich pochodzenia ani działaniu Boga, ani dobrych aniołów, a jedynie szatana, bowiem w samych konwulsjach, w postępowaniu konwulsjonistów ich przemowach daje się zauważyć cechy diabelskie.

Np. niejaki brat Augustyn, kładł się na stole i twierdząc, że jest „Barankiem bez zmazy" kazał sobie oddawać cześć boską. Inny z konwulsjonistów, ks. Vaillant, ogłosił się wcieleniem proroka Eliasza. Ba! dzięki działalności „braci wspomagających" dwanaście dziewcząt konwulsjonistek zaszło w ciążę, a prorocy konwulsjoniści w swych przemowach namawiali matki, by te same oddawały im córki, bo to podoba się Bogu.

Dalej. Cóż może mieć wspólnego z dziełem bożym (jak o konwulsjoniźmie mówili janseniści) tzw. wielkie wspomaganie, zwłaszcza wspomaganie zabójcze? Niesłychanie brutalne katowanie ludzi znajdujących się w transie? Do okrucieństwa dodajmy rozpacz (nieomylny znak działania Szatana!). Widziano jak jedna z konwulsjonistek, rozorawszy sobie twarz paznokciami, usiłowała popełnić samobójstwo. W czasie zaś przemów i obrzędów konwulsjonistycznych dopuszczano się wielu bluźnierstw i świętokradztw.

Np. jedna z kobiet konwulsjonistek odprawiała mszę, do której służyli jej księża. Inna także odprawiała mszę, z godnością i powagą, w nikomu nieznanym języku. Jeszcze inna także odprawiała mszę, ale na leżąco, wijąc się i rzucając w sposób nieprzyzwoity tak, że musiano przytrzymywać jej ubranie, aby nie zostały odsłonięte intymne części ciała.

Co się tyczy pozanaturalnych objawów konwulsjonizmu, to słuszna jest ocena jednego z teologów, że są one przejawem działania Szatana. Dowody? Wdowa Thévenet wznosiła się od czasu do czasu na siedem lub osiem stóp nad ziemię, aż do sufitu. A unosząc się pociągała za sobą na trzy stopy od ziemi dwie inne osoby, które całym swoim ciężarem wisiały u jej nóg. Wypadek jeszcze bardziej dziwny – podczas gdy wspomniana wdowa podnosiła głowę do góry, jej spódnice i bielizna zwijały się jakby własną siłą ponad jej głową.

Istotnym będzie zaznaczenie faktu, iż konwulsje wybuchały właśnie w chwili, kiedy dana osoba dotykała grobu diakona Parisa, a bezzwłocznie ustępowały, skoro ją tylko od grobu odsuwano.

Nadzwyczajność bywała jeszcze bardziej widoczna, kiedy relikwie rzekomego świętego przykładano do ciał dzieci, lub dorosłych, którzy nie byli tego świadomi, albo pogrążeni w głębokim śnie, a natychmiast po owym przyłożeniu relikwii następowały gwałtowne konwulsje. W momencie, gdy relikwie usuwano, natychmiast konwulsje ustawały.

Niezliczone są jeszcze bardzo okrutne doświadczenia, którym poddano dziewczęta konwulsjonistki. Niejaką Nisettę bito w głowę drągiem drewnianym. Czterech mężczyzn waliło z całej mocy pięściami w głowę Małgorzatę–Katarzynę Turpin. Tęż samą bito w twarz, plecy, boki i brzuch kawałem drewna tak grubym, że z trudem można było unieść oburącz. Takich ciosów zadawano jej nieraz aż do dwóch tysięcy (!). I tu rzecz znamienna: uderzenia owe nigdy nie pozostawiały najmniejszego nawet śladu zranienia!!! (wg.: SŁOWNIK APOLOGETYCZNY WIARY KATOLICKIEJ, podług dra. Jana Jaugey'a.. Opracowany i

wydany staraniem X. Wł. Szcześniaka, Mag. Teol. i grona współpracowników, Warszawa 1894, t. II, s. 305 – 316)

Opisane powyżej zdarzenia, jako dziejące się niezbyt dawno, i to w obecności tysięcy świadków, nie dadzą się skwitować pogardliwym wzruszeniem ramion i „naukowym" stwierdzeniem: zabobon.

Uwalnianie opętanych przez św. Proboszcza z Ars

Sam nieustannie nękany przez demona, którego nazwał imieniem Grappin, św. Jan Maria Vianney posiadał daną mu od Boga szczególną moc nad złymi duchami, które bez trudu wypędzał z ciał ludzi opętanych przez diabła, przynosząc im ulgę w cierpieniach i wybawienie od potwornych katuszy tak fizycznych, jak i psychicznych. Skuteczność jego egzorcyzmów byłą tak wielka, a sława jego świętości tak ugruntowana, iż biskup dał mu specjalne pozwolenie, by odprawiał obrzęd egzorcyzmów zawsze, ilekroć to sam uzna za konieczne, bez każdorazowego starania się o zezwolenie na to u swojego pasterza diecezji. I Jan Maria rzeczywiście dość często i chętnie korzystał z owego przywileju. A oto garść przykładów zaczerpniętych z doskonałego dzieła ks. Trochu:

„Kowal wiejski, Jan Picard, był świadkiem dziwnych scen. Razu jednego, pewien człowiek przyprowadził do Ars swą nieszczęśliwą żoną, która wpadła w furię, wydając dzikie okrzyki. Zobaczywszy chorą, ks. Proboszcz oświadczył, że należy zaprowadzić ją do miejscowego biskupa.

– Dobrze, dobrze! – krzyknęła kobieta, odzyskując nagle mowę, a dźwięk jej głosu dreszczem przejmował obecnych – stworzenie pójdzie z powrotem!... Ach! gdybym miała władzę Jezusa Chrystusa, wszystkich was pogrążyłabym w piekle!...

– To ty znasz Jezusa Chrystusa? – zapytał ksiądz Vianney. Dobrze więc. Zanieście ją przed stopnie wielkiego ołtarza.

Mimo oporu, czterech silnych ludzi tam ją zaniosło. Wówczas podszedł ks. Vianney, i na głowie opętanej położył swój relikwiarz. Na razie kobieta stężała w bezruchu, jakby umarła. Po chwili jednak podniosła się o własnych siłach i szybkim krokiem zupełnie spokojna; przeżegnała się wodą święconą i uklęknęła jak wszyscy. Dawne ataki już się nie powtórzyły. (...)

Pewna biedna staruszka z okolic Clermont Ferrand, którą uważano za opętaną, obudziła szczególniejszą litość w Piotrze Oriol, jednym z „przybocznych gwardzistów" naszego świętego. Opowiada on, iż nieszczęsna ta kobieta, przez cały dzień śpiewała i pląsała dziko na rynku przed kościołem. Gdy dano jej napić się kilka kropel wody święconej, dostała ataku furii i poczęła kąsać mury kościelne, raniąc sobie usta aż do krwi. Syn jej nie wiedział co począć. Jeden z obecnych kapłanów zaprowadził ją pomiędzy plebanię a kościół, na drogę którą przechodzić miał ks. Vianney. Skoro tylko święty Proboszcz udzielił nieszczęśliwej błogosławieństwa, zaraz uspokoiła się całkowicie. Syn jej później opowiadał, że choć cierpiała ataki już od lat czterdziestu, nigdy jeszcze nie wpadła w tak wielki szał, jak w Ars. Odtąd strasznie dręczące staruszkę ataki, już się więcej nie powtórzyły.

Wieczorem dnia 27 grudnia 1857 roku, wikariusz kościoła świętego Piotra w Avinionie, wraz z matką przełożoną Franciszkanek z Orange, przywieźli do Ars młodą nauczycielkę, zdradzającą wszelkie objawy szatańskiego opętania. Arcybiskup Awinioński sam badał tę sprawę i poradził, by zawieziono nieszczęsną do księdza Vianne'a. Nazajutrz z rana wprowadzono ją do zakrystii w chwili, gdy Mąż Boży miał właśnie ubierać się do Mszy św. Opętana próbowała wydostać się za drzwi.

– Za dużo tu ludzi! – wołała.

– Za dużo ludzi? – odparł święty. W takim razie wszyscy wyjdą.

Na dany przez niego znak, obecni usunęli się i pozostał tylko on sam z nieszczęsną ofiarą szatana.

Zrazu w kościele słychać było z zakrystii niewyraźny szmer: ale wkrótce zaczęły dobiegać słowa. Ksiądz wikariusz z Avinionu, stojąc pod drzwiami, podchwycił taką rozmowę:

– Chcesz więc koniecznie wyjść? – pytał Proboszcz z Ars.

– Tak! – odpowiedziała dziewczyna.

– A dlaczego?

– Gdyż jestem w towarzystwie człowieka, którego nie lubię.

– Więc mnie nie lubisz? – pytał dalej ksiądz Vianney.

Przeraźliwie rzucone: – „Nie!”... – było odpowiedzią złego ducha, dręczącego nieszczęśliwą dziewczynę.

Gdy drzwi otwarto, już moc świętego odniosła zwycięstwo: skupiona, w skromnej postawie, płacząc z radości i wdzięczności, młoda nauczycielka ukazała się w progu. Po chwili wyraz lęku odbił się na jej twarzy. Zwróciwszy się do księdza Vianney'a, rzekła:

– Obawiam się, by „on” nie powrócił.

– Nie, moje dziecko, nie wróci; a przynajmniej nie rychło – odparł święty.

I rzeczywiście „on” już nie powrócił, i młoda dziewczyna mogła znowuż przystąpić do dawnych zajęć jako wychowawczyni w mieście Orange.

25 lipca 1859 r. (...) około godziny ósmej wieczorem, przyprowadzono do niego z wielkim trudem kobietę, która uchodziła za opętaną. Towarzyszący jej mąż, wszedł z nią na podwórze plebani, zaś p. Oriol, wraz z wielką liczbą osób przybyłych, czekali przy bramie. W chwili, gdy ksiądz Vianney dokonywał egzorcyzmu, usłyszano na podwórzu trzask, jakby gwałtowne łamanie gałęzi. Wśród obecnych powstał popłoch. Wkrótce przekonali się, że nigdzie żadna gałąź nie spadła; krzaki bzu były nietknięte.

Inna nieszczęśliwa, podejrzana o opętanie kobieta, skoro tylko usłyszała wymówione imię Świętego, stawiała tak silny opór, że nie zdołano jej sprowadzić do Ars. Zaproszono więc świętego do domu, w którym mieszkała. Nie zastawszy jej w mieszkaniu, w dalszym pokoju oczekiwał jej powrotu. Chociaż kobieta nie wiedziała o jego obecności, gdy zbliżała się do domu, chwyciły ją gwałtowne konwulsje.

– On jest niedaleko, ten klecha!... – krzyczała.

I tym razem święty spełnił swe zbawcze posłannictwo.

Dnia 23 stycznia 1840 r., po południu, miał Proboszcz z Ars fantastyczne zdarzenie przy konfesjonale.

Jakaś kobieta, przybyła z okolicy le Puy en Velay, która zrazu niczym szczególnym się nie wyróżniała, zbliżyła się do Trybunału Pokuty. Stało wtedy przy kaplicy św. Jana Chrzciciela, czekając swej kolei, około dziesięciu osób, a w ich liczbie były: Maria Boyat oraz Genowefa Filliat. Obie one dosłyszały, jak ksiądz Vianney, zachęcał przybyłą, by zaczęła oskarżać się z grzechów. Nagle odezwał się jakiś dziwny, silny a odrażający głos:

– Popełniłem jeden tylko grzech i tym pięknym owocem dzielę się z każdym, kto tego zechce... Podnieś rękę, rozgrzesz mię!... O ty ją nieraz dla mnie podnosisz, gdyż ja często jestem przy twoim konfesjonale...

– Tu quis es? (Ktoś ty?) – zapytał święty.

– Magister Caput (Mistrz Głowa) – odparł szatan, i dalej krzyczał po francusku:

– Ach, czarna ropucho! Jakież ty mi zadajesz męki!... Powtarzasz ciągle, iż chcesz opuścić swoje stanowisko... Czemu tego nie czynisz?... Inne czarne ropuchy, mniejsze mi, niż ty, zadają męki”.

– Napiszę do biskupa, aby ci kazał wyjść.

– Tak? – A ja sprawię, że ci ręka drżeć będzie, iż nie zdołasz napisać... Nie wywiniesz mi się, czekaj!... Silniejszych od ciebie zdobyłem... Jeszcze nie umarłeś... Gdyby nie Ta... (tu wstrętnie grubjańskim wyrazem nazwał Najświętszą Pannę) tam, w górze, jużbyśmy cię mieli, ale Ona cię ochrania, razem z tym wielkim smokiem (świętym Michałem) co stoi przy drzwiach twego kościoła... Powiedz, dlaczego tak wcześnie wstajesz. Jesteś nieposłuszny fioletowej sukni!... (swemu biskupowi). Czemu tak proste kazania mówisz?... To sprawia, że uchodzisz jeszcze za nieuka. Czemu nie głosisz kazań w wielkim stylu, jak to bywa w miastach?...

Kilka minut trwały te szatańskie wymysły, skierowane kolejno, to do biskupa Devie z Belley, to do biskupa de Bonald z le Puy, (...) potem do różnych kapłanów, wreszcie znów do

samego Proboszcza w Ars. I zły duch, który w zachowaniu się każdego z nich miał coś do zaznaczenia, mimo woli musiał wyznać nieposzlakowaną cnotę świętego sługi Bożego.

***

Proboszcz z Ars, którego wzrok przenikał świat tajemnic, okazywał się niezmiernie srogim dla wyznawców okultyzmu i spirytyzmu.

Co sprawia, że stoliki wirują i wróżą? – zapytano kiedyś nieszczęsnej opętanej, która na rynku w Ars znieważała przechodniów.

– To ja czynię... – odrzekła kobieta, dręczona przez złego ducha. – Wszystko to jest moją sprawą.

Proboszcz z Ars był zdania, że piekielny zwodziciel tego dnia powiedział prawdę. (Ks. dr Franciszek Trochu: PROBOSZCZ Z ARS ŚWIĘTY JAN MARJA VIANNEY 1786 – 1859. Na podstawie aktów procesu kanonizacyjnego i niewydanych dokumentów. Z francuskiego przełożył Ks. dr Piotr Mańkowski, Arcybiskup Enejski, Wydawnictwo Salezjańskie, brak miejsca wydania, rok wydania 1932, s. 231 – 235)

I tyle możnaby powiedzieć o walce św. Proboszcza z demonami.

Starodawne opowieści o opętaniu i opętanych

Wszystkie przykłady, z którymi chcę teraz zapoznać Czytelników, zaczerpnąłem z pradawnej księgi, noszącej taki oto tytuł:

ZWIERCIADŁO PRZYKŁADÓW: Wiecei nizli od pięćdziesiąt Pisarzów, pobożnością, nauką, y starowiecznością przezacnych: także z rozmaitych Historiy z Traktatów Kościelnych wyięte, przez iednego nie mianowanego, ktory żył około Roku Pańskiego 1480. Potym przez X. Jana Maiora Societatis Iesu, dowodem samych Autorow obiasnione: tudzież więcey nizli stem y sześćdziesiąt Przykładów rozszerzone. Potym z X. Antoniego Dauroulciusa Societatis Iesu, który wiele znamienitą Księgę Flores Exemplorum abo Cathechismum Historialem, wydał szeroko rozwiedzione. Y naostatek Przez X. Symona Wysockiego Societatis Iesu kapłana, na Polskie znowu przełożone y sporządzone. Każdy nowy Tytuł y Przykład z gwiazdką iest naznaczony y do swych Tytułów y materyi, porządkiem abecadła Polskiego na mieyscu swym położony. Z dozwoleniem Starszych. Cum Gratia et Priuilegio S.R.M. w KRAKOWIE, w Drukarni Macieia Andrzeiowczyka, Roku Pańskiego MDCXXIV [1624].

Przykłady, które zostaną przytoczone poniżej, chociaż bez wątpienia opowiadają o rzeczach przedziwnych, o faktach, jakie w istocie miały miejsce, jako słabo, lub zgoła wcale nie udokumentowane historycznie, zostały wyodrębnione i umieszczone w oddzielnym rozdziale.

Zapewne wiele z nich może nam – swą fabułą – przypominać bajki, pamiętając przecież o tym, co wcześniej mówiliśmy o Szatanie i jego oddziaływaniu na człowieka, nie odrzucajmy ich jako niewiarygodne, chociaż styl opowiadań wyda się nam naiwny.

Wydaje mi się, że najlepiej będzie, jeśli opowiastki owe potraktujemy, jako swego rodzaju ciekawostki. Do rzeczy jednak:

O niesamowitym wyznaniu demonów

Pewnego razu w Kolonii, w kościele św. Piotra, spotkały się dwie opętane przez demony kobiety, mając nadzieję, iż zostaną w świętym miejscu uwolnione od cierpień.

Podczas egzorcyzmów, gdy demony jęły przemawiać ustami opętanych, tak jednemu, jak i drugiemu zadano pytanie, czy nie chciałyby powrotu do chwały wiekuistej w niebie.

Obydwa duchy zgodnie oświadczyły, że tak. A oto słowa jednego z nich:

– Gdyby był słup żelazny, od ziemi aż po samo niebo sięgający, cały pokryty rozżarzonymi kolcami, zadziorami i hakami bardzo ostrymi, a mnie pozwolono, pokutując cierpieć, ciało ludzkie przyoblekłszy, mógłbym bez ustanku, aż po sam Dzień Sądu Ostatecznego wspinać się po słupie owym w górę i ześlizgiwać w dół, byle móc odzyskać tę chwałę, której byłem uczestnikiem, to wszystko dobro, które utraciłem. (Caesarius libro 5. capite 10., wg.: ZWIERCIADŁO PRZYKŁADW, Krakow 1624, s. 134)

Cudowny wizerunek Matki Bożej uwalnia opętaną

Tomasz Morus (1480 – 1535) powiada, że za jego czasów wiele się w Anglii stało cudów, przy obrazach świętych, szczególnie Matki Bożej. Na dowód tego takie oto przytacza opowiadanie:

Pewna dwunastoletnia dziewczynka, córka szlachetnego człowieka, sir Ryszarda Wentunorthy, została opętana przez demona, który wszedł w jej ciało.

Dostawała szału, w którym potwornie bluźniła Panu Bogu, używając przy tym sprośnych słów. Brzydziła się wszelkimi poświęconymi przedmiotami. A co zadziwiające, rzecz niepoświęconą od poświęconej nieomylnie odróżniała. Wydaje się, że są to dowody wskazujące na rzeczywiste opętanie (posesję).

Miewała jednak – co normalne – przebłyski świadomości, kiedy to w pełni odzyskiwała jasność umysłu. Wówczas prosiła, by ją ratowano, a nawet sama postanowiła poszukać ratunku.

Udała się tedy do pewnego miasteczka, w którym znajdował się cudowny wizerunek Matki Najświętszej. W czasie drogi różne dziwne rzeczy się z nią działy. Chociaż dziecko jeszcze, miewała uczone dysputy, które w podziwienie wprawiały doktorów i profesorów. Ale poza tym zachowywała się normalnie.

Dopiero gdy przybyła na miejsce i doprowadzono ją przed cudowny obraz, demon jął targać jej ciałem. Dostała drgawek i konwulsji, jej twarz wykrzywiła się potwornie, zmieniły rysy, usta rozciągnęły, a oczy nieomal nie wyskoczyły z orbit, tak iż nikt bez lęku nie mógł na nią patrzeć.

Wkrótce ów atak minął, a demon uwolniwszy ciało dziewczynki odszedł, pozostawiając ją w spokoju.

Stało się to w obecności licznych świadków, którym nie ma powodu nie dać wiary. (wg.: ZWIERCIADŁO PRZYPADKÓW. Kraków 1624, s. 751 – 752)

Św. Wincenty Ferrariusz i opętana

Św. Wincenty Ferrariusz (ok. 1350 – 1419), dominikanin, był nie tylko pobożny i uczony, ale i wielce urodziwy. Z tego powodu, podczas jego pobytu w Walencji, przytrafiła mu się taka oto przygoda:

Pewna piękna kobieta zapałała do świętego taką żądzą cielesną, że postanowiła go uwieść za wszelką cenę. Udała tedy chorą i posłała po Wincentego, aby ów ją wyspowiadał.

Kiedy święty przybył, oświadczyła mu, że go kocha, pożąda i pragnie. Odrzuciwszy prześcieradło, którym była okryta, ukazała mu się naga, namawiając i kusząc do grzechu. Wincenty jednak nie uległ pokusie, ale zgromiwszy ową kobietę, czym prędzej wyszedł z jej domu.

Wtedy zaś w jej ciało wstąpił szatan. Począł nią rzucać i targać, wydawać niesamowite głosy. Na próżno modlono się i egzorcyzmowano opętaną. Zły duch przez jej usta oświadczył:

– Nigdy mnie z tego ciała nie będziecie mogli wygnać, aż przybędzie tu ów człowiek, który w pośrodku ognia będąc, żadnej szkody nie poniósł.

Nie wiedziano o czym zły duch mówi i różne powstawały domysły. W końcu ktoś wpadł na pomysł, aby ową kwestie rozstrzygnął słynący z uczciwości św. Wincenty Ferrariusz.

Ów zaś – mimo, że się początkowo wzbraniał – przybył w końcu do domu owej opętanej, gdzie zaczął się modlić w jej intencji. Na to demon, który obsiedlił piękne ciało, jął wydawać przerażające głosy, aż w końcu oświadczył:

– Oto przybył człowiek, który w pośrodku ognia będąc, żadnej szkody nie poniósł. Niestety... teraz muszę odejść.

To wyrzekłszy, kilka razy jeszcze szarpnął ciałem opętanej, potwornie je wyprężył, a potem z krzykiem z niego wyszedł, zostawiając ją poły umarłą. (Ex vita S. Vincentij Ordinis Praedicatorum libro 1. cap. 12 apud Surium, wg.: ZWIERCIADŁO PRZYKŁADÓW, Kraków 1624, s. 798 – 800)

Pokora zwycięża złego ducha

Opowiada opat Daniel, iż w czasach ojców pustyni, pierwszych pustelników, pewna dziewczyna, córka znamienitego ojca, mieszkająca w Babilonie, została opętana przez złego ducha.

Na nic się zdały modlitwy, posty, egzorcyzmy. Demon uparcie tkwił w jej ciele, nie dając się stamtąd wyrzucić.

Nie trzeba nikogo przekonywać, że biedny ojciec, widząc tak wielkie udręczenie dziecka, które kochał nad życie, nieomal od zmysłów odchodził.

Uchwycił się tedy rady pewnego kapłana, z domem ich zaprzyjaźnionego, który rzekł:

– Szczególny to przypadek i nad wyraz ciężki. Jedyna wasza nadzieja, w którymś z pustelników. Skoro nadejdzie dzień targowy, jeden z nich przybędzie do miasta by sprzedać koszyki, które plotą na puszczy, by zarobić na swe utrzymanie. Ty je kup od niego i rozkaż by po zapłatę zgłosił się do twego domu. A gdy już się tam znajdzie, staraj się go przekonać, iżby się modlił o uwolnienie twojej córki od ducha ciemności.

I tak się stało.

Skoro pustelnik stanął w bramie domu owego pana, opętana, miotając bluźnierstwa, cała w drgawkach, wyjąc i rycząc, wybiegła mu naprzeciw, a stanąwszy przed starcem pustelnikiem, z całej siły uderzyła go w twarz.

On zaś na to, pomny słów Zbawiciela, że „gdy cię ktoś uderzy w jeden policzek, nadstaw mu i drugi", właśnie dokładnie tak uczynił.

Wtedy zły duch strasznym głosem zawołał:

– Och! przeklęta pokora, przez którą zostałem pokonany! Teraz muszę odejść i wstrząsnąwszy jeszcze kilka razy ciałem dziewczyny, rzucił ją na ziemię, gdzie leżała jakiś czas zemdlona, a skoro się ocknęła, była już wolna i zdrowa. (Ex lib: Doct: Patrum lib: de Humilitate, num: 5., wg.: ZWIERCIADŁO PRZYKŁADÓW, Kraków 1624, s. 875)

***

Pewnego razu przyprowadzili ludzie, do starca, świątobliwego pustelnika do Tebaidy, człowieka opętanego. A demon go zamieszkujący nie poddawał się żadnym egzorcyzmom.

Starzec ów jął się modlić i prosić Boga o uwolnienie nieszczęśnika. Na to demon przez jego usta rzekł:

– Wyjdę z niego, jeśli mi poprawnie odpowiesz na takie oto pytanie: Kim są kozły, mające stanąć na Sądzie Bożym po lewicy, a kim baranki, których miejsce jest po prawicy Majestatu?

Pustelnik na to bez namysłu odparł:

– Kozły, to tacy jak ja. Zaś baranki sam Pan Bóg zna tylko.

Szatan usłyszawszy owo, zawołał głosem wielkim:

– Oto dla twojej pokory wychodzę!

I w tejże chwili wyszedł. (Ibidem num.: 27, wg.: dz. cyt. s. 876)

Pysznego mnicha Szatan w ogień wrzucił

Pewnego razu św. św. Pachomiusz i Palemon rozpalili ogień, aby się rozgrzać. Na ów widok mnich pewien zawołał:

– Kto z was w ów ogień wejdzie i tam, bezpiecznie, pacierz odmówi? – a pytał o to powodowany pychą, mając się za świętego.

– Zaprzestań bracie tego szaleństwa! – strofowali go święci.

On jednak upierał się przy swoim, w końcu zaś stanął wpośród ognia, na rozżarzonych węglach i... rzeczywiście ogień mu nie szkodził!

Stojąc tam, naśmiewał się z Pachomiusza i Palemona, drwiąc:

– I gdzież wiara wasza?!

Skoro nadeszła noc, udał się do swojej celi, gdzie ujrzał piękną kobietę, która z płaczem prosiła go, by jej udzielił schronienia, bo jest – rzekomo – prześladowana przez wrogów. Ulitował się nad nią nich i zezwolił by spędziła noc w raz z nim w tej samej celi.

Skoro ułożył się do snu, przed oczyma stanął mu obraz owej kobiety, która spoczywała w pobliżu i zapłonął grzeszną do niej namiętnością. Czym prędzej zatem podniósł się z pryczy, aby żądzę zaspokoić i wówczas – natychmiast – w ciało jego wstąpił demon – bo kobieta owa była demonem w ludzkiej postaci – i targając nim, rzucał nim o ziemię.

Później zaś, przymuszony przez złego ducha, uciekł ów mnich z klasztoru i pognał precz – przed siebie, gdzie oczy poniosą, długo błądząc po pustkowiu. Gdy na koniec przyszedł do pewnego miasta, tam się w wielki piec rzucił i żywcem zgorzał. (Thomas Vantip. libro 2. cap: 39. par: 9, wg.: ZWIECIADŁO PRZYKŁADÓW, Kraków 1624 s. 691)

O proboszczu strofowanym przez usta opętanej

Pewien proboszcz miał zatarg z zakonnicami zamieszkującymi klasztor znajdujący się na terenie jego parafii, a chodziło o sprawy majątkowe.

Kapłan ten taki był zajadły w swej nienawiści do owych zakonnic, że nawet słyszeć nie chciał o ustąpieniu, czy jakiejkolwiek ugodzie.

W klasztorze owym zakonnice trzymały pewną opętaną przez demona, świecką kobietę, za którą się modliły, umartwiały, i aby mogła być uwolnioną od złych mocy, każdej niedzieli przyprowadzały ją do parafialnego kościoła, iżby tam przyjmowała Komunię św..

Pewnego razu nasz proboszcz, mają serce szczególnie przepełnione niechęcią do zakonnic, jął odprawiać Mszę. Gdy przyszedł czas rozdawania Ciała Pańskiego, podprowadzono do stopni ołtarza także i ową opętaną, aby mogła komunikować.

Ale wówczas stało się coś, co wzbudziło grozę w zebranych wiernych: Oto demon jął ciskać ciałem opętanej i chropowatym, przerażającym głosem ryczeć i wykrzykiwać:

– O, ty najmizerniejszy z mizernych człowieczynko! Podły, występny kapłanie! serce masz przepełnione jadem chciwości i nienawiści i czynisz publiczne zgorszenie! Jak śmiałeś, grzeszniku, przestąpić progi tej świątyni?! Jak śmiałeś, świętokradco, przeistaczać chleb w Ciało?!

I opętana z ogromną siłą opierała się przed przyjęciem komunii z rąk owego księdza.

Uległa dopiero wówczas, gdy egzorcyzmami i modlitwami została do tego zmuszona. (Libro de viris illustribus Ordinis Cisterciens wg.:ZWIERCIADŁO PRZYKŁADÓW, Kraków 1624, s. 110)

O opętaniu możnego pana, który chciał wrócić do świata

Pewien młody człowiek, pochodzący z Azji Mniejszej, szlachetnie urodzony, mający urodziwą żonę i maleńkiego synka, gdy został mianowany w Egipcie dygnitarzem państwowym, wyjechawszy do owego kraju, chętnie nawiedzał chatki pustelników i wiódł z nimi rozmowy o życiu doskonałym.

W końcu doszedł do przekonania, iż winien porzucić świat, rodzinę, a żyjąc w umartwieniu na pustyni, starać się osiągnąć świętość.

Jak postanowił, tak też i uczynił. Rychło stał się wzorem dla innych – srodze pościł i na różne sposoby umartwiał swe ciało.

Tak upłynęły mu cztery lata. I wówczas naszła go myśl – podszepnięta przez złego ducha – iż zabiegając o własne zbawienie, porzucił rodzinę, którą przecież miał się opiekować.

Bił się sam ze sobą nie wiedząc, co począć. W końcu jednak porzucił pustelnię i udał się w powrotną drogę do domu.

Pierwszej nocy, szukając gdzie by się móc przespać, trafił na klasztor, kędy mu udzielono gościny. Skoro wyznał kim jest i co zamierza uczynić, tak mnisi, jak i sam opat, odwodził go od tego, nakłaniając, by powrócił na pustynię.

On jednak był stateczny w swym postanowieniu. Dlatego też, skoro świt, udał się był w dalszą drogę.

Ledwo jednak klasztor zniknął mu z oczu, w jego ciało wstąpił demon. Ogarnięty szałem, krwawą pianę toczył z ust i kąsał własne ciało.

Gdy bracia z pobliskiego klasztoru dowiedzieli się, co mu się przytrafiło, pochwycili go i powiązali łańcuchami, bowiem taką miał siłę, że i kilku najtęższych mężczyzn nie mogło go utrzymać.

Przez dwa lata ów pustelnik w tak opłakanym znajdował się stanie, i dopiero po tym czasie, na skutek modłów, postów i egzorcyzmów, jakie nad nim odprawiano, został uwolniony od czarta. (Severus Sulpit: Dial: 1. cap: 15, wg.: ZWIERCIADŁO PRZYKŁADÓW, Kraków 1624, s. 43 – 44)

O mnichach i mniszkach, którzy potajemnie habity zrzucić chcieli

Pewien mnich, w sam dzień św. Andrzeja, począł drżeć, mdleć, pokazując, że strasznie cierpi. Gdy bracia spostrzegli, iż się z nim coś niedobrego dzieje, przybliżywszy się do niego zobaczyli jak pada na ziemię i ujrzeli go leżącego na wznak i miotającego się w konwulsjach, a jego twarz przybrała przerażający grymas.

Na polecenie św. Grzegorza zaniesiono go przed ołtarz św. Andrzeja, gdzie go położywszy, jęli odmawiać modlitwy i egzorcyzmy.

Po niejakim czasie ów przyszedł do siebie i wyznał co następuje: Od dłuższego już czasu umyślił potajemnie habit zrzucić, klasztor opuścić i wrócić do świata. Gdy już ostatecznie zdecydował, iż tak właśnie uczyni, naraz spostrzegł nieznajomego starca, który go poszczuł strasznym czarnym psem, a ten chciał go pożreć. Wtedy też dostrzegł braci zakonnych, jak się do owego starca za nim wstawili i dopiero ów psa odwołał, a sam mnich wrócił do przytomności. (Ex vita S. Gregorij lib: 1, nu. 12)

Toż samo dzieło opowiada o innym mnichu, który także chciał uciec z klasztoru św. Grzegorza. Ale gdy tylko o tym pomyślał i chciał wejść do Oratorium, natychmiast szatan na niego napadał i dręczył go niemiłosiernie. Na każdym innym miejscu zaś dawał mu spokój.

Widząc św. Grzegorza wraz z towarzyszami, że źle się dzieje z owym mnichem, wypytując go, nakłonił iż wyznał prawdę o zamyśle ucieczki z klasztoru. Wówczas święty zarządził trzy dni modłów w intencji niedoszłego zbiega i demon opuścił go raz na zawsze. (Ibidem num: 13, wg.: ZWIERCIADŁO PRZYKŁADÓW, Kraków 1624, s. 45 – 46)

***

„Pisze Jan Luiratus. Przyszliśmy – prawi – do Klasztoru Trzebieńców, ja i brat mój Sofroniusz. I powiedział nam opat Mikołaj, tego klasztoru kapłan, mówiąc: W krainie mojej (bo był z Licji) jest klasztor panieński, których [zakonnic] jest około czterdziestu. W tym tedy klasztorze pięć panien się zmówiło, żeby w nocy z klasztoru uciekły i za mąż szły. Nocy tedy jednej, gdy drugie spały, naradziły się między sobą, jakby szat swych dostawszy uciekły. A zaraz wszystkie one pięć od szatanów opętanymi się stały, i tak nigdy już potem z klasztoru nie wyszły, ale wyspowiadawszy się z grzechów swoich, dziękowały Panu Bogu, mówiąc: Dziękujemy wielkiemu darów Bożych dawcy, który to karanie na nas dopuścił, żeby dusze nasze nie zginęły.” (Prac: Spirut: cap: 35, wg.: ZWIERCIADŁO PRZYKŁADÓW, Kraków 1624, s. 52)

O opętanym dziecku

Św. Grzegorz opowiedział był swego czasu taką historię:

Laurenty, ojciec klasztoru w mieście Spoleto, w podeszłym wieku już będąc, wędrował w sprawach klasztoru. Ponieważ noc go zaskoczyła w drodze, zwrócił się z prośbą o nocleg do mniszek zamieszkujących pewien klasztor.

Widząc starego, zmęczonego człowieka, chętnie się na to zgodziły. Skoro go ugościły jak mogły i pokazały mu miejsce gdzie miał spać, zapytały, czyby się nie zgodził, iżby spało z nim w jednej celi pewne dziecko, które od niejakiego czasu mieszkało w ich klasztorze, a które szatan srodze męczył każdej nocy.

O. Laurenty nic nie miał przeciw temu i razem z owym dzieckiem udał się na spoczynek.

Skoro świt, zakonnice ciekawe, jak podróżnemu upłynęła noc, jęły go wypytywać, szczególnie interesując się, jak zachowywało się dziecko.

Gdy Laurenty odparł, że normalnie, i że spokojnie spało, zaczęły go błagać, by je zabrał ze sobą, bo w jego obecności zły duch najwidoczniej nie ma do opętanego przystępu.

Zgodził się starzec na to i przywiódł dziecko do swego macierzystego klasztoru, gdzie żyło spokojnie, nie trapione przez demona. Laurenty ze zdrowia dziecka niezmiernie się cieszył i któregoś dnia, niebacznie, takie oto wyrzekł słowa:

– Diabeł sobie grę czynił z owymi siostrami. Ale gdy do sług Bożych przyszło, tedy chłopięcia już tknąć nie śmie.

Ledwo dopowiedział tych słów, a natychmiast, w obecności wszystkich barci, szatan w potworny sposób jął dręczyć ciało dziecka.

Ujrzawszy to starzec, zrozumiał swój błąd i grzech pychy, po czym nakazał absolutny post i modły całego zgromadzenia, póki diabeł nie ustąpi.

I tak też się stało. W końcu Bóg wysłuchał ich próśb, a dziecko uwolnione zostało i nigdy już więcej szatan go nie nękał. (Gregorius Dialog. lib: 3. cap: 33, wg.: ZWIERCIADŁO PRZYKŁADÓW, Kraków 1624, s. 80)

O kobiecie, która wybrała opętanie zamiast grzechu

Pewna światowa kobieta, lekko sobie żyjąc i oddając się rozpuście, w moc szatana wpadła tak, iż ów ją opętał.

Cierpiąc okrutnie, udała się po pomoc i ratunek do pewnego świątobliwego kapłana. A ów, nakłoniwszy ją do pokuty, sprawił, iż z mocy diabelskiej uwolniona została.

Nie dane jej było przecież zażywać spokoju. Mimo, iż demon nie dręczył już jej ciała, natarł na nią tak straszliwymi pokusami, mamiąc ją rozkoszami rozpustnego życia, że ledwie wysiłkiem całej swej woli, z trudem tylko, nie uległa grzechowi.

Widząc, że dłuższe opieranie się przerasta jej siły, poszła po pomoc i ratunek do owego świątobliwego kapłana. On zaś rzekł tak:

– Córko moja. Cóż wybierasz? Zdrowie duszy i wieczne zbawienie, czy też rozkosz ciała i potępienie na wieki?

Gdy ona odparła, że wieczne zbawienie, zaproponował, by wyraziła zgodę na to nieszczęście, jakie wpierw dla jej grzechów dopuścił na nią Bóg, i pozwoliła demonowi, by znów w jej ciele zamieszkał, zatrącając w ten sposób ciało, ale ratują duszę.

Chętnie zgodziła się na to i tak też się stało. (Vincent: Specul: Hist: lib: 30. cap: 71. Antonius part: 3 Hist: titul: 22. cap: 4. § 6., wg.: ZWIERCIADŁO PRZYKŁADÓW, Kraków 1624, s. 90 – 91)

O tym jak opat Inocenty przeklął swego syna

Święty Inocenty mieszkał na Górze Oliwnej, jako mnich. Srodze pokutując i umartwiając swe ciało. Zanim jednak stał się zakonnikiem spłodził syna.

Ten ostatni jednak nie zamyślał iść w śladu ojca, ale na grze i rozpuście trwonił życie. Dowiedziawszy się o tym, Innocenty tak się modlił:

– Panie mój i Boże, miłośniku czystości, proszę Cię spraw, by syn mój doznał takiego karania, a nawet przez szatana był dręczony, byleby nie mógł Ciebie już więcej grzechem obrażać. Lepiej bowiem, by zginęło ciało, a dusza osiągnęła chwałę wiekuistą.

I modły owe zostały wysłuchane.

Demon wstąpił w ciało Pawła, syna Inocentego, i tak nim targał, tak go dręczył, iż musiano powiązać go łańcuchami. (Palladius vita 103, wg.: ZWIERCIADŁO PRZYKŁADÓW, Kraków 1624, s. 292)

Ojciec zwiedziony przez Szatana chciał zamordować syna

W pewnym klasztorze mieszkał ojciec wraz z synem – obaj zakonnicy. Ojcu przez wiele lat ukazywał się Szatan, ale pod postacią Anioła Światłości.

Mnich dał się zwieść sile nieczystej, wierząc wszystkiemu, co zły duch mówił. W tym zaś, iż był to rzekomo poseł Sprawiedliwości, utwierdzał go fakt, że każdego wieczora, mimo iż nie używał ni kaganka, ni świeczki, w jego celi panował taki blask, że mógł wykonywać wszelką pracę, a nawet czytać.

Któregoś razu uwiedzionemu ojcu znowu ukazał się demon i rzekł tak:

– Masz – z woli mojego pana – stać się podobny w zasługach patriarsze Abrahamowi i, składając panu (demon miał tu na myśli bez wątpienia Lucyfera) w ofierze, zabić swego syna.

Zakonnik posłusznie zgodził się z tym wyrokiem. I zrobiłby to, naszykowawszy wyostrzony nóż i powróz, ale syn jego przejrzawszy zamiary ojca, zdążył przed nim uciec. Co zaś było dalej, historia milczy. (Cassianus Collat: 2. de Discretione. cap: 7, wg.: ZWIERCIADŁO PRZYKŁADÓW, Kraków 1624, s. 297)

Mnich – złodziej opętanym został

Niegdyś, gdy św. Grzegorz był jeszcze opatem, posłał dwu swoich mnichów, dawszy im pieniędzy, aby kupili wszystko, co do zaopatrzenia klasztoru było potrzebne.

I stało się, że jeden z nich, skuszony przez złego ducha, skradł nieco z powierzonych im pieniędzy.

Skoro wrócili – po wypełnieniu tego, co im był opat przykazał – do klasztoru, w ciało mnicha złodzieja wszedł demon, rzucił nim o ziemię, trząsł i wydawał ryki.

Przystąpił święty, duchem proroczym wiedząc, co było tego przyczyną, i wypytywał opętanego o grzech, jakiego się dopuścił, dając tym samym demonowi pretekst do opętania.

Ale ów zapierał się twierdząc, iż jest niewinny. W końcu jednak udręczony przez złego ducha wyznał, że ukradł pieniądze, a gdy opat stosowną wymierzył pokutę, uwolniony został. (Ex Vita S. Gregorio libro 1. num: 11, wg.: ZWIEDCIADŁO PRZYKŁADÓW, Kraków 1624, s. 456 – 457)

O dziewczynie, która przed posiłkiem miast się przeżegnać, diabła przyzywała

Działo się to w Kolonii w Niemczech. Oto dziewka pewna, służebna, która dąsając się o coś, jeść nie chciała, przymuszona przez swą panią, aby obiad spożyła, rzekła:

– Skoro mnie do jedzenia przymuszacie, to zjem, ale w imię diabła.

Po obiedzie, naraz w jej ciało wszedł demon, który przyprawił ją o konwulsje, ryczał i wył jej ustami, jednocześnie przyprawiając ją o niesłychaną rozpacz i potworny lęk.

Mimo, iż demon mieszkał w jej ciele, ona pełną świadomość i zdrowe zmysły zachowała i gdyby nie owe – powtarzające się napady – nikt by jej nawet o opętanie nie podejrzewał.

Poddana egzorcyzmom przez pewnego świątobliwego zakonnika, dostała szału. Demon wykręcał wszystkie jej członki, rzucał nią o ziemię i strasznie wył i ryczał. Na koniec jednak musiał ulec rozkazom kapłana i odszedł. Dziewczyna zaś, gdy uwolniona została postanowiła poświęcić się Bogu, i w dziewictwie aż do śmierci Mu służyła. (wg.: ZWIERCIADŁO PRZYKŁADÓW, Kraków 1624, s. 466)

Zaparcie się Chrystusa powodem opętania

Za Decjusza cesarza rzymskiego wszczęto prześladowania chrześcijan, a imperator, skoro przybył do Troady, zażądał, by stawiono przed nim trzech wyznawców Jezusa: Andrzeja, Pawła i Nichomacha.

Ponieważ wszyscy oni zgodnie twierdzili, że są chrześcijanami i nie mają zamiaru wyprzeć się swej wiary, cesarz skazał ich na męki. Te, ani Andrzeja, ani Pawła nie załamały. Nichomachus jednak, nie mogąc znieść bólu, będąc bliski skonania, zawołał, by go uwolniono, że wypiera się Chrystusa i że złoży ofiarę bogom w pogańskiej świątyni.

Skoro dopełnił obrzędu, natychmiast w jego ciało weszły demony. Dostał konwulsji, jął rzucać się po ziemi, ryczeć i wyć budzącym przerażenie głosem, a w końcu kąsając zębami swój język, w okropnych mękach skonał. (Vincentius Spec: Hist: lib: 11. cap: 46, wg.: ZWIERCIADŁO PRZYKŁADÓW, Kraków 1624, s. 689)

O uzdrowieniu z grzechu próżności

Pewien świątobliwy zakonnik, srodze się umartwiający, poszczący i wiele czasu spędzający na modlitwie, taką miał moc nad demonami, że samo dotknięcie się jego szat, złe duchy z opętanych wypędzało.

Po niejakim czasie, gdy sława jego świątobliwości i mocy rozeszła się daleko, jął odczuwać próżną satysfakcję, że oto on właśnie jest tym wybranym i lepszym od innych ludzi.

Mając świadomość, że to go zły duch w ten sposób napastuje, a nie mogąc sobie z próżnością ową poradzić, jął modlić się i prosić Boga, aby na pięć miesięcy, dla uleczenia z pychy, poddał go władaniu Szatana.

I rzeczywiście, wstąpił weń demon, który nim tak strasznie poniewierał, że nieomal życia go pozbawił. Czego nie trudno się domyślić – egzorcyzmy nie dawały żadnych rezultatów.

Skoro jednak pięć miesięcy minęło, za wolą Bożą, uwolniony został, odzyskując dawną władzę nad mocami ciemności, będąc już raz na zawsze uwolniony od grzechu pychy i próżności. (Severus Sulpit: in vita Sancti Martinii Dialog: 1. cap: 14., wg.: ZWIERCIADŁO PRZYKŁADÓW, Kraków 1624, s. 899 – 900)

O demonie nękającym urodziwą pannę

W Brabancji, pewna niezwykle urodziwa panna, postanowiła poświęcić się na służbę Bogu i wstąpić do klasztoru. Nie spodobało się to jednak Szatanowi, wrogowi rodzaju ludzkiego.

Objawił się jej tedy w widzialnej postaci niezwykle przystojnego młodzieńca i do zamęścia ją namawiał.

Kiedy ona jednak twardo obstawała przy swoim i ulec mu nie chciała, on zwiększył jeszcze naciski. Ale gdy i to nie skutkowało, znikł. Po czym ona poznała, iż był zjawą – złym duchem. Czym prędzej zatem udała się do spowiedzi i o wszystkim opowiedziała kapłanowi.

Ale po spowiedzi demon wrócił. Ba! Wraz z nią zamieszkał w jej pokoju, gdzie dziewczyna go widziała i słyszała, inni zaś – rodzina i znajomi – jedynie słyszeli. A słyszeli chrapliwy głos dobiegający skądś z bliżej nie określonej przestrzeni.

Demon ów ulubił sobie szczególnie publiczne wyjawianie najbardziej skrytych i najohydniejszych grzechów wszystkich tych, którzy wiedzeni próżną ciekawością odwiedzali nękaną przez szatana. Odpowiadał też na pytania osób postronnych, zawsze jednak przy okazji ich lżył.

Niestety, nie wiadomo jak się cała sprawa zakończyła, czy demon został przepędzony, czy też nie uległ egzorcyzmom. (Caesarius lib: 3. cap. 6, wg.:ZWIERCIADŁO PRZYKŁADÓW, Kraków 1624, s. 1179 – 1180)

O pomocy Matki Bożej

W roku 1082 do Zakonu Kartuzów przyjęto pewnego młodzieńca. Chociaż nie pochodził ze szlachetnego rodu, wyższych urodzeniem tak pokorą jak i świątobliwością życia przechodził.

Szczególnie czcił Jezusa, Mękę Jego rozpamiętywując i Matkę Najświętszą.

Wkrótce doszedł do takiej doskonałości, iż piekło jego świętość dłużej już ścierpieć nie chciało. I jak to bywa, zaczął być dręczony przez złe duchy.

Którejś nocy zdarzyło się, iż do jego celi stado rozszalałych wieprzów wpadło i chciało go rozszarpać. Drżąc ze strachu i potem oblany, uciekł się pod opiekę Matki Bożej.

Gdy tak się modlił, szykując się jednocześnie na śmierć, do celi wkroczył ogromny mężczyzna o ohydnym, potwornym wyglądzie i jął strofować demony w postaci wieprzy, iż dotychczas jeszcze nie rozerwały zakonnika. W końcu rzekł:

– Czegoście wy dokonać nie zdołały, ja sam dokonam.

Ale zaledwie się zbliżył do młodzieńca, oto w celi pokazała się, w widomej postaci, Najświętsza Maryja Panna, na której widok larwy piekielne jak dym się rozwiały.

Maryja zaś, zwracając się ciepłymi słowami do, ciągle jeszcze drżącego ze strachu, zakonnika, pouczyła go, by żył tak jak dotychczas, a osiągnie szczęście wiekuiste. (Petru Venerabilis Abbas Cluniacensis lib: 2. mirac: cap: 29, wg.: ZWIERCIADŁO PRZYKŁADÓW, Kraków 1624, s. 526 – 527)

O kleryku, który nie posłuchał św. Benedykta

Pewien kleryk doznał tegoż nieszczęścia, iż od czarta opętany został. Próżno jego biskup kazał odprawiać nad nim egzorcyzmy, próżno kazał go prowadzić do miejsc łaskami i cudami słynących i do relikwii wielkich świętych.

W końcu, Opatrzność Boska tak owym klerykiem pokierowała, iż stanął przed św. Benedyktem, a ów, przeżegnawszy znakiem krzyża świętego i pomodliwszy się nad nim, zaraz od złego ducha go uwolnił.

Gdy kleryk dziękował mu za ratunek, święty powiedział te oto słowa:

– Idź w pokoju, żyj wstrzemięźliwie, módl się, umartwiaj, nie jadaj mięsa i poprzestań na niższych święceniach. Gdybyś bowiem poważył się przyjąć święcenia kapłańskie, diabeł powtórnie tobą owładnie.

Zapamiętał kleryk ową radę i żył zgodnie ze wskazaniami. Tak mijały lata i dziesiątki lat. Starsi współbracia powymierali, młodsi prześcignęli go i stali się kapłanami, a on tkwił w tym samym miejscu.

Wreszcie pomyślał, że skoro przez tyle czasu nic mu się złego nie przytrafiło, to pewnie niebezpieczeństwo minęło raz na zawsze.

Udał się zatem do biskupa i z jego rąk święcenia kapłańskie przyjął.

Ale skoro się to tylko stało, natychmiast demon ciałem jego owładnął i tak długi dręczył – nie ulegając egzorcymom – aż pozbawił go życia. (Gregorius Dialog: lib. 2. cap: 16, wg.: ZWIERCIADŁO PRZYKŁADÓW, Kraków 1624, s. 426)

O pijaku, który duszę sprzedał diabłu

Jednego razu zdarzyło się, że w pewnej karczmie pijacy bawili się, śmiejąc i dowcipkując. Jeden z nich, chcąc być zapewne oryginalnym, napadł na Kościół i jego naukę. Ku uciesze słuchaczy, ozwał się tak:

– Głupot nas księża uczą, że w człowieku jest dusza, która po śmieci ciała żyje. Gdyby się znalazł kto chętny, rad bym swoją tanio sprzedał, a za uzyskane pieniądze, wszystkim wam kolejkę postawił.

Na to odparł siedzący w kącie, i dotąd w milczeniu przysłuchujący się biesiadującym, postawny mężczyzna, którego nikt nie znał:

– Jeśliś skory duszę sprzedać, to ja ją kupię.

Rychło też z pijanicą do porozumienia doszli i targu dobili. Obcy mężczyzna wypłacił gotówkę, a ów co duszę sprzedał, zaraz wina kupił i wszystkich częstował.

Kiedy zrobiło się już późno i coraz ktoś spośród bawiących się z karczmy wychodził, podniósł się też obcy mężczyzna i rzekł:

– To i na mnie już pora. A jeśli na mnie, to i na to, za com zapłacił.

Wypowiedziawszy owe słowa ujął za rękę tego, który mu duszę sprzedał i dodał:

– Ponieważ dusza znajduje się w ciele, chociaż mi ono nie potrzebne i ciało muszę wziąć.

Potem, na oczach przerażonych zebranych, wraz z owym pijakiem uniósł się najpierw kilka stóp nad ziemię, a potem znikli obaj. I nikt ich już nigdy nie widział. (Cantip: lib: 2. Apum cap. 56. par. 1, wg.: ZWIERCIADŁO PRZYKŁADÓW, Kraków 1623, s. 333)

Św. Bazyli ratuje opętanego

Człowiek, o imieniu Proteriusz, miał córkę, którą bardzo miłował, a którą zamierzał oddać do klasztoru na służbę Bogu. Ona zaś nic nie miała przeciw temu.

Nie zawsze się jednak układa tak, jak sobie człowiek zaplanuje. Oto bowiem, za sprawą jednego ze sług owego pana, wszystko owo jęło się gmatwać.

Otóż ów sługa, rozgorzał do córki swojego pana okrutną miłością, a wiedząc, że jako człowiek lichego stanu, nawet marzyć nie może o tym, by poślubić tę pannę, postanowił wezwać na pomoc Szatana.

Poprzysiągł tedy Księciu Ciemności, że będzie jego sługą na wieki, byleby tylko stało się zadość jego żądaniom i by pojął ową dziewczynę za żonę, albo przynajmniej posiadł ją cieleśnie.

I stało się, jak sobie życzył. Oto Szatan, poprzez gwałtowną pokusę do popełnienia grzechu nieczystego, zaatakował dziewczynę. Ta zaś prawie od zmysłów odchodziła, żądając od ojca, by ją za mąż wydał za owego sługę, bez którego żyć nie chciała.

Ponieważ ojciec kochał swoje dziecko nade wszystko, rad nie rad, nie mogąc znieść widoku jej cierpień, zgodził się na ślub młodych przekazują jednocześnie cały majątek zięciowi.

Tak więc ze strony Szatana pakt został dopełniony.

Ale i młody człowiek dotrzymał danego Lucyferowi słowa. Do kościoła nie wchodził, nie żegnał się znakiem krzyża świętego, nie modlił. Rychło zauważyli to ludzie i o przyczynę pytali jego pięknej małżonki. Ta zaś zapytała męża wprost, czy prawdą jest, iż nie wyznaje wiary chrześcijańskiej. Ów zaś odrzekł, że istotnie prawdą i opowiedział jej – rozumiejąc, że tego dłużej zataić nie sposób – o swoim pakcie z Szatanem.

Usłyszawszy to żona, przeraziła się bardzo i czym prędzej pobiegła do św. Bazylego i rzecz mu całą przedstawiła. Święty zaś kazał przyprowadzić męża do siebie.

Gdy ów przybył, jął go prosić, by nawrócił się do Boga, ale ów odrzekł, iż to niemożliwe, ponieważ Chrystusa się wyparł, a diabłu wiarę przysiągł i musi słowa dotrzymać. A zresztą, czy warto się trudzić? Wszak i tak już jest na wieki potępiony.

– Nie lękaj się, mój synu – odrzekł św. Bazyli – Miłosierdzie Boskie większe niż złość szatańska. I naznaczywszy mu krzyż na czole, zamknął go w małej izdebce na trzy dni.

W tym czasie nieszczęśnik przeżywał potworne katusze. Oto bowiem demony napadły nań z wielką wrzawą, ukazując mu się w wielkiej liczbie i przerażających postaciach, wygrażając, lżąc, bijąc i ciskając weń kamieniami, wśród ryków:

– Toś ty do nas przyszedł, a nie my do ciebie!!!

Tymczasem św. Bazyli modlił się w jego intencji, co kilka dni zaglądając do komórki, przynosząc owemu mężczyźnie tyle tylko jedzenia i wody, by z głodu nie umarł.

Wreszcie, po 40 dniach postu i modłów, demony odstąpiły od nieszczęśliwego. Wówczas św. Bazyli ujął go za rękę i powiódł do kościoła. I wtedy, w drodze do świątyni, Szatan po raz ostatni, wobec licznych świadków, zaatakował tego, który niegdyś mu się oddał na własność.

Jednak modlitwy i egzorcyzmy świętego przemogły złość czartowską, a mężczyzna ostatecznie już wolnym został. (In vitis Patrum, part: 1. In vita S. Basylij cap: 7. Et apud Surium. Tomo 2., wg.: ZWIERCIADŁO PRZYKŁADÓW, Kraków 1624, s. 301 – 304)

O demonach, które wstąpiły w wieprza

W mieście Spoleto, w Italii, pewna dziewczyna szlachetnego rodu, wbrew woli rodzicielskiej, miast iść za mąż, wstąpiła do klasztoru. Ojciec, widząc że nie zmieni decyzji swej córki, rozgniewał się na nią do tego stopnia, że ją z majątku wydziedziczył.

Ona przecież, ani jej współsiostry zakonne, nie rozpaczała z tego powodu, godząc się z postanowieniem ojca.

Niedługi czas minął, gdy dziewczyna owa, wielka świątobliwością życia zasłynęła i była wzorem dla innych.

Któregoś dnia, gdy rozmawiała o Bogu z opatem Eleuteriuszem, przystąpił do niej opętany, a natychmiast rzucony przez Szatana na ziemię miotał się i ryczał rozmaitymi głosami, budząc tym grozę pośród świadków zdarzenia.

Świątobliwa panna ulitowała się nad nieszczęśnikiem i rozgniewana na demony, stanowczym głosem zawołała:

– Wyjdźcie z niego nędznicy! Wyjdźcie z niego!

Na to zaś jeden z demonów obsiedlających to ciało odparł:

– Jeśli wyjdziemy z niego, gdzież się podziejemy? W cóż wejdziemy?

A przechadzał się nieopodal nieduży świniak. Wskazując tedy na niego, panna powiedział:

– Oto, w co macie wejść.

I zaraz demony opuściły ciało nieszczęśliwego człowieka, a wstąpiły w wieprza, którego natychmiast zabiły. (Gregorius. libro 3. capite 21. wg.: ZWIERCIADŁO PRZYKŁADÓW, Kraków 1624, s. 290)

Egzorcyzmy

Na początek dokonajmy może pewnego podsumowania: Oprócz świata materii, istnieje także i świat ducha.

Ten ostatni jest zasiedlony przez istoty bezcielesne, posiadające rozum (inteligencję) i wolną wolę. Duchy mogą być dobre, ale także i złe. Złe duchy (i dobre również, ale te pominiemy, ponieważ nie są tematem niniejszego opracowania) mają możność szczególnego rodzaju oddziaływania na człowieka, z czego oczywiście korzystają, wpływając w ukryty sposób na nasze myśli i uczynki.

Ponadto mogą również oddziaływać, co bywa postrzegane zmysłami, na materię nieożywioną. Na przykład wywołując rozmaite zjawiska paranormalne – jak dajmy na to telekinetyczne, czy nie posiadające naturalnego źródła odgłosy, obserwowane w rozmaitych „nawiedzonych" miejscach, czy domach.

Złe duchy mogą na koniec wnikać w ciała i umysły niektórych ludzi, co nosi nazwę opętania. Ani przyczyny, ani mechanizm tego szczególnego zjawiska nie są do końca wyjaśnione. Jedno tylko wiadomo na pewno: aby mogło dojść do opętania, musi zaistnieć – choćby nawet częściowa – zgoda osoby, którą chcą złe duchy wziąć sobie na mieszkanie. Jeżeli taka zgoda nie zostanie wyrażona, opętanie (częściowe, pełne czy idealne) nie nastąpi, może natomiast dojść do tak zwanego „nękania, dręczenia diabelskiego".

Opętaniu mogą podlegać zarówno osoby dorosłe (kobiety i mężczyźni – bez żadnej różnicy), jak i dzieci. Z tym, że te ostatnie bardzo rzadko.

Ujawnienie posesji diabelskiej w przypadku opętania idealnego nie następuje prawie nigdy, a jeśli już nawet, to wobec braku współpracy woli ofiary demonów z egzorcystą, nie może dojść do jej uwolnienia spod wpływu Złego.

Co do opętania częściowego i pełnego, mimo iż wola człowieka została w bardzo znacznym stopniu ograniczona i zastąpiona wolą demona, to jednak w niektórych początkowych stadiach możliwa jest przynajmniej jej cząstkowa mobilizacja, przejawiając się w buncie przeciw totalnemu zniewoleniu, co umożliwia odprawienie skutecznego egzorcyzmu.

W dawnych czasach bardzo często dokonywano egzorcyzmów niepotrzebnie, dziś jest zupełnie inaczej. Rozpowszechniony ateizm i materializm przenikające tak zwaną „oficjalną naukę, każą jej upatrywać wpływu naturalnych przyczyn wszelkich dolegliwości nękających tak ciało, jak i duszę ludzką.

Jeśli dawniej w ręce egzorcystów częstokroć trafiały osoby cierpiące na „zwyczajne" choroby, tak w obecnej dobie prawdziwie opętani na ogół pozbawieni są możliwości ratunku, bowiem kierowani są do psychiatrów, którzy – rzecz jasna – nijakiej pomocy udzielić im nie mogą. Jest w tym również sporo winy ze strony duchowieństwa, które lękając się pomówienia o „ciemnotę i zacofanie", prawie zupełnie zaprzestało mówić wiernym o Szatanie i o niebezpieczeństwach grożących z jego strony. Mało tego, wielu spośród nich nie wierzy w realne, hipostatyczne istnienie diabła, uważając, że jest to mit, symbol i nic nadto.

Mimo wszystko jednak i dziś także (a ostatnio nawet chyba coraz częściej) zdarza się, iż do władz kościelnych (głównie na Zachodzie) trafiają doniesienia o przypadkach posesji diabelskiej.

Do wielkiej rzadkości należy (choć oczywiście jest możliwe), żeby opętany sam zwrócił się do kapłana z prośbą o pomoc. Jest to prawdopodobne jedynie w przypadku opętania częściowego, kiedy jeszcze demony nie opanowały do końca woli człowieka.

Na ogół jednak wygląda to tak, że albo rodzina, albo przyjaciele danej osoby, zaniepokojeni nie tylko jej stanem psychicznym i fizycznym, ale również faktem manifestowania w jej obecności dziwnych, niewytłumaczalnych, przy pomocy dostępnej wiedzy fenomenów parapsychicznych, osądzają że dolegliwości owe nie są bynajmniej

spowodowane czynnikami naturalnymi, w związku z czym równie nienaturalnego lekarstwa należy na nie poszukać. Ponieważ zwykle wcześniej ludzie opętani przechodzili badanie psychiatryczne i – nierzadko – próby leczenia, które nie dały oczekiwanych rezultatów, rodzina i znajomi udają się po ratunek do księdza.

Co dzieje się dalej – zależy wyłącznie od duchownego. Jeśli zbagatelizuje on całą sprawę i nie nada jej urzędowego biegu, pozostawi opętanego nieszczęśnika bez ratunku, w szponach demonów (albo – co nie daj Boże trafią na „postępowego sceptyka", który po prostu nie wierzy w istnienie Złego Ducha).

Natomiast w przypadku, kiedy do owego doniesienia podejdzie poważnie, to zwykle na początku sam zechce obejrzeć osobę doświadczoną przez szatana. Jeżeli wynik oględzin i rozmowy z człowiekiem podejrzanym o opętanie upewni go, że istotnie może tu zachodzić przypadek posesji diabelskiej, kapłan obowiązany jest powiadomić o tym swoje zwierzchnie władze, a konkretnie biskupa ordynariusza.

Ów kieruje do przebadania zgłoszonego przypadku diecezjalnego egzorcystę (a jeśli nikt nie piastuje tej funkcji – wyznaczonego kapłana).Egzorcysta ów nie od razu przystępuje do obrzędu. Wpierw musi uzyskać jasny i niezbity dowód na to, że istotnie zachodzi tu przypadek opętania przez demony, a nie dolegliwości spowodowane czynnikami naturalnymi.

Z tego też względu osobiście konsultuje się z psychiatrami, którzy dokonują szczegółowego badania (nawet jeśli już uprzednio było ono wykonane) i albo orzekają od razu (co się praktycznie nie zdarza), że osoba owa jest zupełnie zdrowa na umyśle, a dolegliwości natury tak fizycznej, jak i psychicznej spowodowane zostały przyczynami nie znanymi współczesnej medycynie, albo dochodzą do przekonania, iż mają do czynienia z typową chorobą psychiczną i podejmują leczenie.

Oczywiście w przypadku rzeczywistego opętania, to ostatnie nie przynosi ulgi cierpiącemu i w momencie kiedy psychiatrzy dochodzą do ostatecznego i nieuniknionego wniosku, że nie mogą jednak pomóc, inicjatywę winien przejąć egzorcysta.

Tyle że nie oznacza to, iż automatycznie uznał on dany przypadek za autentyczną posesję diabelską. Teraz on sam ma obowiązek przystąpienia do badania, i to gruntownego, wypatrując pilnie znaków mogących świadczyć o opętaniu, kierując się wskazaniami Rytuału Rzymskiego. Częstokroć również – jeśli to nie jest pierwszy przypadek, z jakim kapłan się zetknął – opierając się i o doświadczenia wyniesione z przeszłości.

Nie widzę powodu, aby ponownie wymienić znaki, jakie zwykle (choć niekoniecznie wszystkie razem) towarzyszą opętaniu. Myślę, że Czytelnicy je zapamiętali.

A zatem, jeśli po ostrożnym potraktowaniu całej sprawy i dokładnym (nie pozbawionym sceptycyzmu) przyjrzeniu się osobie cierpiącej, uzna iż zachodzi tu rzeczywiste opętanie przez demony, może przystąpić do odprawienia właściwego obrzędu.

Polega on – w ogromnym uproszczeniu – na odmówieniu pewnych modlitw, które zamieszczone są w Rytuale, oraz wypowiedzeniu wezwań, żądań i rozkazów w imię Jezusa i Kościoła, skierowanych do obcej, wrogiej inteligencji, a także po nawiązaniu z nią kontaktu werbalnego do wypytywania o różne fakty, wreszcie badania, mającego ustalić jak najwięcej szczegółów dotyczących samego procesu opętania, a przede wszystkim czynników i powodów, jakie do niego doprowadziły.

To co opisano tu w niewielu słowach, trwa nieraz i przez wiele dni.

Odejście Przeklętego – w przeciwieństwie do powolnego, podstępnego jego wnikania w istotę ludzką – jest gwałtowne. Opętany rzuca się i wydaje niesamowity ryk. Czasem zaś jeśli demon (demony) powodował na przykład ustawiczny zgiełk, zapada nagła cisza, i w tej samej chwili, równie raptownie, ustępuje wrażenie obecności złej mocy, złej potęgi, złej, przebiegłej i potwornej inteligencji. Niekiedy znów ciało opętanego gwałtownie unosi się w powietrze, by później niemniej gwałtownie spaść na ziemię.

Sam opętany zaś – teraz uwolniony od dręczącej go istoty, od owego niewyobrażalnego koszmaru – powoli zaczyna powracać do rzeczywistości, odzyskując świadomość, choć nie zawsze od razu siły fizyczne.

Czasami pamięta dokładnie, z wszelkimi szczegółami, cały okres zniewolenia przez złego ducha, czasem zaś nie pamięta nic. Okres udręki i nieopisywalnej wprost męki dobiegł końca.

W tym miejscu może zrodzić się pytanie: Czy człowiek opętany grzeszy? Odpowiedź brzmi: Nie. Dlaczego?

Otóż aby zaistniał grzech, musi nastąpić świadome i dobrowolne przekroczenie Prawa Bożego. Opętany zaś ma zawężoną świadomość popełnianych czynów i jest całkowicie pozbawiony własnej woli, która została zastąpiona wolą demona.

To prawda, że na początku musiał on świadomie i dobrowolnie chcieć zrezygnować z tejże wolności własnej woli, ale z chwilą kiedy ją postradał, wszystko czego pragnął, czy pożądał, kierowane było wolą złego ducha. I dlatego też on sam, jako istota ludzka, nie mógł popełniać grzechów.

Na koniec. Należy jeszcze pamiętać, że osoba, która raz już była opętana, dość łatwo może zostać ponownie zaatakowana przez ducha nieczystego, który ją uprzednio gruntownie poznał i potrafi wykorzystać wszystkie jej słabe miejsca.

Dlatego też człowiek taki, od momentu uwolnienia go od posesji winien prowadzić życie prawe i unikać grzechu, starając się jak najwierniej wypełniać Prawo Boże.

Ponieważ jednak wszyscy jesteśmy ułomni i nikt nie jest bez winy, jeśli zdarzy mu się upaść, powinien jak najrychlej oczyścić się z przewin i powrócić do stanu łaski uświęcającej. Stan opętania to oczywiście stan nienaturalny; jak nienaturalne, sprzeczne z przeznaczeniem człowieka do wolności, świętości i szczęścia, jest jakiekolwiek zło, które go dotyka, tak w doczesności, jak i – co dotyczy tych, którzy źle używając wolnej woli odrzucili wspólnotę z Bogiem – także i w wieczności.

Chociaż terminu „opętanie” używa się w dość wąskim znaczeniu, konkretnie na określenie zjawiska, jakie zostało opisane w tym opracowaniu, to jednak – tak naprawdę – można go rozszerzyć i stosować na określenie wszelkiego zła, jakie tylko dotyka ludzi podczas ich życia w ciele.

Każde zło bowiem pochodzi od Szatana, a jeśli wymierzone jest w człowieka, atakuje go i unieszczęśliwia, już się kwalifikuje jako forma, rodzaj opętania.

Wiedza, wiara, autorytet...

Oto zbliżamy się do końca rozważań na temat Szatana i jego królestwa. W dzisiejszych czasach, tak jak i przed wiekami, również zdarzają się przypadki opętań ludzi przez demony. Mniej, lub wcale o nich nie słychać, bo nieszczęśnicy owi, zamiast trafić do egzorcystów, są zamykani w szpitalach psychiatrycznych, uznani za obłąkanych.

Dziś bowiem mało kto wierzy w osobowe istnienie Szatana. A to jest jego największe zwycięstwo.

Mniej więcej dwieście lat temu rozpoczęła się nowa epoka. Wiek XVIII, a szczególnie jego schyłek, ostatecznie pogrzebał nadwątlone przez niedowiarstwo minionych stuleci autorytety. Stał się wiekiem Krytycyzmu, Rozumu i Wolnomyślnej Bezbożności, uzurpując sobie prawo do nazwania siebie także epoką Wolności.

To właśnie w imię owej Wolności walczono z wszystkim, co sięgało dalej niż wczoraj, stawiając sobie za najważniejszy cel zburzenie, zdruzgotanie „starego" świata i ładu, i wzniesienie na ich gruzach wszystkiego od nowa.

Ba! Ogłoszono, że nie istnieje nic prócz materii, że duch to wytwór chorej wyobraźni zacofanych, nieoświeconych pokoleń. Teraz patrząc z perspektywy dwóch stuleci na tamte czasy i na tamte hasła, widzimy jakie przyniosły żałosne plony.

Rozum – ubóstwiony i wysławiony, któremu wznoszono świątynie okazał się zbyt ciasny, aby objąć (nie mówiąc o ich wyjaśnieniu) wszystkie tajemnice naszej Ziemi, że nie wspomnę o tajemnicach Wszechświata.

Krytycyzm przerodził się w równie ciasny dogmatyzm: „Kto twierdzi coś innego niż my, jedyne uprawnione autorytety, jest zacofanym głupcem!" czyż nie to właśnie ciągle i ciągle słyszymy?

Owa wspaniała Wolność, którą obiecywano burzycielom Bastylii, już w niedługi czas potem przyniosła terror i gilotynę demokracji, obozy koncentracyjne i wojnę totalną narodowych socjalistów Hitlera, komunistyczną śmierć w najrozmaitszych postaciach, którą szczuli niewinnych: Lenin, Stalin, Mao, czy Pol–Pot... Wolność, której wciąż za mało ofiar...

Jedynie wolnomyślna Bezbożność nie zmieniła się ani na jotę. Ba! Okrzepła nawet, spotężniała i urosła. Tylko ona nie zawiodła oczekiwań naiwnego człowieka, ustawicznie głosząc, ciągle mu wmawiając, że to on, i nikt inny, jest najważniejszy.

Wbijając go w pychę, tumaniąc i mamiąc, a jednocześnie – jakby mimochodem – popychając ku tym, którzy w imię Wolności strzelą mu w potylicę.

Kontynuatorzy i spadkobiercy tamtych, XVIII – wiecznych, głosicieli materializmu i ateizmu, wbrew oczywistym faktom, wbrew temu, co można zobaczyć, z uporem maniaków i jakąś przedziwną ślepotą, nieustannie głoszą, że istnieje tylko to, co oni umieją zważyć i zmierzyć. A właściwie nawet inaczej – tylko to, w co oni p o z w o l ą wierzyć.

Jeśli można by próbować ich rozgrzeszyć i zrozumieć, kiedy negują jako niepewne świadectwo pojedynczych osób, które miały możność (a może przywilej?) zetknięcia się z Nieznanym, to absolutnie niezrozumiałe i niemożliwe do wybaczenia będzie bezkrytyczne odrzucenie przez nich pewnych, nie mieszczących się w ramach przaśnej powszedniości faktów, takich jak na przykład: ukazywanie się zjaw (co bywa potwierdzane fotograficznie, a także przez uzyskiwanie odlewów kończyn, bądź pozostawienie wypalonych śladów rąk lub nóg tych, co się zmaterializowali), eksterioryzacji, bilokacji (duolokacji), telekinezy, jasnowidzenia, czy prekognicji.

Chociaż to wszystko niezbicie wskazuje na istnienie – realne, rzeczywiste i absolutnie niepodważalne – innego świata, czy może raczej innej rzeczywistości niż ta znana nam, codzienna, owi sceptyczni mędrkowie wszystko odrzucają a priori, nie zadając sobie trudu już nawet nie zbadania ponadnaturalnych zjawisk zdających się świadczyć o istnieniu obok

świata materialnego również i świata niematerialnego, duchowego, ale nawet szczegółowego zapoznania się z nimi.

Jeśli zatem, w taki właśnie, a nie inny sposób, odnoszą się do zdarzeń dziwnych, choć nie można na tym etapie ich poznania z całą stanowczością stwierdzić czy przypadkiem nie mają one pochodzenia naturalnego (tyle że kierowanego nie poznanymi jeszcze, nie odkrytymi prawami), to czyż należy się dziwić, że gdy przychodzi do zajęcia przez nich stanowiska w kwestiach stricte metafizycznych, nie można się spodziewać żadnej poważnej opinii, prócz mniej czy bardziej zakamuflowanej kpiny i szyderstwa.

Bóg? Jaki Bóg?! Już w XVIII wieku ustalono, że Boga nie ma! Szatan? Jaki Szatan?! Toż to średniowieczny zabobon! Społeczeństwo karmione takimi poglądami, poglądami które bynajmniej nie są rzetelnym naukowym wyjaśnieniem, a stanowią jedynie przejaw w i a r y w nieistnienie istot duchownych i takiegoż świata (i niczym nadto!!!) zostaje ogłupione, biorąc mrzonki i fantazje za dobrą monetę. A zwykli zjadacze chleba niczym papugi powtarzają za „autorytetami" wszystko to, w co owe „autorytety" każą wierzyć, sądząc w swej naiwności, iż jest to niepodważalna, obiektywna „naukowa" prawda. Tymczasem jest to tylko w i a r a z prawdziwą nauką nie mającą absolutnie nic wspólnego.

A jakie argumenty przytaczają owe „autorytety"? Cóż, koronnym i najważniejszym jest ten, iż w sposób naukowy nie da się udowodnić istnienia Boga czy świata duchów.

Ale niechże będą uczciwi i dodadzą zaraz, że w tenże naukowy sposób nie da się również udowodnić i tego, iż Bóg czy świat duchowy nie istnieją. Tylko o tym już – niestety – milczą.

Czyli? Jedna wiara, wiara bazująca wyłącznie na autorytecie częstokroć skompromitowanych, XVIII i XIX–wiecznych mędrków przeciwstawia się innej wierze, wierze, która odwołuje się do autorytetów ponadludzkich i wiele tysięcy lat liczącej Tradycji. Która z tych wiar więcej waży osądź już sam, drogi Czytelniku.

I to już wszystko, co miałem do powiedzenia.

III. Historie przerażające

OPOWIEŚCI PRAWDZIWEO OBJAWIANIU SIĘ DUSZ CZYŚĆCOWYCH

Poczynając od XVI wieku, protestanci zasiali w wielu osobach wątpliwości, co do faktu istnienia czyśćca. Ba! Przydarzyło mi się poznać – skądinąd pobożnych – katolików, którzy wiarę w czyściec między bajki kładli, uważając, że przeżyła się ona jak podróżowanie wołami, czy ucieranie pieprzu w moździerzu.

Do owego sceptycyzmu swój kamyczek dołożyli także i mędrkowie współcześni, uważając, że są tematy, których „nie wypada" poruszać, że „to nie uchodzi", bo można zyskać etykietę człowieka zacofanego.

Ludzie wierzący w najrozmaitsze banialuki, byleby miały one pozory naukowości, odrzucają jako zmyślenie, jako „średniowieczny zabobon" to, w co od wieków wierzyli ich przodkowie.

Być może dzieje się tak dlatego, że mniemają, iż to właśnie owi przodkowie byli wynalazcami, w tym konkretnym wypadku, nauki o czyśćcu...

Tak czy inaczej, odrzucając część z tego, co Kościół podaje do wierzenia, wierząc inaczej niż Kościół, pewnie nieświadomie, ale przecież stają się *heretykami*.

Teraz, chciałem zacytować pełne hasła z dwu źródeł XIX–wiecznych dotyczące czyśćca. Dlaczego właśnie cytaty? Bowiem są one dokładne i wyczerpujące, dające pełne wyobrażenie o jakże intrygującej.

Zwięzła nauka o czyśćcu

„Nazwą [czyściec] oznaczamy bądź miejsce, bądź ogół bolesnych mąk, którym podlegają po śmierci dusze sprawiedliwych, przeznaczone do oglądania Boga, lecz bezpośrednio posiąść Go nie mogące w skutek nie odpokutowanych jeszcze tu na ziemi swych grzechów powszednich, lub wskutek kar doczesnych, na jakie śmiertelnymi grzechami zasłużyły, grzechami, których całkowicie w życiu doczesnym nie odpokutowały. Czyściec przeto jest przeznaczony tylko dla osób dorosłych, zmarłych w stanie łaski, lecz niedostatecznie wobec Boga oczyszczonych. To też musi się on skończyć kiedyś koniecznie, już nie tylko dla duszy po szczególe, ale i dla wszystkich dusz w ogólności, ponieważ kary, których jest zbiornikiem, mają za przedmiot rzeczy skończone i ograniczone, a mianowicie grzechy powszednie i męki doczesne. Podług wszelkiego prawdopodobieństwa i podług wyraźnego zdania św. Augustyna (De Civ. Dei XXI. 16), stanie się to w chwili sądu ostatecznego, w chwili zagłady wszelkiego stworzenia; czyściec wtedy przestanie być miejscem pośrednim między niebem a piekłem, miejscem nie dla wszystkich przeznaczonym, miejscem, do którego na przykład nie wchodzą nigdy dzieci odrodzone przez łaskę, a śmiercią zaskoczone zanim jeszcze doszły do użytkowania rozumu. Dzieci umierające bez łaski odrodzenia duchowego, idą nie do czyśćca, lecz otrzymują miejsce kary, oznaczone w teologii nazwą otchłani, limbus puerorum, a graniczące z piekłem, do którego jest podobne męką nieoglądania Boga, nie zaś – mękami zmysłów.

II. Koncylium Trydenckie (sobór trydencki – przyp. A.S.) w ten sposób wypowiada naukę katolicką. 1) Jest czyściec. 2) Bywają w nim zatrzymane dusze zmarłych, gdy pozostając w stanie łaski uświęcającej, nie posiadają jeszcze zupełnej niewinności, albo też gdy mają jeszcze pełnić karę doczesną za jakiś grzech śmiertelny, sakramentalnie co do winy już przebaczony. 3) Te są właśnie dwie główne przeszkody wejścia do nieba. 4) Dusze czyśćcowe mogą być wspomagane ofiarą Mszy św., a także modlitwami, jałmużnami, pokutą członków Kościoła wojującego.

Tenże sam Sobór Trydencki oświadcza, że punkta powyższe są artykułami wiary, i że zawierają się w świętych źródłach objawienia tj. w Biblii, w Tradycji i w nauce Soborów powszechnych. Odnośnie do Biblii, usprawiedliwia ona orzeczenie Soboru Trydenckiego tym wszystkim, co nam powiada o świętości i niedoścignionej czystości Boga, o naturze i następstwach grzechu, o warunkach koniecznych do bezpośredniego oglądania Boga; tym co nam powiada o ofiarach, zarządzonych przez Judę Machabeusza za dusze żołnierzy poległych na polu walki, a potwierdzonych przez samego Ducha Świętego (II Machab. XII, 43 nst.) i tym wszystkim w ogóle, co Duch Św. na wielu innych miejscach daje do zrozumienia, na przykład w liście I Kor. III. 13 nst.

Co się tyczy Tradycji, to nie masz nic pewniejszego nad modlitwy za zmarłych, nakazywane przez starożytne liturgie, wyrażane na grobowcach z pierwszych wieków chrześcijaństwa, wspominane przez Tertuliana (Coron. milit. IV), przez św. Augustyna (Confess. IX, 13), przez św. Cyrylla Jerozolimskiego (Catech, myst. , 9 ss). Wreszcie, co do Soborów, to wystarczy przytoczyć tylko Sobór Florencki (Decret: unionis) i Sobór Trydencki (sess. VI, can. 30: sess XXII, cap. 2: sess. XXV, decr.), – i jeden i drugi sobory ekumeniczne. (...)

IV. – 1. Cel czyśćca jest najzupełniej rzeczywisty i realny. Naprzód bowiem, grzech powszedni, aczkolwiek nie jest tak ciężki jak grzech śmiertelny, nie mniej jednak jest pewną obrazą Boga i powinien być odpokutowany; skoro nie mógł być odpokutowany na tym świecie, musi być koniecznie odpokutowany na przyszłym; inaczej bowiem jakież byłoby jego znaczenie? Następnie, kary doczesne należą się nie tylko za grzech powszedni, nimi samymi tylko karany, ale najczęściej za grzechy śmiertelne, w sakramencie pokuty, co do winy już przebaczone Zazwyczaj Pan Bóg człowiekowi ochrzczonemu, powtórnie w grzech

upadającemu nie udziela zupełnego odpuszczenia całkowitej kary, lecz nakłada nań karę doczesną, którą spełnić powinien w tym lub przyszłym życiu. Ten jest dwojaki cel czyśćca; a że nie wierzy weń dawny lub nowoczesny racjonalizm, to nie dowód, abyśmy i my weń nie wierzyli.

2. Dogmat o czyśćcu nie tylko stwierdza rzeczywistość życia dusz poza grobem: twierdzi on również o możliwości, a nawet rzeczywistości oczyszczających kar doczesnych dla pewnej ilości dusz schodzących z tego świata. A o rzeczywistości istnienia czyśćca przekonuje nas nie tylko samo tylko uczucie, jak chcą przeciwnicy, lecz rozum, nie mit żaden, lecz – chrześcijańskie objawienie. (...)

4. Przypuszczają powszechnie, że czyściec nie jest zbyt oddalony od piekła, że ogień, smutek, wyrzuty sumienia, pragnienie itd. stanowią w nim mniej lub więcej straszną męczarnię, że trwanie czyśćca może być albo bardzo długie, albo bardzo krótkie. Z drugiej zaś strony nie ma wątpliwości, że czyśćcem ukarane dusze są na szczęście niezdolne do dalszego grzeszenia i zabezpieczone od wszelkiego zwątpienia i rozpaczy. Lecz choćby nawet pewne szczegóły w danym przedmiocie były niejasne, to cóż może znaczyć ta niejasność wobec rzeczywistości tego, czego nas uczy Kościół. (...)" (Słownik apologetyczny wiary katolickiej, podług Dra. Jana Jaugey'a, opracowany i wydany staraniem X. Władysława Szcześniaka, Mag. Teol, i grona współpracowników, Warszawa 1894, t. I, s. 390 – 392)

A oto drugie, wcześniej zapowiadane, i obszerniejsze hasło:

„Czyściec, jest to stan zupełnego oczyszczenia się, zadość uczynienia, pokuty dusz wiernych zeszłych z tego świata, które, lubo wolne od grzechów, muszą jednak odcierpieć kary doczesne należne grzechom. W każdym bowiem grzechu śmiertelnym należy odróżnić trzy rzeczy: winę (culpa), karę wieczną i karę doczesną. W sakramencie pokuty gładzi się wina i kara wieczna się odpuszcza dla naszego żalu serdecznego i miłości ku Panu Bogu. Karę zaś doczesną, lubo niezupełnie oczyszczeni na sumieniu, wycierpieć musimy albo w tym życiu, przez cierpliwe znoszenie różnych cierpień, albo w przyszłości, w czyśćcu. Zdarzyć się może, że ludzie nawet ciężkimi grzechami skalani, tak wielki mają żal, tak gorącą pałają miłością i chęcią zadość uczynienia sprawiedliwości Bożej, że ich Bóg zarówno od winy, jak i wszelkiej kary uwalnia, i nie przeprowadzając przez męki czyśćcowe, wprost przyjmuje do nieba. Nadto, są jeszcze i grzechy powszednie, które plamią wprost duszę, lecz jej nie zabijają, podkopują życie duchowe, lecz go zupełnie nie niszczą, zmniejszają łaskę, lecz jej całkowicie nie odbierają. Ludzie przeto tymi grzechami obciążeni nie muszą być skazani na piekło, ponieważ są sprawiedliwymi, dziećmi i przyjaciółmi Boga; nie mogą również zaraz być przyjęci do nieba, ponieważ „nic skalanego do niego nie wchodzi". (Ap. 1, 27): zatem z tych drobnych ułomności i przewinień muszą zupełnie obmyć się duchowo w czyśćcu. Czyściec, gdzie nabieramy takiej doskonałości i świętości, że godni jesteśmy oglądać oblicze Boga, jest miejscem przejściowym, pośrednim, które prowadzi do życia błogosławionego, doświadczenie, pole zasługi, lecz stan pokuty; dusza jest już w łasce, a radość chwały niebieskiej dochodzi tu drogą oczyszczającego cierpienia. Oddzielona na jakiś czas od Boga, żyje nadzieją i pewnością, że kiedyś posiądzie na wieczne dziedzictwo Boga, źródło radości i szczęścia. Kościół podaje dwa zdecydowane dogmaty o czyśćcu. 1) Że czyściec jest. 2) Że my członkowie Kościoła wojującego wspierać możemy dusze w czyśćcu będące modłami, dobrymi uczynkami, a zwłaszcza ofiarą Mszy św. Wszystkie inne w tym przedmiocie kwestie, z tych dwóch punktów dogmatycznych wyprowadzane, są (wyłącznie – przyp. A.S.) zdaniem teologów i mają tyle powagi, ile mają dowodów na swoje poparcie. Tego rodzaju są pytania następujące: 1) Czy po sądzie ostatecznym nie będzie czyśćca, jak utrzymuje św. Augustyn (...) 2) Gdzie znajduje się czyściec? 3) Jakie są kary czyśćcowe: na czym polega natura tych cierpień, czy znajduje się tam ogień i jakiego rodzaju? Bellarmin, lib. de purg., utrzymuje, że oprócz kary tak nazwanej poena damni, pochodzącej z niewidzenia Boga, a które to cierpienie jest duchowej natury, są jeszcze inne kary, dotykające

zmysły i ciało (poena sensus) i przypuszcza ogień rzeczywisty. Inni teologowie utrzymują, że jest to ogień duchowy, raczej dotykający duszę niż ciało. Na soborze florenckim grecy nie godzili się na przypuszczenie ognia w czyśćcu, jednak do braterskiej jedności w wierze byli przyjęci. 4) jak długo trwają cierpienia czyśćcowe? 5) Jakiego jest rodzaju nadzieja i pewność dusz wiernych, że kiedyś przypuszczone będą do upragnionego szczęścia? 6) Czy po sądzie szczegółowym natychmiast bezpośrednio dusze przechodzą do czyśćca? I na koniec. 7) Jaka jest skuteczność modłów, dobrych uczynków, a zwłaszcza Mszy św., które członkowie Kościoła wojującego Bogu za dusze wierne ofiarują? Wyjątek zrobić potrzeba dla jednego zdania, mianowicie że kary czyśćcowe są bardzo ciężkie i cierpienie wielkie. Zdanie to, lubo przez Kościół nie głoszone jako dogmat, jednak przez wszystkich teologów jest przyjęte i na silnych oparte dowodach, a zatem jako pewne uważać je należy. Dogmat o istnieniu czyśćca jest jasno wyrażony w St. i N. Testamencie. W psalmach 65, 12. czytamy: „Przeszliśmy przez ogień i wodę i wywiodłeś nas na ochłodę." Orygenes i św. Ambroży miejsce to stosują do czyśćca. Następnie w księdze Machabejskiej II c. 12 v. 43 – 46 czytamy: „A złożywszy dwanaście tysięcy drachm srebra, posłał do Jeruzalem, aby ofiarowano za grzechy umarłych ofiarę, dobrze i pobożnie o zmartwychwstaniu myśląc (bo gdyby się nie był spodziewał, że oni pobici zmartwychwstać mieli, zdałaby się rzecz niepotrzebna i próżna modlić się za zmarłych), a iż uważał, że ci, którzy pobożnie zasnęli, bardzo dobrą łaskę mieli zachowaną. A tak święta i zbawienna jest myśl modlić się za umarłych, aby byli od grzechów rozwiązani." Czyn i słowa Machabeusza są tak jasne, że nie potrzebują objaśnienia. Z nich o dwóch przekonywamy się rzeczach. 1. Że można żyć pobożnie i świątobliwie umierać, a jednak mieć dług do spłacenia Bogu. 2. Że z tego długu można uiścić się po śmierci. W Nowym Testamencie u Mateusza 12, 32.: „I ktobykolwiek rzekł słowo przeciwko Synowi Człowieczemu będzie mu odpuszczono: ale ktoby mówił przeciwko Duchowi św., nie będzie mu odpuszczono ani w tym wieku, ani w przyszłym." Z tych słów przekonywamy się, że są takie rzeczy, jakie mogą być odpuszczone po śmierci. Nie są to zaś grzechy co do winy i kary wiecznej, bo te już w tamtem życiu odpuszczone nie będą, a zatem odpuszcza się tam kara doczesna. Najdawniejsi i najuczeńsi Ojcowie Kościoła tym tekstem dowodzili bytności czyśćca. Św. Augustyn, De civ. Dei lib. 21 cap. 14. mówi: Nieprawdziwie powiedzianoby o niektórych, iż im nie będzie odpuszczono, ani tutaj, ani w przyszłości, gdyby nie było takich, którym jeśli nie tu, to w przyszłości się odpuszcza." Dalej u św. Łukasza 12, 58. „Gdy tedy idziesz z twym przeciwnikiem do przełożonego, staraj się w drodze, abyś był wolny od niego, aby cię snadź nie pociągnął przed sędziego, a sędzia cię nie podał wyciągowi, a wyciągacz by cię nie wrzucił do więzienia. Powiadam ci nie wyjdziesz stamtąd, aż i ostatni drobny pieniądz oddasz." Celem tej paraboli jest pouczyć, że dopóki jesteśmy przy życiu, o ile można powinniśmy się wypłacać Panu Bogu, gdyż teraz jest czas miłosierdzia i pobłażania; w przyszłości zaś z całą ścisłością i surowością będzie od nas wymagane zadośćuczynienie. Tradycja w tym względzie równie jest jasna i stała: świadczą o niej Ojcowie Kościoła, postanowienia soborów powszechnych i prowincjonalnych, liturgia i obrzędy. Z Ojców Kościoła przytaczamy niektórych: Orygenes (Hom. 16 c. 5, 6) mówi: „Jeśli opuszczamy to życie obciążeni grzechami, lecz zarazem pełniliśmy dobre uczynki, czy będziemy zbawieni dla dobrych uczynków i uwolnieni od grzechów? albo raczej, czy będziemy ukarani dla grzechów i nigdy nie otrzymamy nagrody za dobre uczynki? Ani jedno, ani drugie. Być nagrodzonym za dobre, a nie ukaranym za złe, któreśmy popełnili, sprzeciwia się sprawiedliwości Bożej, która chce oczyścić dusze i uwolnić od złego, które je pożera. Najprzód niesprawiedliwość odbiera swą należność, następnie cnota." Św. Efrem w swym testamencie mówi: „Błagam was, moi ukochani, nie zlewajcie ciała mego perfumami, lecz otaczajcie je modlitwami i ofiarujcie Bogu kadzidło dusz waszych, myślcie o mnie trzydziestego dnia, albowiem modlitwy i ofiary pobożnych wiernych ulgę przynoszą umarłym." Św. Grzegorz z Nazjanzu (Orat. 41 de laude Athanas) mówi: „Trzy są

oczyszczenia, jedno przez chrzest, inne przez pokutę, trzecie przez ogień: w życiu przyszłym dusze będą chrzczone przez ogień; jest to ostatni chrzest, najdłuższy i najprzykrzejszy ze wszystkich; on zniszczy to, co jest ziemskiego, jako zeschniętą roślinę i wytępi owoc przewrotności." Św. Chryzostom (hom. 24) mówi: „Idąc za natchnieniem Ducha św., Kościół ofiaruje ofiarę Mszy św. za tych, którzy zasnęli w Chrystusie; pamiętajcie o nich nie płaczem, jękami, lub wystawianiem wspaniałych nagrobków, lecz modlitwą, jałmużną, szczególniej zaś Najświętszą Ofiarą, aby wyjednać im szczęście obiecane." Z Ojców łacińskich, którzy w nauce o czyśćcu zupełnie są zgodni z Ojcami greckimi, niektóre przytaczamy wyjątki. Tertulian (De cor. mil. 3,4): „Wdowa wierna modli się za duszę swego męża, prosi, aby przebaczono karę, aby mogła się nim połączyć po zmartwychwstaniu ciał i ofiaruje najświętszą Ofiarę w rocznicę jego śmierci." Św. Hilary (De Trinit. VII) tak się wyraża: Doznamy tego ognia, w którym dusze nasze, skalane grzechem, będą musiały ponieść najsroższe cierpienia." Św. Augustyn wiele pisał o czyśćcu. Również św. Grzegorz W., św. Izydor Sewilski, św. Bonifacy bp moguncki, Piotr Lombardus zwany ojcem scholastyków i wielu innych. Z soborów wystarczy nam powaga trydenckiego, który (sess. 25 de purgatorio; cf. sess. 6 can. 30, sess. 22 cap. 2) zaleca biskupom wierzyć, nauczać i opowiadać ludowi wszędzie naukę o czyśćcu, taką, jaka została przekazana przez Ojców i sobory. Co zaś do kwestii głębokich i trudnych, które zrodzić się mogą w tym przedmiocie, a które po największej części nie przyczyniają się do zbudowania i pomnożenia pobożności, należy ich unikać w nauczaniu ludowym. Liturgie, które zarówno jak dzieła Ojców Kościoła zawierają tradycję czystą i nieskażoną, stwierdzają też naszą naukę. W liturgii św. Bazylego (...) czytamy: „Pamiętaj Panie, o tych wszystkich, którzy zasnęli w nadziei zmartwychwstania i wiekuistego żywota, prosimy cię o spokój dla duszy N.N. i odpuszczenia jej grzechów. O Panie, daj jej radość w przybytku światła, gdzie ginie wszelki smutek i wszelka boleść." Toż samo znajdziemy w liturgii św. [Jana] Chryzostoma, oraz w liturgii (...) św. Jakuba, o której wspomina św. Cyryl aleksandryjski w swych „Katechezach".

Wyjąwszy niewielu heretyków, jak Aerjusza, Piotra de Bruys oraz waldensów i husytów, nauka o czyśćcu wyznawana była przez wszystkich chrześcijan rozproszonych po całym świecie. W XVI w. protestanci wypowiedzieli jej zaciętą wojnę. Luter, jak w wielu innych kwestiach, tak i tutaj zmieniał swoje zdanie. Najprzód zupełnie po katolicku rozprawiał o czyśćcu, później do prawdy przyłączył wiele błędów, na koniec zaprzeczał go zupełnie. Kalwin oburza się niezmiernie na tę naukę i w gniewie nazywa ją szkodliwym wynalazkiem szatana (Institus. lib. III c. V n. 6). Protestanci wszystkie miejsca Pisma św. mówiące o czyśćcu tłumaczą przenośnie, że zaś przytoczonego wyżej miejsca księgi Machabejskiej, tak jasno i wyraźnie świadczącej o naszej prawdzie, wykrętnie wytłumaczyć nie mogli, odrzucili tę księgę zupełnie, jako apokryf; (...) Św. Augustyn, De civit. Dei 1. 21 mówi: Że uczniowie Platona po śmierci żadnej innej nie uznawali kary, oprócz czyśćcowej. O innych narodach obszernie pisze Belarmin. (...) Dowiedliśmy wyżej, że dogmat o czyśćcu wprost z Objawienia płynie, najwyraźniej o nim Pismo i tradycja; przyznać wszakże możemy, że odpowiada on wybornie potrzebie serca ludzkiego, ale to nie osłabia, lecz utwierdza jeszcze naszą prawdę, a w każdym razie przekonuje raz jeszcze, że nauka objawiona zgodna jest z naturą ludzką i z jej szlachetnymi popędami. Nauka zaś protestancka w tym punkcie jest straszliwą i zasmucającą: zadaje gwałt najzacniejszym uczuciom serca, zrywa więzy święta, łączące dwa światy, widzialny i niewidzialny; rozdziela świętą szatę jedności Kościoła wojującego i cierpiącego; wreszcie, odejmuje sposobność okazania wdzięczności i czynienia dobrze rodzicom, braciom i dobrodziejom." (Encyklopedia kościelna podług teologicznej Encyklopedji Wetzera i Weltego, z licznemi jej dopełnieniami, przy współpracy kilkunastu duchownych i świeckich osób wydana przez X. Michała Nowodworskiego, Warszawa 1874, t. III, s. 680 – 683)

O naturze i przymiotach kar czyśćcowych

W poprzednim rozdziale w sposób zwięzły, a jednocześnie bardzo konkretny, zaprezentowana została oficjalna nauka kościelna sprzed Soboru Watykańskiego II o czyśćcu, jako o stanie (i miejscu?), pośrednim pomiędzy piekłem a niebem, w którym dusze po śmierci muszą się wypłacić ze swych niedoskonałości Stworzycielowi, aby w pełni oczyszczone mogły przestąpić bramy raju.

Nie wydaje mi się, aby do owych dwu przytoczonych encyklopedycznych haseł trzeba było jeszcze cokolwiek dodawać. Rozwijanie owych kwestii, zastanawianie się nad nimi, interpretowanie tych czy innych ustępów biblijnych bądź zdań Ojców Kościoła należy zostawić uczonym teologom.

Na kartach tej książki jest to zbędne, kieruję ją bowiem do Czytelnika, którego zawiłości teologiczne raczej nie interesują.

Naszym celem jest, przede wszystkim, przybliżenie świata umarłych światu żyjących i uświadomienie, że nie są one – te światy – bynajmniej oddzielone od siebie żelazną kurtyną, lecz bliskie sobie i wzajemnie potrzebne. Że żywi mogą i powinni wspomagać tych, którzy pokutują w czyśćcu, zaś ci ostatni mogą znów wspierać swymi modlitwami nas, którzy jeszcze wędrujemy poprzez doczesność zmierzając do jedynego celu, który majaczy kędyś tam na dalekim horyzoncie – ku Wieczności.

Kościół na temat kar, a dokładniej na temat na czym polegają te kary, nie wyraził orzeczenia dogmatycznego. Wielowiekowa tradycja jednak, opisy mąk czyśćcowych w jakie obfituje hagiografia, prywatne objawienia udzielane osobom świętym lub zgasłym w opinii świętości, a dotyczące tej kwestii, jednoznacznie wskazują na fakt, iż kary czyśćcowe są niezmiernie dotkliwe i ciężkie. Ba! Mówią nawet, że i najsroższe cierpienia jakich człowiek żyjący doświadcza w doczesności, nawet niewielkim ułamkiem nie dorównują temu, czego doświadcza dusza, która musi się w czyśćcu wypłacać sprawiedliwości Bożej.

Jak wspomniałem wcześniej, najsroższą z kar jest *opóźnienie oglądania Boga* (które stanowi istotę szczęścia niebieskiego). Tyle tylko, że owo opóźnienie oglądania Boga nie sprawia duszom czyśćcowym aż takiego smutku i bólu, jak duszom ludzi potępionych. Ci pierwsi bowiem mają pewność, że czas ich kary będzie miał kres, drudzy natomiast wiedzą, że ich męka *nigdy* się nie kończy i trwać będzie w Wieczności, w ustawicznej teraźniejszości. Dlatego do ich smutku i bólu dołącza się także i *rozpacz*.

Ponieważ dusze czyśćcowe wiedzą, że ich karanie mieć będzie kres, los swój znoszą z cierpliwością, nie mając najmniejszego powodu do rozpaczy, chociaż – co oczywiste – odłączenie od widzenia uszczęśliwiającego Boga sprawia im niewymowną przykrość.

Prócz tej najsroższej z kar, o której dopiero co powiedzieliśmy, dusze w czyśćcu ponoszą także kary zmysłów. Są to: ciemności, smutek i ból (fizyczny oraz psychiczny), a także kara ognia, którego natura podobna jest – jak można domniemywać – do natury ognia piekielnego, który spala, lecz nie niszczy.

O ogniu czyśćcowym i dotkliwości mąk, jakie on powoduje, na przestrzeni wieków wypowiadało się wielu świętych i Ojców Kościoła.

Na poparcie stwierdzenia, iż w czyśćcu obecny jest ogień, przytacza się te oto słowa św. Pawła Apostoła:

„Ten, którego dzieło wzniesione na fundamencie przetrwa, otrzyma zapłatę; ten zaś, którego dzieło spłonie, poniesie szkodę: sam wprawdzie ocaleje, lecz tak jakby przez ogień." (1 Kor. 3,14; cyt. za: Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, tzw. Biblia Tysiąclecia, Poznań – Warszawa 1980; przy dalszych cytatach z tego źródła będzie ono znaczone skrótem BT)

Według tradycji i Ojców Kościoła, ciężkość i dotkliwość kar czyśćcowych jest ogromna i wręcz trudna do przekazania nam przy użyciu zwykłego języka, jakim na co dzień się

posługujemy, bo też dotyka to zagadnień nie mających nic wspólnego ze znaną nam materialną doczesnością, którą teraz jedynie znamy (i to nie do końca).

Dla pocieszenia jednak trzeba wspomnieć i o tym, że dusze cierpiące męki w czyśćcu, mimo smutku, żalu i bólu, nie są też pozbawione pewnej dozy, czy może pewnego rodzaju radości z faktu, że przecież – chociaż nie od razu zostały przyjęte do niebieskiej ojczyzny – to przecież nie przegrały swego losu, nie zmarnotrawiły życia i, po wypłaceniu się sprawiedliwości Boskiej, trafią wreszcie tam, gdzie Bóg chciałby mieć każdego człowieka – do Nieba.

Niektórym to co napisałem może wydawać się niezbyt logiczne. No bo czyż można odczuwać radość jednocześnie cierpiąc trudne do wyobrażenia męki?

W tym miejscu posłużę się pewnym porównaniem: Wyobraźmy sobie człowieka, który doznał tak strasznego wypadku samochodowego, iż ledwo uszedł z życiem, na dodatek poważnie poturbowany i okaleczony. Czyż jednak mimo bólu, jaki mu dokucza nie będzie się szczerze i z całego serca cieszył, gdy z ust lekarzy usłyszy zapewnienie, że ten jego stan kalectwa jest tylko przejściowy, że w pełni odzyska zdrowie, a po odniesionych obrażeniach nie zostanie nawet ślad?

Sądzę, że tak właśnie jest z duszami czyśćcowymi. Ich niezachwiana pewność zbawienia sprawia, że mimo męki, potrafią się cieszyć, a można domniemywać, iż ich radość wzrasta, im bliższy się staje czas uwolnienia ich z ciemnicy.

Jak zapewne zauważyłeś, miły Czytelniku, główną i zasadniczą różnicą pomiędzy karami czyśćcowymi a piekielnymi jest to, iż pierwsze będą mieć swój kres, drugie zaś nigdy nie ustaną.

Co zaś do długości i intensywności kar czyśćcowych, trudno nam tu jednoznacznie wyrokować. Wielkie autorytety kościelne skłaniają się ku temu, iż cierpienia w czyśćcu dla jednych mogą być lżejsze, dla innych cięższe. Dla jednych krótkotrwałe, dla innych niezmiernie rozciągnięte w czasie.

Jest to – oczywiście – nader logiczne, bowiem nie wszyscy ludzie jednakowo grzeszą, aby być jednakowo karanymi.

Ponieważ zgodnie z Objawieniem Bożym po śmierci nie ma już ani zasługi, ani winy, dusze przebywające w czyśćcu nie mogą swymi cierpieniami czy modlitwami zdobyć żadnych zasług, a jedyne, co mogą, to poprzez pokutę wypłacać się sprawiedliwości Najwyższego.

Nie oznacza to jednak, iż nie ma możliwości udzielenia pomocy tymże duszom. Mogą im pomagać: wstawiennictwo Matki Bożej, świętych, no i oczywiście my, żyjący.

Ofiarując za dusze w czyśćcu cierpiące msze, modlitwy, dobre uczynki, jałmużny – słowem wszelkie zasługi – możemy przynosić im ulgę i ochłodę, a także skracać czas trwania kary.

Ta wiara ma odzwierciedlenie – o czym było już wyżej – w tradycji i liturgii Kościoła (i to we wszystkich starożytnych obrządkach, tak wschodnich, jak i zachodnich), który nigdy nie zaniedbywał publicznych modlitw za zmarłych, potwierdzając sens tego swoim najwyższym autorytetem. Wspomnieć należy jeszcze jedno, to mianowicie, że tak jak my żyjący możemy pomagać duszom czyśćcowym, tak samo i one mogą pomagać i nam. Ich modlitw w naszych intencjach Pan Bóg chętnie wysłuchuje.

„Dusze czyśćcowe są w łasce u Boga, są to ukochane dzieci Boże, Pan Bóg przyjmuje ich modlitwy za nas zasyłane; a nawet, jak zapewniają Ojcowie Święci, że Pan Bóg, wiedząc, iż ludzie zwykli czynić rzeczy doczesne, dał duszom czyśćcowym szczególny przywilej wypraszania dla ludzi różnych łask doczesnych, aby się przez to zachęcali do ich ratowania.

Święta Katarzyna Bolońska zapewnia, że wszystko, o co prosiła Boga przez przyczynę dusz czyśćcowych, a nawet dalej, mówiąc, że o niektóre łaski prosiła na próżno świętych Pańskich, a przez pośrednictwo dusz czyśćcowych otrzymała je.

Jeśli te święte dusze mogą tyle u Boga wyjednać, będąc jeszcze w stanie cierpienia, łatwo pojąć, że ich prośby skuteczniejsze będą, gdy zostaną uwieńczone koroną chwały. Wątpić nie można, że najpewniejsza ich modlitwa przed tronem Boga będzie za tych, którzy im otworzyli wejście do nieba i zawsze będą się modlić za nich, ile razy ujrzą ich w jakim niebezpieczeństwie, lub w jakiej potrzebie. W chorobach, utrapieniach, w różnych przypadkach itp. będą ich ratować. Gorliwość ich wzrastać będzie w miarę potrzeb duszy tych, którzy za nich się modlą: zwycięstwo w pokusach, pomoc w nabyciu cnót, ratunek w godzinie śmierci, wybawienie z mąk przyszłego żywota.

Pan Bóg, który hojnie udziela ludziom łask rozmaitych, nie może ich udzielać ze względu na swą sprawiedliwość, duszom cierpiącym w czyśćcu, jeśli żyjący na ziemi modłami swymi, a szczególniej ofiarą Krwi przenajdroższej lub Mszy świętej nie wstawiają się za nim. – A jednak mamy tyle środków do ich wybawienia i zadośćuczynienia sprawiedliwości Boga, który tęskni za tymi duszami.

Pan Jezus niejako prosi nas, abyśmy dla zadośćuczynienia sprawiedliwości Bożej, ofiarowali Jego mękę, Jego zasługi, Jego Krew przenajdroższą, Ojcu przedwiecznemu za te dusze, tak jak On za nasze odkupienie ofiarował się na krzyżu.

Każde zadośćuczynienie złożone Bogu za te cierpiące dusze, każde zaofiarowanie Krwi przenajdroższej Bogu Ojcu, a szczególniej każda Msza święta wysłuchana nabożnie, każda Komunia przyjęta z pokorą, każda jałmużna, każdy odpust zyskany – o jak jest drogocennym okupem dla dusz biednych, których wybawieniem uczynimy niewysłowioną radość Trójcy Przenajświętszej, Dziewicy Maryi i całemu niebu.” (A. Morawski: Cuda i łaski Miłosierdzia Bożego oraz Nowenna za dusze w czyśćcu cierpiące. Warszawa 1892, s. 9 – 11)

Traktat o czyśćcu świętej Katarzyny Genueńskiej

Na zakończenie naszych rozważań na temat nauki o czyśćcu, pozwolę sobie przytoczyć w całości „Traktat o czyśćcu" św. Katarzyny Genueńskiej.

Najpierw może jednak kilka zdań na jej temat.

Urodziła się w roku 1447 w Genui, a pochodziła ze szlachetnego rodu Fieschi. Jej ojciec, Jakub, piastował nader zaszczytną funkcję, był bowiem vice–królem Neapolu.

Mimo, iż od najmłodszych lat pragnęła poświęcić się służbie Bogu, zmuszona przez rodziców poślubiła rozpustnika i hulakę, ale także ze szlachetnego rodu pochodzącego, niejakiego Juliana Adorno.

Używając bardzo, ale to bardzo delikatnego określenia, przy jego boku przeżyła nader ciężkie chwile. Jej ufność w Bogu i ustawiczne modły sprawiły, że mąż–hulaka, przed śmiercią nawrócił się i umarł pogodzony z Bogiem.

Dalszy okres jej życia, to 36 lat wdowieństwa, kiedy to zasłynęła heroicznymi cnotami, poświęcając się chorym i najbiedniejszym.

Jej srogie umartwienia, jakim poddawała swe ciało, a w szczególności niesłychanie ostre posty, wprawiały w zdumienie tych, którzy ją znali. Heroiczność cnót, duch modlitewny, prawdziwie chrześcijańska pokora, srogie umartwienia ciała, wszystko owo sprawiło, że już za życia cieszyła się opinią świętości. Za życia obserwowano u niej występowanie zjawisk mistycznych, za życia także czyniła cuda. Po śmierci, która nastąpiła 14 września 1510 roku, lud począł jej oddawać cześć jako świętej. Kościół wyniósł ją na ołtarze w roku 1737.

Tyle – w ogromnym skrócie – można powiedzieć o autorce dzieła, które poniżej zamieszczę. Ale oddajmy wreszcie głos jej samej.

***

„Kiedy ta Święta Pani, zostając w śmiertelnym ciele i miłości Boskiej ogniem pałając, jakby w płomieniach czyśćcowych od wszelkiej zmazy i niedoskonałości oczyszczała się, aby zaraz po zejściu z tego świata zupełnie czysta mogła stanąć przed Bogiem, słodkim przedmiotem swojej miłości; przez ten ogień miłości w niej się płomieniący, poznała stan dusz wiernych zmarłych, które w czyśćcu muszą się oczyszczać ze rdzy i plam grzechów, za które w tym życiu jeszcze nie odpokutowały.

Będąc ona w ogniu miłości Boskiej, jakby w czyśćcu z Bogiem, swoją miłością zupełnie złączona i zadowolona z tego wszystkiego co w niej czynił, pojmowała dokładnie stan nieszczęśliwych dusz w czyśćcu zostających, o których mówi w sposób następujący: „Dusze w czyśćcu zostające, przynajmniej o ile ja pojmuję, nie mogą obrać sobie miejsca innego od tego, w którym są zatrzymane, i które im sprawiedliwa Opatrzność Boska naznaczyła; nie mogą także mieć względu na siebie samych: te i owe popełniliśmy grzechy i zasłużyliśmy przez nie na miejsce: ach! gdybyśmy się ich nie dopuściły, byłybyśmy natychmiast wzbiły się w górę do przybytków rozkoszy niebieskich! Dlatego mniej jeszcze te, co są później wyzwolone, mogą boleć lub smucić się z prędszego wybawienia innych. Nie mają one żadnej pamięci ani o sobie samych, ani o drugich, tak w dobrym jak i w tym złym, przez co by mogły zasłużyć na większą karę od raz postanowionej. Lecz Opatrzność Boga, który wszystko czyni, jak się Jego Majestatowi podoba, tak im jest przyjemną i tak ją miłują, iż w największych nawet mękach nie mogą zwracać uwagi na siebie, lecz na to jedynie są baczne co robi dobroć Boska, która, jak widzą, chce je z wielką łaskawością i miłosierdziem do siebie prowadzić. Nie mogą też spostrzec nawet najmniejszego swego dobra lub zła, któreby je spotkać mogło: bo gdyby to mogły, nie miałyby czystej miłości Pana Boga; ani także widzieć one dusze co dla swych grzechów takież same męki ponoszą, a jeszcze, mniej

zatrzymać w swym umyśle jakieś ich wyobrażenie: to bowiem byłoby niedoskonałością, która niema miejsca tam, gdzie już grzeszyć nie można.

Przyczynę kary czyśćcowej, którą w sobie mają, raz tylko spostrzegają, to jest: w onej chwili kiedy opuszczają ciało: potem zaś już nigdy więcej: inaczej byłaby tam jakaś osobistość. Ponieważ one zostają w miłości Pana Boga, i nie mogą nic takiego przypuścić do siebie, co by je wyprowadzało z zakresu miłości; przeto one nie są zdolne ani chcieć, ani coś innego zapragnąć, oprócz tego, co im nakazuje czysta miłość, i palą się w płomieniach czyśćcowych podług rozporządzenia Boskiego, które się im we wszelki sposób podoba; to zaś pochodzi z czystej miłości, od której w niczem już odstępować nie mogą dlatego, iż im jest odjęta możność zgrzeszenia. Sądzę iż duch nigdzie, wyjąwszy Niebo, nie jest tak uspokojony i zadowolony żeby stan jego ducha mógł pójść w porównanie ze stanem duszy zostającej w czyśćcu.

Ta spokojność powiększa się codziennie przez wpływ i udzielanie się Pana Boga, i pomnaża się w miarę tego jak rdza grzechu, którą niszczy ogień czyśćcowy, znika; tak więc dusza co raz się więcej otwiera i usposabia do przyjęcia Boskiego wpływu. To się tak dzieje: jako rzecz osłoniona, nie może być tknięta przez promienie słoneczne, czego jednak wina nie jest w słońcu: bo to ciągle wylewa swoje promienie, lecz w zasłonie; bo skoro ta usunięta zostaje, rzecz zaraz wystawiana jest na jego światło i tem doskonalej oświetlona, im lepiej zasłona będzie zdjęta. Zupełnie tak samo ma się rzecz ze rdzą grzechu, okrywającą niejako duszę, którą ogień oczyszczający musi strawić. Im to doskonalej uskutecznionym zostanie, tym dusza będzie zdolniejsza do przyjęcia prawidłowego słonecznego światła, którym jest Bóg; i dlatego staje się ona tym spokojniejsza, im się więcej rdza grzechowa zmniejsza: bo przez to otwiera się ona coraz bardziej promieniom światła Boskiego.

Tak więc za powiększeniem się jednego, zmniejsza się drugie, aż czas postanowionej kary nie ukończy się: bo skraca się coraz bardziej. Lecz z karą (która pochodzi z przewłoki widzenia Boga) ma się inaczej: ta się bowiem nie zmniejsza.

Co się tyczy woli: to dusze kar swoich nigdy nie nazywają karami, ani je za takie uważają: tak są one spokojne i zgadzające się z rozporządzeniem Boskim, które z czystej miłości, miłują szczerze i przyjmują chętnie. Mimo to jednak cierpią one tak okropne męki, iż tych ani język ludzki wymówić, ani rozum pojąć nie jest w stanie, chyba (jak się to stało z moją duszą) że to Pan Bóg przez swą szczególniejszą łaskę komuś objawi; jednak wyrazić tego nikt nie jest w stanie. Co mi przecież Pan Bóg z tego wszystkiego ze swej łaski pokazał, tegom nie zapomniała. Chcę to opowiedzieć o ile jest możliwem, a ci, którym Pan Bóg raczy otworzyć rozum, pewnie to zrozumieją.

Źródłem wszelkiej kary, jest grzech albo pierworodny, albo też uczynkowy. Bóg stworzył duszę człowieka czystą i wolną od wszelkiej zmazy grzechowej; obdarzył ją uszczęśliwiającym popędem ku sobie, który to popęd, grzech pierworodny mocno osłabia, a jeszcze więcej grzech uczynkowy. Im bardziej człowiek utraca ten popęd, tym gorszym się staje i tym mniej się mu Pan Bóg udziela swą łaskę, ponieważ wszystko dobre, cokolwiek byłoby ono, jest nim tylko przez zjednoczenie z Bogiem, który nie opuszcza nawet nierozumnych istot, owszem udziela się im podług swojej woli i postanowienia; rozumniej zaś duszy więcej lub mniej w miarę tego, jak ją widzi wolną od grzechów, które są jej na przeszkodzie do zjednoczenia się z nim: a więc dlatego w duszy, zbliżającej się do pierwiastkowej czystości udzielonej jej przy stworzeniu niewinności, odnosi się on uszczęśliwiający popęd, który się co dzień powiększa i ogień miłości z taką mocą i gwałtownością ją porywa ku ostatniemu jej celowi, iż przeszkoda do oglądania Boga, staje się dla niej nieznośną męką; a im ona lepiej to poznaje, tym mocniej jest udręczoną. Ponieważ dusze w czyśćcu zatrzymane są bez winy grzechowej; przeto nie ma między nimi a Bogiem żadnej innej przeszkody, okrom kary za grzech, niedopuszczającej żeby ich pragnienie było spełnione. Nadto: spostrzegają one dobrze, jak szkodliwą jest najmniejsza nawet przeszkoda,

oraz jak bardzo żądania sprawiedliwości Boskiej, opóźniają spełnienie się ich pragnienia, czują że w nich pozostaje nieznośny ogień, prawie piekielny podobny, tyle że bez winy: bo ta rodzi złą wolę potępionych, którym też Bóg odmawia swojej dobroci, i dlatego zachowują oni rozpaczającą i przewrotną wolę, całkiem woli Boga przeciwną. Stąd rzecz jasna jak słońce, że przewrotna i z wolą Boga niezgadzająca się ich wola, rodzi winę, i że przy ciągłym trwaniu złej woli, trwa też ciągle wina. Ponieważ potępieni przy zejściu z tego świata mieli złą wolę, wina więc im nie została odpuszczona, a nawet nie może im być odpuszczona, bo dusze od ciał oddzielone nie mają już mocy przemieniania woli. Dusza więc podług rozmaitości woli, jaką miała przy wyjściu z ciała, zostaje umocnioną w dobrem lub złem, jak stoi napisano: „Gdzie cię znajduję", to jest: przy jakiej woli, zwróconej ku grzechowi, lub też od grzechu odwróconej przez prawdziwy wstręt i uczucie żalu; gdzie cię znajduje w czasie śmierci „tam się sądzę", a po osądzeniu już żadne przebaczenie nie ma miejsca: wola bowiem wolna, po śmierci zupełnie jest zniesiona; pozostaje ona zawsze i niewzruszenie w takim samym kierunku, jaki miała przy śmierci. Ponieważ odrzuceni, umarli ludzie gorszą wolą, przeto zarówno ich wina jak i kara nigdy się nie skończą: wprawdzie nie cierpią oni wielkiej kary, jak zasłużyli, jednakże kara ich jest wieczną. Dusze w czyśćcu zostające ponoszą tylko karę: bo co do winy, ta przez prawdziwe obrzydzenie sobie grzechów i przez boleść umysłu z powodu obrażenia dobroci Boskiej, jeszcze przed skonem została zgładzona, nadto ta kara jest czasową, i ze względu na czas, jak już wyżej było powiedziane, co raz się zmniejsza. O nędzo! nieskończenie wielka i tym godniejsza opłakania, im się mniej ślepota ludzka nad tobą zastanawia! Kara potępieńców pod względem surowości, nie jest nieskończoną: albowiem najsłodsza dobroć Boska promieniami swego miłosierdzia sięga aż do samego piekła. Prawda, że człowiek w ciężkim grzechu umierający, zasługuje na karę nieskończoną, nie tylko pod względem trwania, ale i co do surowości; jednakowoż miłosierdzie Boskie, zrobiło tylko czas nieskończonym; ostrość zaś kary jest skończoną, chociaż i tę w najsprawiedliwszy sposób mógłby Bóg ostrzejszą nałożyć jak nałożył. I cóż być może niebezpieczniejszego jak grzech ze złości popełniony: kto się go bowiem dopuścił, z trudnością bierze się do pokuty; a jeżeli ta nie następuje, to wina pozostaje niezgładzoną, dopóki wola człowieka nie jest odwołana od owego grzechu, którego się dopuścił, lub któregoby jeszcze mógł się dopuścić.

Przeciwnie, wola dusz w czyśćcu zostających jest zupełnie zgodna z wolą Pana Boga; dlatego też Pan Bóg udziela im swojej dobroci, i ze względu na wolę, są one spokojne i od wszystkich swych grzechów, co do winy wolne: bo do owej czystości przyszły, w której przez Pana Boga były stworzone. Ponieważ z tego świata zeszły z bolesnym obrzydzeniem i ze szczerym wyznaniem wszystkich swoich grzechów, jak też z mocnym postanowieniem nie popełniania ich więcej: przeto Bóg winę natychmiast im odpuścił, i nie pozostaje w nich nic innego oprócz rdzy, którą płomień czyśćcowy strawić musi. Wolne są od winy i wolą z Panem Bogiem zjednoczone, oglądają go, o ile już się im widzieć daje: i poznają jasno jak wielkim jest dobrem widzenie i używanie Boga. Nadto dusze te z powodu zgodności ich woli z wolą Pana Boga, są całkiem zdolne być z nim połączone, i naturalny popęd przez Pana Boga w nich zaszczepiony, tak gwałtownie popędza je ku niemu, że ja nie znajduję żadnego środka, żadnego podobieństwa i żadnego przykładu, do objawienia tak dokładnie jak to duch mój rzeczywiście czuje i poznaje: spróbuję przecież w pewnym sposobie wytłumaczyć to.

Wyobraźmy sobie jakoby był na całym świecie jeden tylko bochenek chleba, któryby mógł wszystkich ludzi głód zaspokoić, i że nawet dość byłoby ludziom nań spojrzeć żeby mogli być nasyceni. Wystawmy sobie dalej człowieka takiego, co by miał naturalny popęd do jedzenia, a jednak odmawiając sobie wszelkiego pokarmu nie osłabł lub nie zachorował: rzecz widoczna, że w nim głód musiałby się coraz powiększać: bo żądza jedzenia, nigdy się u niego nie zmniejszyła, a tym bardziej gdyby wiedział, że tylko wspomnianym chlebem może swój głód uspokoić. Gdyby mu więc nie dawano tego chleba, głód jego wcale by nie ustał; owszem im bardziej zbliżałby się on do tego chleba a przy tym nie mógł go dosięgnąć, tym więcej

jego głód i apetyt naturalny musiałby się zaopatrzyć: bo jego apetyt byłby tym więcej zwrócony do onego chleba, który jeden tylko mógłby go nasycić. Gdyby nareszcie był pewnym ten człowiek, że nigdy nie będzie mógł oglądać onego chleba: cierpiałby męki piekielne, tak jak potępieni, którzy są na wieki pozbawieni nadziei oglądania Boga, naszego zbawcy, który jest prawdziwym chlebem. Lecz dusze w czyśćcu mają pewną nadzieję, iż będą kiedyś oglądały i używały swego chleba, którym jest Chrystus Pan, prawdziwy Bóg, nasz Zbawiciel i nasza miłość; dlatego dokucza im najokropniejszy głód dotąd, póki nim nie zostaną nasycone.

Jako więc czysta dusza, która na sobie nie ma żadnego grzechu, nie znajdzie nigdy spoczynku krom w jednym Bogu, dla którego jest stworzona, tak też dusza nieczysta i występna nie może zajmować innego miejsca jak piekło, które jej Pan Bóg za cel wyznaczył; dlatego też dusza, kiedy się odłącza od ciała, dąży też do przeznaczonego sobie miejsca. Jeśli przy wyjściu z ciała ma w sobie jad grzechu śmiertelnego, to cierpiałaby jeszcze większe męki jak piekielne, gdyby się zaraz nie udała na miejsce sobie przeznaczone: w takim bowiem razie znajdowałaby się poza obrębem rozporządzenia Boskiego połączonego z jego miłosierdziem: (bo Bóg karze łagodniej jak zasłużyła). Ponieważ ona nie znajduje dla siebie miejsca stosowniejszego i łagodniejszego jak piekło; przeto podług rozporządzenia Boskiego, rzuca się w nie jako w miejsce najwłaściwsze sobie. Tak samo ma się z czyśćcem o którym tu mowa. Dusza rozłączona z ciałem, widzi, że jej niedostaje pierwiastkowego stanu niewinności, w którym była stworzona, oraz że do niej coś takiego przylgnęło, co jej przeszkadza połączyć się z Bogiem, i że to tylko przez ogień czyśćcowy może być usunięte: dlatego sama, i z ochotą rzuca się do czyśćca. Gdyby się zaś znajdowała poza obrębem tego miejsca, które jest jej przeznaczone do usunięcia przeszkody widzenia Pana Boga, cierpiałaby daleko sroższe męki, aniżeli w samym czyśćcu; poznałaby bowiem że dla przeszkody połączenie się z Bogiem, swym celem, jest niepodobne; tak jest: męki czyśćcowe chociaż (jak wyżej powiedziano), mają wielkie podobieństwo z mękami piekielnymi, jednak bez porównania są mniejsze i lżejsze od onych któreby dusza oczyszczająca się ponosić musiała, gdyby się znajdowała poza obrębem czyśćca.

Nadmieniam dalej, iż raj niebieski, dlatego jest bez bram i otworem stoi dla każdego, który doń wejść chce, iż Pan Bóg jest nieskończenie miłosiernym i z otwartymi rękami oczekuje, aby nas przyjąć do swojej chwały. Lecz istota Boska (jak ją widzę) tak wielkiej jest czystości i tak niepojętą światłością, iż dusza choćby najmniejszą skazą grzechową pomazana, wolałaby się rzucić w tysiąc piekieł, jak w takim stanie stanąć przed Majestatem Boga. Ponieważ ona poznaje, że czyściec, jest przeznaczony do usunięcia podobnej plamy, sama się więc weń rzuca i to poczytuje za dowód największego miłosierdzia Boskiego, że tym środkiem może usunąć swoją przeszkodę.

Wprawdzie ani język tego wyrazić, ani rozum ludzki pojąć nie jest w stanie, jak bolesnym jest czyściec. Co do mąk, te, jak widzę, równają się mękom piekielnym; jednak dusza zmazana, chociażby bardzo małą niedoskonałością, uważa te męki za niewielkie; owszem: w porównaniu z tą zmazą, która jest dla niej przeszkodą do połączenia się z Bogiem, jej miłością, uważa tę karę za nic wcale; i zdaje mi się, iż widzę, że dusza w czyśćcu zostająca, bardziej tym jest dręczona, iż w sobie widzi coś takiego, co się Panu Bogu nie podoba, i czego się ona z własnej woli przeciwko Jego najwyższej dobroci dopuściła, aniżeli przez inną jakąkolwiek mękę ponoszoną; to zaś tego, że ona jest w stanie łaski i że poznaje jak wielką jest przeszkodą ta zmaza opóźniająca jej połączenie się z Bogiem. To com powiedziała, było mi w duchu objawione: rozumiałam to podług zdolności mego pojmowania, i ono przechodzi wszystko, co w niniejszym życiu można o czyśćcu poznawać, wyrazić, doświadczyć, i wierzyć, i to w takim stopniu, iż w porównaniu z tamtym, to zdaje mi się być zabawką dziecinną. Wstydzę się mocno, iż nie znajduję wyrazów do opowiedzenia dokładniej wszystkiego.

Widzę pomiędzy Bogiem i duszą tak wielką zgodę, iż ta ozdobiona ową pierwiastkową czystością, jaką odebrała przy stworzeniu, przez Pana Boga tak gorącą miłością zostaje zapaloną i ku niemu tak gwałtownie porwaną, iż przez to, chociaż jest nieśmiertelną, jednak mogłyby się prawie w nicość obrócić. Przemienia też Pan Bóg duszę niejako w siebie tak dalece, iż ona ani siebie ani nic innego nie widzi okrom Pana Boga, który dotąd nie przestaje jej zapalać i do siebie przyciągać, aż póki nie przyprowadzi jej do czystości, w której była stworzona, i nie połączy zupełnie z tą Istotą, z której wyszła. Czuje w sobie dusza, że ją Pan Bóg tak silnym i miłości pełnym ogniem ku sobie pociąga, iż prawie cała topnieje od tak mocnego i obfitego płomienia miłości najsłodszego swego Pana i Boga. Miłość ta przenika ją całą.

Oświecona Boską światłością, postrzega z jednej strony, że ją Pan Bóg ciągle ku sobie pociąga i bez ustanku z wszelką swą starannością i przezornością prowadzi do zupełnej doskonałości i to z czystej miłości: a z drugiej, że ona jako grzeszna nie może iść za boskim pociągiem, to jest: za owym zjednoczającym spojrzeniem łaski, które Pan Bóg na nią zwraca, chcąc ją do siebie przyciągnąć; nadto poznaje jak wiele na tym zależy, że jest jeszcze wstrzymana od oglądania boskiego światła; do tego przydać jeszcze należy popęd i gorące pragnienie, żeby się pozbyć przeszkody i następnie być doskonale przyciąganą przez jednoczące spojrzenie łaski; to wszystko, mówię, co poznają dusze, jest przyczyną owej męki, jaką ponoszą w czyśćcu. Na tę jednak mękę, chociaż jest najokropniejszą, nie tyle dusze zważają, co na przeszkodę znajdującą się w nich przeciw woli Pana, który, jak one jasno widzą, jest najczystszą i największą miłością ku nim rozpłomieniony.

Ta miłość i zjednoczające spojrzenie Boga bez ustanku silnie duszę przyciąga, jakby to jego jedynym było zatrudnieniem, i dusza, która to spostrzega, dla wzajemnej gorącej miłości między nią i Bogiem, natychmiast rzuciłaby się jeszcze w dokuczliwszy jak jest czyściec, gdyby się taki znajdował, byle tylko czym prędzej pozbyła się przeszkody.

Widzę dalej, że z boskiej miłości niektóre płomieniste promienie wchodzą do duszy: są one tak potężne i przenikające, iż nie tylko ciało, ale nawet dusza, gdyby to być mogło, w nicość by obróciły. Tych promieni dwojaki jest skutek: oczyszczają i niweczą.

Trzeba pamiętać, że kiedy jakąś rzecz często bywa przetapianą, staje się coraz czystszą; i można ją tak często przetapiać, aż wszelka przymieszana nieczystość zniknie. Taki skutek sprawia ogień w rzeczach materialnych. Dusza zaś w Bogu nie może być zniweczona, ale może być w sobie: im się ona więcej oczyszcza, tym bardziej w sobie zostaje zniweczona, i wtedy dopiero staje się w Bogu czystą i piękną. Kiedy złoto jest oczyszczone aż do dwudziestu czterech karatów: to mu już wtedy żaden ogień szkodzić nie może, ani mu coś odjąć: bo już nie ma w sobie nic złego i nieczystego, co by ogniem mogło być zniszczone. A taki sam jest skutek ognia boskiego w duszy. Zostawia Pan Bóg duszę w ogniu tak długo, póki nie zniszczy wszelkiej jej niedoskonałości i nieczystości, i nie przywiedzie jej do doskonałości dwudziestoczterokaratowej. Po zupełnym jej oczyszczeniu, przeistacza się ona całkiem na podobieństwo Boga; nie ma już w sobie nic własnego, jej jestestwem jest Bóg, i w ten sposób czysta jak światło, zwrócona nazad do Boga, żyje odtąd bez żadnych namiętności: bo w sobie nie znajduje nic takiego, co by mogło być zniszczone. A gdyby po zupełnym oczyszczeniu, nadal jeszcze pozostawała w ogniu, to by nie czuła w nim żadnej męki, owszem: przemieniła by się całkiem w ogień Boskiej miłości, w żywot wieczny, w którym nie masz już miejsca dla żadnej przeciwności.

Dusza odebrała przy stworzeniu wszelkie środki do nabycia owej doskonałości, do której dostąpienia byłaby sposobną, gdyby tylko podług przepisów Pana Boga urządziła swoje życie i unikała wszelkiej zmazy grzechowej; lecz grzechem pierworodnym skalana, utraciła wszelkie swoje dary i łaski, leżała w śmierci i tylko przez Pana Boga mogła być na nowo wskrzeszona. Przez chrzest święty, znów ją Pan Bóg przywrócił do życia, lecz zatrzymała w sobie skłonność do złego, ta (jeżeli się jej dusza nie opiera) pobudza ją i przywodzi do

grzechu uczynkowego, przez który na nowo popada w śmierć, ale z tej znów ją Pan Bóg przez szczególniejszą łaskę wskrzesza. Jest ona tak zepsutą i ku sobie samej zwróconą, iż aby znowu powrócić mogła do pierwiastkowego swego stanu, w jakim się znajdowała przy swym stworzeniu, potrzebuje wszelkich wzmiankowanych boskich wpływów: bez tych bowiem nigdy by już do tego stanu nie wróciła. Czuje więc ona tak wielkie pragnienie przeistoczenia się na podobieństwo Boga, iż to, co staje się dla niej czyśćcem, nie żeby ją czyściec jako czyściec obchodził, ale mocne pragnienie oglądania Boga w swej światłości i zjednoczeniu się z Nim doskonale; to, mówię, silne pragnienie, którego zaspokojenie, zastępuje dla niej miejsce czyśćca. Uwolnienie z tego bolesnego stanu, uskutecznia się bez współdziałania człowieka, przez ostateczny akt miłości. To jest: miłość w duszy znajduje tak wiele niedoskonałości ukrytych, iż gdyby ona te wszystkie spostrzegała, stałaby się podobna rozpaczającej. Ostatni zaś ten stan niszczy te niedoskonałości, i Bóg pokazuje je duszy dopiero po ich zniszczeniu, aby poznała boskie działanie, które w niej roznieca ogień miłości, ogień, który wszystkie przylgnione do niej niedoskonałości wypala i niszczy. Co bowiem człowiekowi zdaje się doskonałym, jest przed Bogiem niedoskonałe; dlatego też dzieła jego (człowieka) zwykle pozór tylko mają doskonałości, i kalają jego duszę, kiedy na nie spogląda, czuje, o nich myśli, chce, albo je sobie na pamięć przywodzi, a nie przypisuje ich całkowicie Panu Bogu: bo doskonałość dzieł naszych wymaga, żeby się te w nas bez nas uskuteczniały, gdyż Bóg działa przez nas tylko jako narzędzia.

Te dzieła uskutecznia sam Pan Bóg bez naszych zasług, przez ostateczne działanie czystej i najczystszej miłości, i one silnie palą i przenikają duszę, iż ciało, którym jest otoczona, zdaje się być w sobie tak strawionym, jak kiedy się kto znajduje w ogromnym ogniu; ona też nie prędzej pocznie używać pokoju aż się z niego wydali. Lubo zaś miłość boska, która się przelewa w duszę niewymownie ją uspokaja, jednak to mąk w czyśćcu zostających w niczym nie zmniejsza: owszem, ta sama miłość, która się jeszcze widzi być wstrzymaną i tamowaną, jest przyczyną męki duszy, która tym jest boleśniejsza, im większa jest niedoskonałość jej miłości tak iż dusza razem będzie ponosiła najokropniejsze męki i używała największej spokojności: bo jedno nie znosi drugiego.

Gdyby dusze w czyśćcu zostające, przez żal mogły być oczyszczone i z Bogiem pojednane, toby w jednej chwili swój dług spłaciły: miałyby bowiem najmocniejszy żal; bo one jasno poznają jak wielką boleść i szkodę przynosi ta przeszkoda, co im nie dopuszcza połączyć się z Bogiem, jako ze swym celem i miłością. Wierz z pewnością, iż tym czystym duszom, co się tyczy opłacenia długów, jednego nawet szeląga nie daruje Pan Bóg: bo tak sprawiedliwość boska dla nich samych urządziła i postanowiła. Dlatego też dusze w czyśćcu już nie mają wolnego wyboru, i nie mogą nic innego widzieć, lub chcieć krom tego, czego Pan Bóg chce, i dlatego tylko chcą, że tak Pan Bóg postanowił.

Kiedy na przykład żyjący ludzie na świecie dla skrócenia ich cierpień rozdają jałmużny: to one nie mają wcale pragnienia i skłonności widzieć je lub na nie spoglądać inaczej, jak tylko pod najsprawiedliwszą wagą woli boskiej: wszystko bowiem zostawiają rozporządzeniu Boga, który te dobre uczynki przyjmuje jako cenę okupu podług tego jak się spodoba Jego nieprzebranej dobroci. Gdyby bez zezwolenia woli boskiej mogły patrzeć na takową jałmużnę, to byłoby jakowąś własnością, któraby ich pozbawiała widzenie Boga i nową sprawiałaby dla nich mękę piekielną. Dlatego wszystkich, co im Pan Bóg posyła, to jest: tak w pocieszających i rozweselających jak i w smutnych i przeciwnych rzeczach, są one niewzruszone i nie mają już żadnych osobistych skłonności: tak dalece są one przeistoczone w wolę Pana Boga, w którego najświętszym rozporządzeniu całkiem spoczywają. Gdyby dusza nieoczyszczona jeszcze całkowicie, stanęła przed Bogiem, toby ponosiła największe zawstydzenie i mękę jeszcze sroższą, jak dziesięć czyśćców: boby nie mogła znieść czystej dobroci i najsurowszej sprawiedliwości: i nie przystałoby tak dla Pana Boga, jak i dla niej widzieć, że się sprawiedliwości Boskiej zadość nie stało. Gdyby więc do zupełnego

pojednania brakło chociaż jednej chwili, to byłaby niezmiernie dręczona i wolałaby dla zgładzenia tej małej plamy rzucić się w tysiąc piekieł, aniżeli stanąć przed obliczem Majestatu boskiego". [Święta Katarzyna, która to, co dotąd było powiedziane z objawienia boskiego poznała, dalej mówi tak:]

„Radabym tak mocnym głosem wołać, żebym mogła wszystkich ludzi na całym świecie przerazić; radabym im powiedzieć następujące słowa; O! wy nieszczęśliwi! za cóż się światu tak więzić dajecie? Ach! dlaczegoż nie myślicie o owej ostatecznej nędzy, która na was przyjdzie w godzinę śmierci? Czemuż się zawczasu nie strzeżecie? Pokładacie nadzieję w miłosierdziu Boskim, wynosicie je nad wszystko i mówicie, że jest nieskończone! a nie uważacie że ta dobroć tak wielka zaostrzy sąd boski, jeśliście przestępowali wolę tak wielkiego i dobrego Pana? Ta jego dobroć powinnaby was pobudzić do pełnienia Jego woli, nie zaś udzielać zuchwalstwa do popełnienia złego; zapewne na sprawiedliwości boskiej nigdy zbywać nie będzie, i potrzeba też, żeby jej doskonale zadość się stało. Czy myślicie, że dość jest, spowiadać się i pokazywać odpust zupełny, aby tym sposobem oczyścić się ze wszystkich skaz grzechowych wejść wprost do nieba? Nie zapominajcie, że żal i spowiedź, która jest potrzebna do takich odpustów, tyle ma trudności, iż gdybyście dokładnie je znali, truchlelibyście i mniemali, żeście prędzej odpustów nie uzyskali, jak je pozyskali. Dusze w płomieniach czyśćcowych (jak widzę) mają widzenie i poznanie dwu działań, które w sobie czują. Pierwsze działanie jest: że one swe męki chętnie ponoszą i uważają je za wielkie miłosierdzie boskie. Zastanawianie się bowiem nad niepojętym Majestatem Boga, i rozważając co przeciwko niemu uczyniły, oraz że na cierpienia zasłużyły, poznają że gdyby dobroć boska nie miarkowała sprawiedliwości miłosierdziem przez zadość uczynienie przenajświętszej krwi Jezusa Chrystusa Pana naszego, to jeden grzech śmiertelny zasłużyłby na tysiąc piekieł. Następnie: ponoszą one swoje kary tak chętnie, iż nie żądają najmniejszego ich zmniejszenia: widzą bowiem że one są tak sprawiedliwe i dla nich stosowne, iż pod względem woli podobnie nie żalą się na Pana Boga, jak gdyby były przyjęte do radości wiecznego żywota. Drugim działaniem jest ta radość, której używają postrzegając, że wpływ Boga, jest połączony z największą miłością i miłosierdziem względem nich. Te dwa widzenia wlewa Pan Bób w duszę w jednej chwili; nadto: ponieważ one zostają w stanie łaski, więc podług swych zdolności postrzegają i poznają tak, jak one są. To zaś poznanie robi im wielką radość, która się w nich nigdy nie zmniejsza: owszem przeciwnie robi się tym większa, im się bardziej do Pana Boga zbliża. Mają jednak widzenia nie w sobie, ani przez siebie, ale w Bogu: stąd cenią je bez porównania wyżej, aniżeli męki, jakie ponoszą, a to dlatego, że najmniejsze widzenie Pana Boga przechodzi wszelką radość i mękę, jakie tylko można sobie wyobrazić; jednak ona im nie ujmuje ani jednej iskierki cierpienia lub radości.

Ten sposób, którym, jak widzę, oczyszczają się dusze w czyśćcu, czuję osobliwie od dwóch lat w mojej duszy, a nawet z każdym dniem wyraźniej. Widzę, że dusza moja zostaje w ciele jakby w jakim czyśćcu, tak jednak, iż ciało może wytrzymać bez podjęcia śmierci, aż nareszcie przy powolnym powiększaniu się męki całkiem zostaje z sił wycieńczone i umiera. Co do mego ducha, poznaję, że jest oderwany od wszystkich rzeczy światowych, a nawet i od duchowych, któreby go mogły posilić i pocieszyć jakimi np. są: radość, rozweselenie i pociecha. Czuję także, że duch mój nie jest zdolny kosztować czegoś tak doczesnego wolą, rozumem lub pamięcią, iżbym mogła właściwie powiedzieć, że ta rzecz więcej mnie cieszy jak tamta. Duch mój tak jest ścieśniony, iż mu po trosze zostało odjęte to wszystko, z czego życie cielesne i duchowe mogło kiedyś czerpać pociechy i zadowolenia, i teraz poznaje, że to wszystko nie było niczym innym tylko czymś takim, z czego on mógł się posilić i pokrzepić, ale jak przyszedł do poznania tych rzeczy, tak wielki powziął ku nim wstręt i nienawiść, iż je wiecznym wygnaniem karze. To stąd pochodzi, że duch wewnątrz czuje tak mocny popęd do usunięcia tego wszystkiego, co się sprzeciwia doskonałości, iż chętnie poniósłby wszystko inne do dopięcia swego zamiaru, byle tylko nie zmuszano go rzucić się w piekło – dlatego

uwalnia się on i ogołaca z tych wszystkich rzeczy, które niższego człowieka i pocieszają i trzyma go w tak mocnych karbach, iż nawet i najdrobniejsze źdźiebełko niedoskonałości poznaje i nim się brzydzi: zewnętrznie człowiek jest natenczas bez pociechy i pomocy ducha, i tak mocno ściśniony, iż na ziemi nie znajduje nic takiego, co by go ludzkim sposobem pocieszyć mogło. Nie ma bowiem pociechy, krom jedynego Boga, który to wszystko dla uczynienia zadość swojej sprawiedliwości, z niewymowną miłością i miłosierdziem stanowi. Poznawanie tego, przynosi duchowi wielką radość i uspokojenie: jednak utrapienie i męka, przez to się nie zmniejszają: owszem to by go nabawiło największego smutku, gdyby miało go odwodzić od rozporządzenia boskiego. Dlatego nie wychodzi on z więzienia swego ciała i nawet nie chce wyjść z niego dopóki Pan Bóg nie zaopatrzy mu wszelkich potrzebnych środków. To jest moją pociechą i zadowoleniem, kiedy się Bogu zadość dzieje; i nie mogłaby być dla mnie cięższa kara naznaczoną, jak gdybym miała usunąć się z pod rozporządzenia boskiego, które jak postrzegam, jest nader sprawiedliwe i wielkim miłosierdziem miarkowane. Wszystko, com powiedziała, widzę i pojmuję, lecz nie znajduję wyrazów stosownych do wytłumaczenia tak dokładnie jak bym chciała. Lecz com powiedziała, dzieje się to we mnie w sposób duchowny: ja to czuję i dlategom je opowiedziała. Więzieniem, w którym się znajduję, jest świat, kajdanami ciało, duch przez Boga oświecony czuje jak gorzką jest rzeczą, być przez jakąkolwiek przeszkodę dłużej zatrzymywanym od osiągnienia swego celu, ponieważ jest bardzo delikatnym, przeto dokucza mu jakaś sroga boleść. Dalej ze szczodrości Boga otrzymał on taką godność, iż tylko jest podobny Bogu, ale nawet przez wzięcie udziału w jego dobroci, z nim jedno się staje. A jako niepodobieństwem jest, żeby cierpienie lub męka mogła paść na Boga; tak też i na ducha z nim złączonego: bo im on bliżej z Bogiem zostaje złączony, tym lepiej pojmuje, co jest jego własne. Dusza zatem przy swoim zatrzymaniu czuje nieznośny smutek: smutek bowiem ten i przewłoka oddala ją od owych własności, które ma ze swej natury i których jej Bóg przez łaskę udzielił. Ponieważ jest zdolną posiadać je, przeto ponosi, dopóki jest ich pozbawiona, tak wielką boleść, jak wielki jest jej szacunek Boga. Boga zaś ceni tym wyżej, im lepiej Go poznaje , a poznaje Go tym jaśniej, im dokładniej jest oczyszczona z grzechów; jej zatem męka jest okropną: jednak kiedy przeszkoda zostanie usunięta i ona w Bogu jest całkiem zebraną, poznaje Go wtedy doskonale. Jako ten, który woli umierać, aniżeli Boga obrazić, czuje wprawdzie śmierć i boleść, lecz z oświecenia boskiego takiej żarliwości nabiera, iż boską chwałę wyżej ceni, aniżeli śmierć cielesną; tak też dusza wolę i rozporządzenie Boże wiadome sobie, przenosi nad wszystkie możliwe wewnętrzne i zewnętrzne, jakiekolwiek srogie, męki; a to dlatego, że Bóg, który jest sprawcą tego skutku, przechodzi wszystko, co tylko dusza czuć może i to tak, iż jakkolwiek mało zajmowałby ją Bóg sobą, to jednak i przez to trochę czyni ją tak baczną na swój boski Majestat, iż wszystko inne za nic zgoła uważa: dlatego jest ona ogołocona ze wszelkiej osobistości: w sobie samej już ona widzi starty albo kary, o tym nie ma nawet u niej mowy, albo poznania; lecz wszystko, (jak wyżej było dokładnie wytłumaczone), poznaje ona w owej chwili, kiedy życie na śmierć przemienia. Widzimy nareszcie, że Bóg najwyższy i najlepszy, wszystko usuwa z ducha i niszczy, co jest ludzkiego, i tak robi go w czyśćcu czystym." (Św. Katarzyna Genueńska: *Traktat o czyśćcu*, [w:] *„Żywot i pisma św. Katarzyny Genueńskiej"*, przełożył z niemieckiego X.P. Rzewulski, Warszawa 1851, s. 1 – 27)

***

Dzięki powyższemu „Traktatowi..." poznaliśmy, choćby cząstkowo, w niewielkim zakresie, choćby bardzo niedoskonale, stan dusz pokutujących w czyśćcu i ich stosunek do Boga.

Uważnego Czytelnika może i zdziwić i zaskoczyć jedno ze stwierdzeń św. Katarzyny, to, mianowicie, które informuje nas, iż dusze czyśćcowe nie pragną zmniejszenia swych kar, są

bowiem świadome ich adekwatności do popełnionych przewin, a ich wola w sposób doskonały zgadza się z wolą Bożą.

Tymczasem wielu osobom, w pełni zasługującym na wiarę i zaufanie, spośród których liczne dostąpiły chwały ołtarzy, objawiały się dusze czyśćcowe, prosząc by te – swymi modlitwami, postami, jałmużnami i innymi zasługami – wyjednały im u Boga skrócenie bądź złagodzenie mąk.

Wydaje mi się, że jest to tylko pozorna sprzeczność. Będąc świadome, że w pełni zasłużyły na kary, jakimi są poddawane, dzięki miłosierdziu Bożemu i Jego specjalnemu zezwoleniu *mogły* prosić o wspomożenie wybrane do tego osoby. A więc i w tym wypadku ich wola doskonale zgadza się z wolą Najwyższego.

Czy umarli mogą objawiać się żywym?

Oczywiste i zrozumiałe będzie, że po śmierci ciała łączność pomiędzy duszą osoby zmarłej, a ludźmi żyjącymi zostaje przerwana raz na zawsze, oczywiście w wymiarze doczesnym, materialnym.

Świat żywych i świat umarłych są oddzielone od siebie tak dalece jak istnienie w czasie, od istnienia w wieczności.

Ale... Właśnie, ale... Czy Pan Bóg w pewnych szczególnych przypadkach nie zezwala duszom czyśćcowym – w jasno określonym celu, mającym bez wątpienia także i dobro duchowe (a nawet i doczesne) żyjących – kontaktować się z tymi ostatnimi?

Nie nam wnikać w Boże zamysły, nie nam osądzać Boże decyzje, niemniej jednak od wieków całych literatura pobożnościowa pełna jest opisów spotkań dusz ludzi zmarłych z ludźmi żyjącymi. I dotyczyło to zarówno tych dusz, które prosto dostawały się do nieba, jak też tych skazanych na pokutę w czyśćcu, jak i wreszcie potępionych na wieki i strąconych w czeluści piekielne.

Niektóre z owych opowiadań dotyczących spotkań żyjących z umarłymi budzi w nas uśmiech politowania, takie są naiwne, ale czy ich naiwność musi zaraz podważać ich wiarygodność?

Jakże bowiem w sposób przystępny, obrazowy i wzbudzający lęk można opowiadać o mękach, które się cierpi po drugiej stronie żywota, czy choćby tylko samym swym zjawieniem się świadczyć o owej drugiej rzeczywistości? Czy nie jest wręcz konieczne dopasowanie takiego opowiadania do mentalności słuchaczy? Użycie zwrotów i porównań dla nich zrozumiałych, dopasowanych do ich poziomu intelektualnego i zasobu wiedzy?

Wiek XIX także i wśród teologów spowodował modę na racjonalne wyjaśnienie zjawisk cudownych. Cud czy objawienie stało się czymś wstydliwym, o czym lepiej było zamilczeć, by się nie ośmieszyć w oczach ludzi tzw. postępowych (czyli zwykłych niedowiarków).

Ale ani cuda, ani objawienia (z dopuszczenia Bożego) – w tym również i dusz czyśćcowych – nie mają miejsca po to, aby nam dostarczać sensacji i rozrywki. Stanowią one niepodważalne fakty, a to, że Bóg na nie zezwala, ma głębsze podłoże, mające na celu nasze duchowe dobro, jak również przypomnienie nam o spoczywającym na nas obowiązku pomocy duszom cierpiącym w czyśćcu.

Opowieści o duszach pokutujących na cmentarzach, w starych zamczyskach, kościołach, czy klasztorach, ryczałtem uznano za bajki nie tylko szkodliwe dla żyjących wiernych, ale także i tych którzy pokutują w czyśćcu. Czy słusznie? Nie mnie o tym sądzić, a rozstrzygnięcie owej kwestii pozostawiam osobom bardziej kompetentnym. Pozwolę sobie jednak postawić pytanie, na które bynajmniej nie oczekuję odpowiedzi: Czy czyściec to *stan* dusz, *miejsce*, w którym przebywają, czy może też i jedno i drugie? Czy z absolutną pewnością można wykluczyć, iż kary czyśćcowe nie mogą być odbywane także i na ziemi, tyle że w może w jakowymś innym wymiarze, różnym od znanego nam materialnego?

Ale nadeszła już chwila, by zaprezentować Czytelnikowi garść przykładów mówiących o objawieniu się dusz czyśćcowych ludziom żyjącym, bądź też o innych formach kontaktów umarłych z żyjącymi.

Wszystkie owe przykłady zaczerpnięte ze starej literatury pobożnościowej (dziś już zupełnie zapomnianej, a jeśli się nawet o niej wspomina, to po to tylko, by kpić i drwić), niczego ani nie zmyśliłem, ani nie dodałem od siebie, miejscami tylko uwspółcześniłem język, by stał się w pełni zrozumiały dla dzisiejszego Czytelnika.

Zgodnie z nauką Kościoła, chrześcijanin ma obowiązek wierzyć wyłącznie w Objawienia zawarte na kartach Pisma Świętego i w św. Tradycję. Co do objawień prywatnych, choćby i nawet uznanych przez Kościół za prawdziwe, nie ma się obowiązku wierzyć. Pozostawia się to wyłącznie uznaniu poszczególnego człowieka.

Dlatego też nie będę miał żalu, ani pretensji w stosunku do tych czytelników, którzy wszystkie z zamieszczonych poniżej relacji między bajki włożą. Wolno im to bowiem uczynić i bynajmniej nie zgrzeszą.

Chciałbym jednocześnie przypomnieć, że głównym i najistotniejszym celem, dla którego powstało to opracowanie, jest zachęcenie żyjących do wspomagania tych, którzy wciąż jeszcze muszą wypłacać się w czyśćcu sprawiedliwości Bożej.

To, że dusze czyśćcowe odpłacają się nam z wdzięcznością, znajdowało (i znajduje nadal) liczne potwierdzenia w faktach. Nie zapominają one o swoich dobroczyńcach, odpłacając im własną pomocą i wstawiennictwem u tronu Najwyższego, tak w sprawach doczesnych, jak i w chwili śmierci. Słowem – opiekują się tymi, którzy nie wahają się dla ulżenia ich mękom, przekazywania im własnych zasług.

Świat żywych i świat umarłych jest o wiele bliższy, niż by się to nam mogło wydawać na podstawie obserwacji otaczającej nas rzeczywistości.

Uczy o tym dogmat o świętych obcowaniu, mówiący o jedności Kościoła wojującego na ziemi, cierpiącego w czyśćcu i triumfującego w niebie.

Jest to dogmat, o którym obecnie prawie wcale się nie mówi.

Ostatnie czasy nauczyły nas liczyć tylko na siebie. Tymczasem nie wszystko i nie zawsze możemy zawdzięczać sobie samym. Niestety. Dlatego pamiętajmy i o tamtej rzeczywistości, która kiedyś – choć dziś zdaje się być odległą – kiedyś stanie się i naszą rzeczywistością. Odbiegliśmy jednak od tematu. Do rzeczy zatem:

OPOWIEŚĆI PRAWDZIWE O OBJAWIANIU SIĘ DUSZ CZYŚĆCOWYCH

Dbałość o duszę

„Zasłużony pisarz Walenty Wielogłowski opowiada: „Piotr Gamrat, biskup krakowski, z życia i pokuty do św. Magdaleny był podobny. Za młodu, świeckim będąc, życie prowadził rozpustne, mając do swoich swawoli towarzysza i przywódcę niejakiego Kurosza, czyli Kurozwańskiego. Z czasem jednak tknięty łaską Ducha św. dawne życie porzucił i kapłanem został. Doszedł do godności biskupa krakowskiego. Dla ubogich był miłosiernym, że na każdy dzień stu ich swoim chlebem żywił, i za nim chodziły zawsze dwa wozy naładowane kożuchami i inną odzieżą. Więc gdy kogo obdartego albo od zimna drżącego na drodze spotkał, nie tylko go przyodział, ale i obdarował. Raz w wigilię święta jakiegoś wybierał się na nieszpory do kościoła; w pokoju tedy sam siedząc, czekał, rychło mu dadzą znać, że czas już nadchodzi. Tymczasem stanęła przednim postać znajomej mu osoby, a mianowicie owego Kurosza, dawno już zmarłego. Zrazu począł się lękać, ale przyszedłszy do siebie, pytał Kurosza skąd przychodzi. Odpowiedział: Żyję i daleko szczęśliwszym życiem niż wy. – Gamrat na to: Czy może być, abyś ty był zbawionym, któryś życie tak sprośne prowadził, o czym i ja wiem? Wtedy Kurosz odpowiedział. W młodym wieku będąc w cudzych krajach, byłem w towarzystwie takiego, który bluźnił i lżył Matkę Boską, a ja zdjęty gorliwością o Jej honor, ująłem się i dzielnie broniłem. W dalszym życiu nigdy mi ta rzecz na myśl nie przyszła, aż wtenczas, gdy dusza moja z ciałem się rozstawać miał. Gdy słusznie sądu Bożego się lękałem, stawa przede mną Najśw. Panna z orszakiem aniołów i rzuciwszy na mnie okiem miłosierdzia rzekła; Czyliż mój żołnierz, obrońca honoru mego ma zginąć? Wstawiła się tedy Najśw. Panna za mną do Syna swego. a gdy się to stało, wzięła mnie skrucha serdeczna z obrzydzeniem dawnych nałogów. Prosiłem już nie ustami, ale sercem swoim o miłosierdzie Boskie i przyjął Bóg żal mój i gdym w nim skonał, nie potępił duszy mojej, ale ją między wybranych swoich policzył. Teraz mnie do ciebie posłał, żebym cię o bliskim życia schyłku przestrzegł. Tyle twoja litość nad ubogimi przed majestatem Bożym sprawiła, że ci miłosierdzie Boże zjednała. Wiedz, że za sześć miesięcy pewnie się z tym światem rozstaniesz. Masz więc jeszcze czas pokuty i przejednania Boga – To wyrzekłszy, zniknął z oczu Gamrata, a on zlawszy się łzami, szczerze o poprawie życia i pokucie myśleć począł i nikogo tego dnia do siebie nie dopuszczając, nierychło potem poufałym sobie powiedział, co się z nim stało.

Oddał się cały pokucie i w sześć miesięcy potem (w r. 1545), jak mu przepowiedzianym było, zszedł z tego świata.” („Co warta dusza. Karta z życia Siostry Dominiki, Szarytki, z czasów wojny Francusko – Pruskiej w 1870 roku”, Nakład i własność SS. Loteranek. Warszawa 1930, s. 23 – 26)

Pamięć dusz o nas

„Ks. Jezuita Mrowiński pisze: „W gnieźnieńskim powiecie znajduje się wieś Czeszewo, która przed kilkudziesięciu laty należała do radcy sądowego śp. Szumana. Stracił on w późnym już wieku małżonkę i zamieszkał sam jeden, bo był bezdzietnym, dość obszerny dwór staropolski. Dwór ten był stawiany, jak prawie wszystkie dawniejsze, z drewna i miał tę nierzadką na owe czasy osobliwość, że będąc pokrytym słomą, zaciekał, ile razy deszcz padał. W kilku miejscach pokoju stawiano talerze na łóżkach, szafkach itd. dla chwytania przeciekającej wody. Oczywiście, że sufity i belki bardzo na tym cierpiały. – W kilka tygodni po śmierci żony, pan radca spał sobie najsmaczniej, nagle budzi się i widzi we drzwiach, prowadzących do drugiego pokoju, nieboszczkę, żonę swoją, która patrząc nań uprzejmie, kiwa palcem, żeby wstał i do niej się zbliżył. Zbudzony zapalił świecę, ale nic nie widząc, nie fatygował się, mruknął sobie: „imaginacja!” zgasił świecę i zasnął. Po chwili ta sama postać żony w tym samym miejscu jemu się pokazuje i tak samo jak przedtem na niego kiwa. Radca zapalił świecę, ale że widzenie znikło, a on bardzo trzeźwym człowiekiem i w żądne strachy nie wierzył, zgasił światło i usnął. Po chwili pokazuje mu się zmarła żona po raz trzeci w tym samym miejscu i kiwa nań z wielką usilnością. Radcy było tego już za wiele, zapalił świecę, wdział na siebie szlafrok i wychodzi do drugiego pokoju, dokąd weszła żona; świeci, szuka, nie ma nikogo. Kiedy zmieszany trochę już się wraca do sypialnego pokoju, wtem słyszy łoskot i krach łamiących się belek, spadającego sufity, który zdruzgotał łóżko i wszystko, co było w sypialnym pokoju. Z przestrachu upadł na ziemię, chmura kurzu zaległa salę, w której się znajdował. Wkrótce jednak przyszedł do siebie, a następnie opowiedział wszystkim to dziwne zdarzenie, o którym i ja słyszałem od jego bratanków, powszechnie szanowanych w Księstwie Poznańskim obywateli, z których jeden był prezesem Koła sejmowego polskiego w Berlinie.” (dz. cyt. s. 27 – 29)

Cuda miłosierdzia Bożego za przyczyną dusz czyśćcowych

„Wilhelm Freyszen, sławny księgarz w Kolonii, otrzymawszy dwie znakomite łaski od Boga, w roku 1649, przez przyczynę dusz czyśćcowych napisał list do Ojca Jakuba Monfort, gorliwego szerzyciela nabożeństwa za zmarłych, przez wydanie książki pod tytułem: De misericordia defunctis exhibenda. List ten poddajemy w całości.

„Piszę do Was, mój Ojcze, aby Wam oznajmić o dwojakim cudzie, którego doznałem z miłosierdzia Bożego, to jest uzdrowienie mojej żony i mojego syna. W dni świąteczne sklep mój zwyczajnie jest zamknięty; mając tedy więcej czasu, zabrałem się do czytania książki o nabożeństwie za dusze czyśćcowe, której wydrukowanie łaskawie mi powierzyć raczyłeś. Gdybym jeszcze był zajęty tym czytaniem, oznajmują mi, że moje dziecko, czteroletni chłopczyk, ciężko zachorował; po kilku dniach tak mu się pogorszyło, że doktorowie nie mieli żadnej nadziei wyleczenia go, i już czyniono przygotowania do pogrzebu. W ciężkiej boleści mojej, zwróciłem się do Boga i przyszła mi myśl, że może go uratuję, czyniąc ślubna korzyść dusz czyśćcowych. Nazajutrz rano idę do kościoła i gorąco proszę Pana Boga, aby mnie wysłuchał, obowiązując się ślubem rozdać darmo sto egzemplarzy tej książeczki zachęcającej do miłosierdzia nad Kościołem cierpiącym, a rozdać je kapłanom i zakonnikom, aby z większym pożytkiem wypełnione były praktyki, które tam są wskazane.

Byłem pełen nadziei. Gdym wrócił do domu, znalazłem lepiej syna mojego; prosił o posiłek, chociaż od kilku dni nie mógł przełknąć ani kropli wody. Nazajutrz zdrów był zupełnie, wstał poszedł na przechadzkę, jadł, jakby nigdy nie chorował. Przejęty wdzięcznością starałem się jak najprędzej dopełnić mego przyrzeczenia. Poszedłem do księży, prosiłem, aby ze stu egzemplarzy wzięli dla siebie, ile zechcą, a resztę, żeby sami rozdali kapłanom, zakonnikom, klasztorom; aby dusze czyśćcowe, moje dobrodziejki, miały z ich modlitwy ratunek...”

(Tenże sam człowiek za wstawiennictwem dusz czyśćcowych wyprosił uleczenie śmiertelnie chorej żony, pomijam ów opis, jako bardzo podobny do poprzedniego) (A. Morawski: Cuda i łaski Miłosierdzia Bożego, Warszawa 1892, s. 12 – 14)

Jałmużna za umarłych nie zostanie bez nagrody

„Nie wszyscy mogą dawać wielkie jałmużny, ale i przy dobrej woli i małą ofiarą możemy wspomagać dusze cierpiące – aby zapewnić błogosławieństwo Boskie. Wdowa ewangeliczna złożyła dwa szelążki do skarbonki kościelnej, a Chrystus Pan pochwalił ją, iż dała co mogła.

Ten przykład naśladowała jedna uboga niewiasta neapolitańska, która zaledwie mogła wyżywić gromadkę drobnych dziatek. Mąż jej, ubogi wyrobnik pobożny i poczciwy, przynosił co wieczór nędzną zapłatę swej ciężkiej pracy. Jednego dnia niestety! ten biedny ojciec ujęty był i uwięziony za długi, a cały ciężar utrzymania rodziny spadł na nieszczęśliwą matkę, która nie miała innego sposobu życia, jak tylko praca swoich rąk i ufność w miłosierdziu Bożym. Dzień i noc w serdecznej modlitwie błagała Boga o ratunek w tej niedoli, a szczególnie o uwolnienie męża, który jęczał w więzieniu nie za jakie występki, a biedna kobieta nie miała żadnej nadziei opłacenia tych długów.

Powiedziano jej o pewnym zamożnym obywatelu, który używał swego majątku na wsparcie nieszczęśliwych. Natychmiast uboga niewiasta starała się o napisanie prośby, w której wyraża swą nędzę i prosi o łaskę litościwego pana. Ale niestety, otrzymuje tylko drobną jałmużnę – mały pieniądz. Co począć i do kogo się udać? Zasmucona, zbolała nad wszelki wyraz, idzie do kościoła, a rzucając się do stóp Zbawiciela utajonego w Najświętszym Sakramencie, błaga o cud miłosierdzia dla swej nieszczęśliwej rodziny, bo próżna jest w ludziach nadzieja. Wtem jakby błyskawica uderza ją myśl, zapewne od Anioła Stróża, prosić o przyczynę dusz czyśćcowych. Słyszała od kogoś o ich cierpieniach i o wielkiej ich wdzięczności dla tych, którzy je wspierają. Pocieszona tym natchnieniem, idzie zaraz do zakrystii, składa swój pieniążek i prosi o odprawienie Mszy świętej za dusze w czyśćcu. Jakiś litościwy kapłan tam będący, rozpoczął świętą Ofiarę, z którą ona swoje gorące modły łączyła, leżąc krzyżem na ziemi.

Powstała z tej modlitwy wielce wzmocniona i pocieszona na duchu, jakby pewną była, że ją Pan Bóg wysłuchał. I oto, gdy wracając do domu przebiega gwarne ulice miasta, zbliża się do niej jakiś poważny starzec i pyta: „czemu się tak smutną wydajesz?" Ona odpowiada wymownie o swoim utrapieniu. Nieznajomy słucha ją ze współczuciem, zachęca do ufności w Bogu, i oddalając się, wręcza jej list, prosząc, aby go zaniosła do wskazanej osoby. Biedna kobieta idzie prosto na oznaczone miejsce, a znalazłszy tam młodego człowieka, gospodarza domu, spełnia polecenie. Ten otworzywszy papier, z niezmiernym wzruszeniem, poznaje pismo swego ojca zmarłego od kilkunastu lat...

– Skąd masz ten list? kto ci go dał? – woła nadzwyczaj zdziwiony.

– Panie! – rzecze przelękniona niewiasta – jakiś poważny mężczyzna spotkał mnie na ulicy, rozmawiał ze mną i kazał mi ten list przynieść do tego domu; nie wiem, co w nim napisano, nic mi o tym nie mówił.

Coraz więcej wzruszony i zdziwiony młodzieniec, czyta głośno list, jak następuje:

„Synu mój, twój ojciec dziś wybawiony jest z czyśćca przez tę ubogą niewiastę, która ci wręczy to pismo; z jej ofiary odprawiła się tego ranka Msza święta, za dusze w czyśćcu, a Pan w miłosierdziu swoim przyjął ją na dopełnienie mego oczyszczenia: winniśmy jej przeto największą wdzięczność. Ta poczciwa kobieta jest w ciężkim niedostatku, polecam ją twojej opiece." (dz. cyt. s. 16 – 20)

Oczywiście nie muszę chyba dodawać, iż syn ojca wybawionego z czyśćca suto zaopatrzył ową ubogą kobietę, zadbawszy o to, aby już nigdy nie zaznała niedostatku.

Jest to kolejny przykład, że miłosierdzie okazane duszom czyśćcowym sprowadza na nas cuda miłosierdzia Boskiego.

O żołnierzach po śmierci o wspomożenie proszących

Około Roku Pańskiego 1078, nieopodal Wormacji, przez wiele dni i nocy obserwować można było wielkie dziwy. Oto wielka ilość zbrojnych – jednych pieszych, innych zasię konnych, pokazywała się okolicznym mieszkańcom, zgiełk czyniąc. A zdawało się jakby zastępy owe wychodziły z pobliskiej góry.

Zdarzenie owo wzbudzało ni tylko zdziwienie, ale i strach. Znalazł się jednak przecież mnich pewien, mieszkaniec Lunxurgeńskiego klasztoru, który wespół z kilkoma towarzyszami, zawiesiwszy sobie na szyi krzyż, wyszedł odważnie owym zbrojnym na spotkanie.

Skoro ich zagadnął kim są, skąd się tutaj wzięli i czego by żądali, usłyszał takową odpowiedź:

– Nie jesteśmy nocnym przywidzeniem, ani też żywymi ludźmi, lecz duszami, które niegdyś na tym świecie możnym panom służyły. Przed wielu laty w tym właśnie miejscu, w srogiej bitwie śmierć ponieśliśmy.

– A ponieważ bezbożny żywot pędziliśmy, karę teraz cierpieć musimy.

– Patrz na nas. Ubiór, zbroja, oręż, konie, które nam za życia służyły i niejednokrotnie były powodem grzechu, po śmierci stały się przyczyną straszliwych mąk. Wszystko, co teraz widzicie około nas, wszystko to jest dla nas *ogniem*, który nas pali, aczkolwiek wy go swymi śmiertelnymi oczyma nie widzicie.

A gdy zakonnik pytał, czy żywi mogą im jakoś pomóc i poratować, od tej samej duszy żołnierza usłyszał:

– Postami i modlitwami, a osobliwie ofiarami Ciała i Krwi Pana Jezusowej ratowani być możemy i o to *prosimy*.

Skoro skończył mówić, cała rzesza duchów jednym głosem zawołała po trzykroć:

„– Módlcie się za nami!”

I zaraz się zdało, jakby się wszyscy oni w ogień obrócili, a i góra sama, jakby ogniem gorzała, po niebie przetaczały się grzmoty, a korony drzew wydawały wielki szum. (Ioan. Trithe. in Chron. Anno Domini 1098, wg.: ZWIERCIADŁO PRZYKŁADÓW etc., dz. cyt., s. 269)

O zakonniku, który za niedbalstwo w modlitwie do czyśćca trafił

W Konwencie Poczęcia Najświętszej Panny w Parmie, roku 1541, umarł uważany przez wszystkich za nadzwyczaj świątobliwego ojciec Jan de Via.

Za życia przyjaźnił się on z równie nabożnym zakonnikiem, z bratem Ascentiusem.

Skoro po śmierci Jana Ascentius przez kilka dni trwał na modlitwie za spokój duszy swego przyjaciela, naraz ogarnęła go jasność wprost nie do opisania, a z owej jasności wyłoniła się postać zmarłego.

Tak straszny lęk zdjął Ascentiusza, że nie mógł wydusić z siebie ani jednego słowa. Ponieważ zjawisko to ciągle trwało, w końcu oswoiwszy się z nim nieco i wziąwszy na odwagę, zapytał, czego by umarły żądał od niego.

Ten zaś ozwał się w te słowa:

– Mimo świątobliwego życia, żarliwych modlitw, postów i pokut zaniedbywałem odmawiać Officium za umarłych. I chociaż Pan Bóg w miłosierdziu swoim mnie nie potępił, to jednak nie pierwej osiągnę chwałę wiekuistą i przekroczę bramy raju, aż wy żyjący w tym klasztorze dopełnicie tego, czegom ja nie dopełnił.

Po wyrzeczeniu owych słów, widzenie znikło.

Przestraszony i niemniej przejęty brat Ascentius powiadomił o zaszłych zdarzeniu gwardiana, a ów, nie zwlekając, zarządził to, o co prosiła pokutująca dusza ojca Jana de Via.

Po niejakim czasie tenże ostatni znów się ukazał swemu przyjacielowi, tyle że tym razem w daleko większej jasności, dziękując za spełnienie przedłożonej mu prośby, która dla umarłego miała tak kolosalne znaczenie. (Franc. Gonzaga de origine Seraph: Relig. par. 4 in Provin: Canar: co: 7, wg.: zwierciadło przykładów, Kraków 1624, s. 270)

Wartość najświętszej Ofiary dla dusz czyśćcowych

Gdy ojciec Jan de Aluerna, franciszkanin, odprawiał Mszę św. w dzień zaduszny, ofiarując ją z takim uczuciem miłości i pobożności, że aż prawie popadł w zachwycenie, stał się świadkiem niezwykłego widzenia.

Skoro przy Mszy św. najświętsze Ciało Boże podnosił, ofiarując je Ojcu niebieskiemu, aby miłości tego, który na krzyżu wisiał wybawić raczył, ujrzał wprost niezliczoną liczbę dusz wychodzących z czyśćca, jakby wielość skier z pieca ognistego wystrzelający ku górze. I widział jak do ojczyzny niebieskiej wstępowały dla zasług Pana Chrystusowych, który dla zbawienia ludzkiego na krzyżu dał się przybić. (Chron. Anton. 3. par. tit. 24. ca 8. § 15. Ex Chrom. Fratorum Minorum, wg.: ZWIERCIADŁO PRZYKŁADÓW, Kraków 1624, s. 271)

O mękach, jakie w czyśćcu cierpią niegodni mnisi

Mnich pewien – niestety historia nie przekazała nam ni jego imienia, ni czasu, w jakim żył – będąc bliskim śmierci, popadł w zachwycenie i zaprowadzony został w miejsce, kędy doznaje się szczególniejszych mąk.

To, co ujrzał, wprawiło go i w zdumienie i w przerażenie zarazem. Oto bowiem dostrzegał postaci demonów, które ponawdziewawszy na rożna niegodnych mnichów, równo ich nad ogniem piekły, a wrzący tłuszcz, który z nich wypłynął, skrzętnie zbierały i polewały nim spieczone tołuby.

Anioł, który był mu za przewodnika, widząc że ów nie może ze spokojem patrzeć na owe męczarnie okropne, wyprowadził go stamtąd czym prędzej na miejsce ochłody i powiedział:

– Ci których widziałeś, że ich w ogniu wielkim pieczono, nie służył Panu ochotnie w bojaźni i z drżeniem. Nie dosyć przestrzegali karności Reguły, modlili się bez żarliwości. W świecie natomiast byli dworni, krotochwilni, cudze kąty nawiedzający, zbytek miłujący, gnuśni i lekkomyślni. Dlatego nie pierwej dostąpią chwały wiekuistej, aż się nie wypłacą Panu aż do ostatniego pieniążka. (Lib. 7 Specul. Hist. Vincent. cap. 109, wg.: ZWIERCIADŁO PRZYKŁADÓW, Kraków 1624, s. 273)

Godzina w czyśćcu zdaje się wiecznością

Pewien zakonnik umierając prosił, aby opat podobnie tak jak wszystkich ten padół opuszczających, zaopatrzył go na śmierć świętymi sakramentami i dał mu rozgrzeszenie.

Ponieważ opat koniecznie musiał właśnie w tym czasie na pewien okres opuścić klasztor, nie przypuszczając, że mnich ów rzeczywiście prędko umrze, rzecz całą postanowił odłożyć do swojego powrotu.

Pech sprawił, iż pod nieobecność opata konający rozstał się z tym światem.

Skoro opat powrócił, ciało umarłego nie było jeszcze pogrzebane. Opat zaś udawszy się do kościoła, ze smutkiem myślał, że nie spełnił prośby umierającego, narażając go przez to na cierpienia po przekroczeniu progu żywota.

Tak się jednak złożyło, że mnich ów umarł obciążony jedynie grzechami lekkimi, więc nie zasługiwał na wieczne potępienie i nie mógł być strącony do piekła ognistego.

Ze szczególnego pozwolenia Bożego pozwolono umarłemu objawić się bolejącego nad jego losem opatowi, a gdy ów go ujrzał, umarły jął się domagać od niego przyobiecanego rozgrzeszenia i wyznaczenia stosownej pokuty.

Opat nie wiedząc, co by za pokutę dać nieboszczykowi, rzekł:

– Jako zadośćuczynienie za twoje przewiny, masz przebywać w czyśćcu do momentu, aż twoje ciało zostanie pogrzebane.

Skoro to umarły usłyszał, tak okrutnie i tak rozpaczliwie krzyknął, że głos jego po całym opactwie się rozległ.

– Och! Ty niemiłosierny człowiecze! Skazałeś mnie na tak długie męki. Rozkazałeś mi tak długo trwać w ogniu, gdzie upływa zgoła inaczej niż w doczesności, a minuta równa się wiekom całym.

To wykrzyknąwszy – zniknął. (Collector Speculi huius, wg.: ZWIERCIADŁO PRZYKŁADÓW, Kraków 1624, s. 274)

O ciężkości mąk czyśćcowych

Był pewien zakonnik dominikanin, nader pobożny i świątobliwy, który wielce się przyjaźnił z jednym minorytą.

Pewnego razu, podczas rozmowy dotyczącej wieczności i bytowania po śmierci w nowej rzeczywistości, niebacznie sobie obiecali, że (jeżeli taka by była wola Pańska), który z nich pierwszy z tego świata zejdzie, objawi się temu, który jeszcze pomiędzy żywymi się ostanie i o swoim stanie mu oznajmi.

Umarł tedy jako pierwszy franciszkanin minoryta, a po upływie kilku dni, gdy dominikanin był w refektarzu, ukazał mu się umarły, i gdy ze sobą przez chwilę rozmawiali, niektóre mu rzeczy bardzo dziwne, a dotyczące przyszłego żywota, powiedział, a w końcu i to, iż doświadcza niezmiernie ciężkich mąk czyśćcowych.

Na potwierdzenie tejże prawdy, położył rękę na stole i zaraz *wypalił* nią ognisty, głęboki ślad, który po dziś dzień w Amoreńskim Konwencie można oglądać, na dowód, że istnieje życie po śmierci, i że w tym życiu – kto winien – musi się wypłacać Boskiej sprawiedliwości. (Antonius Senensius in Chronico Praedicatorum ad annum 1218, pag. 32, wg.: ZWIERCIADŁO PRZYKŁADÓW, Kraków 1624, s. 274)

Czyściec według św. Franciszki Rzymianki

„Ogień czyśćcowy różni się wielce od ognia piekielnego. Ten ostatni przedstawia się św. Franciszce jako płomień czarny; ogień w czyśćcu jest jasny i czerwony. Widzi ona – nie w czyśćcu, ale na zewnątrz – anioła stróża po prawej, szatana kusiciela po lewej stronie. Anioł stróż przedstawia Bogu modły ofiarowane przez żyjących za dusze w czyśćcu cierpiące. Co do modlitw ofiarowanych za te dusze, które sądzimy być w czyśćcu, a których tam nie ma, przeznaczenie ich według św. Franciszki jest następujące: Jeśli dusza, którą sądzimy być w czyśćcu, jest w niebie i modlitw naszych nie potrzebuje, modlitwa idzie na pożytek innych dusz w czyśćcu pozostających, a także na pożytek tego, który modły zanosi; jeżeli dusza, którą sądzimy być w czyśćcu jest w piekle, modlitwa za nią zaniesiona idzie całkowicie na pożytek osoby modlącej się i nie rozdziela się na inne dusze jak w razie poprzednim.

Św. Franciszka widzi w czyśćcu trojakie pomieszczenie, niejednakowo straszne i bolesne. Te części dzielą się jeszcze na oddziały. Wszędzie kara jest ustosunkowana do grzechu, do jego rodzaju, przyczyn, skutków i innych okoliczności.” (Ernest Hello: *Oblicza świętych*, Warszawa 1910, s. 57)

Czyściec w opisie S. Joanny á Jesu Maria

„Prowadzono mnie też wpośród czyśćca. Są tam równie okropne męki i utrapienia jako i indziej, z tą jednak różnicą, że miejsce to jest miejscem pokoju, a nie złorzeczenia; bo tu Pana Boga nie przeklinają, i owszem, chwalą i błogosławią. To zaś najcięższe jest, co cierpią, że zatrzymani są, i Pana Boga nie widzą jeszcze. Wreszcie insze wszystkie męki prawie też są, jakom pierwej w piekle wspominała. O, gdyby to niektórych ludzi napomnieć i nastraszyć mogło! którzy grzechy niektóre lekce sobie ważą. Odpowiadają, kiedy się im o tym mówi, że Bóg nie jest takim jako my skrupulantem. O jak nie dobrze wiadomi są co się na tamtym świecie dzieje! wszystkie tam ściśle roztrząsają tak dalece, iż dziwna zgoła zdałaby się rzecz widzieć, gdyby wolno było, co się tam dzieje, keidy surowie jedno słówko wolniejsze dla żartu wyrzeczone karzą.” (O ŻYWOCIE WIELEBNEY PANNY SIOSTRY IOANNY Á JESU MARYA, druk XVII lub XVIII wieczny, brak karty tytułowej. s. 67)

Jako błogosławiona S. Joanna á Jesu Maria duszom czyśćcowym pomagała

„Błogosławiona Joanna bardzo była litościwa i miłości wielkiej ku bliźnim. Do tego oczyma widziała i sama doznała okrutnych mąk czyśćcowych [za życia w ciele, na ziemi – przyp. A.S.], a uważała też, że w onych mękach będące dusze były przyjaciółkami Boga i w tejże łasce zostawały. Dlatego (...) politowanie miała nad zatrzymaniem ich w onym więzieniu, i nic bardziej nie miała we staraniu, jako aby onych z tego więzienia na wolność wyzwolić, torując im drogę do wiecznej chwały. Utrapienia, umartwienia, boleści i pokuty jej do tego jedynie zmierzały, aby przez takowe dobre uczynki (..) ratować dusze z mąk czyśćcowych (...) mogła. (...) [Dusze czyśćcowe] Joannę na wszystkich miejscach oblatywały jako kurz promienie słoneczne i chodziły za nią, gdzie się tylko obróciła. Odnajmowała każdą [z dusz] oblubienicy Chrystusowej, jak długo i na wiele lat do czyśćca jest naznaczona, oraz i męki które ponosiła. Obstępowały czasem ją i *ogniem*, silnie przypalały tak, iż wszystkie jej ciało z ciężkim bólem gorzało, i kości się paliły. Z tej tedy przyczyny i doświadczenia osobistego srogich mąk czyśćcowych, tym pilniej i silniej modliła się za dusze w czyśćcu będące. Kiedy raz Chrystus Pan oblubienicy swej niebezpieczeństwo królestwa tego [hiszpańskiego ? – przyp. A.S.] dla ciężkich i różnych grzechów przed oczy przedłożył, tak usilnie turbowała się o to i starała przebłagać Majestat Boży, iż o duszach w czyśćcu będących zapomniała. Przyszedł tedy Piątek Wielki, gdy wszystkie klasztoru tego siostry odprawowały Męce Bożej, rozpamiętywając uroczyste nabożeństwo. Ksieni pierwsza dusze w czyśćcu będące siostrom swym polecała. Joanna tego nie usłyszawszy dobrze, pyta się jednej siostry co pani ksieni mówiła. Gdy zaś dowiedziała się, że dusze w czyśćcu będące zalecone są ich modlitwom, rzekła: „– Insze i pilniejsze dla nas potrzeby są: błogosławione dusze są na miejscu bezpiecznym, niech nieco poczekają. Tylko, co to Joanna wymówiła, zaraz uczucie żelazną ręką ognistą, która całe ramię jej objęła i prawie spaliła, tak iż z bólu wielkiego bardzo zawołała: „ – Gorę! Palę się!” Trwała ta męka przez czas niemały. Na ten czas doświadczeniem samym za sprawiedliwym dopuszczeniem Bożym poznała, iż na całym świecie większej potrzeby nie masz, nad potrzeby dusz w czyśćcu będących.

Nad to zawsze jej Bóg objawił srogość i rozliczność mąk czyśćcowych, i one do cierpienia i modlenia się za te dusze pobudzał. (...) [Urban VIII papież] skoro zszedł z tego świata, zaraz dzień zejścia jego S. Joannie był objawiony, i ona dosyć czyniąc powinności swoje, do których się zobowiązała, usilnie o wyzwolenie duszy jego modlitwami swymi starała się z czyśćca go wydobyć. Pokazał się jej sam papież, ale zewsząd tak wielkimi ogarniony mękami, iż stanu jego duszy poznać nie mogła. Nie przestawała za niego gorąco i płaczliwie modlić się, bijąc się dyscyplinami i biczami różnymi, a nadto wiele innych umartwień sobie zadając, jednak zawsze w tymże nędznym stanie zostającego go widziała, ani zdało się być co pociechy onej i czasem kiedy w pokazaniu się powtórnym pytała o stan jego, odpowiedział jej, że nie ma pozwolenia od Boga oznajmić jej o stanie swym. Odpowiedź ta ciężkością napełniła serce Joanny (...) silniej tedy modlitwą swą nastąpiła i uprzykrzyła się Majestatowi Boskiemu, ale Bóg jakby zdał się nie słyszeć [jej próśb]. [Ale ona tym bardziej prosiła.]

[Nie mógł dłużej ignorować próśb oblubienicy Chrystus Pan, więc ją w końcu poinformował, że męka papieża skrócona być nie może i dopełnić się musi].” (O żywocie Wielebney Panny Siostry Ioanny Á Iesu Maria, druk XVII lub XVIII–wieczny, brak karty tytułowej, s. 74 – 79)

Siostra Joanna á Jesu Maria była Hiszpanką i żyła w latach 1564 – 1650. Doświadczała wielu przeżyć mistycznych. (red.)

Czyściec w objawieniach św. Brygidy Szwedzkiej

Św. Brygida Szwedzka była córką Birgera, – księcia z królewskiego rodu szwedzkiego – i Sugridy, pochodzącej także z królewskiego domu Gotów. Brygida urodziła się około roku 1302 w Szwecji, a zmarła w Rzymie w 1373 roku.

Chociaż żyłą w małżeństwie, jej życie odznaczało się niezwykłą surowością. Wiele się modliła i umartwiała ciało na najróżniejsze sposoby. Szczególną łaską, jaką wyświadczył jej Pan Jezus, były objawienia, które zebrane zostały w wielką i grubą księgę. Objawienia te zostały uznane przez Kościół. Brygida po śmierci męża założyła zakon od imienia fundatorki zwany brygidkami. Jej objawienia – chociaż bardzo trudne i hermetyczne, (mimo iż niektóre z nich dawno się już zdezaktualizowały), godne są lektury, niosą bowiem ze sobą wiele pożytku duchowego.

Przykłady odnoszące się do czyśćca, miejsca i stanu dusz tam cierpiących, zaczerpnięto właśnie z księgi objawień tej wielkiej szwedzkiej świętej. Niektóre z nich nie robią większego wrażenia, niektóre zaś są wręcz drastyczne, ba! trącące horrorem!

***

„Trzecie miejsce [pośmiertnego bytowania, mówi Matka Boska, czego świadkiem jest św. Brygida – przy. red.] jest czyściec, a ci, co w nim są. potrzebują trojakiego miłosierdzia, bo trojako trapieni zostają. Trapią się w słuchaniu, bo nic lepszego nie słyszą tylko męki, karania i nędzę; trapią się widzeniem, bo nic nie widzą, tylko swą nędzę; trapią się dotknieniem, bo czują gorącość ognia nieznośnego, i ciężkiego karania. Dajże im mój SYNU i Panie miłosierdzie Twoje, dla próśb moich. Odpowiedział SYN. Chętnie dla ciebie dam trojakie miłosierdzie im: naprzód słuchowi ich ulżę; widzenie uspokoi się, i karanie umniejszy się i skromniejsze będzie. Na ostatek, którzykolwiek od tej godziny są w największych mękach czyśćcowych, będą przeniesieni do średnich, albo miernych; a ci zaś, którzy są w miernym karaniu, otrzymają wolniusieńkie karanie, a którzy zaś są w wolniusieńkim karaniu, przeniosą się do odpoczynku wiecznego. Odpowiedziała MATKA BOŻA: Niech ci będzie cześć i chwała wieczna Panie mój (...)” (Skarby niebieskich taiemnic to iest księgi obiawienia niebieskiego świętej matki Brygidy z rodzaju krolewskiego. Xiężnej neryckiey ze Szwecyey. fundatorki s. Salvatora. z łacińskiego na polskie przełożone przez zakonnika Braci Mniejszych Ojców Bernardynów. Z pozwoleniem starszych, *Lwów* 1698, s. 75)

Widzenie czyśćca w objawieniach św. Brygidy

„Nad ciemnościami zaś tymi [to znaczy ponad miejscem wiecznych mąk, piekieł – przyp. A.S.] jest największe karanie czyśćcowe, które dusze mogą znosić, a dalej od tego miejsca insze, gdzie jest mniejsze karania, które nie jest insze jedno defekt sił w męstwie, w piękności, i podobnych rzeczach, jako przez podobieństwo powiadam: nie inaczej, jedno kiedyby kto był chory, a gdy ustała choroba, albo męka nie miałby siły, żeby po lęku przyjść do siebie. Trzecie zaś miejsce wyższe jest, gdzie żadnej męki nie masz, jedno pragnienie przyjść do BOGA (...) Na pierwszym miejscu, nad ciemnościami jest wielkie karanie czyśćcowe, gdzieś widziała onę duszę oczyszczającą się. Tam jest dotykanie czartów, tam przez podobieństwo pokazują się jadowici robacy, i podobieństwo zwierząt srogich. Tam jest gorąco i zimno, tam ciemności i zamieszanie, które pochodzą z karania, które jest w [położonym niżej – przyp. A.S.] piekle. Tam niektóre dusze mają mniejsze męki, a niektóre większe, wedle tego, jako kto poprawił się z grzechów swoich na ten czas, którego dusza wraz z ciałem mieszkała.” (Objawienia św. Brygidy Szwedzkiej &, Lwów 1698, s. 227 – 228)

O straszliwych mękach pewnej duszy, które widziała św. Brygida

Pewna dusza wiele zła popełniła w życiu doczesny, stanąwszy przed obliczem Najwyższego, z jego dekretu oto męki musiał wycierpieć, aby do wiekuistej światłości być dopuszczoną:

„...widziałam, że jakoby wiązka niejaka była przywiązana do głowy na kształt korony, którą tak bardzo ściskała, że tył głowy pospołu z obliczem złączył się; oczy zaś wypadły z miejsc swoich, i wisiały na żyłkach, aż na jagodach (policzkach – przyp. A.S.); włosy też jakoby od ognia zgorzały i uschły, mózg się też rwał płynąc przez nozdrza, i przez uszy, język był wywieszony, i zęby powypadały; kości w ramionach były pogruchotane, i jakby powrozy skręcone; ręce złupione do szyi przywiązane, piersi zaś i żywot (brzuch – przyp. A.S.) tak mocno się z grzbietem łączyły, że żebra połamawszy się, serce ze wszystkimi wnętrznościami wywrócone rozpękło się; lędźwie zaś wisiały po bokach i kości pogruchotane wypadały, i ciągnęły się jako cienkie nici. (...) I Sędzia na ten czas rzekł: dla Męki mojej, będzie jej otworzone niebo, pierwej z grzechów oczyściwszy się, tak długo będzie powinna cierpieć, chyba, że będzie miał wspomożenie z dobrych uczynków żyjących ludzi na świecie." (Objawienie św. Brygidy Szwedzkiej &, Lwów 1698, s. 227)

Powyższe opisy, neder drastyczne i szokujące dla współczesnego Czytelnika, miały – i pewnie też mają – swoją pozytywną rolę do spełnienia. W przeciwnym wypadku na pewno nie znalazły się w tak cennym dziele, jakim jest „Księga objawień św. Brygidy."

Św. Faustyna Kowalska widzi duszę męki cierpiącą

„Wtem ujrzałam pewną duszę, która się rozłączyła od ciała w strasznych mękach. O Jezu, kiedy mam to pisać, drżę cała na widok okropności, które świadczą przeciw niej.. Widziałam, jak wychodziły z jakiejś otchłani błotnistej dusze małych dzieci i większych, jakie dziewięć lat; dusze te były wstrętne i obrzydliwe, podobne do najstraszniejszych potworów, do rozpadających się trupów, ale te trupy były żywe i głośno świadczyły przeciw duszy tej, którą widzę w skonaniu; a dusza którą widzę w skonaniu, jest to dusza, która była pełna zaszczytów i oklasków światowych, a których końcem jest próżnia i grzech. Na koniec wyszła niewiasta, która trzymała jakby w fartuchu łzy, i ta bardzo świadczyła przeciw niemu.

O godzino straszna, w której widzieć trzeba wszystkie czyny swoje w całej nagości i [nędzy]; nie ginie z nich ani jeden, wiernie towarzyszyć nam będą na sąd Boży. Nie mam wyrazów ani porównań na wypowiedzenie rzeczy tak strasznych, a chociaż zdaje mi się, że ta nie jest potępiona, to jednak męki jej nie różnią się niczym od mąk piekielnych, tylko jest ta różnica, [że] się kiedyś skończą.” (Bł. s. M. Faustyna Kowalska: *Dzienniczek*. *Miłosierdzie Boże w duszy mojej*, Warszawa 1995, s. 152 – 153)

Bł. s. Maria Faustyna (w świecie Helena Kowalska), ze Zgromadzenia Matki Bożej Miłosierdzia, urodziła się 25.08 1905 roku we wsi Głogowiec. Już od dwunastego roku życia czuje powołanie do życia konsekrowanego, jednak liczne przeszkody pozwalają jej poświęcić się na wyłączną służbę Bogu w Zgromadzeniu Matki Bożej Miłosierdzia dopiero w roku 1926. Całe życie cicha, pokorna, wykonująca ciężkie prace fizyczne, jednocześnie bogata duchowo, doświadcza licznych objawień niebiańskich, widzeń Pana Jezusa, na którego polecenie propaguje kult Miłosierdzia Bożego, jakim dziś został aprobowany przez Kościół i rozpowszechniony na świecie. Umiera w roku 1938.

Prawdziwa historia o dziwnym pokazaniu się umarłego

Historia jest istotnie prawdziwa, nie we śnie, lecz na jawie widziana i poświadczona przez wiarygodnych świadków.

Oto przedziwny cud stał się w mieście Sylwaduku, w domu pani Dieldeńskej, w dniu 23 listopada Roku Pańskiego 1382.

Tegoż to dnia brat rzeczonej pani pokazał się w szatach, w tych samych, w jakich złożono go do grobu. To jest w czarnym płaszczu, a ubiorze spodnim uszytym z aksamitu, bez czapki.

A gdy uchylił poły płaszcza, buchnął straszny płomień, co świadkowie owego dziwowiska spostrzegli, pouciekali.

Córki zaś zmarłego i jego siostra (czyli ciotka dziewcząt), które na ten czas tam były obecne, zrozumiały, że to ich rodzony ojciec i brat przyszedł z tamtego świata na ziemię, za zezwoleniem Boskim się im ukazał. Przełamując lęk, jaki je ogarnął, z wielką usilnością pytał go, czegoż by to sobie od nich życzył i czy ludzką pomocą może być zratowany. Czy miejsce, w którym przebywa to czyściec, czyli też piekło ogniste?

Kiedy one deliberowały nad tym, jakiż to też los mógł go po śmierci spotkać, on z niejakim wyrzutem w głosie w te odezwał się słowa:

– I czemuż mnie nie ratujecie? Czemuż się mnie boicie? Nic złego z mojej strony was spotkać nie może!

Dziewczęta i ich ciotka odparły na to:

– Ze zbytniego strachu boimy się szczegółowiej wypytać cię, czego od nas oczekujesz.

Na te słowa zjawa znikła, a widać było, iż ogarnął ją smutek.

Lecz nie było to jej ostatnie ukazania się żyjącym. Tego samego dnia bowiem umarły, około drugiej po południu, pokazał się po raz drugi. Przez długi czas nie wyrzekł ani jednego słowa, a tylko ciężko i boleśnie wzdychał.

Wreszcie jednak rzekł do swojej siostry:

– Czemu mnie nie ratujesz?

Ona zaś mu na to odparła:

– Gotowam cię ratować wszelkimi sposobami, jakie Kościół w takich przypadkach zaleca, przecież powiedz, które dla ciebie mogą być najkorzystniejsze i najskuteczniejsze.

– Właśnie na tak postawione pytanie czekałem.

I dał jej szczegółowe zlecenie, co czynić, aby mógł osiągnąć szczęście wiekuiste:

– Naprzód tedy – rzekł zmarły – zamów i dopilnuj, by zostały za mnie odprawione trzy msze. Potem idź do miasta Orchotu i tam w kościele, u ołtarza Krzyża Świętego, złóż pewną ofiarę pieniężną, którążem był, będąc chorym, na intencję wyzdrowienia obiecał, ale wróciwszy do sił, pieniędzy poskąpił, co jest mi wielką męką i ciężarem w czyśćcu. Wreszcie też poprosił, aby tak jego córki, jak i brat modlili się za niego.

Umarły powiedział też, że dopóki siostra jego nie dopełni wszystkiego, o co ją prosił, nie opuści jej ani na moment, towarzysząc jej we dnie i w nocy. I tak się stało.

Powędrował z nią do kościoła, gdzie dopilnował, iżby złożyła pieniężną ofiarę, o której wcześniej wspomniał, nabożnie wysłuchał trzech mszy wrócił ze swą towarzyszką do miejsca ich zamieszkania. Próbował z nią rozmawiać, lecz ona już nie chciała ani słuchać jego słów, ani na nie odpowiadać.

Wszystko to trwało od poniedziałku rana, aż do sobotniego świtania.

W sobotę, ledwo się zaróżowił nieboskłon, umarły obudził swoją siostrę i rozkazał, iżby się ubrała i szła do kościoła św. Jana, by – na jego intencję – adorować Najświętszy Sakrament. Mówił też:

– Pokwap się, bo już czas mój krótki.

A gdy on, jak to kobieta, nazbyt marudziła przy ubieraniu się, pośpieszał ją:

– Śpiesz się! Śpiesz się! Bo już nie długo tu będę.

Wyszedłszy na podwórze dał swojej siostrze ostatnie zlecenie, aby w jego imieniu ubłagała brata i bratanice, iżby zawsze trwali w wierze katolickiej i nigdy nie zaniedbywali modlitwy za umarłych, którym to owe modlitwy wielce są pomocne, i wielką ulgę w mękach przynoszą. Dodał też, że jego męki czyśćcowe trwały przez pięć lat, ale dzięki modłom wiernych przyjaciół i rodziny, dzięki politowaniu Boskiemu, zostały mu znacznie skrócone. Przemowę swoją zakończył słowami:

Oto na wieki już jestem zbawiony! – a wyrzekłszy owo, zniknął.

(wg.: (ZWIERCIADŁO PRZYKŁADÓW, Kraków 1624, s. 1286 – 1288)

Jak św. Krystyna pokutowała by ulżyć doli dusz czyśćcowych

Ze świętą Krystyną rzecz tak się miała. Skoro umarła, aniołowie powiedli ją do raju, a tam Pan pozwolił jej zobaczyć straszliwą ciemnicę, dusz ludzkich pełną, które przerażające męki – wypłacając się sprawiedliwości Boskiej – cierpiały. I oznajmiono jej, że jest to czyściec.

Później natomiast zaprowadzono ją ponownie przed oblicze Pana Jezusa Chrystusa, który ją zapytał, czy teraz – przeszedłszy do wieczności w stanie łaski uświęcającej – zechce już na zawsze zostać w niebie, czy też – litując się nad nieborakami tak wielkie męki cierpiącymi, zechce – ale zupełnie dobrowolnie, bez żadnego przymusu! – powrócić do życia i tam podejmując jak najsroższe pokuty umniejszać męki i czas pokuty dusz czyśćcowych.

Święta Krystyna zdjęta litością nad onymi mizeraczkami, rzekła Panu, że wybiera powrót na ziemię. I stało się zadość jej życzeniu.

Skoro tylko ocknęła się ze snu śmiertelnego, poczęła w piece gorejące się rzucać, do ognia się kłaść, w kotłach pełnych wrzącej wody zanurzać. W zimie natomiast, całymi godzinami pod lodem przebywać, głowę tylko wystawiając nad jego powierzchnię, aby móc oddychać.

Ba! Mało tego! W grobach, pomiędzy ciałami cuchnącymi, w stanie rozkładu, się kładła, a czasem nawet jeszcze sroższe umartwienia czyniła.

I rzecz szczególna. Mimo, że w tenże sposób się dręczyła, ogromne męki i boleści cierpiała, że niejednokrotnie z bólu aż wyła, ciało jej *zawsze nienaruszone zostawało*, bez najmniejszych nawet śladów ran, oparzeń, czy odmrożeń. Czego byli liczni świadkowie, którym nie mamy prawa nie dowierzać, tym bardziej, że Pan Bóg niejednokrotnie – i to za naszych czasów, większe jeszcze cuda czyni, niźli te, które czynił za pośrednictwem św. Katarzyny, tej wielkiej przyjaciółki i miłośniczki dusz czyśćcowych. (wg.: ZWIERCIADŁO PRZYKŁADÓW, Kraków 1624, s. 344)

O ciężkiej męce mnicha pewnego, który nie będąc tego godnym zapragnął zostać diakonem

Mnich pewien z zakonu cystersów, słynący z dobrego i świątobliwego życia, skoro czas nadszedł po temu, opuścił ten padół.

W niedługi czas po jego zgonie, zakonnik pełniący obowiązki zakrystiana, przed udaniem się na nocny spoczynek, siedział w swojej celi, gotując się do snu.

I oto naraz, przed oczyma jego ukazała się postać niedawno zmarłego i w te odezwała się słowa:

– Ojcze zakrystianie, jestem tym bratem, który niedawno zmarł. A oto powód, dla którego cię odwiedzam. Wierz o tym, iż jeszcze będąc w ciele, z żądzy wywyższenia się pragnąłem dostąpić łaski święceń diakonatu, co mi za przewinę poczytano i z tejże przyczyny teraz męki cierpię, odpokutowując owo.

– Lecz dobrotliwy Pan pozwolił, ażebym ci się pokazał i o wspomożenie prosił, o co cię błagam przez miłosierdzie Boskie. Idź tedy czym prędzej do ojca przeora i opowiedziawszy mu coś widział i słyszał, proś by całe zgromadzenie modliło się w mojej intencji, a na dowód, iż nie padłeś ofiarą ułudy, wskaż mu miejsce, w którym znajduje się Psałterz, którego on od wielu już dni bezskutecznie szuka.

Po wypowiedzeniu owych słów widziadło znikło.

Ponieważ jednak zakrystian był człowiekiem rozsądnym i w byle przewidzenia nie wierzył, zdmuchnął świecę, ułożył się na pryczy i rychło zasnął głębokim snem.

Nazajutrz także niczego, z tego czego był świadkiem, nie opowiedział ojcu przeorowi, ani tym bardziej braciom zakonnym.

Tymczasem nadeszła następna noc. Zakrystian, tak jak i poprzednio szykuje się do snu i... co to? Znów widzi marę, posturą zmarłego brata przypominającą, która czyniąc mu wyrzuty, zobowiązała go, by następnego dnia, już nie bagatelizując całej sprawy, ani jej odwlekając, opowiedział o wszystkim przeorowi.

– Na znak, że nie jestem złudzeniem, oto weź z mojej ręki ów Psałterz, który wciąż jeszcze się nie odnalazł.

Biorąc księgę, zakrystian próbował pochwycić dłoń zjawy, lecz nie natrafił na materię, a jego palce przeszły przez powietrze.

Będąc teraz już w zupełności przekonanym o rzeczywistości zjawiska, skoro świt poszedł do przeora i braci, którym wszystko to, co widział i słyszał opowiedział, a na dowód prawy swych słów okazał ów dawno zaginiony Psałterz.

Jak nie trudno się domyślić, dzięki licznym mszom, ofiarom i dobrym uczynkom, dusza owego cierpiącego brata, została z ciemnicy wybawiona, a do chwały wiekuistej zaprowadzona (EX lib: de viris Illustriubus Ordinis Cisterciensis, wg.: ZWIERCIADŁO PRZYKŁADÓW, Kraków 1624)

Dusze zmarłych z radością przyjmują do swego grona tych, którzy ich za życia wspomagali

W Brytanii, pewien wieśniak, mimo iż ustawicznie pracą zajęty, pobożnym będąc, nigdy nie zaniedbywał przykazań Bożych i kościelnych.

Miał on też taki oto zwyczaj chwalebny, że ilekroć kościół mijał, bądź przez cmentarz przechodził, tylekroć modlił się za umarłych tam spoczywających.

Ponieważ życie każdego z nas jak ma początek, tak i kres mieć musi, więc nadeszła też ostatnia godzina dla owego wieśniaka.

Prosił tedy, by mu sprowadzono plebana z Najświętszym Sakramentem, iżby ów zaopatrzył go na drogę ku wieczności. Ponieważ jednak była to noc, a pleban leniwy, polecił by konającemu udzielił Komunii świętej diakon, który mu pomagał w pracy parafialnej.

Diakon tedy wziąwszy Ciało Pańskie, udał się do umierającego i nakarmił go owym. Po czym zaraz wieśniak ów ducha wyzionął.

Diakonowi nie pozostało nic innego, jak wrócić się na plebanię. Ale oto, przechodząc obok kościoła, ujrzał iż drzwi jego są rozwarte na oścież, a z przykościelnego cmentarza dobiegł go głos wołający gromko:

– Powstańcie wierni! Wszyscy! I to jak najrychlej! I wyjdźcie z grobów waszych, ile was na tym cmentarzu spoczywa! Pójdźmy wszyscy do kościoła i polećmy miłosierdziu Bożemu Duszę tego zmarłego, który właśnie skonał, a za żywota nigdy o nas zapominał, gdyż ilekroć przez cmentarz przechodził, zawsze za nami do Pana Boga wzdychał.

Potem dał się słyszeć grzmot wielki, umarli poczęli wychodzić ze swych mogił, a potem weszli do świątyni, która rzęsiście oświetlona była setkami świec, które nie wiadomo kto, ani kiedy zapalił.

Tu odprawili solenne modły za duszę owego zmarłego chłopka, a potem każdy na miejsce swego wiecznego spoczynku powrócił.

Diakon, chcąc nie chcąc, był świadkiem tego wszystkiego, bowiem tak wielki strach sparaliżował go, iż nie mógł poruszyć się z miejsca.

Widzenie owo takie zaś na nim uczyniło wrażenie, że porzuciwszy stan kapłana świeckiego, czym prędzej wstąpił do zakonu o nader surowej regule, gdzie aż do śmierci szczególnej modlił się za zmarłych. (wg.: ZWIERCIADŁO PRZYKŁADÓW, Kraków 1624, s. 346)

O pewnym żołnierzu, któremu dusze czyśćcowe życie uratowały

Pewien pobożny żołnierz miał zwyczaj, że ilekroć przechodził obok cmentarza, odmawiał modlitwy za spokój dusz zmarłych.

Razu jednego stało się ta, że spostrzegłszy go oddział nieprzyjaciół, zapragnął go zamordować. Wojskowy widząc się w niebezpieczeństwie śmierci, jął uciekać, a że droga wiodła przez cmentarz, znalazłszy się pośród mogił, pomyślał:

– Co mi czynić wypada? Żywot ratować, czy zwyczaju dochować i zwykłą za umarłych odmówić modlitwę?

Niezbyt długo bił się z myślami, bo czasu po temu nie stało.

Wybrał modlitwę za dusze. Skoro tedy przeżegnawszy się nabożnie jął „wieczne odpoczywanie" odmawiać, nieprzyjaciele jego wpadli na cmentarz, aby go rozsiekać.

I oto naraz prześladowcy zatrzymali się w miejsce niczym skamieniali. Ujrzeli bowiem owego żołnierza otoczonego niezliczoną rzeszą zbrojnych, którzy najwyraźniej pragnęli go bronić.

Prześladowcy widząc taką przewagę, czym prędzej uciekli.

Jeśli Czytelnik jeszcze się tego nie domyślił, wyjaśnię, że owe rzesze zbrojnych otaczających naszego żołnierza, to były dusze, które za szczególnym zezwoleniem Bożym swemu dobroczyńcy pośpieszyły na ratunek, chroniąc go od niechybnej śmierci. (wg.: ZWIERCIADŁO PRZYKŁADÓW, Kraków 1624, s. 347 – 348)

Dusze zmarłych modlącemu się kapłanowi „Amen” odpowiedziały

W czasach, kiedy klasztor kluniacki był w pełnym rozkwicie, jeden mnich, kapłan, urząd swój godnie sprawujący, między innymi cnotami, którymi był ozdobiony, miał i tę, iż przechodząc przez cmentarz, modlił się za spoczywających w grobach, nigdy nie zapominając o tym, iż Panu Bogu podoba się, gdy o umarłych pamiętamy i wspomagamy ich ofiarując im nasze zasługi.

Pewnego dnia, gdy znów wypadło mu ścieżkę cmentarną przemierzyć, modląc się po cichu, na głos dodał: Requiescant in pace – Niech spoczywają w pokoju.

Wówczas, ku swemu wielkiemu zdumieniu, posłyszał głosy wielkiej rzeszy ludzi, którzy mu odpowiedzieli:

„– Amen! Amen!”

Zrozumiał mnich, iż były to głosy – pełne wdzięczności – tych, za których się modlił, utwierdzające go w przekonaniu, że to co czyni, wielką ma wartość dla nich.

Od owej pory jeszcze gorliwiej modlił się za umarłych, pomagając im i przynosząc ulgę cierpiącym, a sobie skarbiąc wdzięczność tych, którym owych cierpień ujmował.

Jednocześnie także zdobywając zasługi w oczach Bożych, bo jak mówi Pismo Święte: „święta to i zbawienna myśl modlić się za umarłych”.

Nie należy też wątpić, że kiedy ów zakonnik kończył bieg swego żywota, osiągnął kres wędrówki przez doczesność, po drugiej stronie żywota czekały nań zastępy świętych, którym pomógł wydźwignąć się z ciemnej otchłani.

Wdzięczność dusz czyśćcowych dla swych dobroczyńców jest wielka i nigdy nie zapominają oni o tych, którzy wspomagali ich swymi modlitwami. (wg.: ZWIERCIADŁO PRZYKŁADÓW, Kraków 1624, s. 348)

Jako św. Odylon wielu wiernych z rąk czartowskich uwolnił

Pewien zakonnik wracający statkiem z miasta świętego Jeruzalem, gdy korab wiatry zagnały do brzegów samotnej skalistej wysepki, spotkał tam świątobliwego męża, który zadał mu pytanie, czy nie zna niejakiego Odylona, opata kluniackiego.

Skoro zagadnięty znajomość tę potwierdził, z ust pustelnika usłyszał, co następuje:

– Jest w pobliżu mego zamieszkania miejsce, kędy dusze czyśćcowe srodze są przez czartów dręczone. Lecz wiele dusz z diabelskich łap, dzięki modłom kluniackich mnichów i ich opata, zostaje wyrwanych i do chwały niebieskiej wprowadzonych, co niezmiernie złości złe moce. Skoro tedy dotrzesz w swoje strony, wydostawszy się z tej wysepki, postaraj się co rychlej uwiadomić o wszystkim Odylona, prosząc go, by jeszcze pilniej modlił się i jałmużnę dawał (wraz z braćmi swymi zakonnymi) w intencji umarłych, a wielu ich dzięki temu wspomoże.

Kiedy pielgrzym wrócił do kraju i stanął w Kluniaku, opowiedział o wszystkim Odylonowi. Tenże zaś we wszystkich swoich klasztorach postanowił, by dzień 2 listopada obchodzono jako „dzień zaduszny", modląc się wówczas w sposób szczególny za umarłych. A obyczaj ten przetrwał aż po czasy nam współczesne. (Vincent: lib. 24. cap. 105. Spec: Histor., wg.: ZWIERCIADŁO PRZYKŁADÓW, Kraków 1624, s. 348 – 349)

O tym, jako łzy wylewane po umarłych szkody im przysparzają

Pewna kobieta miała syna. I bardzo mądrego, i bardzo pięknego, i odznaczającego się wielką zacnością. Kochała go też ogromnie, widząc w nim podporę swojej starości.

Przecież nie zawsze tak bywa, jak sobie zamarzymy. Stało się tedy dnia pewnego, iż ów syn umarł.

Boleść kobiety po stracie jedynaka przekraczała wszelkie granice i, nieukojona w żalu po nim, płakała przez wiele dni i tygodni całych.

Aliści razu pewnego – nie wiadomo czy doświadczyła tego na jawie, czy też w półśnie będąc, ujrzała przed sobą szeroką wygodną drogę, ciągnącą się śród pól, łąk zagajników. Na jej obrzeżach w kępach całych rosły cudne kwiaty i soczysta trawa.

Środkiem owej drogi szło dwu młodzieńców niebiańskiej urody w świetlanych szatach, zaś z tyłu za nimi, o wiele, wiele kroków dalej, wlókł się powoli, noga za nogą, jej syn.

– Synu! – zakrzyknęła na jego widok. – I czemuż nie dołączysz do owych młodzieńców, którzy cię tak znacznie wyprzedzają? Wszak – jak mniemam – udają się oni do raju niebieskiego?!

– Tak, matko, lecz żebym nie wiem jak chciał, nie przyśpieszę. Spójrz, oto moja suknia, cała przesiąknięta twymi łzami, któreś po mojej śmierci wylała po próżnicy, tamuje mi ruchy i stanowi wielki ciężar. Och! Matko, gdybyś – zamiast rozpaczać i łzy wylewać – modliła się za mnie, nie tylko bym owych młodzieńców doścignął, ale i prześcignął nawet!

To wyrzekłszy rozpłynął się w powietrzu, a widzenie znikło.

Gdy kobieta ocknęła się, przemyślawszy całą sprawę i wyciągnąwszy z niej stosowną naukę, już więcej po swym jedynaku nie płakała. (Cantiprantus lib. 2. cap. 53. part. 14 de Apibus, wg.: ZWIERCIADŁO PRZYKŁADÓW, Kraków 1624, s. 350)

O nieuczciwym siostrzeńcu

Działo się to w czasach, gdy cesarzował Karol Wielki. Miał on w swojej drużynie pewnego szlachetnego, prawego i nad wyraz bogobojnego rycerza. Ów, gdy śmierć zajrzała mu w oczy, widząc, że nie obejdzie się bez tego, iżby musiał wypłacić Boskiej sprawiedliwości w czyśćcowej ciemnicy, zawołał do swego łoża siostrzeńca, którego darzył uczuciem i w te się doń odezwał słowa:

– Posłuchaj, mój miły. Ponieważ cały mój majątek jaki posiadam stanowi zacny, szlachetnej krwi, koń bojowy, skoro skonam, sprzedaj go najdrożej jak potrafisz, a uzyskane w ten sposób pieniądze rozdaj ubogim, w intencji ukrócenia moich mąk czyśćcowych.

To rzekłszy zamknął oczy, aby nigdy ich już nie otworzyć.

Mimo, iż zaufał siostrzeńcowi, to przecież przeliczył się srodze, ów bowiem miast wypełnić wolę umierającego, rumaka sobie przywłaszczył i jeszcze chełpił się z jego posiadania.

I tak minął rok jeden. Aż oto któregoś razu, kiedy ów siostrzeniec odpoczywał wieczorem w swojej sypialnej komnacie, stanęła przed nim postać zmarłego wuja otoczona blaskiem nieziemskiej światłości.

– Nie uczyniłeś tego, o com cię był prosił – ozwała się zjawa – dla poratowania mego. Dlategom musiał srogie męki cierpieć w ogniu. Ale głos mojej skargi na ciebie dotarł do uszu Pana, a ów wiedziony miłosierdziem i sprawiedliwością resztę kary mi darował, jednocześnie postanawiając, że ty ją zamiast mnie dopełnisz. Jako widzisz udają się do nieba. Ty natomiast szykuj się na srogie cierpienia, które odtąd będą już twoim stałym udziałem.

To rzekłszy zjawa znikła, nieuczciwy zaś siostrzeniec natychmiast zapadł na ciężką i bolesną chorobę, która go trapiła póki żył. (wg.: ZWIERCIADŁO PRZYKŁADÓW, Kraków 1624, s. 351 – 352)

O karze, jaką poniósł kapłan pewien, gdy przywłaszczył sobie cudzy płaszcz

We wsi pewnej, pielgrzym jeden ubogi umierając, za cały majątek płaszcz wełniany mający, oddał go tamtejszemu plebanowi, iżby ów w modlitwach polecił jego duszę Bogu.

Kapłan płaszcz wziął, a jakże, ale czy to przez roztargnienie, czyli też z jakowegoś innego powodu, rychło o nim zapomniał i za zmarłego się nie modlił.

Po latach kapłan ów, powodowany szczególnym powołaniem, wstąpił do klasztoru, gdzie pędził świątobliwe życie, wiele się modląc, poszcząc i biczując.

O płaszczu owym, o którymeśmy wcześniej wspominali, ani o pielgrzymie, który go o westchnienie do Boga prosił, ani pamiętał.

Nie zapomniało przecież o tym niebo. I stało się razu jednego, ze szczególnego dopuszczenia Bożego, że nasz kapłan śpiąc w swojej celi, ujrzał się w piekle, kędy wielki tumult i rwetes panował, a demony na rozmaite sposoby znęcały się nad potępieńcami.

Przestraszony mocno tym, co oglądał, stanął cichuchno z boku, przemyśliwując jakby się tu niepostrzeżenie wymknąć z owego miejsca kaźni i wiekuistej rozpaczy.

Niestety – diabli go wypatrzyli, a jeden z nich wskazał nań palcem rzekł:

– Patrzcie! Oto przywłaszczyciel cudzego płaszcza, godzien odebrać zapłatę za swój grzech!

Po czym demon, nie wiedzieć skąd płaszcz ów wydobył, a zamoczywszy go w smrodliwym i wrzącym ługu, z całej siły po dwakroć uderzył nim w twarz nieuczciwego kapłana.

Ten, w owym momencie przebudził się ze snu, a czując nieznośny, nie do opisania ból, począł z całych sił krzyczeć:

– Ratujcie mnie! Ratujcie mnie! Bo płonę i umieram!

Zbiegli się zatrwożeni mnisi i zdumieni stanęli u łoża wołającego. Oto bowiem cała twarz jego spalona była miejscami aż do kości, skóra czarna i popękana, przez którą wyzierały krwawe płaty mięsa. (Caesarius lib: 12. cap. 42, wg.: ZWIERCIADŁO PRZYKŁADÓW, Kraków 1624, s. 352 – 353)

Jako jedna ofiara Mszy św. od piętnastu lat męki uwolniła umarłego

Ojciec Iwo, dominikanin, niegdyś prowincjał w Ziemi Świętej, odprawiając jutrznię w kościele, naraz ujrzał przed sobą jakowegoś mnicha w plugawy habit przyodzianego.

– Kim jesteś, i czego tu szukasz? – zapytał Iwo.

– Jak to? Nie poznajesz mnie? Wszak jestem twoim przyjacielem, który niedawno rozstał się z życiem. Po zgonie trafiłem do czyśćca, gdzie wyznaczono mi piętnaście lat srogiej męki.

– Aż tyle? – zdumiał się prowincjał, znał bowiem zmarłego i wiedział, że ów za żywota stawiany był jako wzór wszelkich cnót zakonnych.

– Ach! Sprawiedliwość Boska wie co czyni. Zaprawdę zasłużyłem na ów wyrok solennie. Gdybyś jednak zechciał okazać mi pomoc – na co miłosierdzie Najwyższego zezwoliło – to módl się w mojej intencji.

Skoro więc tylko rozedniało, Iwo przybrawszy się w szaty kapłańskie, podjął sprawowanie Najświętszej Liturgii, a pokonsekrowawszy hostię, tak mówił:

– Panie! Wszak nie jesteś okrutniejszy od Szatana. Błagam Cię i proszę, przez wzgląd na nieprzebrane miłosierdzie Twoje, wyzwól z więzienia czyśćcowego umiłowanego brata mego i przyjmij go do chwały wiekuistej.

A słowa te, z wielkim łez wylewaniem, powtarzał po wielokroć, tak że odprawianie Mszy świętej niepomiernie się wydłużyło.

Następnej nocy, gdy Iwo znów modlił się w kościele, ponownie ujrzał owego zmarłego brata. Tym razem już nie w sukni plugawej, ale z jaśniejszego bisioru.

– Dobrze, że przez łaskę Bożą uprosiłeś u Pana skrócenie moich mąk, żeś mnie nie zawiódł i próśb mych nie zlekceważył. Oto dobry Bóg darował mi dalsze wypłacanie się sprawiedliwości Jego i oddał mnie tobie. Będąc tedy wybawionym z czyśćca, idę w towarzystwie duchów błogosławionych do niebieskiej ojczyzny.

I wyrzekłszy to, zaraz zniknął. (Lib, qui dicitur Vitae Praedicatorum, par. 5. cap. 4, wg.: ZWIERCIADŁO PRZYKŁADÓW, Kraków 1624, s, 353 – 354)

O dziwnym rozkazaniu św. Pachomiusza

Gdy św. Pachomiusz pewnego razu wizytował jeden z klasztorów, które miał pod swoją władzą, akurat trafił na pogrzeb pewnego zakonnika, który za życia nieświątobliwie się prowadził.

Pogrzeb był okazały, ze śpiewaniem psalmów i kadzeniami. Sam zaś umarły – zgodnie ze zwyczajem – w szaty kapłańskie przybrany. Skoro mnisi ujrzeli zbliżającego się św. Pachomiusza, jęli go błagać, by i on uczcił zmarłego, przyłączając się do okazałego pogrzebu.

Świątobliwy starzec miast tego rozkazał:

– Natychmiast przerwijcie kadzenia, a trupa rozdziejcie z szat kapłańskich, po czym cicho i bez rozgłosu złóżcie go do ziemi i usypcie nad nim mogiłę.

Skoro wszyscy jęli się oburzać na świętego za takie jego niemiłosierne postanowienie, które umarłego – w ich mniemaniu – krzywdziło, a rodzinie przynosiło despekt, Pachomiusz rzekł tak:

– Wszyscy wiecie, że ów zmarły niepoczciwe życie prowadził, i że Pan każe mu owo odpokutować w czyśćcu (a mówił to będąc pod natchnieniem Ducha św.). Wystawny pogrzeb jaki zamierzaliście mu urządzić, trupowi i tak by w niczym nie pomógł, duszy zaś, która odeszła w zaświaty, przydałby jedynie dodatkowych, a wcale nie lekkich, mąk. Mając więc zmiłowanie nad nim, oszczędźcie mu tego dodatkowego bólu. W modlitwach tylko wstawiając się za nim.

Wtedy to obecni przy pochówku pojęli, że św. Pachomiusz podejmując taką właśnie decyzję, kierował się nie uprzedzeniem i niechęcią, ale miłosierdziem względem zmarłego.

Dlatego też uczyniono, jak im był rozkazał i w cichości, po pogrzebaniu zwłok, każdy poszedł w swoją stronę. (Ex gestis S. Pachomii, § 39, wg.: ZWIERCIADŁO PRZYKŁADÓW, Kraków 1624, s. 355)

Nie godzi się umarłych obmawiać

Pewien szlachcic leżąc na łożu, a nie mogąc zasnąć, bo akurat pełnia była, począł przemyśliwać nad złym życiem pewnego swego znajomego, który niedawno był umarł.

Wynajdował mu różne grzechy i uchybienia – słowem niczego dobrego nic chcąc w nim dostrzec, i o samo złe go oskarżał.

Aż oto naraz, nie wiadomo skąd kiedy, ów umarły, o którym nasz rycerz tak źle myślał, stanął przed nim, a doskonale był widoczny w blasku księżyca, który przez szeroko rozwarte okno zaglądał.

Zjawa jakiś czas milczała, by w końcu tymi się ozwać słowami:

– Przyjacielu, przestań o mnie źle myśleć, a jeżelim ci coś złego uczynił, albo w czym uchybił, z całego serca wybacz. Po śmierci bowiem trafiłem do czyśćca, gdzie srodze jestem męczony. Nie przysparzaj mi boleści ty jeszcze, a raczej wspomóż modlitwą.

Ponieważ leżący w łożu szlachcic nie należał do lękliwych, zapytał zjawę, za jakież to przewiny najsroższe cierpiała męki. W odpowiedzi usłyszał:

– Za to, żem na jednym cmentarzu w pojedynku krew przelał i za to, iżem z rannego suknię zdarł i ją sobie przywłaszczyłem. A suknia ta teraz, w czyśćcowej otchłani, bardziej mi ciąży niźli niebotyczna góra!

Gdy szlachcic przyobiecał pod słowem honoru, że pewnego zacnego i świątobliwego pustelnika uprosi, iżby się modlił w intencji owego zmarłego, ten mu oznajmił na koniec:

– Z wdzięcznością za obiecane poratowanie wyjawię ci, co jest dla ciebie ważniejsze od wszelkich innych rzeczy na świecie. Otóż, po upływie dwu lat, licząc od chwili obecnej, umrzesz. Masz czas, szykuj się na śmierć. Pokutuj, abyś unikał losu, jaki mnie przypadł w udziale.

Dopowiedziawszy słów tych, widziadło znikło.

Przepowiednia owa zaś spełniła się, co do joty, a szlachcic wziąwszy do serca słowa zjawy, dotychczasowe życie odmienił i zgromadziwszy wiele zasług, skoro owe dwa lata minęły. pobożnie zasnął w Panu. (Iacobus Archiepiscopus Genuensis, in Festo Omnius Sanctorum, wg.: ZWIERCIADŁO PRZYKŁADÓW, Kraków 1624, s. 357)

Jako dusze zmarłych wspomogły księcia Euzebiusza

Dwoje książąt ustawicznie walki między sobą wiodło. Jeden pochodził z Sardynii, a Euzebiasz mu było na imię, drugi zaś z Sycylii Osterggisem zwany.

Euzebiusz wielkie miał staranie około dusz czyśćcowych, licznymi je wspomagając ofiarami. Ba! Mało tego! Jedno z miast swoich niejako umarłym na własność oddał. Bowiem wszelkie dochody, jakie ono przynosiło, przeznaczał na Msze i jałmużny mające dusze z ognia czyśćcowego ratować.

I stało się, iż wróg jego, książę sycylijski Ostergis, najechał owo miasto, podstępnie je zdobył i dla siebie zagarnął.

Jak nie trudno się domyślić, książę Euzebiusz wraz z wiernym sobie rycerstwem, ani myślał pozostawić zdobyczy w rękach najeźdźcy. Bał się jednak, że sromotną klęskę poniesie, ponieważ siły nieprzyjacielskie o wiele liczniejsze były od jego własnych.

Gdy tak się tym trapił, stojąc na szczycie baszty zamkowej, oto dostrzegł, iż w kierunku jego siedziby zbliża się nieprzebrana liczba zbrojnych. Armia tak ogromna, że aż po horyzont się ciągnąca. A każdy z owych zbrojnych przyodziany był w białą zbroję, płaszcz biały, dzierżył w dłoni biały proporczyk i siedział na białym koniu, białym czaprakiem okrytym.

Czym prędzej Euzebiusz posłał swych ludzi ku owemu wojsku, aby zasięgnęli języka kim są i po co tu zmierzają.

Skoro posłowie wrócili, przekazali księciu najmilszą z wieści, jakich mógł oczekiwać:

– Oto, panie nasz, Bóg ci na pomoc przysyła swoje zastępy, aby odbiły z rąk nieprzyjacielskich miasto, któreś na pożytek dusz w czyśćcu cierpiących ofiarował.

I tak się stało.

Najeźdźca przestraszony niezliczoną liczbą zbrojnych, którzy ostro zażądali, by czym prędzej zagrabione miasto i ziemię opuścił, posłusznie wycofali się do swego kraju.

Tymczasem Euzebiusz wiedziony ciekawością ośmielił się zapytać zbrojnych, kim by oni byli, czyby nie aniołami samymi.

Lecz oni zaprzeczyli:

– Jesteśmy duszami zmarłych, które dzięki twoim dobrodziejstwom i jałmużnom, dostąpili chwały wiekuistej.

Potem zaś owi zmarli pożegnawszy się z księciem tąż drogą, którą przyszli, odeszli. (Collector Speculi huius, wg.: ZWIERCIADŁO PRZYKŁADÓW, Kraków 1624, s. 359 – 362)

Nepotyzm przyczyną mąk czyśćcowych

Opat pewien, wśród podległych sobie mnichów wielkie poważania mający, a odznaczający się prawdziwą, a nie udawaną pobożnością i życiem ponad wszelki wyraz cnotliwym, umierając postanowił, przez względy rodzinne, namówić zakonników, iżby właśnie jego krewniaka, gdy czas po temu nadejdzie, obrali swoim opatem.

Stary opat umarł, a jego życzeniu stało się zadość.

Ponieważ żył świątobliwie i świątobliwie umarł, wszyscy byli przekonani, iż trafił wprost do niebiańskiej szczęśliwości. Tymczasem, razu pewnego, ukazał się on swemu krewniakowi, lamentując przy tym okrutnie.

Krewniak strachem zdjęty, zapytał o powód jego narzekań. Umarły zaś odpowiedział:

– Jęczę i lamentuję, bo gorę!

– Ty gorzesz? Dlaczego?

– Bom z tego powodu trafił do czyśćcowej otchłani. Miast bowiem słuchać głosu Bożego, afektem ku tobie zaślepiony, ciebie poleciłem na swego następcę. I z tejże to przyczyny Bóg skazał mnie na czyściec. (EX lib de Viris Illistr. Ord. Cisterciensis, wg.: ZWIERCIADŁO PRZYKŁADÓW, Kraków 1624, s. 7 – 8)

Szczery żal za grzechy nawet zbrodniarza ratuje przed piekłem

Pewien młodzieniec szlachetnego rodu, z fantazji raczej, niźli z powołania, postanowił wstąpić do zakonu cystersów i po złożeniu ślubów, święcenia kapłańskie przyjął.

Krewniak jego, który był biskupem miejscowej diecezji, na próżno odwodził go od tego zamysłu. Nic owo nie pomogło.

Przeminął rok jeden i drugi, a naszemu młodemu mnichowi znudziło się klasztorne życie. Porzucił zatem zakon, zzuł z siebie habit i przywdział świeckie szaty.

Nie sporo mu jednak było wracać do rodziców, bo wstyd mu było, iż nie wytrwał w zakonie. Nie bardzo wiedząc, co ze sobą począć, przystał do bandy zbójów. I rychło tak się wyszkolił w bandyckim rzemiośle, że stał się najokrutniejszym spośród zbrodniarzy, budząc grozę nawet u najokrutniejszych z nich.

Ponieważ życie każdego z nas ma swój kres nadszedł też kres i owego występnego mnicha. Oto w jakiejś potyczce, śmiertelnie raniony, jął żegnać się już z doczesnością. Przed śmiercią jednak odezwały się w nim wyrzuty sumienia i poczuł prawdziwy, a szczery żal za grzechy.

Poprosił tedy kamratów, iżby przywiedli doń kapłana, by móc przed nim oczyścić się z grzechów i uzyskawszy rozgrzeszenie, przejść na drugą stronę żywota.

Gdy przybył pleban, nasz mnich uczynił przed nim szczere wyznanie. Oświadczył, iż jest kapłanem, zbiegiem z cysterskiego klasztoru. Że przez te wszystkie lata, kiedy był członkiem zbójeckiej bandy, zbroczył ręce krwią setek niewinnych ludzi, których pozbawił życia, na dodatek rabując ich mienie. Wyznał ponadto, iż zgwałcił wiele tak panien, jak i mężatek, nie przepuszczając nawet zakonnicom. Teraz zaś, stanąwszy w obliczu śmierci, szczerze żałuje tego zła, jakiego się dopuścił i ze łzami w oczach o rozgrzeszenie błaga.

Pleban, który owej spowiedzi słuchał, albo był niezbyt rozgarnięty, albo jakowyś dziwnie nieużyty, bowiem spowiadającemu się, tak powiedział:

– Grzechy twoje są tak straszne, że nie godne odpuszczenia.

Darmo kajał się umierający, darmo żebrał litości i o absolucję prosił. Pleban uparł się i nawet nie chciał słyszeć o udzieleniu rozgrzeszenia.

Wtedy ex–mnich rzekł:

– Jeśli tak, to przynajmniej, na drogę wieczności, posil mnie Ciałem Pańskim.

– Czyś oszalał?! – zawołał ksiądz. – Jeśli cię nie chcę rozgrzeszyć, to udzielę ci Komunii świętej?!

– Ha, skoro tak, to pozwól przynajmniej, że za moje niezliczone i potworne zbrodnie, sam sobie wyznaczę pokutę.

– Cóż, na to jedno mogę się zgodzić – łaskawie skinął głową pleban, a zaraz potem zapytał: – A jakąż to pokutę sobie wyznaczysz?

– Dwa tysiące lat mąk czyśćcowych – odrzekł mnich–rozbójnik i z tymi słowami na ustach skonał.

Gdy o jego śmierci dowiedział się kuzyn biskup, zdjęty politowaniem, zarządził, iżby we wszystkich podlegających mu kościołach i klasztorach przez rok modlono się w intencji owego umarłego. I polecenie to skrzętnie było wypełnione.

Gdy się ów rok skończył, po mszy sprawowanej przez biskupa, za ołtarzem stojąc, ukazał się mu zmarły. Blady był, wyschły, nędzny w odzieniu żałobnym.

Kiedy go biskup zapytał jako się miewa i skąd przybywa, odparł:

– W mękach jestem i z mąk przychodzę, ale dziękują miłości twojej, iż rok ten, dla jałmużny i modlitw twoich, także dla dobrodziejstwa Kościoła twojego, o tysiąc lat męki moje skrócono, które w czyśćcu cierpieć miał. A jeśli jeszcze przez następny rok także o mnie staranie mieć będziesz, całkiem uwolniony od kary zostanę.

Usłyszawszy to biskup uradował się i dzięki Bogu, no i oczywiście zarządził kolejny rok modłów w intencji zmarłego mnicha – rozbójnika.

Gdy zaś rok ów minął, a biskup Mszę świętą sprawował, ponownie ukazał mu się umarły i rzekł:

– Dla twojej usilności i miłosierdzia jestem wyratowany z mąk czyśćcowych i już do wesela mego Pana wchodzę. A owe dwa lata waszych modlitw i ofiar są mi poczytane za dwa tysiące lat.

Od tamtej pory już go ów biskup nigdy nie widział. (Cantipratensis lib 2: cap: 3, wg.: ZWIERCIADŁO PRZYKŁADÓW, Kraków 1624, s. 38 – 40)

Lata cierpień w ciele, niczym są wobec jednej chwili w czyśćcu

Razu jednego pewien człek zachorował i cierpiał okrutne bóle. Cierpiał zaś tak srodze, że co dzień usilnie błagał Pana Boga o to, by zesłał nań śmierć, iżby już więcej się nie męczył.

Pan zamiast śmierci, posłał doń anioła, który powiedział tak:

– Nasz Wszechmogący Stwórca daje ci do wyboru, albo śmierć i trzy dni czyśćca po niej, albo jeszcze rok życia w ciele, cierpiąc tak, jak cierpisz teraz. Skoro jednak ów rok przeminie, pójdziesz prosto do nieba.

Rok, a trzy dni? Chory nie długo się zastanawiał. Wybrał czyściec.

Zatem stało się zadość jego życzeniu. Umarł i trafił do ognistej otchłani. Po upływie jednego dnia, ponownie nawiedził go anioł i zapytał, czy nadal trwa przy swym poprzednim postanowieniu.

Ale nasz umarły z oburzeniem wykrzyknął, że został oszukany, bowiem nie jeden dzień, jak twierdzi anioł, lecz wieki całe już się w ogniu smaży.

Posłaniec Pański, nie zrażony tymi wyrzutami, wyjaśnił duszy, co następuje:

– Nie długością czasu, ale nieznośnością męki oszukany jesteś, a rzeczywiście: zaledwie dzień jeden w miejscu tej męki przebywasz! Nie lękaj się przecie. Pan zmiłował się nad tobą i zezwolił, żebyś do swego ciała powrócił.

O jakże ochotnie zgodził się na to nasz zmarły!

I tak jak miał wcześniej zapowiedziane, przez cały rok cierpiał z powodu choroby, potem zaś zawiedziono go wprost do raju. (Cantipratanus lib: Apum 2. ca. 51. parte II, wg.: ZWIERCIADŁO PRZYKŁADÓW, Kraków 1624, s. 86)

Czyściec jako rzeka wrzącej smoły

Opisując dziwne widzenie Vinfridus albo Bonifacius w liście do siostry pewnego zmartwychwstałego człowieka, tak mówi:

Umarły brat twój widział miejsce przedziwnej uciechy, na którym piękni ludzie bawili się i weselili. A z tego miejsca dziwna jakaś słodkawa wonność do nozdrzy dochodziła.

Anioł, który mu towarzyszył, twierdził, że jest to część raju.

Ale oprócz raju ujrzał też rzekę toczącą miast wody potoki wrzącej smoły, a ponad brzegami jej przerzucony był zamiast mostu tylko pień suchego drzewa.

Po pniu owym przechodziły dusze, a wiele z nich spadało z niego. Niektóre we wrzącej smole całe zanurzały, inne do pasa, jeszcze inne do kolan, a jeszcze inne ledwo do kostek. Po czym wychodziły na brzeg oczyszczone i jaśniejące.

Anioł przewodnik wyjaśnił, iż są to dusze, które w ten sposób przechodzą męki czyśćcowe, aby potem już godne, dostąpić chwały wiekuistej i zamieszkać w świętym mieście, niebieskim Jeruzalem (Ex Epist. Bonifa. de hom. ad vitam renocato. Baron. Tom. 9. Annal. ad Annum 716. 24. 25., wg.: ZWIERCIADŁO PRZYKŁADÓW, Kraków 1624, s. 123 – 124)

O duszy, która się uradowała z narodzin dziecka

Pewien człowiek, który był umarłym, a ożył, opowiadał potem, iż będąc w czyśćcu widział takie oto zdarzenie.

Oto dusza jedna, w samym największym ogniu gorejąca, nagle zawołała:

– O jakież to szczęście mnie spotkało!

A gdy ją zapytano o powód tej radości, odrzekła:

– Oto aniołowie mi objawili, że w tej minucie dziecko się narodziło, które w przyszłości zostanie kapłanem i podczas pierwszej mszy, jaką odprawi, mnie od mąk czyśćcowych wyzwoli. (Cantipr. lib: 2. cap: 53. par: 17. et 31. de Apibus, wg.: ZWIERCIADŁO PRZYKŁADÓW, Kraków 1624, s. 308)

W myślistwie się kochający nadmiernie, ciężką mękę cierpiał

Pewien człowiek nabożny wpadłszy w zachwycenie, widział pewnego żołnierza pogrążonego w czyśćcu. Chociaż żołnierz ów był czysty, dobry, uczynny i pobożnie żywot pędzący, trafił do ognia, bowiem w myślistwie zbytnio się kochał.

Kara zaś jego tak oto wyglądała:

Na jego ręku siedział ptak, który go w twarz, w ramię, w ręce kłując, sztukami mięso z owych miejsc wyrywał i w ten sposób pokutując okrutnie dręczył.

A gdy ów człowiek w zachwyceniu będący pytał, czemu by to cierpiał, skoro tak przyzwoicie żył i praw Boskich nie łamał, żołnierz powiedział:

–Przykazania Boskie zachowywałem, nigdy nikogo w najdrobniejszej rzeczy nawet nie oszukał, tyle tylko żem ponad wszystko umiłował polowanie z ptakami, czyniąc z tego zajęcia bożka nieomal. I z owej przyczyny tak okrutną i ciężką mękę cierpię. A trwać to będzie do czasu, aż całkowicie oczyszczony zostanę.

Pokutujący zamilkł na chwilę, a potem znów począł mówić:

– Jeśli masz politowanie nade mną, proś Pana Boga w mojej intencji, i powiedz też synom i powinowatym, żeby mnie jałmużnami i modlitwami i świętymi ofiarami ratowali, albowiem nieopisane męki cierpię.

Człowiek nasz, o którym na początku wspomnieliśmy, skoro z zachwycenia wyszedł, nie zapomniał o prośbie duszy pokutującej, ale ją co do joty wypełnił, skarbiąc sobie wdzięczność u niej, a zasługę u Boga. (Collector Speculi huius, wg.: ZWIERCIADŁO PRZYKŁADÓW, Kraków 1624, s. 390)

Widzenie św. Brygidy

„Widziałam miejsce ciemne, straszne i przepaść ognistą, a nad nią duszę, jakoby obleczoną ciałem... Straszne płomienie z głębiny wznosiły się ku niej i paliły ją z taką mocą, że pory jej ciała zdawały się być otwartymi żyłami, z których tryskał ogień... I słyszaLam duszę wołającą pięć razy: Biada!... Biada mi, żem tak mało kochała P. Boga, chociaż łaskami Jego hojnie obdarzona byłam!... Biada mi! żem się nie bała sprawiedliwości Jego! Biadami! żem szukała haniebnych rozkoszy ciała! Biada mi! żem pragnęła bogactwa zaszczytów i chwały! Biada mi! żem słuchała ciebie szatanie, któryś prowadził mnie do złego. – Natenczas anioł rzekł do mnie: Przepaść ta jest piekłem, kto w nią wejdzie, nigdy Boga nie ogląda. Nad tą przepaścią jest miejsce największych mąk czyśćcowych – Dusza, którą widzisz, cierpi upalenie ognia pożerającego... zasmucona jest ciemnością... wielce poniżona i zawstydzona i przerażona jest widokiem szatanów – a jednak w tych wszystkich mękach jest pocieszona wspomnieniem swoich dobrych uczynków. – Jest drugie miejsce oczyszczenia, gdzie męki są mniejsze. Dusze tam pozostające, podobne są do słabych, powoli odzyskujących siły i piękność. – Nareszcie jest trzecie miejsce, wyższe nad tym, czyściec duchowy, gdzie dusze cierpią tylko straszną mękę tęsknoty za Bogiem.” (cyt. za: *O czyśćcu i duszach czyśćcowych*, [w] „Głosy Katolickie”, 1901. s. 8 – 9)

Objawienie w Zamora

„W klasztorze dominikańskim, w Hiszpanii, pokazał się jednemu z Ojców Dominikanów przyjaciel jego, zakonnik św. Franciszka,, cały ogniem gorejący, mówiąc mu: „że jest zbawiony z miłosierdzia Bożego, lecz cierpi wiele w czyśćcu za mnóstwo drobnych uchybień, za które nie żałował za życia. Nic na świecie, dodał, nie może ci dać pojęcia tej strasznej męki!" I wtedy położył na stole rękę i natychmiast głęboki znak został wypalony, jakby od żelaza rozpalonego. Stół ten zachowano na pamiątkę i dotąd go pokazują." (dz. cyt., s. 9)

Widzenie O. Hipolita Scealvo

„W życiu świątobliwego O. Hipolita Scealvo, zak. OO.Kapucynów, czytamy, że miał wielkie nabożeństwo za dusze czyśćcowe i między innymi codzień o świcie odmawiał officium za zmarłych. Gdy tak dnia jednego modlił się w chórze za dusze jednego z nowicjuszy, tej nocy zmarłego, ten objawił mu się w jaskrawych ognistych płomieniach, i mówił mu, że z polecenia Bożego przychodzi wyznać swoją winę i prosić o pokutę, którą O. Scealvo, jako przełożony jego, ma mu naznaczyć. O. Scealvo bez namysłu wyznaczył mu pokutę do prymy, tj. do pierwszej modlitwy, którą bracia zakonni rano w chórze odmawiają. – Na to słyszy głos tej duszy czyśćcowej: „O serce bez litości, o ojcze bez miłosierdzia nad cierpiącym synem. Czyż można taką dać pokutę za małą winę? Czyliż nie wiesz, jak straszne są męki ognia czyśćcowego? O pokuto bez miłosierdzia!” – Ojciec Scealvo struchlał cały!... Wpadł na pomysł... i w tej chwili biegnie do dzwonka i zwołuje zakonników do kościoła, opowiada im swoje widzenie, i każe zaraz odmawiać prymę... Przez 20 lat, które żył, nie mógł zapomnieć tego zdarzenia, i często je w swoich kazaniach opowiadał.” (dz. cyt. s. 9 –10)

Objawienie się hr. Łosiowej

„W Brzuchowicach koło Przemyślan, pokazała się dusza 19 lipca 1750 roku w jasny dzień Heleny z Cetnerów hr. Łosiowej, zmarłej 26 maja t.r., prosząc o ratunek i na dowód prawdy wypaliła ślad ręki na stole. Syn jej hr. Józef Łoś dał ten stół z obszernym opisem na marmurowej tablicy do kościoła parafialnego w Przemyślanach, gdzie do dziś dnia się znajduje.” (dz. cyt., s. 10)

O zjaweniu się Anny Potockiej

W klasztorze PP Benedyktynek w Przemyślu okazywała się po kilkakroć razy jednej zakonnicy dusza Anny Potockiej, żony Salezego Potockiego z Krystynopola. – Ostatnią razą w obecności komisji Biskupiej (...) i na dowód prawdy wypaliła jej na ręce ogniem krzyż. (...) Obszerny opis tego wraz z aktami komsji Biskupiej czytałem w kronice OO. Bazylianów w Krystynopolu, gdzie ciało Potockiej spoczywa.” (dz. cyt., s. 10 – 11)

Pokutujący Benedyktyn

„W opactwie OO. Benedyktynów w Latrobe, w Ameryce, okazywał się od 18 września r. 1859 jeden zmarły Benedyktyn przez 2 miesiące, i powiedział w obecności drugiego jeszcze brata, że od 77 lat cierpi w czyśćcu za to, że nie odprawił siedmiu Mszy obowiązkowych, i prosił o tychże odprawienie. X. Opat Wimmer ogłosił to w gazetach.”. (dz. cyt., s. 11)

Objawienie się Teresy Giotti

„Roku 1859 w klasztorze PP. Franciszkanek we Foligno, koło Asyżu, ukazała się dusza zmarłej zakonnicy Teresy Giotti, następczyni swej na urzędzie, Annie Felicji – cała w ogniu, i wypaliła, na dowód prawdy, na drzwiach ślad swej ręki. Powiedziała, że straszne męki cierpi i że skazana jest na 40 lat czyśćca za niektóre drobne wykroczenia przeciw ubóstwu zakonnemu, i za to, że nie równym sercem kochała swe siostry zakonne. Powiedziała, że przychodzi z polecenia miłosierdzia Boskiego prosić o pomoc i ratunek. Po klku dniach, gdy wiele modlitw i uczynków pokutnych, zwłaszcza Mszy św. za nią ofiarowano, pokazała się ponownie – dziękując za pomoc i oświadczając, że jest z czyśćca wbawioną i że idzie do nieba. Z polecenia ks. Biskupa z Foligno i zarządu miasta otworzono jej grób, wyjęto ciało z grobu i przyłożono rękę zmarłej do wypalonego śladu w drzwiach i przekazan, że ślad wypalony najzupełniej odpowiadał drobnej ręce zmarłej zakonnicy. Drzwi z wypalonym śladem zachowują po dziś dzień w kościele. X. Biskup Segur widział na własne oczy te drzwi i ślad ręki w nich wypalony i opisał to zdarzenie obszernie w swym dziełku: „Jest piekło”. (dz. cyt. s. 11 – 12)

Zjawienie się Antoniego Korso

„Świątobliwy brat Korso, zakonu św. Frańsiszka, którego dla jego świątobliwego życia nazywano powszechnie aniołem ziemskim, po śmierci nie poszedł prosto do nieba, ale za pozwoleniem Bożym okazał się infirmarzowi klasztornemu bardzo smutny. Ten ochłonąwszy ze strachu – zawołał: „Cóż to? brat Antoni w czyśćcu? Mniemałem, żeś już w chwale niebieskiej?... I cóż cierpisz?...”

– Ach, odpowie tenże, cierpię straszną mękę tęsknoty za Bogiem, bo jeszcze do oglądania Jego nie jestem przypuszczony. I choćbym cierpiał wszystkie katusze piekła znośniejszymby mi były, niźli ten ogień, który mnie pali i dręczy... Jest to srogi głód, niszczące pragnienie, od którego dusza usycha i kona, i skonać nie może. Nikt ze śmiertelnych tej strasznej męczarni pojąć nie zdoła. Módl się za mną i poleć mnie modlitwom wszystkich braci. Dopomóżcie mi do połączenia się z Bogiem! Dajcież mi Boga!... Ach! dajcie mi Boga mego!” (dz. cyt., s. 24 – 25)

Pokutująca Francuska

„W pewnym klasztorze we Francji, r. 1863, jedna z zakonnic wychodząc z celi, ujrzała wielką światłość i usłyszała, że ktoś ją woła po imieniu. Bardzo strwożona z razu nic nie odpowiedziała – potem widząc przed sobą postać ludzką – więcej ośmielona, zapytała się zjawiska, kto jest i czego potrzebuje. – „Jestem siostrą twoją Zofią... pamiętasz, jak ci wczoraj mówiono żeś podobna do siostry Zofii, zmarłej 7 lat, a tyś mnie w duchu prosiła o przyczynę za sobą, jeżeli jestem w niebie, a jeślim zatrzymana w czyśćcu, ofiarowałaś za mnie odpusty następnego dnia. Za ten czyn miłości P. Bóg pozwala mi prosić cię o wsparcie, którego bardzo potrzebuję. Ach! módl się za mnie i proś przełożonej, żeby mnie zaleciła modłom zgromadzenia, abym co prędzej Boga oglądać mogła.” – Po kilku dniach zakonnica ta słyszy znów wołanie – i widzi światłość dokoła, a dusza znów prosiła o pomoc: aby ze swej tęsknicy zwolnioną była, dodając, że wprawdzie odprawiono za nią wszystko, co reguła zakonna siostry zmarłe naznacza, ale teraz nikt już na nią nie pamięta. – „Jeśli uczynicie mi miłosierdzie, przez całą wieczność będę wam wdzięczna.” Odprawiono więc za nią różne modlitwy i ofiarowano wiele Mszy św. i Komunii św. Od tego czasu zakonnica ta siostrę Zofię, jakby we mgle ustawicznie widziała przy sobie. Im więcej się modlono, tym zjawisko stawało się jaśniejszym i wyraźniejszym. – Trzy inne zakonnice widziały również tę duszę przed jej ostatecznym wybawieniem. Nareszcie po kilku tygodniach, okazała się ostatni raz jaśniejąca blaskiem chwały – jako idąca już do nieba.” (dz. cyt. s. 25 – 26)

Wizja św. Gertrudy

„Św. Gertrudzie pokazała się po śmierci dusza jednej bardzo (...) świątobliwej zakonnicy, mówiąc, że jest zatrzymana w czyśćcu za to, że w ostatniej chorobie zbytnich ulg i pociech szukała.” (dz. cyt., s. 30)

Objawienie bł. Weroniki

„U Bollandystów czytamy w życiu Bł. Weroniki, iż miała od Boga objawione straszne męki czyśćcowe dusz zakonnych za małe nieposłuszeństwa, za niedbalstwa w odprawianiu ćwiczeń duchowych, za lekkie szemranie itd. Po tym widzeniu, cała smutkiem zdjęta i wielką boleścią i przerażeniem, poczęła wołać płaczliwym głosem: „Ach! ach! co za straszne męki dziś widziałam, co za straszne katusze!" To mówiąc popadła w wielką gorączkę i na dowód prawdy na całym jej ciele pokazały się znaki, wielkości dłoni, jakby płomienie ogniste." (dz. cyt., s. 30 – 31)

Zjawienie się br. Konstantyna

„Br. Konstantyn, zakonu OO. Kapucynów, mąż świętości życia i słynący cudami za życia i po śmierci, pokazał się w kilka dni po swej śmierci jednemu z kapłanów tegoż zakonu. A gdy od niego zapytany o drugim życiu, odpowiedział: „Ach! bracie, jak straszne są sądy Pańskie! Całkiem różne od sądów ludzkich i mniemań! Co się żyjącym zdawało cnotą, od P. Boga, który wszystko sprawiedliwie mierzy – często osądzone jest jako za występek! Ja wprawdzie z miłosierdzia Boskiego dostąpiłem zbawienia, ale 3 dni byłem w czyśćcu, które mi się zdawały, prawdę ci mówię – jakby 3 tysiące lat – a to za niektóre błędy, których za życia anim za wykroczenie uważał.” (dz. cyt., s. 32 – 33)

O niezwykłym przeżyciu księcia Lubomirskiego

„Książe Lubomirski, jak sam o tym opowiadał, napisał książkę przeciw nieśmiertelności duszy i miał ją już oddać do druku... gdy przechadzając się po swym ogrodzie, spotkał łzami zalaną wieśniaczkę, która do nóg mu się rzuciła i ze łzami go prosiła o jałmużnę na pogrzeb i na Mszę św. za duszę swego męża, dopiero co zmarłego – dodając, że on może w czyśćcu ratunku potrzebuje – a ona biedna nie może ani jednej Mszy św. zamówić. – Książe, choć w nieśmiertelność duszy nie wierzył – ale jakoś zmiękł – i od niechcenia dał jej sztukę złota... W 5 dni potem, gdy książę w swym pokoju odczytywał swój bezbożny rękopis, ujrzał przed sobą stojącego wieśniaka, który mu rzekł: – „Przychodzę ci, książę, podziękować za twą jałmużnę. Jestem mężem tej ubogiej kobiety, która cię przed kilkoma dniami prosiła o jałmużnę na Mszę św. za mą duszę... Uczyniłeś jej i mnie miłosierdzie, P. Bóg pozwolił mi przyjść ci podziękować.” To rzekłszy znikł – a książę do głębi przerażony i przejęty – nawrócił się i swój rękopis spalił i odtąd był przykładem cnót chrześcijańskich i uczynków miłosierdzia.” (dz. cyt., s. 43).

***

Podsumowując niejako to, co na kartach tej książki zostało powiedziane, raz jeszcze posłużmy się cytatem:

„Duchy. *Duchami, światem duchów* nazywają się zbiorowo wszystkie istoty stworzone, istniejące poza światem materialnym, bezcielesne, obdarzone siłą myślenia, czucia i chcenia, słowem istoty duchowe, a zatem aniołowie, szatani i *dusze ludzi zmarłych*. W ściślejszym znaczeniu przez wyrażenie duchy, świat duchów, rozumiemy najbliżej pomiędzy duchami względem człowieka stojące dusze ludzi zmarłych, a zatem znajdujące się w niebie, czyśćcu i piekle. (...) niekiedy zachodzi (...) szczególny z nimi stosunek, nazywany widzeniem duchów, pokazywaniem się duchów: pierwsze wyrażenie oznacza podniesienie wewnętrznego zmysłu w widzącym; drugie oznacza, że zetknięcie się ze światem duchów zawarunkowane jest więcej ze strony pokazującego się niż widzącego. Właściwie mówiąc, o zmysłowym widzeniu, ducha substancji niematerialnej, mowy być nie może; gdy widzenie takie ma miejsce, a nie jest czczym złudzeniem zmysłów, tam musi pośredniczyć przystępna dla czułości naszego zmysłu materia. Widzący i pokazujący się, muszą się spotykać w dziedzinie widzialnej. Mysteriozofowie też twierdzą, że chociaż w śmierci duch odłącza się od ciał, wszakże pozostaje mu jeszcze pewna uduchowiona pozostałość fizyczna, i że ta pozostałość fizyczna pozwala zmarłemu pokazać się ludziom żywym, a żywemu widzieć ducha zmarłego. Wiara w takie pokazywanie się pośmiertne znajduje się u prawie wszystkich ludów starożytnych i łączy się z wiarą w nieśmiertelność duszy. W najdawniejszej greckiej mitologii duszę (psychi), po oddzieleniu się jej od ciał, jako cień, widmo, idolon, prowadzi Hermes w pozaświaty, skąd środkami czarodziejskim może wywołaną (...). Pokazywanie się ducha nazywali Grecy jasma, widziadło, dhma, strach, i w późniejszych czasach uważali te pokazywania się nie za coś nadzwyczajnego, ale za zwykłą dla ludzi zmysłowo żyjących pośmiertną karą. Krążeniem koło grobów, pokazywaniem się ludziom żyjącym, odpokutować mieli zmarli swoje niedbalstwo w doskonaleniu ducha nieśmiertelnego. Stara mitologia łacińska zna także życie dusz ludzi zmarłych (manes) i ich pojawianie się na siłę zaklęcia. Rozróżnia nawet pomiędzy nimi pewne klasy: lemures nazywały się w ogóle dusze zmarłych: lares dusze dobre, czczone jako opiekuńcze bóstwa domowe; larvae dusze złe, dusze nocne, upiory. Późniejsi Rzymianie wierzyli podobnie w widma: powszechne było u nich przekonanie, że dusze zamordowanych pokazują się w miejscu morderstwa. Ludy germańskie i słowiańskie wierzyły także w pośmiertne pokazywanie się dusz. Dawni pisarze kościelni nie zaprzeczali faktu pokazywania się duchów u pogan, ale przypisywali to działaniu szatana, tak

Tertulian (De anima c. 57), św. Hieronim (Comment. in Mt. Vi 31), pseudo–Justyn (Quaest. et Resp. ad Orthod. 52. n. 3) biblijne opowiadanie 1 Kr. 28. 7... tłumaczyli w ten sposób, że wywołaną została nie dusza Samuela, ale złudny obraz w postaci Samuela, i to w skutek działania diabelskiego. Tymczasem św. Justyn (Apol. I c. 18 n. 15 i Dial. cum tryph. c. 105), Orygenes (Hom. in 1 Reg. 28), Sulpicjusz Severus (Hist. sacr. I c. 36) w zjawieniu tym widzą rzeczywistą duszę Samuela. Kościół o pokazywaniu się duchów w szczególności nic nie uczy, uznaje je jednak, jako podchodzące w ogóle pod kategoria zjawisk cudownych. Teologowie dla zapobieżenia tak teoretycznym w tym względzie błędom, jak i praktycznym zabobonom, dotykali często tego przedmiotu. Św. Tomasz (Summa p. 3. suppl. q. 69 a. 3) na pytanie: „czy dusze będące w niebie lub w piekle mogą stamtąd wychodzić?" odpowiada, że nie może być tu mowy o takim wychodzeniu i wyzwalaniu się z właściwego im stanu, jak gdyby miejsca te nie były im wyznaczone na stały pobyt, że możliwe jest tylko chwilowe tych miejsc opuszczenie, i że to opuszczanie nie może się dziać według praw natury, lecz jedynie według praw opatrzności Bożej. Toż samo rozumie się i o duszach w czyśćcu przebywających (...) tj. że dusza *nie może podług własnego upodobania* opuszczać choćby na chwilę miejsca swego pobytu pośmiertnego. Augustyn św. dopuszcza takie fakty jako nadzwyczajną rzadkość i sam opowiada (De cura pro mortuis agemda) o św. Feliksie, że ten pokazał się mieszkańcom Noli w czasie oblężenia miasta. Św. Hieronim broni przeciwko Wigilancjuszowi pokazywania się świętych. Historia kościelna podaje wiele faktów takich [zjawień]. W ogóle pokazywanie się duchów, jak je uznają teologowie katoliccy, nie otwiera bynajmniej drogi zabobonom, ani nie pozwala na niepokojenie umysłów, ponieważ przyznają je oni *wyłącznie opatrznej woli Bożej*." (Encyklopedia kościelna etc. X. Michała Nowodworskiego etc. Warszawa 1874, t. IV, s. 365 – 367)

Korekta: Antoni Pawlak